

# Daniel Silva

Angielski szpieg



# Daniel Silva

Angielski szpieg

Tłumaczenie:  
Barbara Budrecka

Tytuł oryginału: *The English Spy*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers LLC, Nowy Jork, USA, 2015

Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Mirosława Weber

©2015 by Daniel Silva

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Zdjęcie na okładce: @ Peter Zelei/ Getty Images

Zdjęcie autora: @ John Earle

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: Studio COMPTExT

Druk: Opolgraf S.A.

ISBN: 978-83-276-1694-4

*Jeśli chcesz wymazać ślad ołówka, musi stać się on niewidzialny.  
Nigdy bowiem dość ostrożności, kiedy chodzi o zachowanie tajemnicy.*

Graham Greene, „Ministerstwo strachu”

*Dość już łez. Nadszedł czas zemsty.*

Maria, królowa Szkocji

**Część pierwsza**

# **ŚMIERĆ KSIĘŻNEJ**

# 1

## *Gustavia, Saint Barthélemy*

Nigdy by się to nie wydarzyło, gdyby Spider Barnes nie zabalował u Eddy'ego dwa dni przed wyjściem Aurory w morze. Ten szalony geniusz w białej marynarce pod nakrochmalonym fartuchem uchodził za najlepszego z kucharzy pływających po wodach Karaibów. Wybuchowy, obraźliwy i niezastąpiony, szczycił się klasycznym wyszkoleniem. No bo przecież praktykował w Paryżu. I w Londynie. A także w Nowym Jorku i w San Francisco, zanim po nieszczęsnym przestoju w Miami na dobre porzucił restauracyjny biznes i wybrał wolność na morzu. Teraz pracował na wielkich czarterowanych jachtach - takich, jakie wynajmują gwiazdy filmowe, raperzy, magnaci prasowi i różni szpanerzy, gdy chcą wyrzucić wrażenie. A jeśli nie stał przy kuchni, niezmiennie okupował któryś z lepszych stołków barowych na łądzie.

Bar u Eddy'ego był jednym z pięciu najwyżej przez niego cenionych w Basenie Karaibskim, a może na całym świecie. Tego wieczoru zaczął około siódmej od kilku piw, o dziewiątej w mroku ogrodu wypalił jointa, a o dziesiątej delektował się pierwszą szklanką waniliowego rumu. Wszystko dobrze się układało. Spider był wstawiony i wniebowzięty.

Ale wtedy dostrzegł Weronikę i nagle sprawy przybrały niebezpieczny obrót. Była Europejką nieokreślonego pochodzenia, zagubioną dziewczyną, która niedawno pojawiła się na wyspie i serwowała miejscowym drinki w sąsiednim barze. Śliczna jak kwiatusek, orzekł, zwracając się do bezimiennego kompana, który siedział obok. Kiedy upłynęło kolejne dziesięć sekund, zupełnie stracił głowę.

Natychmiast się oświadczył, jak to miał w zwyczaju, a gdy odmówiła, zasugerował w zamian figielki w pościeli. O dziwo, podziałało, i o północy oboje chwiejnym krokiem wyszli w ulewny deszcz. Wtedy to widziano go ostatni raz - trzy minuty po północy w deszczową noc w Gustavii, przemoczonego do nitki, pijanego i zakochanego.

Kapitanem Aurory, luksusowego 46-metrowego jachtu motorowego zarejestrowanego w Nassau, był Reginald Ogilvy, emerytowany oficer Marynarki Królewskiej. Ten dobroduszny dyktator nie rozstawał się z regulaminem i odziedziczoną po dziadku Biblią króla Jakuba, którą trzymał na stoliku nocnym. Spider Barnes niewiele go obchodził. Ale nazajutrz o dziewiątej rano nie uszło jego uwagi, że kucharz nie pojawił się na odprawie załogi i służby pokładowej. Bo nie była to zwykła odprawa. Aurora przygotowywała się na przyjęcie bardzo ważnej osoby i tylko Ogilvy wiedział, kim ona jest. Wiedział również, że przybędzie w asyście ochrony i że, najogólniej mówiąc, jest bardzo wymagająca. To wyjaśniało, dlaczego nieobecność słynnego szefa kuchni mocno go zaniepokoiła.

Poinformował o sytuacji komendanta portu, a ten zgodnie z procedurami przekazał sprawę miejscowej policji. Dwaj funkcjonariusze zapukali więc niebawem do drzwi położonego na wzgórzu małego domku Weroniki. Nie znaleźli tam jednak nikogo. Przystąpili zatem do przeszukiwań licznych miejsc na wyspie, gdzie po nocnych ekscesach kurowali się zazwyczaj pijani i zawiedzeni w miłości. W Le Select jakiś Szwed o czerwonej twarzy twierdził, że rano postawił Spiderowi heinekena. Ktoś inny zapewniał, że widziano go na plaży w Colombier. Napłynęło też nigdy niepotwierdzone doniesienie, że jakaś nieszczęsna istota wyje do księżycyca na pustkowiach Toiny.

Policjanci starannie sprawdzali każdą pogłoskę, a potem metr po metrze przeszukali wyspę z północy na południe. Bez rezultatu. Tuż po zachodzie słońca Reginald Ogilvy poinformował załogę Aurory, że Spider Barnes zaginął i w krótkim czasie należy znaleźć zastępstwo. Załoga rozbiegła się po wyspie, odwiedzając miejsca od nadbrzeżnych barów Gustavii do plażowych bud Grand Cul-de-Sac, i przed dziewiątą wieczorem, w najmniej prawdopodobnym z miejsc, znalazła odpowiedniego człowieka.

Pojawił się na wyspie w szczytowym sezonie huraganów i zamieszkał w oszalonej domku na odległym krańcu plaży w Lorient. Jego cały majątek stanowił płócienny worek marynarski,

sterta podniszczonych książek, krótkofalówka i rozklekotany skuter, który nabył w Gustavii za uśmiech i kilka wymiętych banknotów. Książki były grube, ciężkie i uczone, a radio należało do rzadko już spotykanych. Późnym wieczorem, gdy siedział na wałącym się ganku, czytając w świetle lampy na baterie, nad palmami i delikatnym szumem przybrzeżnych fal unosił się dźwięk muzyki. Z dalekich stacji docierały na zmianę jazz i klasyka, czasem fragmenty reggae. Co godzina odkładał książkę i uważnie słuchał wiadomości BBC. Potem, gdy się kończyły, kręcił gałką, szukając czegoś, co lubił, a morze i palmy znów zaczynały tańczyć w rytm jego muzyki.

Początkowo nie było jasne, czy jest na wakacjach, w drodze do innego celu, czy też się ukrywa. Może zresztą zamierzał osiedlić się na stałe na tej wyspie. Wyglądało na to, że pieniądze nie stanowią dla niego problemu. Kiedy rano wpadał do piekarni na wiejski chleb i kawę, zawsze zostawiał dziewczętom hojny napiwek, a gdy popołudniem zatrzymywał się na ryneczku koło cmentarza, by kupić niemieckie piwo i amerykańskie papierosy, nigdy nie zabierał reszty, która z grzechotem wypadała z automatu.

Mówił po francusku niezle, lecz z akcentem, którego nikt nie umiał rozpoznać. Jego hiszpański, gdy rozmawiał z Dominikańczykiem sprzedającym w JoJo Burger, był jeszcze lepszy, ale też brzmiał w nim obcy akcent. Dziewczyny z piekarni uznały go za Australijczyka, ale chłopcy z JoJo Burger twierdzili, że to Afrykaner. Na Karaibach spotykano ich wszędzie. Z reguły zachowywali się przyzwoicie, choć nie zawsze prowadzili legalne interesy.

Jego dni nie wyróżniały się niczym szczególnym, jednakże nie były pozbawione celu. Jadał śniadania w miejscowej piekarni, kupował sterty wczorajszych amerykańskich i angielskich gazet na stoisku w Saint-Jean, systematycznie gimnastykował się na plaży, a potem czytał opasłe tomy literatury i historii, naciągając na czoło kapelusz. Kiedyś wynajął nawet łódź wielorybniczą i przez całe popołudnie nurkował wokół wysepki Tortu. Jego bezczynność nie sprawiała wrażenia dobrowolnej, lecz wymuszonej. Przypominał ранnego żołnierza, który pragnie wrócić na pole bitwy, lub wygnańca stęsknionego za utraconą ojczyzną, gdziekolwiek by ta była.

Według Jeana Marca, urzędnika celnego w porcie, przyleciał z Gwadelupy, legitymując się ważnym paszportem wenezuelskim wystawionym na Colina Hernandez. Podobno był owocem krótkiego małżeństwa Irlandki z Hiszpanem. Matka uważała się za poetkę, zaś ojciec prowadził podejrzane interesy. Colin nienawidził starego, ale zdjęcie matki nosił w portfelu i mówił o niej z takim nabożeństwem,



jakby jej kanonizacja była tylko cczą formalnością. I choć blondynek na jej kolanach niezbyt go przypominał, trzeba pamiętać, że czas robi swoje.

Zgodnie z paszportem miał trzydzieści osiem lat, co wydawało się możliwe, a w rubryce „zawód” wpisał: biznesmen, co może wiele sugerować. Dziewczeta z piekarni uważały go za pisarza, który poszukuje natchnienia. Jak bowiem tłumaczyć fakt, że niemal nie rozstawał się z książkami? Ale dziewczeta z targu wymyśliły niczym nieopartą teorię, że na Gwadelupie zabił jakiegoś mężczyznę i ukrywał się na Saint Barthélemy, czekając, aż burza ucichnie. Dominikańczyk z JoJo Burger, który sam się ukrywał, wyśmiał tę hipotezę, twierdząc, że Colin Hernandez jest po prostu leniwym obibokiem i utrzymuje się z funduszu powierniczego, który zostawił mu zniechęcony ojciec. Posiedzi na wyspie dopóty, dopóki się nie znudzi lub nie wyczerpią mu się pieniądze. Wtedy przeniesie się gdzieś indziej i za dzień lub dwa z trudem przypomną sobie, jak się nazywał.

W końcu jednak, miesiąc od przybycia na wyspę, w rutynie Hernandeza nastąpiła niewielka zmiana. Po lunchu w JoJo Burger udał się do fryzjera w Saint-Jean, a gdy od niego wyszedł, jego długie, zmierzwione czarne włosy były lśniące i starannie ostrzyżone. Naza jutrz pojawił się w piekarni świeżo ogolony, w spodniach khaki i sztywno wyprasowanej białej koszuli. Jak zwykle zamówił na śniadanie kawę ze śmietanką i gruboziarniste wiejskie pieczywo, po czym pochylił się nad londyńskim „Timesem” z ubiegłego dnia.

Na koniec, zamiast wrócić do swego domku, wszedł na skuter i ruszył do Gustavii. Jeszcze tego samego dnia w południe stało się jasne, dlaczego niejaki Colin Hernandez przybył do Saint Barthélemy.

Najpierw udał się do okazałego starego hotelu Carl Gustaf. Gdy jednak menedżer usłyszał, że brak mu udokumentowanego przeszkolenia, nie chciał z nim nawet rozmawiać. Właściciele Mayas uprzejmie go spławili, podobnie jak szefowie Wall House, Ocean i La Cantina. Spróbował zatem w La Plage, ale też nie byli zainteresowani. Podobnie jak w Eden Rock, Guanahani, La Creperie, Le Jardin i Le Grain de Sel, samotnej placówce z widokiem na słone bagna Saline. Nawet w La Gloriette, należącej do uchodźcy politycznego, nie chciano się z nim zadawać.

Niezrażony dalej próbował szczęścia wśród ukrytych klejnotów wyspy - w portowym barze, kreolskiej speluncie po przeciwnej stronie ulicy i w małym stoisku z pizzą i panini, które przycupnęło na parkingu supermarketu L'Oasis. I to tam właśnie los w końcu do niego się uśmiechnął. Dowiedział się bowiem, że kucharz z Le Piment odszedł

z firmy po gorącej dyskusji dotyczącej zarobków i czasu pracy. O czwartej po południu, po prezentacji swych umiejętności w małej kuchence Le Piment, został zatrudniony. Jeszcze tego wieczoru objął zmianę i zyskał entuzjastyczne opinie.

Niebawem jego talenty kulinarne stały się głośne na całej wyspie. Le Piment, ongiś przybytek stałych miejscowych bywalców, wkrótce zaczął pękać w szwach od nowej klienteli, która opiewała talenty tajemniczego szefa kuchni o dziwnym anglo-hiszpańskim imieniu i nazwisku. Teraz Carl Gustaf próbował go podkraść, podobnie jak Eden Rock, Guanahani i La Plage. Bez skutku. Dlatego kapitan Reginald Ogilvy nie miał zbyt wielu złudzeń, gdy w dzień po zniknięciu Spidera Barnes'a wszedł bez rezerwacji do Le Piment.

Musiał przez pół godziny koić wzburzone nerwy w barze, nim w końcu zaprowadzono go do stolika. Zamówił trzy aperitify i trzy przekąski, a po ich degustacji poprosił szefa kuchni. Minęło dziesięć minut, nim doczekał się spełnienia prośby.

- Głodny? - spytał go facet nazywający się Colin Hernandez, patrząc na liczne talerzyki.

- Nie bardzo.

- To po co pan tu przyszedł?

- Chciałem sprawdzić, czy jesteś taki dobry, jak mówią.

Ogilvy wyciągnął rękę i się przedstawił, wymieniając swą rangę, nazwisko i nazwę statku. Colin Hernandez ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Na Aurorze pracuje Spider Barnes, czy tak?

- Znasz go?

- Chyba kiedyś wypilem z nim drinka.

- Nie ty jeden.

Kapitan otaksował spojrzeniem stojącego przed nim mężczyznę. Był wysportowany i muskularny, budził respekt. Doświadczone oczy Anglika dostrzegły w nim kogoś, kto nie raz zeglował po wzburzonych morzach. Patrząc na ciemne gęste brwi i mocny kształt szczęki, Ogilvy pomyślał, że ten człowiek nie ugnie się pod ciosem.

- Jesteś Wenezuelczykiem - powiedział.

- Kto tak mówi?

- Każdy, kto nie przyjął cię do roboty, kiedy jej szukałeś.

Wzrok Ogilvy'ego przesunął się z twarzy na rękę, która spoczywała na oparciu krzesła po drugiej stronie stolika. Nie dostrzegł na niej tatuażu, co uznał za dobry znak. Tę współczesną modę uważał za formę samoookaleczenia.

- Pijesz?

- Nie tak jak Spider.
- Żonaty?
- Tylko raz.
- Dzieci?
- Boże, nie!
- Słabostki?
- Coltrane i Monk.
- Zabiłeś kogoś?
- Nic przypominam sobie.

Powiedział to z uśmiechem, a Reginald Ogilvy uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Zastanawiam się, jak mógłbym cię skusić - zaczął, rozglądając się po skromnej sali. - Jestem gotów dobrze zapłacić, a kiedy nie będziemy na morzu, będziesz miał mnóstwo wolnego czasu, żeby robić to, co lubisz, kiedy nie gotujesz.

- Jak dobrze?
- Dwa tysiące tygodniowo.
- Ile miał Spider?
- Trzy - odparł Ogilvy po chwili wahania. - Ale on był ze mną dwa sezony.

- Tyle że teraz go nie ma, prawda?

Ogilvy ostentacyjnie się zastanawiał.

- No dobra, trzy. Ale zaczniesz zaraz.
- Kiedy wypływacie?
- Jutro rano.

- W takim razie - oświadczył mężczyzna zwany Colinem Hernandezem - będziesz musiał zapłacić cztery.

Kapitan Aurory spojrział na talerze z daniami, po czym ciężko wstał.

- Ósma rano - powiedział. - Tylko się nie spóźnij.

François, porywczy Marsylijczyk i właściciel Le Piment, nie przyjął wiadomości ze spokojem. Najpierw w rozgorączkowanej gwarze południa wyrzucił z siebie stek obelg, potem zagroził zemstą. A na koniec chwycił butelkę niezłego rocznika bordeaux, zresztą pustą, i rzucił nią w ścianę małej kuchni, rozbijając szkło w tysiące szmaragdowych odłamków. Wprawdzie później zaprzeczał, że mierzył w niewiernego szefa kuchni, ale Isabelle, kelnerka, która była świadkiem tej sceny, podważała jego wersję. Przysięgała, że François cisnął butelką jak sztyłem wprost w głowę *monsieur* Hernandeza. A

*monsieur* Hernandez, dodawała, uchylił się tak zręcznie, że nie zdołała nawet mrugnąć. Potem spojrział zimno na François, jakby się zastanawiał, czy skrócić mu kark, ale w końcu zdjął swój śnieżnobiały fartuch, wsiadł na skuter i odjechał.

Resztę nocy spędził w domku na plaży, czytając na ganku w świetle lampy sztormowej, a z wybiciem każdej godziny kładł książkę na kolanach i słuchał wiadomości BBC, podczas gdy fale na przemian uderzały w brzeg lub się cofały, a wachlarze palm szumiały w nocnym wietrze. Rano, po orzeźwiającej kąpeli w morzu, wziął prysznic, ubrał się i spakował do marynarskiego worka cały swój dobytek - ubrania, książki oraz radio. Wsunął tam ponadto jeszcze dwa przedmioty, które zostawiono mu na wysepce Tortu - pistolet stiecznika kaliber 9mm z przykręconym do lufy tłumikiem i prostokątną paczkę o wymiarach trzydzieści na pięćdziesiąt centymetrów i wadze trochę ponad siedem kilogramów. Umieścił ją w środku worka, tak by był równo obciążony.

Opuścił plażę w Lorient o wpół do ósmej i trzymając worek na kolanach, wyruszył skuterem do Gustavii. Aurora lśniła w głębi portu. Za dziesięć ósma wszedł na pokład, gdzie jego podkomendna, szczupła młoda Angielka, która przedstawiła się jako Amelia List (co za nazwisko!), zaprowadziła go do kajuty. Wsunął swoje rzeczy do szafy, łącznie z pistoletem oraz siedmiokilową paczką, po czym włożył pozostawione mu na koi spodnie i bluzę szefa kuchni. Amelia List czekała na korytarzu, gdy wyłonił się z kajuty. Zaprowadziła go do kambuza, a następnie pokazała magazyn suchych artykułów spożywczych, chłodnię z mrożonymi produktami i pomieszczenie, w którym przechowywano wina. To tam, w jego chłodnej ciemności, po raz pierwszy pomyślał o seksie z tą Angielką w sztywnym białym uniformie. Nie próbował się opamiętać. Od tyłu miesiący żył w celibacie, że prawie zapomniał, co się czuje, dotykając kobiecych włosów i pieszcząc delikatną skórę bezbronných piersi.

Kilka minut przed dziesiątą interkom wezwał wszystkich członków załogi do stawienia się na pokładzie rufowym. Mężczyzna nazywający się Colin Hernandez ruszył za Amelią List i stał obok niej, gdy dwa czarne range rovery zahamowały przed rufą Aurory. Z pierwszego wysiadły trzy osoby: dwie rozchichotane opalone dziewczęta i bladokóry, około czterdziestoletni mężczyzna z zaczerwienioną twarzą. W jednej ręce trzymał różową torbę plażową, a w drugiej otwartą butelkę szampana. Z drugiego auta wyskoczyli dwaj atletycznie zbudowani mężczyźni, a za nimi po chwili wyłoniła się kobieta, która wydawała się pogrążona w głębokiej melancholii.

Miała na sobie suknię brzoskwińowej barwy, co sprawiało wrażenie, że kobieta jest częściowo naga, kapelusz z szerokim rondem, który przesłaniał jej szczupłe ramiona, i wielkie nieprzezroczyste okulary słoneczne, kryjące niemal w całości jej porcelanową twarz. Ale mimo wszystkich prób kamuflażu była natychmiast rozpoznawalna. Zdradzał ją profil tak uwielbiany przez fotografów mody i paparazzich, którzy śledzili każdy jej ruch. Jednak tego ranka ich nie było. Najwyraźniej choć raz zdołała zmylić trop.

Wstąpiła na pokład Aurory, jakby wchodziła do otwartego grobu, i w milczeniu, ze spuszczoną głową, przeszła obok znieruchomiałej załogi, mijając Colina Hernandezę tak blisko, że musiał stłumić w sobie pragnienie, by jej dotknąć. Mógłby wtedy sprawdzić, czy jest istotą żywą, a nie tylko wytworem jego wyobraźni. Pięć minut później Aurora wypłynęła z portu, a w południe czarująca wyspa Saint Barthélemy była już zaledwie zielonkawobrunatną grudką na horyzoncie. Na dziobie jachtu, z drinkiem w dłoni, ułożyła się topless najsłynniejsza kobieta świata, wystawiając do słońca swą nieskazitelną skórę. Zaś pokład niżej, przygotowując tatarę z tuńczyka, ogórka i ananasa, krzątał się mężczyzna, który miał ją zabić.

## 2

### *U wybrzeży Wysp Leewarda*

Każdy znał tę historię. I nawet ci, którzy udawali, że nic ich nie obchodzi bądź traktowali z pogardą jej światowy rozgłos, pamiętali wszystkie brudne szczegóły. Ona wywodziła się z klasy średniej i pochodziła z hrabstwa Kent, gdzie mieszkali jej rodzice. Była bardzo nieśmiała, choć piękną dziewczyną, która ciężką pracą dostała się na studia w Cambridge. On zaś był przystojnym i nieco od niej starszym następcą tronu Anglii. Poznali się na uniwersyteckim kampusie podczas jakiejś debaty na temat środowiska i, jak głosi legenda, przyszły król natychmiast stracił głowę.

Nastąpiły długie, utrzymywane w dyskrekcji zaloty. Dziewczyne obserwowali ludzie przyszłego króla, a z kolei jego oceniali jej ludzie. W końcu jeden z bardziej skandalizujących tabloidów uzyskał zdjęcie pary wychodzącej z dorocznego letniego balu u księcia Rutland w Belvoir Castle. Buckingham Palace wydał lapidarne oświadczenie potwierdzające rzecz oczywistą, a mianowicie, że przyszły król i dziewczyna, w której żyłach nie było nawet kropli błękitnej krwi, regularnie się spotykają. Zaledwie miesiąc później, w atmosferze jazgotu rozpalonych od plotek i spekulacji tabloidów, pałac poinformował, że następca tronu zamierza pojąć za żonę dziewczynę z klasy średniej.

Ich ślub odbył się w Katedrze Świętego Pawła pewnego czworego poranka, kiedy niebo południowej Anglii zasnuły deszczowe chmury. Później, gdy wszystko się rozpadło, w brytyjskiej prasie pojawiały się głosy, że był to zły omen. Dziewczyna ze względu na swe wychowanie i temperament była zupełnie nieprzystosowana do

życia na królewskim piedestale, zaś przyszły król z tych samych powodów zupełnie nie nadawał się do małżeństwa.

Miał liczne romanse, zbyt wiele, by można je zliczyć, a ona postanowiła go ukarać, biorąc za kochanka jednego z ochroniarzy. Na wiadomość o tym przyszły król zesłał ochroniarza na odludną plaćówkę w Szkocji, a zrozpaczona dziewczyna próbowała popełnić samobójstwo. Przedawkowała wprawdzie środki nasenne, lecz błyskawicznie przewieziono ją do Szpitala Świętej Anny i odratowano. Pałac Buckingham poinformował, że cierpi na odwodnienie spowodowane atakiem grypy. Prośbę o wyjaśnienie, dlaczego mąż nie odwiedził jej w szpitalu, pokrętnie tłumaczono napiętym planem zajęć. Oficjalne oświadczenie wywołało tylko więcej pytań.

Po jej wyjściu ze szpitala dla obserwatorów królewskiej rodziny stało się jasne, że piękna żona następcy tronu nie jest najszczęśliwszą z kobiet. Mimo to wypełniła swe obowiązki, obdarzając małżonka dwójką następców, synem i córką, którzy przyszli na świat po trudnych ciążach i przedwczesnym rozwiązaniu.

Przyszły król okazał swą wdzięczność, powracając do łóżka kobiety, którą kiedyś poślubił, ona zaś zaangażowała się w szczytne inicjatywy, zdobywając światowy rozgłos, który przyćmił nawet świętość królewskiej matki. Jeździła po świecie wszędzie, gdzie tylko mogła, wspierała szlachetne cele, a hordy reporterów i fotografów śledziły każdy jej ruch i komentowały każde słowo. Przez cały ten czas nikt wszak nie zauważył, że księżna pogrążyła się w chorobie psychicznej. W końcu z jej cichym przyzwoleniem cała historia została przelana na karty książki. Opowiadając o swoim życiu, księżna mówiła o zdradach męża, atakach depresji, próbach samobójczych i zaburzeniach łaknienia wywołanych nieustanną presją opinii publicznej i prasowej.

Przyszły król zapłonął oburzeniem i w odwecie uaktywnił liczne prasowe przecieki na temat nieobliczalnych zachowań żony. Wkrótce też nastąpił cios ostateczny - ujawnienie nagrania namiętnej rozmowy telefonicznej między księżną i jej kochankiem. W tym momencie cierpliwość królowej się wyczerpała. Widząc zagrożenie dla monarchii, zażądała, by para niezwłocznie przeprowadziła rozwód. Nastąpiło to miesiąc później, a Buckingham Palace w pozbawionym cienia ironii oświadczeniu określił rozwiązanie królewskiego małżeństwa mianem „przyjaznego”.

Księżna zachowała prawo do swych apartamentów w Pałacu Kensington, natomiast pozbawiono ją tytułu Jej Królewskiej Wysokości. Królowa zaproponowała jej drugorzędny tytuł honorowy,

lecz ona odmówiła, powracając do własnego imienia. Zrezygnowała również z ochrony przysługującej członkom rodziny królewskiej, gdyż widziała w funkcjonariuszach szpiegów, nie opiekunów. Pałac dyskretnie śledził jej ruchy oraz kontakty, podobnie jak brytyjski wywiad, który traktował ją bardziej jak kłopot niż zagrożenie dla królestwa.

Publicznie demonstrowała promienną twarz globalnego współczucia. Ale za zamkniętymi drzwiami zbyt wiele piła i otaczała się ludźmi, których jeden z królewskich doradców określił mianem „eurośmieci”. W tej podróży miała świtę mniej liczną niż zwykle. Dwie opalone dziewczyny były przyjaciółkami z czasów dzieciństwa, a mężczyzną, który wszedł na pokład Aurory z otwartą butelką szampana, był Simon Hastings Clarke, groteskowo bogaty wicehrabia, który zapewniał jej styl życia, do jakiego przywykła. To on oddał do jej dyspozycji flotę swych prywatnych odrzutowców, by mogła latać po świecie, i to on opłacał rachunki za jej ochronę. Dwaj mężczyźni, którzy im towarzyszyli podczas pobytu na Karaibach, byli zatrudnieni przez prywatną agencję ochroniarską w Londynie. Przed opuszczeniem Gustavii nader powierzchownie przeszukali Aurorę i niedbale sprawdzili załogę. Mężczyźni o nazwisku Hernandez zadali jedno pytanie:

- Co mamy dziś na lunch?

Na żądanie księżnej miał to być zimny bufet, ale ani ona, ani jej towarzysze nie wydawali się tym zainteresowani. Tego dnia dużo pili i smażyli się w słońcu dopóty, dopóki ich nie przegnał ulewny deszcz. Dopiero wtedy ze śmiechem ukryli się w kabinach.

Pozostali tam do dziewiątej wieczór, kiedy to wyłonili się odświeżeni i wystrojeni, jakby wybierali się na ogrodowe przyjęcie w Somerset. Spędzili chwilę na pokładzie rufowym, gdzie serwowano koktajle i kanapki, po czym przeszli na kolację do jadalni. Podano im sałatę w sosie vinaigrette z truflową nutą, risotto z homara i żeberka z karczochami, a potem sorbet cytrynowy, cukinie i *piment d'argile*. Eksksieżna i jej towarzysze, zachwyceni posiłkiem, domagali się spotkania z kucharzem. Gdy w końcu się pojawił, powitali go z dziecięcym entuzjazmem.

- Co przygotowuje pan dla nas jutro? - dopytywała się księżna.
- To niespodzianka - odparł z tym swoim dziwnym akcentem.
- Och, wspaniale! - wykrzyknęła, posyłając mu ten sam uśmiech, który widział na niezliczonych okładkach magazynów. - Uwielbiam



niespodzianki.

Nieliczna służba kuchenna składała się zaledwie z ośmiu osób. Szef i jego asystentka odpowiadali za porcelanę, szkła, srebra, garnki, patelnie i urządzenia kuchenne. Stali tuż obok siebie przy zlewie jeszcze długo po tym, gdy księżna i jej świta opuścili jadalnię. Ich dłonie od czasu do czasu stykały się z sobą w ciepłej wodzie z pianą, a kościste biodra kobiety ocierały się o uda mężczyzny. W pewnej chwili, gdy przeciskali się obok siebie przy szafie z obrusami, poczuł na plecach dotyk jej twardych sutek. Przeszył go dreszcz, rozpalając w trzewiach ogień.

Powrócili do swych kabin osobno, ale po chwili usłyszał pukanie delikatne jak szelest motyli skrzydeł. Gdy spleli się z sobą, nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Jakby odbył miłosny akt z niemową.

- Może to był błąd - szepnęła mu później do ucha.
- Dlaczego tak mówisz?
- Bo będziemy razem pracować jeszcze długi czas.
- Nie taki długi.
- Nie zamierzasz tu zostać?
- To zależy.
- Od czego?

Nie odezwał się więcej. Położyła mu głowę na piersi i zamknęła oczy.

- Nie możesz tu zostać - powiedział.
- Wiem - odparła sennie. - Jeszcze tylko chwilę.

Leżał potem nieruchomo przez długi czas, opracowując szczegóły tego, co miało nastąpić. Aurora wznosiła się i opadała, Amelia List spała na jego piersi. W końcu o trzeciej nad ranem podniósł się z koi i przeszedł cicho do szafy. Bezszelestnie wciągnął czarne spodnie, wełniany sweter i ciemny sztormiak. Potem zdjął opakowanie z paczki o wymiarach trzydzieści na pięćdziesiąt centymetrów i wadze siedmiu kilogramów, a następnie podłączył zasilanie i zegar do detonatora. Znów schował paczkę w szafie i sięgnął po pistolet Stieckina, gdy usłyszał, że dziewczyna się porusza. Wolno się obrócił i patrzył na nią w ciemnościach.

- Co to było? - zapytała.
- Śpij.
- Widziałam czerwone światło.
- To moje radio.

- Dlaczego słuchasz radia o trzeciej w nocy?

Nim zdołał odpowiedzieć, rozbłysła lampka nocna. Szybko objęła spojrzeniem jego ciemny strój i pistolet z tłumikiem, który wciąż trzymał w ręku. Otworzyła usta, chcąc krzyknąć, ale on ciężko położył dłoń na jej twarzy, nim zdołała wydać jakikolwiek dźwięk. Gdy walczyła, próbując się uwolnić, szepnął jej kojąco do ucha:

- Nie bój się, kotku. Nie będzie bardzo boleć.

Jej oczy rozszerzyły się ze zgrozy, on zaś gwałtownie przekręcił jej głowę w lewo, przerywając rdzeń kręgowy, a potem delikatnie ją objął, gdy umierała.

Reginald Ogilvy nie zwykł spędzać samotnych godzin na nocnej wachcie, tym razem jednak troska o bezpieczeństwo sławnej pasażerki już przed świtem zawiadła go na mostek. Z filiżanką parującej kawy w dłoni sprawdzał prognozę pogody na komputerze pokładowym, gdy nagle w zejściówce pojawił się mężczyzna nazywany Colinem Hernandezem. Był ubrany na czarno. Ogilvy spojrzał na niego ostro i zapytał:

- Co tu robisz?

Odpowiedziały mu dwa strzały z wyciszonego stieczkina. Kule przedziurawiły przód munduru kapitana i przeszły serce.

Filiżanka z kawą głośno upadła na podłogę. Ogilvy zwałił się ciężko obok niej. Zabójca podszedł cicho do konsoli, zmienił nieco kurs, po czym wycofał się zejściówką na dół. Główny pokład był pusty. Nikt z załogi nie pełnił wachty. Mężczyzna znany jako Colin Hernandez opuścił jedną z szalup marki Zodiac na czarne morze, zeskoczył i odwiązał linę.

Uwolniony kołysał się na falach pod baldachimem roziskrzonych gwiazd, patrząc, jak Aurora - niczym pozbawiony sternika statek widmo - przesuwa się na wschód w kierunku morskich szlaków Atlantyku. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. A potem, gdy wskazówka dotarła do zera, znów podniósł wzrok. Po upływie kolejnych piętnastu sekund zaczął się zastanawiać, czy z jakiegoś powodu mechanizm nie zawiódł. Ale wtedy horyzont zapalił się oślepiająco białym światłem potężnej eksplozji, po której nastąpiły kolejne wybuchy i w niebo wystrzeliły pomarańczowożółte płomienie.

Towarzyszył im odgłos dalekiego grzmotu. Potem był już tylko plusk fal uderzających o burtę łodzi i szum wiatru. Przyciskiem włączył silnik i patrzył, jak Aurora rozpoczyna swą podróż na dno. Na koniec skierował szalupę na zachód i ruszył na pełnym gazie.

# 3

## *Karaiby - Londyn*

Pierwszy sygnał zapowiadający kłopoty pojawił się, gdy Pegasus Global Charters w Nassau powiadomił, że rutynowy komunikat przeznaczony dla jednej z jego jednostek, 46-metrowego luksusowego jachtu Aurora, nie uzyskał odpowiedzi. Centrum operacyjne Pegasusa zwróciło się natychmiast o pomoc do wszystkich statków handlowych i wycieczkowych w okolicy Wysp Leewarda i w ciągu kilku minut załoga tankowca pływającego na liberyjskiej banderze zgłosiła, że widziała w tym akwenie silną eksplozję światła mniej więcej o trzeciej czterdzieści pięć nad ranem.

Wkrótce potem załoga dostrzegła jedną z szalup Aurory. Była pusta i dryfowała jakieś sto mil na południowy-południowy wschód od Gustavii. Jednocześnie prywatny żaglowiec dostrzegł koła ratunkowe i inne pływające szczątki kilka mil na zachód. Obawiając się najgorszego, kierownictwo Pegasusa skontaktowało się telefonicznie z Wysokim Komisarzem Brytyjskim w Kingston i poinformowało konsula honorowego, że Aurora zaginęła, a przypuszczalnie zatонуła. Kierownictwo wysłało zaraz kopię listy pasażerów, która zawierała również imię byłej księżnej.

- Powiedzcie, że to nie ona... - rzekł konsul honorowy z niedowierzaniem. Ale szefostwo Pegasusa potwierdziło, że pasażerka była naprawdę ekszoną następcy tronu.

Konsul natychmiast zatelefonował do zwierzchników w ministerstwie spraw zagranicznych w Londynie, gdzie uznano, że sytuacja jest wystarczająco poważna, by obudzić premiera Jonathana Lancastera. Od tej chwili kryzys zaczął się pogłębiać.

Premier telefonicznie przekazał wiadomość następcy tronu o świacie, ale czekał aż do dziewiątej, by podać ją Brytyjczykom i światu. Stojąc z ponurą twarzą na tle czarnych drzwi Downing Street 10, odtworzył fakty do tej pory znane. Była żona następcy tronu wyjechała na Karaiby w towarzystwie Simona Hastingsa-Clarke'a i dwóch długoletnich przyjaciółek. Na wyspie Saint Barthélemy całe towarzystwo wsiadło na luksusowy jacht motorowy o nazwie Aurora, by zgodnie z wcześniejszym planem odbyć tygodniową wycieczkę morską. Niestety w nocy utracono kontakt z tą jednostką, a na powierzchni morza odnaleziono jej szczątki.

- Mamy nadzieję i modlimy się o to, by odnaleziono księżną żywą - dodał z powagą premier. - Musimy jednak przygotować się na najgorsze.

Pierwszy dzień poszukiwań nie przyniósł żadnych skutków - nie znaleziono szczątków statku ani ocalonych rozbitków. Podobnie jak dzień drugi i trzeci. Po naradzie z królową premier Lancaster złożył oświadczenie, że jego rząd działa z założeniem, iż umiłowana księżna nie żyje. Na Karaibach zespoły ratownicze bardziej skupiały wysiłki na poszukiwaniu wraku niż ciał pasażerów.

Nie trwało to długo. Zaledwie czterdzieści osiem godzin od katastrofy bezzałogowa łódź podwodna francuskiej marynarki odnalazła Aurorę na głębokości sześciuset metrów. Ekspert, który obejrzał nagranie wideo, nie miał wątpliwości, że jednostkę spotkało jakieś gwałtowne wydarzenie o charakterze kataklizmu, i że niemal na pewno nastąpiła tam eksplozja.

- Pozostaje pytanie - zakończył - czy był to wypadek, czy zamach.

Wedle wiarygodnych statystyk większość obywateli nie chciała uwierzyć w jej śmierć. Czerpali nadzieję stąd, że odnaleziono tylko jedną z dwóch szalup ratunkowych. Trwali w przekonaniu, że księżna dryfuje gdzieś na otwartym morzu bądź też zniosło ją na bezludną wyspę. Jakaś podejrzana strona internetowa posunęła się nawet do stwierdzenia, że widziano ją na Montserrat, zaś inna zapewniała, że żyje sobie spokojnie nad morzem w Dorset. Konspiracyjne teorie różnego pochodzenia stały się inspiracją dla szokujących opowieści o spisku na życie księżnej. Miał powstać z inicjatywy Tajnej Rady Jej Królewskiej Mości, a jego realizację rzekomo zapewnił brytyjski wywiad MI6. W tej sytuacji nasilały się naciski na szefa tajnych służb Grahama Seymoura, by publicznie zaprzeczył podobnym zarzutom,

ale on zdecydowanie odmawiał.

- To nie są zarzuty - oświadczył ministrowi spraw zagranicznych w czasie pełnego napięcia spotkania w potężnej siedzibie MI6 nad brzegiem rzeki. - To są bujdy fabrykowane przez osoby niespełna rozumu i nie zamierzam ich nobilitować swoimi zaprzeczeniami.

Prywatnie jednak Seymour doszedł do wniosku, że eksplozja Aurory nie była dziełem przypadku. Podobne zdanie miała DGSE\*, nader kompetentna francuska agencja wywiadu wojskowego. Analiza nagrania wideo ukazującego wrak potwierdziła, że katastrofa Aurory nastąpiła z powodu wybuchu umieszczonej pod pokładem bomby. Ale kto przemycił ją na statek? I kto zdetonował? Wedle DGSE głównym podejrzanym był człowiek zatrudniony przed rozpoczęciem rejsu w miejsce zaginionego szefa kuchni. Francuzi przekazali MI6 niewyraźny obraz wideo zarejestrowany w chwili jego przybycia do portu w Gustavii, a także kilka zamazanych zdjęć wykonanych przez prywatne kamery. Pokazywały mężczyznę, który najwyraźniej nie chciał być fotografowany.

\* Direction Generale de la Securite Exterieur (franc). Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznego (przyp. red.).

- Nie robi wrażenia faceta, który mógłby zatonać ze statkiem - oświadczył Seymour wobec zgromadzonego kierownictwa. - On się gdzieś ukrywa. Trzeba sprawdzić, gdzie, i kto to naprawdę jest. Zanim zrobią to żabojady.

Był niczym szept w mrocznej kaplicy, luźna nitka z rąbka porzuconego stroju. Porównali fotografie z komputerowymi bazami danych. A gdy nie znaleźli tam odpowiedzi, zaczęli poszukiwania starymi metodami - za pomocą woreczków i kopert z pieniędzmi, oczywiście amerykańskimi, gdyż w podziemiach szpiegowskiego świata to właśnie dolary wciąż stanowiły walutę rezerwową.

Człowiek MI6 w Caracas nie wpadł na żaden trop poszukiwanego. Nie znalazł również śladu jego anglo-irlandzkiej matki o poetyckim usposobieniu ani ojca, hiszpańskiego biznesmena. Adres w paszporcie zaprowadził go do opuszczonej rudery w slumsach Caracas, a ostatni znany numer telefonu był dawno nieaktualny. Płatny informator w tajnej policji wenezuelskiej słyszał rzekomo pogłoski o powiązaniach z Castro, ale inny, bliski kubańskiemu wywiadowi, napomknął przy okazji o kolumbijskich kartelach.

- Może kiedyś tak było - rzekł pewien nieprzekupny policjant z Bogoty - ale już od dawna przestał się zadawać z narkotykowymi baronami. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, podobno mieszkał w Panamie z jedną z byłych kochanek Noriegi. Miał kilka milionów

zdeponowanych w brudnym panamskim banku i apartament nad morzem w Playa Farallón.

Ekskochanka Noriegi zaprzeczyła, jakoby go знаła, a kierownik rzeczonoego banku po przyjęciu korzyści w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów nie mógł znaleźć śladu jakiegokolwiek rachunku na jego nazwisko.

Co do nadmorskiego apartamentu w Farallón, to jeden z sąsiadów nie pamiętał wprawdzie, jak mężczyzna wyglądał, ale przypominał sobie jego głos.

- Mówił z jakimś dziwnym akcentem - powiedział. - Jakby pochodził z Australii. A może z Afryki Południowej?

Graham Seymour nadzorował poszukiwania nieuchwytnego podejrzanego ze swego luksusowego biura, nieporównywalnego z żadnym innym w całym szpiegowskim królestwie. Angielski ogród w atrium, potężne mahoniowe biurko, za którym zasiadali jego wielcy poprzednicy, strzeliste okna z widokiem na Tamizę i majestatyczny stary zegar szafkowy skonstruowany przez samego sir Mansfielda Smitha Cumminga, pierwszego „C”\* brytyjskich służb specjalnych. Cały ten splendor wytrącał go z równowagi. W odległej przeszłości działał w terenie i miał liczne zasługi - jednak nie w służbie MI6, lecz MI5, nieco mniej efektownych brytyjskich służbach bezpieczeństwa wewnętrznego, gdzie cieszył się wielkim uznaniem, nim odbył krótką podróż z Thames House do Vauxhall Cross.

\* Mansfield Smith Cumming, pierwszy szef MI6, parafował przejrane dokumenty dużą literą „C”, używając zielonego atramentu. Zwyczaj ten przejęli jego następcy (przyp. red.).

Byli w MI6 tacy, którzy przyjęli z niechęcią nominację człowieka z zewnątrz. Większość jednak uznała przejście do Vauxhall Cross za swego rodzaju powrót do domu. Ojciec Seymoura był bowiem legendarnym agentem MI6, asem antynazistowskiego wywiadu, a także aktywnym uczestnikiem wydarzeń na Bliskim Wschodzie. A teraz syn, mężczyzna w kwiecie wieku, zasiadał za biurkiem, przed którym Seymour Starszy stawał ongiś, zdejmując czapkę.

Władzy jednak często towarzyszy poczucie bezradności. Seymour - szpieg biurokrata, agent z sali konferencyjnej - wkrótce miał to odczuć. W miarę trwania bezowocnych poszukiwań, podczas gdy naciski ze strony Downing Street i pałacu coraz bardziej się nasilały, jego nastrój się pogarszał. Zdjęcie podejrzanego leżało na biurku obok wiktoriańskiego kałamarza i wiecznego pióra marki Parker, którego zwykł używać, podpisując dokumenty. Coś w tej twarzy wydawało mu się znajome. Przypuszczał, że kiedyś, na innym polu walki i w

innym kraju, ich ścieżki się przecięły. I nic go nie obchodziło, że nie potwierdzały tego służbowe bazy danych. Bardziej ufał własnej pamięci niż wszystkim rządowym komputerom.

Tak więc gdy agenci w terenie błądzili wśród fałszywych tropów i utykali w ślepych zaułkach, prowadził prywatne poszukiwania ze swej pozłacanej klatki na szczycie Vauxhall Cross. Zaczął od przeszukania swej przepastnej pamięci, a gdy nie przyniosło to rezultatu, zażądał dostępu do swych starych akt w MI5 i gruntownie je sprawdził. Ale i tym razem nie trafił na żaden trop. Tymczasem rano dziesiątego dnia poszukiwań cicho zamruczał telefon na konsoli na jego biurku. Charakterystyczny sygnał zapowiadał Uzi Navota, szefa słynnego wywiadu izraelskiego. Seymour zawahał się, po czym ostrożnie podniósł słuchawkę. Jak zwykle izraelski superszpieg nie bawił się w wymianę uprzejmości.

- Myśle, że znaleźliśmy człowieka, którego szukacie.
- Kto to jest?
- Stary przyjaciel.
- Wasz czy nasz?
- Wasz - odparł Izraelczyk. - My nie mamy przyjaciół.
- Możesz podać mi jego dane?
- Nie przez telefon.
- Kiedy przylecisz do Londynu?

Połączenie zostało przerwane.

## 4

### *Vauxhall Cross, Londyn*

Uzi Navot przybył do Vauxhall Cross jeszcze tego wieczoru tuż przed jedenastą. Pneumatyczna kapsuła windy błyskawicznie przewiozła go do apartamentów kierownictwa. Miał na sobie szary garnitur, który dobrze leżał na jego masywnych ramionach, białą koszulę rozpiętą pod szeroką szyją i szkła bez oprawek na bokserским nosie. Na pierwszy rzut oka niemal nikt nie brał go za Izraelczyka, a nawet za Żyda, co wielokrotnie okazało się przydatne w karierze zawodowej. W swoim czasie pełnił funkcję *kaisa*, którym to terminem jego służby określały tajnych agentów terenowych.

Władający wieloma językami i uzbrojony w stertę fałszywych paszportów Navot penetrował siatki terrorystyczne i werbował szpiegów oraz informatorów w różnych częściach świata. W Londynie znany był jako Clyde Bridges, europejski dyrektor marketingu tajemniczej firmy handlującej oprogramowaniami. Przeprowadził na brytyjskiej ziemi kilka udanych operacji w czasie, gdy do obowiązków Seymoura należało zapobieganie tego rodzaju działalności. Seymour nie miał mu tego za złe. Taka jest bowiem natura szpiegowskich relacji, że dzisiejsi adwersarze stają się jutro sprzymierzeńcami.

Jako częsty bywalec Vauxhall Cross Navot nie skomentował wystroju imponującego gabinetu szefa. Nie poświęcił też ani chwili zwyczajowym plotkom zawodowym, które z reguły poprzedzały spotkania członków tajnego świata. Seymour znał powód milczącego nastroju Izraelczyka. Jego pierwsza kadencja dobiegała końca i na prośbę premiera miał ustąpić miejsca innemu funkcjonariuszowi, legendarnemu oficerowi tajnych służb, z którym Seymour wielokrot-



nie współpracował. Mówiono, że kandydat na nowego szefa zrobił wiele, by nie utracić tak cennego pracownika jak Navot. Łamał swym podejściem stereotypy, gdyż byli szefowie nigdy nie zostawali w starym miejscu pracy. On jednak nie uznawał stereotypów. Lubił ryzykować. I było to jego największą siłą, choć czasem, pomyślał Seymour, prowadziło do zguby.

W potężnej ręce Navota kołysała się lekko zamknięta na kodowane zamki aktówka ze stali nierdzewnej. Wyjął z niej po chwili cienki folder i położył go na mahoniowym biurku. Wewnątrz znajdował się dokument długości jednej strony - Izraelczycy szczylicili się zwięzłością. Seymour przeczytał jego treść, a potem podniósł wzrok na fotografię leżącą obok kałamarza i cicho zaklął. Uzi Navot stojący po przeciwnej stronie imponującego biurka pozwolił sobie na krótki uśmiech. Nieczęsto udawało się zaskoczyć dyrektora generalnego MI6.

- Kto jest źródłem tej informacji?
- Możliwe, że Irańczyk - odparł niejasno Navot.
- Czy MI6 ma z nim regularne kontakty?
- Nie - zaprzeczył Navot. - To wyłącznie nasz człowiek.

MI6, CIA oraz wywiad izraelski ściśle współpracowały przez ponad dekadę, by opóźnić dostęp Iranu do broni jądrowej. Te trzy służby wspólnie zwalczały irański łańcuch dostaw materiałów nuklearnych i wspólnie korzystały z potężnych zasobów danych technicznych oraz informacji. Nie ulegało wątpliwości, że Izraelczycy mieli najlepsze osobowe źródła informacji w Teheranie i że, ku niezadowoleniu Amerykanów i Brytyjczyków, zazdrośnie ich strzegli. Opierając się na sformułowaniach raportu, Seymour podejrzewał, że szpieg Navota był pracownikiem irańskiego wywiadu VEVAK\*.

\* Skrót od Vezarat-e Ettelaat va Amniat-e Keshvar - Ministerstwo Wywiadu i Bezpieczeństwa Narodowego Islamskiej Republiki Iranu (przyp. red.)

Źródła VEVAK nie poddawały się weryfikacji. Czasem nabyte za zachodnią gotówkę informacje okazywały się prawdziwe.

Kiedy indziej znowu stanowiły owoc *taqiyya*, perskiej praktyki wyrażania intencji sprzecznych z rzeczywistością.

- Wierzysz mu?
- Inaczej nie byłoby mnie tutaj. - Navot urwał, po czym dodał: - I coś mi mówi, że ty też mu wierzysz.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wyjął z aktówki drugi dokument i położył go na biurku obok pierwszego.

- To kopia raportu, który wysłaliśmy do MI6 trzy lata temu - wyjaśnił. - Wiedzieliśmy już wtedy o jego powiązaniach z Irańczy-

kami. Wiedzieliśmy również, że pracował dla Hezbollahu, Hamasu, Al-Kaidy i każdego, kogo było na to stać - dodał. - Twój przyjaciel nie jest szczególnie wybredny, jeśli chodzi o towarzystwo.

- Nie było mnie tu wtedy - mruknął Seymour.

- No to teraz masz problem. - Navot wskazał fragment przy końcu dokumentu. - Jak widzisz, sugerowaliśmy, by go zlikwidować. Zgłosiliśmy nawet gotowość wykonania tego zadania. I jak myślisz, co twój poprzednik odpowiedział na naszą propozycję?

- Najwyraźniej ją odrzucił.

- Z głęboką odrazą. W gruncie rzeczy zdecydowanie nas ostrzegł, żebyśmy nie ważyli się go tknąć. Bał się, że otworzy to puszkę Pandory. - Wolno potrząsnął głową. - No i teraz proszę.

W pokoju zapadła cisza, którą zakłócało tylko tykanie starego zegara. W końcu Navot cicho się odezwał:

- Gdzie byłeś tego dnia. Grahamie?

- Którego dnia?

- Piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem.

- Mówisz o zamachu bombowym?

Navot skinął głową.

- Cholernie dobrze wiesz, gdzie byłem - odparł Seymour. - W Piątce.

- Jako szef sekcji antyterrorystycznej.

- Tak.

- Co oznacza, że to była twoja odpowiedzialność.

Seymour milczał.

- Co się stało, Grahamie? Jak on się wymknął?

- Popelniono błędy. Wielkie błędy. Na tyle poważne, żeby zrujnować kariery, po dziś dzień. - Seymour podniósł z biurka oba dokumenty i zwrócił je Navotowi. - Czy twoje irańskie źródło wyjaśnia, czemu to zrobił?

- Możliwe, że podjął swoją dawną walkę. Możliwe również, że działał z czyjś polecenia. Tak czy owak trzeba z nim zrobić porządek. Jak najszybciej.

Seymour nie odpowiedział.

- Nasza oferta jest wciąż aktualna. Grahamie.

- Jaka to oferta?

- Możemy się nim zająć - odparł Navot. - I zakopać go tak głęboko, że żaden ze starych problemów nigdy nie wypłynie na powierzchnię.

Seymour się zamyślił.

- Jest tylko jedna osoba, której powierzyłbym to zadanie - ode-

zwał się w końcu.

- To może być trudne.

- Z powodu ciąży?

Navot skinął twierdząco.

- Kiedy jest termin?

- Obawiam się, że to informacja zastrzeżona.

Seymour zdobył się na krótki uśmiech.

- Sądzisz, że da się go nakłonić?

- Wszystko jest możliwe - odparł Navot wymijająco. - Chętnie zwrócę się do niego w twoim imieniu.

- Nie - odrzekł Seymour. - Zrobię to sam.

- Jest jeszcze jeden problem - dodał po chwili Navot.

- Tylko jeden?

- On nie orientuje się najlepiej w tej części świata.

- Znam kogoś, kto posłuży mu za przewodnika.

- Nie będzie pracował z kimś, kogo nie zna.

- W gruncie rzeczy bardzo dobrze go zna.

- To ktoś z MI6?

- Nie - odparł Seymour. - Jeszcze nie.

# 5

*Rzym, lotnisko Fiumicino*

- Jak myślisz, dlaczego odlot się opóźnia? - spytała Chiara.
- Może jest jakiś problem techniczny - odparł Gabriel.
- Może - powtórzyła bez przekonania.

Siedzieli w cichym kącie sali odlotów dla pasażerów pierwszej klasy. Bez względu na miasto, myślał Gabriel, wszystkie wyglądają tak samo. Nieprzeczytane gazety, butelki letniego pinot grigio o podejrzanym smaku, program CNN International na wielkich płaskich ekranach przyciszonych telewizorów. Obliczył, że w takich miejscach jak to spędził jedną trzecią swojego życia zawodowego. W odróżnieniu od żony bardzo dobrze znosił czekanie.

- Idź spytać tę śliczną dziewczynę w informacji, dlaczego wciąż nie ogłaszają boardingu - poprosiła.
- Nie chcę rozmawiać z tą śliczną dziewczyną w informacji.
- Dlaczego?
- Bo ona też nic nie wie i powie mi coś, co jej zdaniem chciałbym usłyszeć.
- Dlaczego zawsze musisz być takim fatalistą!
- Bo dzięki temu unikam rozczarowań.

Chiara uśmiechnęła się i zamknęła oczy, on zaś nadal oglądał telewizję. Brytyjski reporter w hełmie i kamizelce kuloodpornej mówił o najnowszym ataku powietrznym na Gazę. Gabriel zastanawiał się, dlaczego CNN tak upodobała sobie brytyjskich reporterów. Przypuszczał, że ze względu na akcent. Wiadomości zawsze brzmią bardziej wiarygodnie, jeśli podaje się je z brytyjskim akcentem, nawet jeśli nie ma w nich słowa prawdy.

- Co on mówi? - spytała Chiara.
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Wypełni mi to czas.

Zmrużył oczy, by przeczytać podpis.

- Mówi, że izraelski samolot bojowy zaatakował szkołę, w której ukryło się kilkuset Palestyńczyków. Mówi, że co najmniej piętnaście osób zginęło, a kilkadziesiąt odniosło rany.

- Ile kobiet i dzieci?
- Wyłącznie one.
- Czy ta szkoła była rzeczywistym celem nalotu?

Gabriel wystukał krótki esemes na BlackBerry i wysłał go do siedziby izraelskich służb wywiadu zagranicznego przy Bulwarze Króla Saula. Ta długa i celowo myląca nazwa miała niewiele wspólnego z prawdziwą działalnością instytucji, którą jej pracownicy nazywali po prostu Biurem. To było wystarczające.

- Rzeczywistym celem - odparł, patrząc na ekran BlackBerry - był dom po przeciwnej stronie ulicy.

- Kto tam mieszka?
- Muhammad Sarkis.
- Ten Muhammad Sarkis?

Skinął głową.

- I wciąż żyje?
- Obawiam się, że nie.
- A co ze szkołą?
- Nienaruszona. Jedyne ofiary to Sarkis i członkowie jego rodziny.

- Może ktoś powinien uświadomić tego reportera?

- I co to da?
- Znów ten fatalizm.
- Za to bez rozczarowań.
- Proszę, sprawdź, czemu mój lot się spóźnia.

Znów napisał coś w BlackBerry. Odpowiedź nadeszła po chwili.

- Jedna z rakiet Hamasu uderzyła w pobliżu Ben Guriona.
- Jak blisko?
- Za blisko, żeby to zlekceważyć.
- Czy ta ślicznotka w informacji wie, że kierunek mojego lotu jest pod ostrzałem rakietowym?

Gabriel milczał.

- Na pewno chcesz się w to wdawać? - zapytała.
- W co?
- Nie zmuszaj mnie do odpowiedzi.

- Pytasz, czy chcę być szefem takiej firmy w takich czasach?

Przytaknęła.

- W takich czasach - odparł, patrząc na obrazy walk i eksplozji migające na ekranie - chciałbym być w Gazie i walczyć razem z naszymi chłopcami.

- Myślałam, że nie znosisz wojska.

- Tak było.

Przechyliła ku niemu głowę i otworzyła oczy. Miały barwę karmelu i złoty połysk. Czas nie odcisnął śladu na jej pięknej twarzy. Gdyby nie zaawansowana ciąża i złota obrączka na palcu, byłaby tą samą dziewczyną, którą spotkał przed laty w starożytnym getcie Wenecji.

- Tak wypada, prawda?

- Co?

- Żeby dzieci Gabriela Allona urodziły się w czasie wojny.

- Przy odrobinie szczęścia do ich narodzin wojna się skończy.

- Nie jestem tego pewna. - Zerknęła na tablicę. Status lotu 386 do Tel Avivu nadal brzmiał: Opóźniony. - Jeśli ten samolot szybko nie odleci, urodzą się tu, we Włoszech.

- Wykluczone.

- Co w tym złego?

- Mieliśmy pewien plan. I będziemy się go trzymać.

- W gruncie rzeczy - odparła filuternie - naszym planem był wspólny powrót do Izraela.

- To prawda. - Uśmiechnął się. - Ale okoliczności go zmieniły.

- Jak zawsze.

Siedemdziesiąt dwie godziny wcześniej w zwykłym parafialnym kościele w pobliżu jeziora Como wspólnie odkryli jeden z najszlachetniejszych w świecie skradzionych obrazów - „Boże Narodzenie ze Św. Franciszkiem i św. Wawrzyńcem” Caravaggia. Katastrofalnie zniszczone płótno znajdowało się teraz w Watykanie, oczekując na prace renowacyjne. Gabriel pragnął sam przeprowadzić ich wstępny etap. Łączył w sobie zdumiewająco sprzeczne talenty. Był artystą, malarzem i konserwatorem dzieł sztuki, a zarazem superszpiegiem i zabójcą, legendarnym dowódcą kilku największych operacji w historii wywiadu izraelskiego. Wkrótce miał ponownie zostać ojcem, a potem nowym szefem izraelskich służb wywiadowczych. Pomyślał, że nikt nie pisze o szefach operacji. Piszą tylko o tych, których szefowie wysyłają do akcji, by wykonali brudną robotę.

- Nie rozumiem, czemu tak się upierasz z tym obrazem - powiedziała Chiara.

- Znalazłem go i chcę uratować.
- Ściśle mówiąc, znaleźliśmy go oboje. Nie zmienia to jednak faktu, że nie ma szansy, żebyś skończył, zanim urodzą się dzieci.
- To bez znaczenia, czy go skończę czy nie. Chciałem tylko...
- Zostawić ślad?

Wolno skinął głową.

- To może być ostatni obraz, jaki restauruję. A poza tym jestem mu to winien.

- Komu?

Nie odpowiedział. Czytał znowu tekst na pasku ekranu telewizora.

- O czym teraz mówią? - spytała Chiara.
- O księżnej.
- I co?
- Sugerują, że eksplozja, która zatopiła statek, była przypadkowa.

- Wierzysz w to?
- Nie.
- Więc po co mówią takie rzeczy?
- Myślę, że chcą zyskać na czasie.
- W jakim celu?
- Żeby znaleźć faceta, którego szukają.

Zamknęła oczy i oparła mu głowę na ramieniu. Jej ciemne włosy z kasztanowym połyskiem intensywnie pachniały wanilią. Gabriel delikatnie je pocałował, wdychając ich woń. Nagle poczuł, że nie chce, by sama wsiadała do samolotu.

- Co jest na tablicy odlotów? - spytała.
- Nadal opóźniony.
- Nie mógłbyś jakoś tego przyspieszyć?
- Przecenisz moje możliwości.
- Z fałszywą skromnością nie jest ci do twarzy, skarbie.

Znów wystukał krótki esemes i wysłał go na Bulwar Króla Saula. Chwilę później urządzenie zawibrowało w odpowiedzi.

- No i? - Chiara spojrzała pytająco.
- Patrz na tablicę.

Otworzyła oczy. Status lotu 386 nie uległ zmianie: Opóźniony. Ale trzydzieści sekund później napis zamrugał i pojawiło się słowo Boarding.

- Szkoda, że nie możesz równie łatwo powstrzymać wojny - powiedziała.

- Tylko Hamas może to zrobić.

Wzięła torbę i plik kolorowych magazynów, po czym ostrożnie

wstała.

- Bądź grzeczny - rzuciła. - A jeśli ktoś poprosi cię o przysługę, przypomnij sobie te trzy uprzejme słowa.

- Poszukaj kogoś innego...

Uśmiechnęła się, a potem namiętnie go pocałowała.

- Wracaj do domu, Gabrielu.

- Już niedługo.

- Nie. - Pokręciła głową. - Wracaj teraz.

- Lepiej się pospiesz, Chiaro, bo nie zdążysz.

Pocałowała go po raz ostatni, a potem odwróciła się i bez słowa ruszyła do samolotu.

Czekał do chwili, gdy samolot bezpiecznie wzbił się w powietrze, po czym wyszedł z terminalu i skierował się w stronę chaotycznie zastawionego podziemnego parkingu lotniska Fiumicino. Jego anoniimowy niemiecki sedan stał na dalekim końcu trzeciego poziomu, skierowany frontem do wyjazdu na wypadek, gdyby z jakiegoś powodu musiał w pośpiechu opuścić parking. Jak zawsze sprawdził, czy ktoś nie ukrył w podwoziu ładunku wybuchowego, po czym usiadł za kierownicą i zapalił silnik. Z radia ryknęła popularna włoska piosenka, jedna z tych, które nuciła Chiara, gdy myślała, że nikt nie słyszy. Przełączył stację na BBC, ale tam mówiono tylko o wojnie, więc ściszył dźwięk. Będzie jeszcze dość czasu na wojnę. Przez następne kilka tygodni chciał się zająć wyłącznie Caravagiem.

Przejechał na drugi brzeg Tybru przez Most Cavoura i skierował się w stronę Via Gregoriana. Należące od lat do Biura bezpieczne mieszkanie znajdowało się na końcu ulicy, nieopodal szczytu Hiszpańskich Schodów. Wcisnął się sedanem w niewielką pustą przestrzeń przy krawężniku i zanim wysiadł, wyjął ze schowka pistolet, berettę 9mm. W chłodnym nocnym powietrzu unosiły się woń smażonego czosnku i delikatny zapach mokrych liści. Tak pachniał Rzym jesienią. Było w tym coś, co zawsze nasuwało mu myśl o śmierci.

Przeszedł obok wejścia do swojego budynku, minął markizy hotelu Hassler Villa Medici i dotarł do kościoła św. Trójcy. Chwilę później, pewien, że nikt go nie śledzi, zawrócił na miejsce. W holu słabo świeciła pojedyncza energooszczędna żarówka. Znalazłszy się poza jej zasięgiem, ruszył na górę pogrążonymi w mroku schodami. Gdy dotarł do podestu na drugim piętrze, zastygł. Drzwi do mieszkania były uchylone, a z wnętrza docierał odgłos otwieranych i



zamykanych szuflad. Spokojnie wyciągnął berettę z tylnej kieszeni spodni i wolno pchnął lufą drzwi. Początkowo nie dostrzegł nikogo, lecz gdy drzwi otworzyły się nieco szerzej, kątem oka dostrzegł Grahama Seymoura, który stał przy kuchennym blacie z butelką gavi w jednej i korkociągiem w drugiej ręce. Gabriel wsunął broń do kieszeni płaszcza i wszedł do środka. W głowie brzmiały mu trzy uprzejme słowa:

„Znajdź kogoś innego...”

## 6

*Via Gregoriana, Rzym*

- Lepiej ty to zrób, Gabrielu, bo ktoś może ucierpieć.

Seymour odstawił butelkę wina oraz korkociąg i oparł się o kuchenny blat. Miał na sobie popielate flanelowe spodnie, marynarkę w jodełkę i błękitną koszulę z francuskimi mankietami. Brak obstawy wskazywał na to, że przyjechał do Rzymu incognito. Nie był to dobry znak. Szef MI6 podróżował w sekrecie tylko wtedy, gdy miał poważne kłopoty.

- Jak się tu dostałeś? - spytał Gabriel.

Seymour wyjął klucz z kieszeni spodni. Przyczepiono do niego prosty czarny medalion, ulubiony gadżet działu gospodarczego Biura, gdzie konstruowano i przechowywano urządzenia wykorzystywane w tajnych operacjach.

- Skąd to masz?

- Od Uziego. Był wczoraj w Londynie.

- A kod do alarmu? Pewnie też ci podał?

Seymour wyrecytował osiem cyfr.

- To pogwałcenie zasad Biura.

- Są okoliczności łągodzące. Poza tym - dodał Seymour - po wszystkich operacjach, które przeprowadziliśmy wspólnie, czuję się praktycznie członkiem rodziny.

- Nawet członkowie rodziny pukają, nim wejdą do pokoju.

- I kto to mówi...

Gabriel wyjął korek z butelki, napełnił winem dwa kieliszki i podał jeden Seymourowi.

- Za ojcostwo. - Anglik lekko unióś go w górę.

- Nie należy pić za dzieci, które się nie urodziły. Grahamie. To przynosi pecha.

- Więc za co wypijemy?

Gdy Gabriel milczał, Seymour przeszedł do salonu. Z okien roztaczał się widok na dzwonnice kościoła oraz szczyt Hiszpańskich Schodów. Stał przez chwilę, patrząc na dachy, jakby podziwiał falisty krajobraz wiejskiej posiadłości z tarasu własnej rezydencji. Ze swymi kręconymi rudawymi włosami i mocno zarysowaną szczęką Graham Seymour był modelowym przedstawicielem brytyjskiej administracji publicznej, urodzonym, wychowanym i wyszkolonym na przywódcę. Przystojny, lecz nie ostentacyjnie, wysoki, lecz nie przesadnie, wprawił innych, zwłaszcza Amerykanów, w poczucie niższości.

- Wiesz co - odezwał się po chwili - naprawdę powinieneś znaleźć jakieś inne miejsce, kiedy przyjeżdżasz do Rzymu. Wszyscy dobrze wiedzą o tym tajnym mieszkaniu, co oznacza, że od dawna przestało być tajne.

- Lubię ten widok.

- Wcale się nie dziwię.

Seymour ponownie objął spojrzeniem zapadające w mrok dachy. Gabriel czuł, że coś go dręczy. Wiedział, że w końcu, klucząc, mu to wyzna. Zawsze tak było.

- Słyszę, że twoja żona dziś wyjechała.

- Jakie jeszcze zastrzeżone informacje zdradził ci mój szef?

- Wspomniał o jakimś obrazie.

- To nie byle jaki obraz, Grahamie. To...

- Caravaggio - dokończył Seymour. A potem dodał z uśmiechem: - Masz naprawdę nosa do tych rzeczy, co?

- Czy to ma być komplement?

- Sądzę, że tak.

Seymour upił łyk wina.

- Dlaczego Uzi Navot przyjechał do Londynu? - spytał Gabriel.

- Chciał mi pokazać pewien tajny dokument. Muszę przyznać - dodał - że jak na człowieka w jego sytuacji był w nie najgorszym humorze.

- Jaka to sytuacja?

- Wszyscy przecież wiedzą, że jest na wylocie - odparł Seymour.

- I że zostawia straszny bałagan. Cały Bliski Wschód stoi w ogniu, a sytuacja jeszcze się pogorszy, nim zaświta szansa na poprawę.

- To nie Uzi wywołał ten bałagan.

- Owszem - zgodził się. - To wina Amerykanów. Prezydent i jego doradcy zbyt szybko oddalili się od arabskich liderów. Teraz przy-

dent stoi w obliczu świata, który zupełnie oszalał, i nie ma pojęcia, co robić.

- A gdybyś ty miał mu doradzać?
  - Powiedziałbym, żeby wskrzesił dyktatorów. Tak było dawniej, tak mogłoby być i teraz.
  - Ani królewskie konie, ani rycerze...
  - Twoja propozycja?
  - Stary porządek upadł i nic nie zdoła go przywrócić. A poza tym
- dodał Gabriel - pamiętajmy, że ten porządek zrodził bin Ladena i dżihadystów.
- A jeśli dżihadysty spróbują wyeksmitować żydowskie państwo z ojczyzny islamu?
  - Oni przez cały czas próbują, Grahamie. I może zauważyłeś, że Zjednoczone Królestwo też nie ma z nich wielkiego pożytku. Czy ci się to podoba, czy nie, dotyczy to nas obu.

Zawibrował jego BlackBerry. Gabriel spojrział na ekran i zmarszczył brwi.

- Co takiego? - zapytał Seymour.
- Kolejne zawieszenie broni.
- Ile może potrwać?
- Pewnie do chwili, gdy Hamas je zerwie. - Gabriel położył telefon na stoliku do kawy i z zaciekawieniem spojrział na Seymoura.
- Miałeś mi powiedzieć, co robisz w moim mieszkaniu.
- Mam problem.
- Jak się nazywa?
- Quinn - odparł Seymour. - Eamon Quinn.

Gabriel przeszukał bazę danych swojej pamięci, ale nie znalazł tam niczego.

- Irlandczyk?
- Seymour przytaknął.
- Republikanin?
  - Najgorszego rodzaju.
  - Na czym polega problem?
  - Dawno temu popełniłem błąd. Zginęli ludzie.
  - Sprawka Quinna?
  - Quinn podpalił lont, ale odpowiedzialny byłem ja. To cudowna właściwość naszej roboty. Popełnione błędy zawsze zwracają się przeciwko nam, a wszystkie długi przychodzi w końcu spłacić. - Seymour uniósł kieliszek. - Wypijemy za to?

# 7

## *Via Gregoriana, Rzym*

Niebo wyglądało groźnie przez całe popołudnie. W końcu, o wpół do jedenastej, gwałtowna ulewa zamieniła całą Via Gregoriana w kanał wenecki. Graham Seymour stał przy oknie, patrząc, jak ciężkie krople deszczu uderzają o taras, ale jego myśli powędrowały do pełnego nadziei lata 1998 roku. ZSRR stało się przeszłością. Gospodarki Europy i Ameryki kwitły. Dżihadysty z Al-Kaidy stanowili najwyżej zagadnienie teoretyczne i śmiertelnie nudny przedmiot seminariów na temat przyszłych zagrożeń.

- Mamilśmy się złudzeniem, że nastąpił koniec historii - zauważył. - Niektórzy parlamentarzyści proponowali nawet likwidację służb bezpieczeństwa oraz MI6 i spalenie nas wszystkich na stosie. - Zerknął przez ramię. - To były dni wina i róż. Czas iluzji.

- Nie dla mnie. Grahamie. Nie mogłem wtedy pracować.

- Pamiętam. - Seymour odwrócił się od Gabriela i obserwował deszcz bębniący o szyby. - Mieszkałeś wtedy w Kornwalii, prawda? W tym małym domku nad rzeką Helford. Twoja pierwsza żona przebywała w szpitalu psychiatrycznym w Stafford, a ty ją utrzymywałeś, przeprowadzając renowację obrazów dla Juliana Isherwooda. I był jeszcze ten chłopiec, który mieszkał w domu obok ciebie. Zapomniałem, jak się nazywał.

- Peel - odrzekł Gabriel. - Nazywał się Timothy Peel.

- Jasne, młody Peel. Nigdy nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego spędzasz z nim tyle czasu. Aż zdaliśmy sobie sprawę, że był dokładnie w wieku twojego syna, który zginął w wybuchu bomby w Wiedniu.

- Myślałem, że mówimy o tobie.

- Bo mówimy - odparł Seymour.

A potem bez potrzeby przypomniał Gabrielowi, że latem 1998 roku był szefem sekcji antyterrorystycznej MI5. I że jako taki odpowiadał za ochronę brytyjskiej ziemi przed terrorystami z IRA. Wtedy nawet w Ulsterze, scenie zadawnionego konfliktu między protestantami i katolikami, pojawiały się oznaki nadziei. Wyborcy Irlandii Północnej ratyfikowali warunki Porozumienia Wielkopiątkowego, a IRA Tymczasowa respektowała zawieszenie broni. Jedynie IRA Prawdziwa, niewielki odłam radykalnych dysydentów, kontynuowała walkę zbrojną. Dowodził nimi Michael McKevitt, były kwatermistrz generalny IRA. Jego konkubina, Bernadette Sands McKevitt, kierowała politycznym skrzydłem o nazwie Ruch na rzecz Suwerenności 32 Hrabstw. Była siostrą Bobby'ego Sandsa, członka radykalnego odłamu IRA, który zagłodził się w więzieniu w Maze w 1981 roku.

- I wtedy - ciągnął Seymour - pojawił się Eamon Quinn. Planował operacje, budował bomby i niestety był w tym dobry. Bardzo dobry.

Nagły huk grzmotu wstrząsnął budynkiem i Seymour odruchowo się wzdrygnął, nim znów podjął wątek.

- Quinn był niezwykle uzdolnionym konstruktorem bomb i skutecznie podkładał ładunki wybuchowe. Ale nie wiedział, że mój agent nieustannie go śledził.

- Jak długo to trwało?

- To była kobieta - odparł. - I obserwowała go od początku.

Kierowanie agentką i sposób wykorzystania uzyskanych informacji, ciągnął Seymour, nie było prostym zadaniem. Jako osoba głęboko osadzona w strukturze organizacji kobieta ta wiedziała często z dużym wyprzedzeniem o planowanych atakach, ich celu, czasie i wielkości bomb.

- Co mieliśmy robić? - Spojrzał pytająco na Gabriela. - Przeciwdziałać atakom, narażając agenta na niebezpieczeństwo? Czy dopuszczać do nich, jednocześnie chroniąc życie ludzi?

- Oczywiście to drugie - odparł Gabriel.

- Tak mówi rasowy szpieg.

- Nie jesteśmy policją. Grahamie.

- I Bogu dzięki.

- W większości przypadków - kontynuował Seymour - była to strategia skuteczna. Kilka dużych bomb udało się rozbroić, kilka wybuchów nie pociągnęło za sobą ofiar, choć jeden, w lutym 1998, dosłownie zrównał z ziemią zabudowania High Street w Portadown,

gdzie znajdowała się siedziba lojalistów. Ale pół roku później agentka MI5 poinformowała, że grupa przygotowuje się do poważnej akcji. Działanie zakrojono na dużą skalę. Miało storpedować Porozumienie Wielkopiątkowe. Co mieliśmy robić?

Niebo przeszła nagła błyskawica. Seymour opróżnił kieliszek, po czym opowiedział resztę historii.

Wieczorem 13 sierpnia 1998 roku kasztanowy vauxhall cavalier numer rejestracyjny 91 DL 2554 zniknął z osiedla w Carrickmacross w Republice Irlandii. Został przewieziony na odludną farmę nad granicą i zaopatrzony w fałszywe tablice Irlandii Północnej. Wtedy Quinn umieścił w nim bombę - ćwierć tony nawozu sztucznego, wypełniony silnym materiałem wybuchowym detonator, źródło zasilania ukryte w plastikowym pojemniku na żywność, przełącznik uzbrajający w schowku samochodowym. Niedzielnym rankiem 15 sierpnia przejechał tym samochodem przez granicę do Omagh i zaparkował przed centrum handlowym S.D. Kellsa przy Lower Market Street.

- Oczywiście - mówił Seymour - Quinn nie zrobił tego sam. W vauxhallu siedział jeszcze jeden mężczyzna, dwaj inni ubezpieczali ich opancerzoną terenówką, a jeszcze jeden prowadził samochód, którym mieli się ewakuować. Komunikowali się za pomocą komórek. A my słyszeliśmy każde słowo.

- Służby Bezpieczeństwa?

- Nie. - Pokręcił głową. - Nasze możliwości nasłuchu nie wykraczały poza granice Zjednoczonego Królestwa. Plan zamachu w Omagh powstał w Republice Irlandii i w tej kwestii musieliśmy się zdać na Rządową Centralę Łączności GCHQ. GCHQ\*) była brytyjską wersją NSA\*\*. O godzinie 14.20 przechwyciła telefon mężczyzny, którego głos brzmiał jak głos Eamona Quinna. Padły tylko trzy słowa: „Cegły są w murze”. MI5 знаło je z poprzednich operacji. Oznaczały, że bomba została podłożona. Dwanaście minut później telewizja ulsterska otrzymała anonimowe ostrzeżenie telefoniczne, że w gmachu sądu przy głównej ulicy Omagh jest ćwierćtonowa bomba. Wybuch miał nastąpić za pół godziny. Ulsterskie siły porządkowe zaczęły ewakuować ulice wokół sądu i gorączkowo szukały bomby. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że szukają w niewłaściwym miejscu.

\* GCHQ (Government Communications Headquarters) - agencja zajmująca się wywiadem elektronicznym (przyp. red.).

\*\* NSA (National Security Agency) - amerykańska Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego (przyp. red.).

- Ostrzeżenie było mylące. - Gabriel pokiwał głową.
- Vauxhall nie stał w pobliżu sądu - wyjaśnił Seymour - lecz jakieś dwieście metrów dalej przy Lower Market Street. Rozpocząwszy ewakuację, policja nieświadomie kierowała ludzi w strefę wybuchu. - Zamilkł, a potem dodał: - Tego właśnie chciał Quinn. Chciał, żeby zginęli ludzie, dlatego zaparkował auto w innym miejscu. Oszukał własną organizację.

O 15.10 nastąpiła eksplozja. Zabiła dwadzieścia dziewięć osób i raniła dwieście. Był to najbardziej krwawy akt terroryzmu w historii tego konfliktu. Wzbudził tak straszliwe oburzenie, że IRA Prawdziwa poczuła się zmuszona do przeprosin. Jakimś cudem nie zdołało to powstrzymać procesu pokojowego. Po trzydziestu latach rozlewu krwi i zamachów bombowych społeczeństwo Irlandii Północnej miało w końcu dość.

- I wtedy prasa oraz rodziny ofiar zaczęły zadawać kłopotliwe pytania - opowiadał Seymour. - Jak to możliwe, żeby IRA Prawdziwa zdołała podłożyć bombę w centrum Omagh, tuż pod okiem policji i służb bezpieczeństwa? I dlaczego nikogo nie zatrzymano?

- I co zrobiłeś?

- To co zawsze. Zwarliśmy szeregi, spaliliśmy teczki i czekaliśmy, aż burza ucichnie.

Wstał, zaniósł kieliszek do kuchni i wyjął z lodówki butelkę gavi.

- Nie masz nic mocniejszego?- spytał.

- Na przykład?

- Czegoś destylowanego.

- Wolałbym pić aceton niż destylat.

- Aceton z wódką nie byłby zły. - Seymour wlał wino do kieliszka i postawił butelkę na blacie.

- Co się stało z Quinnem po Omagh?

- Zaczął działać na własną rękę. W skali międzynarodowej.

- Co robił?

- To co zawsze. - Seymour spojrział w dal. - Ochraniał różnych zbirów i potentatów, uczył rebeliantów i fanatyków religijnych, jak budować bomby. Od czasu do czasu coś się o nim słyszało, ale najczęściej działał poza zasięgiem naszych radarów. I nagle szef irańskiego wywiadu zaprosił go do Teheranu. W tym momencie do akcji wkroczył Bulwar Króla Saula.

Seymour otworzył zamki w swej aktówce, wyjął kartkę papieru i położył ją na stoliku. Gabriel spojrział na dokument i zmarszczył brwi.

- Kolejne pogwałcenie regulaminu Biura.

- Jakże?



- Przewóz poufnych informacji w niezabezpieczonej teczce.

Podniósł dokument i zaczął czytać. Wynikało z niego, że Eamon Quinn, były członek IRA Prawdziwej, mózg zamachu terrorystycznego w Omagh, został zaangażowany przez irański wywiad do produkcji nader groźnych bomb przydrożnych w celu wykorzystania ich przeciw brytyjskim i amerykańskim siłom w Iraku. Tenże Eamon Quinn oddał podobne przysługi Hezbollahowi w Libanie i Hamasowi w Strefie Gazy. Ponadto przebywał w Jemenie, gdzie pomagał Al-Kaidzie na Półwyspie Arabskim skonstruować małą płynną bombę, którą łatwo przemyścić na pokład amerykańskiego odrzutowca. Jest to - stwierdzał dokument w podsumowaniu - jeden z najbardziej niebezpiecznych ludzi na świecie i należy go niezwłocznie wyeliminować.

- Powinieneś być skorzystać z propozycji Uzięgo.

- Za późno - odrzekł Seymour. - Ale nie rozpaczajmy. W końcu Uzi i tak zleciłby to zadanie tobie.

Gabriel metodycznie podarł dokument na strzępy.

- To nie wystarczy - zwrócił mu uwagę Seymour.
- Później go spalę.
- Zrób mi uprzejmość i przy okazji spal również Quinna.

Gabriel przez chwilę milczał.

- Nie działam już w terenie - odezwał się w końcu. - Jestem teraz urzędnikiem. Grahamie, tak jak ty. A poza tym Irlandia północna nigdy nie była moją specjalnością.

- Dlatego myślę, że musimy ci znaleźć współnika. Kogoś, kto zna ten teren i w razie potrzeby może uchodzić za tubylca. - Urwał, a potem dodał: - Znasz kogoś, kto się do tego nadaje?

- Nie - zaprzeczył Gabriel zdecydowanie.

- A ja znam - powiedział Seymour. - Jest tylko jeden mały problem.

- Jaki?

Seymour się uśmiechnął.

- Taki, że on nie żyje.

## 8

*Via Gregoriana, Rzym*

- Naprawdę?

Seymour wyciągnął z teczki dwie fotografie i położył jedną z nich na stoliku. Pokazywała mężczyznę średniego wzrostu i budowy podczas kontroli paszportowej na Heathrow.

- Poznajesz?

Gabriel milczał.

- Owszem, to ty. - Seymour wskazał datę i czas u dołu zdjęcia. - Zrobiono je zeszłej zimy, kiedy wybuchła afera Madeline Hart. Pojawiłeś się w Anglii incognito, żeby trochę powęszyć.

- Owszem, Grahamie. Dobrze pamiętam.

- A więc pamiętasz również, że zacząłeś poszukiwania Madeline na Korsyce, co stanowiło logiczny początek, gdyż tam zaginęła. Wkrótce po przyjeździe spotkałeś się z człowiekiem, który nazywał się Anton Orsati. Don Orsati kieruje najpotężniejszą na wyspie rodziną mafijną, która specjalizuje się w morderstwach na zamówienie. Uzyskałeś od niego cenną informację dotyczącą porywaczy. Pozwolił ci również skorzystać z pomocy swego najlepszego zabójcy. - Seymour się uśmiechnął. - Czy coś ci to mówi?

- Najwyraźniej byłem przez was obserwowany.

- Z dyskretnej odległości. W końcu na moją prośbę poszukiwałeś kochanki brytyjskiego premiera.

- Nie była tylko jego kochanką. Grahamie. Była...

- Ten korsykański zabójca to ciekawy facet - przerwał mu Seymour. - W rzeczywistości wcale nie jest Korsykaninem, choć mówi tak jak oni. To Anglik, były członek SAS\*. W styczniu 1991 zbiegł z

pola bitwy w zachodnim Iraku po incydencie, w którym doszło do bratobójczego ognia. Brytyjska armia uważa, że poległ. Niestety jego rodzice również. Ale przecież o tym wiesz.

\* SAS - Special Air Service, elitarna jednostka specjalna brytyjskich sił zbrojnych (przypr. red.).

Seymour położył na stoliku drugą fotografię. Podobnie jak pierwsza przedstawiała mężczyznę idącego przez lotnisko Heathrow. Był znacznie wyższy niż Gabriel, miał krótkie blond włosy, spaloną słońcem skórę i potężne bary.

- To zdjęcie zrobiono kilka minut po pierwszym. Twój przyjaciel wjechał do kraju na fałszywym francuskim paszporcie, jednym z kilku, które posiada. Tego dnia występował jako Adrien Leblanc. Naprawdę nazywa się...

- Dopiąłeś swego, Grahamie.

Seymour zebrał fotografie i mu je podał.

- Co mam z nimi zrobić?

- Zachowaj na pamiątkę waszej przyjaźni.

Gabriel przedarł zdjęcia na pół i położył obok strzępów raportu sporządzonego przez Biuro.

- Od kiedy o tym wiesz?

- Brytyjski wywiad od lat słyszy o Angliku, który działa w Europie jako zawodowy zabójca. Ale nigdy nie ustaliliśmy jego nazwiska. I nigdy, w najśmielszych snach, nie podejrzewaliśmy, że to płatny agent waszego wywiadu.

- Nigdy nie był płatnym agentem.

- Więc jak go określisz?

- Jako starego przeciwnika, który stał się przyjacielem.

- Przeciwnika?

- Konsorcjum bankierów szwajcarskich wynajęło go kiedyś, żeby mnie zabił.

- No to masz wiele szczęścia - stwierdził Seymour. - Christopher Keller rzadko nie dotrzymuje warunków kontraktu. Jest niezawodny.

- On też wyraża się o tobie z uznaniem, Grahamie.

Seymour siedział w milczeniu, słuchając wycia syreny, które wypełniło ulicę i po chwili ucichło w oddali.

- Keller i ja byliśmy blisko - rzekł w końcu. - Ja walczyłem z IRA zza wygodnego biurka, a on wykonywał moje polecenia. Podejmował się zadań niezbędnych dla bezpieczeństwa brytyjskiej ziemi. I zapłacił za to straszliwą cenę.

- Co go wiąże z Quinnem?

- Wolę, żeby sam ci opowiedział tę część historii. Nie jestem

pewny, czy potrafię oddać mu sprawiedliwość.

Podmuch wiatru uderzył w okna. Światła w pokoju przygasły.

- Jeszcze na nic się nie zgodziłem. Grahamie.
- Ale to zrobisz. W przeciwnym razie - zagroził - przywlokę twojego przyjaciela do Anglii w kajdanach i przekażę wymiarowi sprawiedliwości.

- Pod jakim zarzutem?

- Jest dezercerem i zawodowym zabójcą. Sądzę, że da się coś wymyślić.

Gabriel tylko się uśmiechnął.

- Człowiek na twoim stanowisku nie powinien rzucać słów na wiatr.

- To nie są czeze słowa.

- Christopher Keller wie o wiele za dużo na temat prywatnego życia premiera Wielkiej Brytanii, żeby można go było sądzić za dezercję czy cokolwiek innego. Poza tym - dodał Gabriel - podejrzewam, że masz co do niego inne plany.

Seymour nie odpowiedział.

- Co jeszcze jest w tej teczce? - spytał Gabriel.

- Grube akta na temat życia i działalności Eamona Quinna.

- Czego się od nas spodziewasz?

- Tego, co należało zrobić przed laty. Trzeba wyeliminować go z gry najszybciej, jak to możliwe. A kiedy się tym zajmiesz, sprawdź, kto zlecił i sfinansował zabójstwo księżnej.

- Może Quinn powrócił do walki?

- Walki o zjednoczoną Irlandię? - Seymour pokręcił głową. - To skończone. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że zabił ją na zlecenie któregoś ze swoich mocodawców. Przecież obaj znamy podstawową regułę dotyczącą zabójstw: Nieważne, kto strzela. Ważne, kto płaci za nabój.

W okno uderzył kolejny podmuch wiatru. Światła zamigotały i zgasły. Dwaj szpiedzy siedzieli w ciemnościach przez kilka minut. Żaden się nie odzywał.

- Kto tak powiedział? - spytał w końcu Gabriel.

- Co takiego?

- O tym naboju.

- Myślę, że Ambler.

Zapadła cisza.

- Mam inne plany. Grahamie.

- Wiem.

- Moja żona jest w ciąży. Zaawansowanej.

- A więc musisz się spieszyć.
- Przypuszczam, że Uzi już to zatwierdził.
- To jego pomysł.
- Przypomnij mi, żebym dał mu jakieś wdzięczne zadanie, gdy zostanę szefem.

Błyskawica oświetliła twarz Seymoura. Uśmiechał się jak kot z Cheshire. Potem znów zapadła ciemność.

- Widziałem chyba w kuchni jakieś świece, kiedy szukałem korkociągu.
- Lubię mrok - odrzekł Gabriel. Rozjaśnia moje myśli.
- I o czym teraz myślisz?
- O tym, co powiedzieć żonie.
- Nic więcej?
- Owszem - odparł. - Zastanawiam się, skąd Quinn wiedział, że księżna będzie właśnie na tym statku.

# 9

## *Berlin - Korsyka*

Hotel Savoy stał na niemodnym końcu jednej z najmodniejszych ulic Berlina. Od wejściowych drzwi przez cały hol ciągnął się czerwony dywan, a wzdłuż fasady budynku stały czerwone stoliki pod czerwonymi parasolami. Poprzedniego popołudnia Keller widział słynnego aktora, który pił kawę przy jednym z nich, ale teraz, gdy wyszedł z hotelu, nikt tam nie siedział. Ciężkie chmury wisiały nisko nad ziemią, a zimny wiatr zrywał ostatnie liście z drzew rosnących wzdłuż chodników. Krótka berlińska jesień dobiegała końca. Wkrótce miała nastąpić zima.

- *Taxi, monsieur?*
- Nie, dziękuję.

Keller wsunął pięć euro w dłoń boya hotelowego i ruszył przed siebie ulicą. Zameldował się w tym hotelu na jedną noc pod francuskim nazwiskiem, a obsługa uznała go za dziennikarza zajmującego się filmem. Poprzedniej nocy zatrzymał się w skromnym hoteliku Seifert, a jeszcze wcześniejszą spędził bezsennie w obskurnym małym pensjonacie o nazwie Bella Berlin. Wszystkie te lokale łączyło jedno - mieściły się w pobliżu Hotelu Kempinski, który stanowił jego rzeczywisty cel.

Miał tam załatwić sprawę z pewnym Libijczykiem, który swego czasu współpracował blisko z Kaddafim. Człowiek ten po rewolucji zbiegł do Francji z dwiema walizkami gotówki oraz klejnotów i zainwestował dwa miliony dolarów w przedsięwzięcie reklamowane przez parę francuskich biznesmenów, którzy gwarantowali mu pewny zysk. Teraz jednak francuskim biznesmenom znudziły się kontakty z

Libijczykiem. Obawiali się również jego fatalnej reputacji. Mówiono bowiem, że fachowo wbijał szpikulce w gałki oczne przeciwników systemu. Zwrócili się zatem o pomoc do dona Antona Orsatiego, a don przekazał zadanie swemu najlepszemu zabójcy. Keller musiał przyznać, że chętnie się go podjął. Nigdy nie popierał byłego dyktatora Libii ani jego siepaczy, utrzymujących reżim w mocy. Kaddafi umożliwił terrorystom wszelkiej maści, w tym członkom IRA, organizację szkoleń w swych pustynnych obozach. Dostarczał również broń oraz amunicję irlandzkim radykałom. W istocie niemal cały semtex wykorzystany w bombach IRA pochodził z Libii.

Keller przeszedł na drugą stronę Kanstrasse i skierował się ku rampie podziemnego parkingu. Na drugim poziomie, w części nieobjętej nadzorem kamer, stało czarne bmw, które zostawił mu człowiek Orsatiego. W bagażniku znajdował się pistolet Heckler&Koch 9mm z tłumikiem, a w schowku karta magnetyczna, która otwierała wszystkie pokoje w Hotelu Kempiański.

Uzyskano ją za cenę pięciu tysięcy euro od Gambijczyka, który pracował w hotelowej pralni. Gambijczyk zapewnił człowieka Orsatiego, że karta będzie aktywna przez kolejnych czterdzieści osiem godzin. Po tym czasie kody ulegną rutynowej zmianie i hotelowa ochrona wyda nowe „klucze” wszystkim pracownikom, którym są potrzebne do wykonywania obowiązków. Keller miał nadzieję, że Gambijczyk mówi prawdę. W przeciwnym razie w hotelowej pralni wkrótce zwolniłoby się miejsce.

Wsunął pistolet i kartę do aktówki, po czym wrzucił torbę podrózną do bagażnika bmw i skierował się do wyjazdu na ulicę. Hotel Kempiański stał sto metrów dalej przy Fasanenstrasse. Był to wielki gmach z iluminowanym na wzór Las Vegas wejściem i kawiarnią w paryskim stylu, której okna wychodziły na Kurfürstendamm. Przy jednym ze stolików na zewnątrz siedział Libijczyk w towarzystwie mężczyzny koło sześćdziesiątki i zapewne pięknej kiedyś kobiety o włosach czarnych jak węgiel i makijażu à la Kleopatra. Mężczyzna wyglądał na starego kumpla z dworu Kaddafiego, a wypielegnowana kobieta wydawała się mocno znudzona. Keller uznał, że należy do przyjaciela Libijczyka, ten bowiem lubił kobiety o włosach blond, a przy tym dobrze wyszkolone i kosztownie ubrane.

Wszedł do hotelu ze świadomością, że rejestruje go kilka kamer. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż włożył ciemną perukę i okulary z grubymi szklami. Pięcioro gości, sądząc po wyglądzie świeżo przybyłych, stało w kolejce do windy. Keller cofnął się, by mogli wejść do pierwszej, która nadjechała, po czym udał się samotnie na

piąte piętro, tak przechylając głowę, by kamery nie mogły objąć jego twarzy.

Gdy drzwi się otworzyły, wyszedł z kabiny z miną człowieka, który nie spieszy się do samotności kolejnego pokoju hotelowego. Jakiś pojedynczy członek obsługi sennie skinął mu głową, lecz poza tym korytarz ział pustką. Karta magnetyczna znajdowała się teraz w kieszeni na piersi jego płaszcza. Zbliżając się do pokoju 518, wyjął ją, a następnie wsunął w zamek. Rozbłysło zielone światelko i elektroniczny zatrząsk puścił. Gambijczyk mógł się cieszyć kolejnym dniem życia.

Pokój był świeżo wysprzątany, mimo to jednak unosił się w nim nieznośny zapach wody kolońskiej Libijczyka. Keller podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Całe towarzystwo nadal siedziało przy kawiarnianym stoliku, choć kobieta wydawała się już zniecierpliwiona. Od czasu gdy widział ich ostatnio, wyniesiono talerze i podano kawę. Dziesięć minut, pomyślał. Może mniej.

Odwrócił się od okna i spokojnie zlustrował pokój. Wprawdzie w hotelowym rankingu uchodził za luksusowy, ale w rzeczywistości niczym się nie wyróżniał. Stało tam podwójne łóżko, biurko, konsola z telewizorem i granatowo obity fotel. Ściany były wystarczająco grube, by stłumić wszelkie odgłosy z sąsiednich pokoi, nie na tyle jednak, by zatrzymać pocisk, nawet wtedy, gdy ten już przeszył ludzkie ciało. Dlatego w magazynku HK Kellera znajdowały się 124-granowe naboje w kształcie wydrążonego stożka, które rozprężyły się pod wpływem uderzenia. Każdy z nich, trafiając w cel, już w nim pozostawał. W niewiarygodnym przypadku, gdyby strzelec spudłował, pocisk głucho uderzyłby w ścianę i po prostu w niej utknął.

Wrócił do okna i dostrzegł, że Libijczyk i pozostała dwójka wstają. Mężczyźni ściskali sobie dłonie, a była piękność o kruczoczarnych włosach tęsknie spojierała w stronę ekskluzywnych sklepów ciągnących się wzdłuż Ku'damm. Keller zaciągnął ciężkie zasłony, usiadł w granatowym fotelu i wyjął pistolet z aktówki. Z korytarza dobiegło skrzypienie wózka sprzątaczk. Potem zapadła cisza. Spojrzał na zegarek i sprawdził czas. Pięć minut, pomyślał. Może mniej.

Dobrotliwe słońce jasno świeciło nad Korsyką, gdy nocny prom z Marsylii wpływał do portu w Ajaccio. Keller zszedł z pokładu wraz z innymi pasażerami i ruszył w stronę parkingu, gdzie zostawił swoje stare renault combi. Widząc warstwę pyłu pokrywającą okna i maskę,



pomyślał, że to zły znak.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa naniósł go sirocco wiejące z Afryki Północnej. Instynktownie dotknął małego amuletu z koralu zawieszzonego na skórzanym pasku na szyi. Korsykanie wierzyli w jego tajemną moc, która mogła odwrócić od nich *occhju* - klątwę złego oka. Keller również w to wierzył, choć północnoafrykański pył, który pokrył jego samochód rankiem po zabójstwie Libijczyka, sugerował, że talizman przestał go chronić. W jego wiosce mieszkała stara kobieta, *signadora*, która potrafiła wyciągnąć z niego zło. Keller jej unikał, gdyż widziała również przeszłość i przyszłość. Była jedną z zaledwie kilku osób na tej wyspie, które znały prawdę o jego życiu: długą litanię grzechów i nieprawości. Twierdziła nawet, że potrafi określić czas i okoliczności jego śmierci. I była to jedyna rzecz, której nie chciała mu zdradzić.

- Nie mam prawa - szeptała do niego w blasku świec. - Poza tym wiedza, jak skończy się nasze życie, pozbawiłaby je sensu.

Wsunął się za kierownicę renault i ruszył wzdłuż skalistego zachodniego brzegu, mając po prawej stronie lazurowe morze, a po lewej wysokie szczyty gór. Dla zabicia czasu słuchał radiowych wiadomości. Nie wspomniano dotąd, by ktoś znalazł ciało Libijczyka w luksusowym berlińskim hotelu. Wątpił zresztą, by już je odkryto. Dokonał zabójstwa w ciszy, zaś wychodząc z pokoju, powiesił na zamku tabliczkę za napisem „Proszę nie przeszkadzać”. W końcu jednak obsługa hotelu zapukała do drzwi, a nie otrzymując odpowiedzi, za zgodą kierownictwa wejście do pokoju, gdzie ujrzy swego cennego gościa z dwoma ranami postrzałowymi w piersi i trzecią pośrodku czoła.

Natychmiast rozpoczną się gorączkowe poszukiwania ciemnowłosego mężczyzny z wąsami, który wchodził do pokoju denata. Odtworzą, co robił tuż po dokonaniu zabójstwa, ale ślad urwie się w cieniście mroku Tiergarten. Policja nigdy nie ustali jego tożsamości. Niektórzy będą zakładać, że tak jak ofiara był Libijczykiem, ale kilku mądrzejszych weteranów uzna, że to ów kosztowny fachowiec, który od lat działa w Europie. Umyją wówczas ręce, wiedząc, że morderstwa dokonywane przez zawodowych zabójców rzadko się wykrywa.

Keller dotarł wybrzeżem do miasta Porto, gdzie skierował się w głąb łądu. Była niedziela, na drogach panował niewielki ruch, a w górskich miasteczkach biły kościelne dzwony. Pośrodku wyspy, w pobliżu najwyższego wzniesienia, znajdowała się mała wioska Orsatic. Mówiono, że powstała w czasach najazdów Wandali, kiedy to

ludność z wybrzeża zbiegła w góry. Trudno było nie odnieść wrażenia, że czas się tu zatrzymał.

Dzieci całymi dniami bawiły się na ulicach, bo były tam bezpieczne. Nikt nie miał dostępu do narkotyków, gdyż żaden diler nie odważyłby się narazić mieszkańcom wioski. Niewiele się tu działo i nie zawsze wszyscy mieli pracę. Ale było czysto, pięknie i spokojnie, a ludziom wystarczało do szczęścia, gdy mogli dobrze zjeść, wypić wino i przebywać ze swymi dziećmi oraz rodzicami. Keller zawsze za nimi tęsknił, gdy na dłużej wyjeżdżał z Korsyki. Ubierał się jak oni, mówił ich dialektem, a gdy wieczorami grał w bule z mężczyznami na głównym placu, tak samo jak oni z niesmakiem kręcił głową, słysząc o Francuzach lub, co gorsza, Włochach. Swego czasu mieszkańcy wioski nazywali go Anglikiem. Teraz jednak zwracali się do niego po imieniu - Christopher. Stał się jednym z nich.

Historyczna siedziba klanu Orsatich leżała tuż za wioską w małej dolinie pośród drzew oliwnych, z których tłoczono najlepszą oliwę na wyspie. Wejścia do niej strzegło dwóch uzbrojonych strażników, którzy z szacunkiem unieśli dłonie do płaskich korsykańskich czapek, gdy Keller wjechał przez bramę na długi podjazd wiodący do rezydencji. Dziedziniec tonął w cieniu potężnej sosny, ale w otoczonym murem ogrodzie jasne słońce padało na długi stół, zastawiony jak zwykle na niedzielny rodzinny lunch. Było tu pusto. Cały klan nie wrócił jeszcze z mszy, a don, który od dawna nie zaglądał do kościoła, przebywał na piętrze w swoim gabinecie. Gdy Keller do niego wszedł, siedział przy wielkim dębowym stole wpatrzony w otwartą księgę rachunkową w skórzanej oprawie. Obok niego stała dekoracyjna butelka oliwy Orsati - świadectwo działalności handlowej, dzięki której don mógł czerpać zyski płynące z zabijania.

- Jak w Berlinie? - spytał, nie podnosząc głowy.
- Zimno - odparł Keller. - Ale produktywnie.
- Jakież komplikacje?
- Nie.

Orsati się uśmiechnął. Niczego nie tolerował gorzej niż komplikacji. Oprócz Francuzów. Zamknął rejestr i utkwiał w twarzy Kellera swoje ciemne oczy. Jak zwykle miał na sobie starannie wyprasowaną białą koszulę, luźne spodnie z jasnej bawełny i skórzane sandały, które sprawiały wrażenie nabytych na miejscowym targu, co zresztą nie odbiegało od prawdy. Jego gęste wąsy były starannie przystrzyżone, a sztywne szpakowate włosy lśniły od brylantyny. Don zawsze poświęcał wiele uwagi swemu niedzielnemu wyglądowi. I choć utracił wiarę, domagał się, by Dzień Pański święcić. Powstrzymywał się

wtedy od przekleństw, próbował się zdobyć na szlachetne myśli i, co najważniejsze, zabraniał swym *taddunaghiu* wykonywać zlecenia.

Nawet Keller, który był anglikaninem i dlatego został uznany za heretyka, musiał podporządkować się edyktom dona. Ostatnio spędził nadprogramową noc w Warszawie, gdyż nie otrzymał od niego dyspensy na zabójstwo rosyjskiego gangstera w dniu wypoczynku.

- Zostaniesz na lunch - oznajmił don.

- Dziękuję, don Orsati - Keller oficjalnie się skłonił - ale nie chciałbym przeszkadzać.

- Ty? Przeszkadzać? - Korsykanin zbył go machnięciem ręki.

- Jestem zmęczony - wyznał. - Przeprowa promem była uciążliwa.

- Nie spałeś?

- Najwyraźniej dawno nie byłeś na promie.

To prawda. Anton Orsati rzadko się wypuszczał poza dobrze strzeżone mury posiadłości. To świat do niego przybywał ze swymi problemami, a on pomagał je rozwiązywać - oczywiście za sowitą opłatą. Podniósł grubą szarą kopertę i położył ją przed Kellerem.

- Co to jest?

- Uznaj to za święteczną premię.

- Mamy październik.

Don wzruszył ramionami. Keller rozchylił kopertę i zerknął do środka. Wypełniały ją pliki banknotów o nominale stu euro. Zamknął kopertę i odepchnął ją na środek stołu.

- Tutaj, na Korsyce - don zmarszczył brwi - odrzucanie prezentu jest nieuprzejme.

- Ten prezent nie jest konieczny.

- Weź go, Christopher, zasłużyłeś.

- Dzięki tobie jestem bogaty, don Orsati. Bogatszy, niż kiedykolwiek mógłbym marzyć.

- Ale?

Keller milczał.

- W zamknięte usta nie wpada mucha ani jadło - rzekł don, czerpiąc ze swej niezgłębionej skarbnicy starych korsykańskich przysłów.

- To znaczy?

- Mów, Christopher. Powiedz, co cię gryzie.

Keller wpatrywał się w kopertę, świadomie unikając wzroku dona.

- Jesteś zmęczony tą robotą?

- Nie w tym rzecz.

- Może powinieneś zrobić sobie przerwę? Mógłbyś wykorzystać energię w legalnej działalności firmy. Można na tym zbić sporo forsy.

- Oliwa z oliwek nie załatwi sprawy, don Orsati.
- A więc jednak jest jakiś problem.
- Tego nie powiedziałem.
- Nie musiałeś. - Don uważnie mu się przyjrzał. - Kiedy wyrwiesz ząb, chłopie, przestaniesz cię boleć.
- Chyba że masz złego dentystę.
- Od złego dentysty gorszy jest tylko zły kompan.
- Lepsza jest samotność - rzekł filozoficznie Keller - niż złe towarzystwo.

Don się uśmiechnął.

- Choć urodziłeś się Anglikiem, Christopher, masz duszę Korsykańczyka.

Keller wstał. Don ponownie pchnął ku niemu kopertę.

- Na pewno nie chcesz zostać na lunch?
- Mam inne plany.
- Tak czy owak, będą musiały poczekać.
- Dlaczego?
- Bo masz gościa.

Keller nie musiał pytać, kto to jest. Zaledwie kilka osób na świecie wiedziało, że żyje, a tylko jedna odważyłaby się przybyć bez zapowiedzi.

- Kiedy przyjechał?
- Wczoraj wieczorem.
- Czego chce?
- Nie był łaskaw powiedzieć. - Don objął go czujnym spojrzeniem. - Czy mi się wydaje - spytał w końcu - czy twój nastrój znacznie się poprawił?

Keller wyszedł, nie udzielając odpowiedzi. Orsati odprowadził go wzrokiem. Potem spojrzął na stół i cicho zaklął. Anglik nie wziął koperty.

# 10

## *Korsyka*

Christopher Keller zawsze bardzo troszczył się o pieniądze. Wedle własnych obliczeń zarobił ponad dwadzieścia milionów dolarów, pracując dla dona Antona Orsatiego, i dzięki roważnym inwestycjom stał się niezwykle bogaty. Większość majątku zdeponował w bankach Genewy i Zurychu, ale miał też konta w Monako, Liechtensteinie, Brukseli, Hongkongu i na Kajmanach. Trzymał nawet niewielką sumę w pewnym szacownym banku w Londynie. Brytyjski opiekun klienta uznał go za samotnego rezydenta Korsyki, który, podobnie jak don Orsati, rzadko opuszcza wyspę.

Takiego zdania były również francuskie władze. Keller płacił podatki dochodowe od swych legalnych inwestycji oraz godziwego wynagrodzenia, jakie otrzymywał oficjalnie w Orsati Olive Gil, gdzie pełnił funkcję dyrektora handlowego na Europę Środkową. Brał udział w wyborach francuskich, wspierał francuskie towarzystwa dobroczynne, kibicował francuskim drużynom sportowym i od czasu do czasu korzystał z usług francuskiej służby zdrowia. Nigdy nie był skazany za żadne przestępstwo, co w przypadku mężczyzny stanowi na południu nie lada osiągnięcie, a jego kartoteka kierowcy wyglądała nieskazitelnie. Podsumowując, z jednym poważnym wyjątkiem, Christopher Keller był wzorem obywatela.

Jako znakomity narciarz i alpinista chciał przez pewien czas dyskretnie kupić dom w Alpach francuskich. Obecnie posiadał tylko jedną rezydencję. Była to średniej wielkości willa zbudowana w dolinie sąsiadującej z doliną Orsatich. Miała złotawobrazową elewację, czerwone dachówki, wielki błękitny basen i szeroki taras tonący

rankiem w słońcu, a popołudniami okryty cieniem wielkiej sosny. Przestronne pokoje umeblowane były wygodnymi rustykalnymi meblami o białych, beżowych i kremowych obiciach. Na licznych półkach stały poważne tomy.

Keller przez krótki czas studiował w Cambridge historię wojskowości i był namiętym czytelnikiem książek poświęconych polityce i problemom współczesności. Ściany pokoi zdobiła niewielka kolekcja malarstwa współczesnego i obrazów impresjonistów.

Najcenniejszym z nich był mały pejzaż Moneta, który Keller nabył przez pośrednika na aukcji w Christies w Paryżu. Teraz przed Monetem stał Gabriel z przechyloną na bok głową i pocierał dłonią brodę. Polizał czubek palca wskazującego, lekko potarł nim płótno, a potem wolno potrząsnął głową.

- O co chodzi? - zapytał Keller.

- Jest pokryty brudem. Naprawdę mógłbym go wyczyścić. To potrwa tylko...

- Podoba mi się taki, jaki jest.

Gabriel wytarł palec w dzinsy i obrócił się do niego twarzą. Anglik był o dziesięć lat młodszy, dziesięć centymetrów wyższy i ważył piętnaście kilo więcej, głównie z powodu szerokich barczystych ramion i rzeźbionych mięśni emanującego siłą ciała. Jego krótkie włosy były niemal białe od morskiej wody, a skóra ciemna od słońca. Miał jasnoblękitne oczy, kwadratowe kości policzkowe i mocny podbródek z dolkiem idealnie umieszczonym pośrodku. Z jego twarzy nie schodził ironiczny uśmiešek.

Keller nie znał lęku, był niezależny i pozbawiony zasad, dopóki w grę nie wchodziła przyjaźń lub miłość. Żył na własnych warunkach i jakoś nie przegrywał.

- Myślałem, że jesteś w Rzymie - powiedział.

- Byłem - odparł Gabriel - ale wpadł tam Graham Seymour. Przywiózł coś, co chciał mi pokazać.

- Co to było?

- Fotografia mężczyzny idącego przez Heathrow.

Półśmiech Kellera zgasł, niebieskie oczy się zwężyły.

- Ile wie?

- Wie wszystko, Christopher.

- Coś mi grozi?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy zgodzisz się wykonać pewną robotę.

- Czego chce?

Gabriel się uśmiechnął.

- Tego, co umiesz najlepiej.

Słońce wciąż oświetlało taras. Siedzieli na wygodnych ogrodowych krzesłach przy stoliku z kutego żelaza. Leżała na nim sporządzona przez Grahama Seymoura gruba teczka dokumentów z opisami wyczynów Eamona Quinna. Keller jeszcze jej nie otworzył ani na nią nie spojrzał. Słuchał zafascynowany opowieści Gabriela o roli Quinna w zamachu na księżną.

Gdy ten skończył, Keller powoli podniósł swoją fotografię z Heathrow.

- Dałeś słowo - powiedział. - Przysiągłeś, że nigdy nie powiesz Grahamowi o naszej wspólnej pracy.

- Nie musiałem mówić. I tak wiedział.

- Skąd?

Gabriel wyjaśnił.

- Cwany drań - mruknął Keller.

- Jest Brytyjczykiem - odrzekł Gabriel. - Ma to we krwi.

Keller przez chwilę uważnie na niego patrzył.

- Ciekawe - odezwał się w końcu - ale nie wydajesz się bardzo zmartwiony.

- To dla ciebie szansa, Christopher.

W oddali dzwon kościelny wybijał południe. Keller położył fotografię na teczce i zapalił papierosa.

- Musisz? - Gabriel machnął ręką, by odgonić dym.

- Jaki mam wybór?

- Możesz przestać palić i zyskać jeszcze parę lat życia.

- Mówię o Grahamie - zachnął się Keller z rozdrażnieniem.

- Myślę, że możesz siedzieć tu, na Korsyce, i liczyć na to, że nie wyda cię Francuzom.

- Albo?

- Pomóc mi znaleźć Eamona Quinna.

- A potem?

- Potem możesz wrócić do domu, Christopher.

- Tutaj jest mój dom. - Keller uniósł rękę, wskazując dolinę.

- To nie jest prawda, Christopher. To iluzja. Złudzenie.

- Tak jak ty.

Gabriel uśmiechnął się milcząco. Dzwon ucichł. Na skraju tarasu gęstniał popołudniowy cień. Keller zgniół papierosa i spojrzał na wciąż zamkniętą teczkę.

- Ciekawa lektura? - zapytał.
- Dosyć.
- Rozpoznałeś kogoś?
- Człowieka z MI5 o nazwisku Graham Seymour - odrzekł Gabriel - i oficera SAS, który zawsze i wszędzie występuje tylko pod pseudonimem.

- Jakim?

- Merchant.\*

\* Merchant (ang.) - kupiec (przyp. red.).

- Łatwo zapamiętać.

- Też tak pomyślałem.

- Co o nim mówią?

- Mówią, że z końcem lat osiemdziesiątych przez blisko rok prowadził działalność operacyjną w Belfaście Zachodnim.

- Dlaczego przestał?

- Został zdemaskowany. Najwyraźniej z powodu kobiety.

- Wymieniają ją z nazwiska?

- Nie.

- Co się potem stało?

- Merchant został porwany przez członków IRA i przewieziony na odludną farmę w celu przesłuchania i egzekucji. Dom znajdował się w południowym Armagh. Był tam Quinn.

- Jak to się skończyło?

- Źle.

Podmuch wiatru poruszył gałęziami sosny. Keller patrzył na swą korsykańską dolinę, jakby wymykała mu się z rąk. Potem zapalił kolejnego papierosa i opowiedział resztę.



*Korsyka*

Miał dar językowy, który go wyróżniał wśród innych. I nie chodzi o języki obce, lecz o umiejętność posługiwania się angielskim zarówno na ulicach Belfastu, jak i w sześciu hrabstwach Irlandii Północnej. Subtelności lokalnej wymowy całkowicie uniemożliwiały oficerom SAS funkcjonowanie wśród małych, spójnych społeczności prowincji. Gdy tropili członków IRA lub prowadzili obserwację uliczną, z reguły zmuszeni byli korzystać z pomocy Fredów, jak nazywano w pułku lokalnych pomocników. Ale nie Keller. Posiadał umiejętność mówienia w różnych dialektach Ulsteru z szybkością i pewnością właściwą jego rdzennym mieszkańcom. Z minuty na minutę umiał zmienić akcent - potrafił być na zmianę katolikiem z Armagh, protestantem z Shankill Road w Belfaście, to znów katolikiem z osiedla Ballymurphy. Jego niezwykły dar lingwistyczny nie uszedł uwagi zwierzchników. Wkrótce potem dostrzegł go też ambitny młody oficer wywiadu, który pełnił służbę w Irlandii Północnej z ramienia MI5.

- Zakładam - rzekł Gabriel - że tym młodym oficerem MI5 był Graham Seymour.

Keller skinął głową. Wyjaśnił, że z końcem lat osiemdziesiątych Seymour był niezadowolony z jakości materiałów, które otrzymywał od informatorów MI5 w Irlandii Północnej. Chciał wprowadzić swojego agenta na terytorium IRA w Belfaście Zachodnim, by śledzić ruchy i powiązania jej przywódców i wciąż napływających ochotników. To nie było zadanie dla przeciętnego funkcjonariusza MI5. Oddelegowany agent musiał umieć poruszać się w świecie, gdzie

jeden fałszywy krok, jedno nieopatrzone spojrzenie mogło oznaczać śmierć.

Keller spotkał się z Seymourem w mieszkaniu kontaktowym w Londynie i zgodził się przyjąć to zadanie. Dwa miesiące później znów był w Belfaście i podawał się za katolika nazywającego się Michael Connelly. Wynajął dwupokojowe mieszkanie w osiedlu Divis Tower przy Falls Road. Jego sąsiad był członkiem Brygady IRA w Belfaście Zachodnim. Brytyjska armia utrzymywała na dachu budynku stanowisko obserwacyjne i używała ostatnich dwóch pięter jako koszar i biur. Kiedy wybuchły największe zamieszki, żołnierze przybywali i odlatywali śmigłowcami.

- To był obłęd - stwierdził Keller, potrząsając głową. - Zupełny obłęd.

Choć większość mieszkańców Belfastu Zachodniego była bezrobotna i żyła z zasiłku, Keller wkrótce znalazł pracę jako dostawca w pralni przy Falls Road. Pozwalało mu to poruszać się po okolicy i różnych zakątkach Belfastu Zachodniego bez wzbudzania podejrzeń i otwierało dostęp do domów znanych członków IRA. Było to osiągnięcie niezwykle, lecz nieprzypadkowe. Pralnia stanowiła bowiem placówkę brytyjskiego wywiadu i działała z jego ramienia.

- To była jedna z naszych najściślej strzeżonych operacji - wyznał Keller. - Nie wiedział o niej nawet premier. Mieliśmy małą flotę wozów dostawczych, aparaturę podsłuchową i laboratorium na tyłach zakładu. Sprawdzaliśmy wszystkie rzeczy i ubrania, jakie nam oddawano, w poszukiwaniu śladów materiałów wybuchowych. A kiedy wynik był pozytywny, obejmowaliśmy obserwacją właściciela odzieży i jego dom.

Z czasem Keller zaczął nawiązywać znajomości z członkami dysfunkcyjnej społeczności, wśród której zamieszkał. Jego sąsiad z IRA zaprosił go na kolację, a gdy pewnego razu w barze IRA przy Falls Road jakiś agitator dość ordynarnie zaczął go werbować, uprzejmie go zbył. Regularnie uczęszczał na mszę do kościoła Św. Pawła, przyswajając sobie rytuały i doktryny katolicyzmu, a pewnej deszczowej soboty w Wielkim Poście poznał piękną dziewczynę, Elizabeth Conlin. Była córką Ronniego Conlina, dowódcy IRA w okręgu Ballymurphy.

- Poważny gracz.
- Trudno o coś więcej.
- I postanowiłeś ciągnąć tę znajomość?
- Nie miałem wielkiego wyboru.
- Byłeś w niej zakochany.

Keller wolno skinął głową.

- Jak się spotykaliście?
- Zakradałem się do jej pokoju. Wieszala fioletową chustę w oknie, kiedy było bezpiecznie. Mieszkała w małym parterowym domku o cienkich jak papier, pokrytych tynkiem kamyczkowym ścianach. Słyszałem, jak jej ojciec porusza się w sąsiednim pokoju. To było...

- Szaleństwo - skończył Gabriel.

Keller milczał.

- Czy Graham wiedział?
- Oczywiście.
- Powiedziałeś mu?
- Nie musiałem. Byłem pod stałym nadzorem MI5 i SAS.
- Pewnie kazał ci z nią zerwać.
- Nie owijając w bawełnę.
- Co zrobiłeś?
- Zgodziłem się - odparł. - Pod jednym warunkiem.
- Chciałeś się z nią spotkać ostatni raz.

Keller zamilkł, a gdy w końcu znów się odezwał, jego głos uległ zmianie. Przeciągając samogłoski i szorstko wymawiając wyrazy, stał się jednym z mieszkańców Belfastu Zachodniego. Zniknął gdzieś Christopher Keller. W jego miejsce pojawił się Michael Connelly, dostawca z pralni przy Falls Road, który zakochał się w pięknej córce herszta IRA z okręgu Ballymurphy.

Ostatniej nocy w Ulsterze zostawił swego vana przy Springfield Road i wspiął się po ogrodowym murze, by zakraść się do domu Conlina. Fioletowa chusta wisiała tam, gdzie zawsze, ale w pokoju Elizabeth było ciemno. Bezgłośnie podniósł okno, rozsunał lekkie zasłony i wśliznął się do środka. W tej samej chwili otrzymał w skroń cios tak silny jak uderzenie siekierą i poczuł, że osuwa się w mrok. Nim do reszty utracił świadomość, ujrzał nad sobą twarz Ronniego Conlina.

- Mówił, że czeka mnie śmierć - oznajmił Keller.

Związany, zakneblowany i z zawiązanymi oczami został wepchnięty do bagażnika jakiegoś samochodu. Ze slumsów Belfastu Zachodniego przewieziono go na farmę w południowym Armagh. Tam wrzucono do jakiejś szopy i ciężko pobito, a potem, przywiązanego do krzesła, przesłuchiowano i osądzono. Czterej mężczyźni z okrytej złą sławą Brygady południowego Armagh występowało w roli przysięgłych. Eamon Quinn natomiast był oskarżycielem, sędzią i katem w jednej osobie.

Zamierzał wykonać wyrok za pomocą noża bojowego, który zna-

laży przy martwym żołnierzu brytyjskim. Quinn był mistrzem techniki, najlepszym konstruktorem bomb w IRA, ale gdy miał zabijać własną ręką, zawsze wybierał nóż.

- Powiedział, że jeśli będę współpracował, zada mi szybką śmierć. W przeciwnym razie zaczniesz mnie kroić na kawałki.

- Co się stało?

- Miałem szczęście. - Pokiwał głową. - Niedbale mnie związali i to ja pokroiłem ich na kawałki. Zrobiłem to tak szybko, że nie zorientowali się nawet kiedy.

- Ilu?

- Dwóch - odparł. - Potem chwyciłem pistolet któregoś z nich i zastrzeliłem jeszcze dwóch.

- Co się stało z Quinmem?

- Sprytnie zbiegł z pola bitwy. Widać śmierć nie była mu jeszcze pisana.

Nazajutrz brytyjska armia oświadczyła, że czterech członków Brygady południowego Armagh zginęło w wyniku ataku na odludną kryjówkę IRA. Oficjalny komunikat nie wspominał o porwaniu brytyjskiego oficera SAS, Christophera Kellera, ani tym bardziej o pralni przy Falls Road i jej związku ze służbami specjalnymi. Keller został odesłany do kraju na leczenie, a pralnię po cichu zamknięto. Była to poważna porażka dla brytyjskiej działalności w Irlandii Północnej.

- A Elizabeth?- spytał Gabriel.

- Znalaziono jej ciało dwa dni później. Miała ogoloną głowę. I podejrzięte gardło.

- Kto to zrobił?

- Słyszałem, że Quinn - odparł. - Najwidoczniej postanowił wykonać to osobiście.

Po wyjściu ze szpitala Keller spędził okres rekonwalescencji w centrali SAS w Hereford. Odbywał długie męczące wyprawy w góry Breton Beacons i szkolił nowych rekrutów w sztuce bezgłośniego zabijania. Ale jego zwierzchnicy widzieli, że doświadczenia z Belfastu go zmieniły. I wtedy, w sierpniu 1990, Saddam Husajn zaatakował Kuwejt. Keller dołączył do swego starego „szwadronu szabli”\* i został wysłany na Bliski Wschód. Ale wieczorem 28 stycznia 1991 roku, w czasie poszukiwania wyrzutni scudów na zachodniej pustyni Iraku, jego jednostka stała się celem ataku samolotu Koalicji. Doszło do tragicznego w skutkach bratobójczego ognia. Przeżył jedynie Keller. Rozwścieczony opuścił pole bitwy i w przebraniu Araba przekradł się przez granicę do Syrii. Stamtąd wyruszył na zachód

przez Turcję, Grecję i Włochy, aż w końcu dotarł na Korsykę, gdzie wpadł w ramiona dona Antona Orsatiego.

\* Sabre squadron: jednostka bojowa w ramach formacji SAS (przyp. red).

- Czy go kiedyś szukałeś?

- Quinna?

Gabriel przytaknął.

- Don mi zabronił.

- Ale to cię nie powstrzymało, prawda?

- Powiedzmy, że uważnie obserwowałem jego poczynania.

Wiedziałem, że po Porozumieniu Wielkopiątkowym przyłączył się do Prawdziwej IRA i wiedziałem, że to on podłożył bombę w centrum Omagh.

- A kiedy opuścił Irlandię?

- Uprzejmie wypytywałem o miejsca jego pobytu. A także nieuprzejmie.

- I coś to dało?

- Oczywiście.

- Ale nigdy nie próbowałeś go zabić?

- Nie. - Keller pokręcił głową. - Don mi zabronił.

- Teraz masz okazję.

- Z błogosławieństwem Tajnych Służb Jej Królewskiej Mości. -

Krótko się uśmiechnął. - To zakrawa na ironię, nie sądzisz?

- Co takiego?

- Quinn wyparł mnie z gry, a teraz znów mnie w nią wciąga.

- Przez chwilę patrzył poważnie na Gabriela. - Na pewno chcesz się w to wdawać?

- A dlaczego nie?

- Bo to sprawa osobista - odparł Keller. - A sprawy osobiste są często nieprzyjemne.

- Wciąż mam sprawy osobiste.

- I nieprzyjemne. - Taras do reszty pogrążył się w cieniu. Wiatr zmarszczył powierzchnię błękitnego basenu. - A jeśli się zgodzę - spytał - to co potem?

- Graham da ci nową brytyjską tożsamość. Jak również pracę. - Gabriel urwał, a potem dodał: - Jeśli zechcesz.

- Jaką pracę?

- Użyj wyobraźni.

Keller zmarszczył brwi.

- Co byś zrobił na moim miejscu?

- Poszedłbym na to.

- I rzuciłbyś to wszystko?

- To nie jest realne, Christopher.
- Gdzieś za doliną zegar na kościelnej wieży wybił pierwszą.
- Co mam powiedzieć donowi?
  - Obawiam się, że nie mogę ci pomóc.
  - Dlaczego?
  - Bo to sprawa osobista - odparł Gabriel. - A sprawy osobiste często są nieprzyjemne.

Prom do Nicei odchodził o szóstej wieczorem. Gabriel wszedł na pokład o piątej trzydzieści, wypił w barku kawę, po czym wyszedł na pokład rufowy, by czekać tam na Kellera. Do piątej, czterdzieści pięć go nie było. Przez kolejne pięć minut też się nie pojawił. W końcu jednak Gabriel dostrzegł poobijane renault, które skręcało na parking, a chwilę później Keller pokazał się na trapie z workiem żeglarskim na potężnym ramieniu. Stał obok siebie przy relingu i patrzyli na znikające w ciemności światła Ajaccio. Łagodny wieczorny wiatr przynosił woń *macchia*, gęstego poszycia ze skarłałych dębów, rozmarynu i lawendy, które porastało większą część wyspy.

Keller głęboko wciągnął powietrze w płuca, po czym zapalił papierosa. Bryza osnuła dymem twarz Gabriela.

- Musisz?

Keller nie odpowiedział.

- Zacząłem myśleć, że zmieniłeś zdanie.
- I że pozwoliłem ci samotnie ścigać Quinna?
- Sądzisz, że nie dałbym rady?
- Czy ja coś mówię? - Keller głęboko się zaciągnął.
- Jak zareagował don?
- Wygłosił wiele korsykańskich przysłów na temat niewdzięczności dzieci, a potem pozwolił mi odejść.

Światła wyspy ciemniały w oddali. Wiatr niósł z sobą już tylko zapach morza. Keller sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął korsykański talizman i podał go Gabrielowi.

- Prezent od *signadory*.
- Nie wierzymy w takie rzeczy.
- Na twoim miejscu bym go nie odrzucał. Dała mi do zrozumienia, że może być niemilo.
- Jak bardzo?

Keller milczał. Gabriel wziął talizman i powiesił go sobie na szyi. Światła wyspy gasły jedno po drugim. Aż w końcu znikły.

# 12

*Dublin*

Formalnie rzecz biorąc operacja, którą Gabriel i Christopher Keller rozpoczęli nazajutrz, stanowiła wspólne przedsięwzięcie Biura i MI6. Rola Brytyjczyków była jednak tak zakamuflowana, że wiedział o niej tylko Graham Seymour. Dlatego to Biuro organizowało całość podróży i wynajęło skodę typu sedan, która czekała na długoterminowym parkingu przy lotnisku w Dublinie. Gabriel najpierw starannie obejrzał podwozie, a dopiero potem siadł za kierownicą. Keller wsunął się na fotel pasażera i marszcząc czoło, zamknął drzwi.

- Nie mieli nic lepszego niż ta skoda?

- To jedno z najbardziej popularnych aut w Irlandii. Nie będzie się wyróżniać.

- Co z bronią?

- Otwórz schowek.

Keller go posłuchał. Wewnątrz znalazł naładowaną berettę 9mm, zapasowy magazynek i tłumik.

- Tylko dla jednego?

- Nie idziemy na wojnę, Christopher.

- Tak ci się wydaje.

Zamknął schowek, a Gabriel wsunął kluczyk do stacyjki. Silnik jakby się zawahał, potem kaszlnął i w końcu zaskoczył.

- Dalej myślisz, że dobrze zrobili, wynajmując tę skodę? - spytał Keller.

Gabriel wrzucił bieg.

- Gdzie zaczynamy?

- Ballyfermot.

- Bally co?
- Keller wskazał znak „Wyjazd”, mówiąc:
- Bally to.

Republika Irlandii była niegdyś krajem wolnym od poważnych przestępstw. Aż do późnych lat sześćdziesiątych XX wieku irlandzka policja Garda Síochána liczyła zaledwie siedem tysięcy funkcjonariuszy, a Dublin dysponował siedmioma radiowozami. Większość przestępstw miała niegroźny charakter. Były to włamania, kradzieże kieszonkowe i sporadyczne napady z bronią. Do aktów przemocy dochodziło zazwyczaj w wyniku namiętności, nadmiaru alkoholu bądź połączenia jednego i drugiego.

Wszystko uległo zmianie, gdy wybuchły zamieszki na granicy z Irlandią Północną. IRA Tymczasowa, desperacko usiłując zdobyć pieniądze i broń na walkę z armią brytyjską, zaczęła rabować banki na południu. Elementy przestępcze ze slumsów i biednych osiedli Dublina, kierując się przykładem ekstremistów IRA, zaczęły samodzielnie dokonywać zbrojnych napadów. Garda, nieliczna i niedoinwestowana policja, szybko uległa przewadze IRA oraz lokalnych band. W 1970 roku Irlandia nie była już spokojna. Stała się enklawą przestępczości, gdzie kryminaliści i rebelianci działali całkowicie bezkarnie.

W 1979 roku dwa wydarzenia, które miały miejsce z dala od brzegów Irlandii, pogłębiły nasilający się w kraju stan bezprawia i chaosu. Pierwszym z nich była rewolucja w Iranie, drugim sowiecka inwazja na Afganistan. W ich konsekwencji tania heroina zalała miasta zachodniej Europy. W 1980 roku narkotyki opanowały slumsy południowego Dublina, a rok później getta północnej części miasta. Niszczyły życie, powodowały rozpad rodzin i wzrost liczby przestępstw popełnianych przez ofiary nałogu. Narkotyki siały spustoszenie wśród całych społeczności. Na ulicach królowali dilerzy, a ich klienci szprycowali się na widoku publicznym.

Cud gospodarczy lat dziewięćdziesiątych przekształcił Irlandię - jeden z najbiedniejszych krajów Europy - w jeden z najbogatszych. Ale wraz z dobrobytem jeszcze bardziej wzrósł popyt na narkotyki, zwłaszcza na kokainę i ecstasy. Dawni hersztowie gangów ustąpili miejsca nowej generacji bossów, którzy toczyli krwawe wojny o terytorium wpływów i udziały w zyskach. Jeśli dawni irlandzcy gangsterzy używali obrzynów, nowe bandy zbirów wyposażone były w automaty Kalasznikowa i inną broń ciężką. Na ulicach i w zaułkach



osiedli mieszkaniowych coraz częściej znajdowano podziurawione kulami ciała. Wedle szacunków Gardy z 2012 roku na terenie Irlandii działało dwadzieścia pięć groźnych gangów narkotykowych. Kilka nawiązało lukratywne kontakty z zagranicznymi organizacjami przestępczymi, wśród nich byli weterani IRA Prawdziwej.

- Myślałem, że są przeciwni narkotekom - powiedział zdziwiony Gabriel.

- Może tam - Keller wskazał północ - ale tu, w Republice, wygląda to inaczej. Na dobrą sprawę Prawdziwa IRA jest po prostu kolejnym gangiem narkotykowym. Czasem handlują otwarcie, kiedy indziej dokonują wymuszeń w zamian za ochronę. Ale głównie bazują na dilerach.

- Co robi Liam Walsh?

- Po trochu wszystko.

W wieczornej godzinie szczytu deszcz zamazywał światła reflektorów. Miasto było słabiej oświetlone, niż Gabriel się spodziewał. Sądził, że z powodów ekonomicznych. Gospodarka Irlandii podupadła szybciej i poważniej niż większość innych. Ucierpieli nawet dilerzy narkotyków.

- Walsh ma republikańskie korzenie - mówił Keller. - W IRA był jego ojciec, a także wujowie i bracia. Po wielkiej schizmie dołączył do radykałów Prawdziwej IRA, a gdy wojna ostatecznie się skończyła, przyjechał do Dublina, żeby bogacić się w biznesie narkotykowym.

- Co go wiąże z Quinnem?

- Omagh. - Keller wskazał na prawo, mówiąc: - Teraz skręć.

Gabriel wjechał w Kennelsfort Road. Po obu stronach ulicy stały niewielkie piętrowe szeregowce. Nie był to może irlandzki cud gospodarczy, ale też nie slumsy.

- Czy to Ballyfermot?

- Palmerstown.

- Którędy teraz?

Keller machnął ręką, wskazując na wprost. Minęli przemysłową enklawę niskich szarych hurtowni i nagle znaleźli się na Ballyfermot Road. Niebawem dotarli do ciągu małych biednych sklepików. Artykuły przecenione sąsiadowały tu z tanim optykiem i barkiem z chipsami na wynos. Po drugiej stronie ulicy znajdował się supermarket Tesco, a obok punkt maklerski. W wejściu do lokalu stało czterech mężczyzn w skórzanych płaszczach. Liam Walsh był z nich najniższy. Palił papierosa, podobnie jak cała czwórka. Gabriel skręcił na parking przed Tesco i wpasował się w wolne miejsce. Mieli stamtąd dobry widok na punkt z zakładami.

- Może lepiej nie gaś silnika - powiedział Keller.
- Dlaczego?
- Bo może nie zaskoczyć.

Gabriel wyłączył silnik i reflektory. Deszcz zalewał przednią szybę i po kilku sekundach Liam Walsh zniknął w rozmytym kalejdoskopie świateł. Gabriel włączył wycieraczki i Walsh znów się pojawił. Niebawem przed agencją zatrzymał się długi czarny mercedes. Był to jedyny mercedes na tej ulicy i zapewne jedyny w całej okolicy. Uchyliło się okno i Walsh zaczął rozmawiać z kierowcą.

- Wygląda jak prawdziwy filar tej społeczności - stwierdził Gabriel.

- Tak lubi się przedstawiać.
- Ale dlaczego stoi przed tą agencją?
- Chce, żeby inni wiedzieli, że pilnuje swojego terenu. Ktoś z konkurencji chciał go przed rokiem zabić dokładnie w tym miejscu. Z bliska można zobaczyć na ścianie ślady pocisków.

Mercedes ruszył. Liam Walsh powrócił na stanowisko.

- A kim są ci mili chłopcy stojący obok niego?
- Dwaj po lewej stronie to ochroniarze. Trzeci jest jego zastępcą.
- Prawdziwa IRA?
- Do szpiku kości.
- Uzbrojeni?
- Bez wątplenia.
- To co robimy?
- Czekamy na jego ruch.
- Tutaj?

Keller potrząsnął głową.

- Jeśli zobaczą, że siedzimy w zaparkowanym samochodzie, wezmą nas za Gardę albo za konkurencję, i jesteśmy załatwieni.

- No to może lepiej tu nie siedzimy?

Keller wskazał głową barek z frytkami po drugiej stronie ulicy, po czym wysiadł. Gabriel ruszył za nim. Zatrzymali się na krawężniku, wypatrując przerwy w ulicznym ruchu. Z rękami wbitymi w kieszenie schylali głowy przed wiatrem.

- Obserwują nas - rzucił Keller.
- Też zauważyłeś?
- Trudno nie zauważyć.
- Czy Walsh zna twoją twarz?
- Teraz już tak.

Ruch na chwilę ustał. Przeszli przez ulicę i skierowali się w stronę baru.

- Lepiej się nie odzywaj - polecił Keller. - W tej okolicy rzadko bywają goście z egzotycznych krajów.

- Mówię bardzo dobrze po angielsku.

- W tym problem.

Keller otworzył drzwi i wszedł do środka pierwszy. Jadłodajnia była wąskim pomieszczeniem z popękany linoleum na podłodze i łuszczącą się ze ścian farbą. Powietrze przenikała ciężka woń tłuszczu i smażeniny, a także lekki zapach mokrej wełny. Za kontuarem stała ładna dziewczyna. Podeszli do pustego stolika pod oknem. Gabriel usiadł tyłem do ulicy, a Keller ruszył do kontuaru i powiedział coś z wyraźnym akcentem południowego Dublina.

- Jestem pod wrażeniem - mruknął Gabriel, gdy powrócił. - Czekałem tylko, aż zaczniesz śpiewać „Kiedy śmieją się irlandzkie oczy”.

- Ta laska wzięła mnie za Irlandczyka czystej krwi.

- Jasne. - Gabriel spojrział na niego z powątpiewaniem. - A ja jestem Oscar Wilde.

- Myślisz, że nie wyglądam na Irlandczyka?

- Chyba takiego, który spędził długie wakacje na słońcu.

- Tak właśnie mówię.

- I gdzie to byłeś?

- Na Majorce - odrzekł Keller. - Irlandczycy kochają Majorkę, zwłaszcza gangsterzy.

Gabriel powiódł spojrzeniem po wnętrzu.

- Nie rozumiem dlaczego.

Dziewczyna podeszła do stolika i postawiła przed nimi talerz frytek oraz dwa styropianowe kubki herbaty z mlekiem. Gdy odchodziła, otworzyły się drzwi i do środka wpadli, chroniąc się przed deszczem, dwaj mężczyźni pod trzydziestkę. Chwilę później weszła kobieta w przemoczone płaszczu i butach na obcasach. Mężczyźni zajęli stolik obok Kellera i Gabriela, porozumiewając się dialektem niemal dla Gabriela niezrozumiałym.

Kobieta usiadła w głębi baru. Zamówiła tylko herbatę i zaczęła czytać podniszczoną książkę w miękkiej oprawie.

- Co się dzieje na zewnątrz? - spytał Gabriel.

- Czterech stoi przed agencją. Jeden ma chyba dość.

- Gdzie on mieszka?

- Niedaleko - odparł Keller. - Woli żyć wśród ludzi.

Gabriel wypił łyk herbaty i się skrzywił. Keller pchnął ku niemu talerz z frytkami.

- Zjedz choć trochę.

- Nie.
- Dlaczego?
- Bo chcę dożyć narodzin moich dzieci.
- Racja. - Keller uśmiechnął się i dodał: - Mężczyźni w twoim wieku powinni uważać na to, co jedzą.
- Lepiej sam uważaj.
- Ile ty właściwie masz lat?
- Nie pamiętam.
- Problemy z pamięcią?

Gabriel wypił kolejny łyk herbaty, tymczasem Keller grzebał w talerzu z frytkami.

- Nie są takie dobre jak na południu Francji albo w Holandii - orzekł w końcu.

- Wziąłeś rachunek?
- Po co mi rachunek?
- Słyszałem, że księgowi w MI6 są bardzo skrupulatni.
- Dajmy sobie na razie spokój z MI6. Nie podjąłem jeszcze żadnej decyzji.

- Czasem najlepsze decyzje ktoś podejmuje za nas.

- Mówisz zupełnie jak don. - Keller wsunął do ust kolejną frytkę.

- Czy z tymi księgowymi to prawda?

- Tak tylko mówiłem.
- A twoi są surowi?
- Okrutni.
- Ale nie dla ciebie.
- Nie za bardzo.
- To dlaczego dali ci tę cholerną skodę?
- Skoda jest w porządku.
- Mam nadzieję, że zmieścimy go w bagażniku.
- W razie czego mocniej zatrzęsniemy klapę.
- A co z naszym gniazdkiem?
- Na pewno będzie urocze, Christopher.

Keller nie sprawiał wrażenia przekonanego. Wziął kolejną frytkę, chwilę się namyślał, po czym rzucił ją niedbale z powrotem na talerz.

- Co tam słyhać z tyłu? - spytał.
- Ci dwaj mówią w jakimś narzeczu. Kobieta czyta.
- Co czyta?
- Chyba Johna Banville'a.

Keller z namysłem skinął głową, spoglądając na Ballyfermot Road.

- Co widzisz? - spytał teraz Gabriel.

- Jeden stoi przed agencją. Trzech wsiada do samochodu.
- Jakiego?
- Czarnego mercedesa.
- Lepsze to niż skoda.
- Znacznie.
- No to co robimy?
- Zostawiamy frytki i bierzemy herbatę.
- Kiedy?

Keller wstał.

# 13

*Ballyfermot, Dublin*

Wrzucili kubki do śmietnika na parkingu Tesco i wsiedli do skody. Tym razem prowadził Keller, to było jego terytorium. Wjechał w Ballyfermot Road i torował sobie drogę w gęstym ruchu, aż w końcu tylko dwa auta dzieliły ich od mercedesa. Prowadził ze spokojem, trzymając jedną dłoń na kierownicy, a drugą na drążku zmiany biegów. Patrzył przed siebie. Gabriel skupił się na lusterku bocznym i obserwował ruch z tyłu.

- No i jak? - spytał Keller.

- Bardzo dobrze, Christopher. Będzie z ciebie znakomity funkcjonariusz MI6.

- Pytam, czy ktoś nas śledzi.

- Nikt.

Keller zdjął rękę z drążka, sięgając do kieszeni płaszcza po papierosa. Gabriel klepnął w czarno-żółtą nalepkę na osłonie przeciwsłonecznej.

- Tu się nie pali.

Keller zapalił papierosa. Gabriel opuścił nieco szybę, by wypuścić dym.

- Zatrzymują się.

- Widzę.

Mercedes skręcił na parking przed sklepem z gazetami. Przez chwilę nikt nie wysiadał. W końcu z tyłu wygramolił się Liam Walsh i wszedł do środka. Keller przejechał jakieś pięćdziesiąt metrów dalej i stanął przed pizzerią z daniami na wynos. Wyłączył światła, nie gasząc silnika.

- Myślę, że chce kupić kilka rzeczy po drodze do domu - stwierdził.

- Jak na przykład?
  - „Herald Tribune” - zasugerował Keller.
  - Nikt już nie czyta gazet, Christopher. Nie słyszałeś?
- Keller zerknął w stronę pizzerii.
- Może powinieneś tam wejść i kupić kawałek pizzy.
  - Jak mam to zrobić, milcząc?
  - Coś wymyślisz.
  - Jaki rodzaj pizzy sobie życzysz?
  - Spływaj - warknął Keller.

Gabriel wysiadł i wszedł do lokalu. Przed nim w kolejce stały trzy osoby. Czekał, wciągając w nozdrza woń ciepłego sera i drożdży. Wtem usłyszał krótki dźwięk klaksonu, a gdy się obrócił, zobaczył, że czarny mercedes mknie przez Ballyfermot Road.

Wybiegł z pizzerii i wskoczył na fotel pasażera. Keller wycofał się z miejsca i włączył w ruch, wolno dodając gazu.

- Kupił coś? - spytał Gabriel.
- Dwie gazety i paczkę winstonów.
- Jak wyglądał, kiedy stamtąd wyszedł?
- Jakby nie potrzebował gazet ani papierosów.
- Przypuszczam, że Garda stale go obserwuje.
- Mam nadzieję.
- A to znaczy, że przywykł do mężczyzn, którzy śledzą go w nieoznakowanych sedanach.
- Tak myślę.
- Skręca - poinformował Gabriel.
- Widzę.

Wjechali w ponurą nieoświetloną uliczkę małych szeregowych domków. Nie było tu sklepów, ruchu ani żadnego miejsca, gdzie dwaj obcy mogliby się ukryć. Keller zjechał na krawężnik i wyłączył reflektory. Sto metrów dalej mercedes skręcił w podjazd. Chwilę później światła auta zgasły i czterej mężczyźni wysiedli.

- Tu mieszka Walsh? - spytał Gabriel.

Keller skinął głową.

- Żonaty?
- Już nie.
- Ma dziewczynę?
- Możliwe.
- A psa?
- Masz problem z psami?

Gabriel milczał. Patrzył, jak czterej mężczyźni zbliżają się do domu i znikają za drzwiami.

- Co teraz? - zapytał.
- Możemy spędzić kolejnych kilka dni, czekając na okazję.
- Albo?
- Albo dopaść go teraz.
- Ich czterech na nas dwóch?
- Na jednego - poprawił go Keller. - Ty zostajesz.
- Dlaczego?
- Ponieważ przyszły szef Biura nie może się w to mieszać. Poza tym - dodał, klepiąc wypukłość pod marynarką - jest tylko jedna splotka.
- Czterech na jednego... - powtórzył wolno Gabriel. - To nie wróży najlepiej.
- Bywałem w gorszych opałach.
- Jak chcesz to rozegrać?
- Tak jak graliśmy w Irlandii Północnej - odparł. - Zabawy dużych chłopców. Zasady dużych chłopców.

Wysiadł i bezgłośnie zamknął drzwi. Gabriel przerzucił nogę nad konsolą i wsunął się za kierownicę. Włączył wycieraczki i patrzył, jak Keller idzie ulicą, trzymając ręce w kieszeni i kuląc ramiona przed wiatrem. Spojrzał na ekran BlackBerry. W Dublinie była 20.27, a w Jerozolimie 22.27. Pomyślał o swojej pięknej młodej żonie, samotnej w ich apartamencie przy Narkiss Street, i o dwojgu dzieciach w jej łonie. On zaś na wyludnionej ulicy południowego Dublina trwa na kolejnej nocnej warcie, czekając, by jego towarzysz wyrównał stare rachunki. Deszcz bębnił o przednią szybę. Ciemna ulica przemieniła się w wizję ze snu. Po raz drugi włączył wycieraczki i zobaczył, że Keller wchodzi w krąg żółtego światła sodowej lampy. Gdy włączył je po raz trzeci, już go nie było.

Dom przy Rossmore Road 48 miał kamyczkowe tynki, okno w białej ramie na parterze, a na piętrze kolejne dwa. Na wąskim podjeździe mieścił się tylko jeden samochód. Od furtki do wejścia prowadziła ścieżka, do której przylegał trawnik ograniczony niskim żywopłotem. Wygląd posesji nie budziłby zastrzeżeń, gdyby nie osoba jej właściciela.

Jak wszystkie domy po tej stronie ulicy numer 48 miał z tyłu ogródek, za którym rozciągały się sportowe tereny katolickiej szkoły męskiej. Wejście do niej znajdowało się za rogiem, przy Le Fanu



Road. Główna brama była otwarta. Najwyraźniej w auli budynku odbywało się spotkanie z rodzicami.

Keller wszedł niepostrzeżenie przez bramę i ruszył asfaltem ku oznaczonej liniami przestrzeni sportowych gier. Miał wrażenie, że znów znajduje się w ponurej szkole w Surrey, gdzie rodzice zesłali go jako dziesięciolatek. Pokładano w nim wielkie nadzieje - pochodził z dobrej rodziny, był znakomitym uczniem, miał naturalne zdolności przywódcze. Starsi od niego chłopcy nigdy go nie napastowali, gdyż po prostu budził w nich lęk. Nawet dyrektor odstąpił kiedyś od wymierzenia mu kary cielesnej, w gruncie rzeczy z tego samego powodu.

Na skraju asfaltu rósł rząd ociekających wodą drzew. Keller przeszedł pod nagimi gałęziami i minął ciemne boisko. Na jego północnej granicy wznosił się porośnięty winem dwumetrowy mur, za którym rozciągały się tylne ogrody budynków stojących przy Rossmore Road. Dotarł do najdalszego rogu boiska i odliczył pięćdziesiąt siedem kroków. Potem cicho wspiął się na mur i przeskoczył na drugą stronę. Zanim dotknął stopami ziemi, zdążył już wyciągnąć beretkę i skierować ją ku tylnym drzwiom domu. Wewnątrz paliły się światła, za zaciągniętymi zasłonami poruszały się cienie.

Mocniej ścisnął pistolet w dłoni, patrząc i nasłuchując. Gry dużych chłopców, myślał. Ich zasady...

O dziewiątej dziesiąt telefon Gabriela cicho zawibrował. Podniósł go do ucha, wysłuchał i się rozłączył. Ulewny deszcz przeszedł w monotonną mżawkę. Na Rossmore Road nie było samochodów ani przechodniów. Podjechał pod numer 48, zaparkował na ulicy i zgasił silnik. BlackBerry znów zawibrował, ale tym razem nie odpowiedział. Wciągnął na dłonie cieliste gumowe rękawice, wysiadł i otworzył skromnej wielkości bagażnik. Wewnątrz znajdowała się walizka zostawiona przez kuriera z placówki w Dublinie. Wyjął ją i ruszył ścieżką do wejścia. Drzwi frontowe otworzyły się, gdy ich dotknął. Wszedł do środka i cicho je zamknął.

Keller stał w holu, trzymając w dłoni beretkę. W powietrzu unosiła się woń prochu i lekki zapach krwi, oba aż nazbyt dobrze Gabrielowi znane. Bez słowa minął Kellera i wszedł do salonu. W powietrzu wisiała chmura dymu. Na podłodze leżało trzech mężczyzn, każdy z otworem pośrodku czoła. Czwarty miał zmiążdżony nos i szczękę przemieszczoną z siłą kowalskiego młota. Gabriel nachylił się nad nim i dotknął szyi, próbując wyczuć puls. A gdy go w końcu znalazł,

rozsunął zamek walizki i zabrał się do roboty.

Walizka zawierała trzy rolki mocnej taśmy izolacyjnej, tuzin jednorazowych plastikowych rękawiczek, nylonową torbę zdolną pomieścić mężczyznę wzrostu metr osiemdziesiąt, czarny kaptur, błękitno-białe dresy, męskie espadryle, dwie zmiany bielizny, apteczkę pierwszej pomocy, zatyczki do uszu, środki uspokajające w ampułkach, strzykawki, alkohol do dezynfekcji i egzemplarz Koranu. Biuro określało zawartość walizeczki mianem podręcznego zestawu aresztanta, ale agenci operacyjni nazywali ją niezbędnikiem terrorysty.

Upewniwszy się, że życiu Walsha nic nie zagraża, Gabriel owinął go w całości taśmą izolacyjną. Nie zamierzał się bawić w plastikowe kajdanki. W sprawach sztuki oraz przemocy fizycznej był z natury tradycjonalistą. Gdy zalepił taśmą usta i oczy, Irlandczyk zaczął odzyskiwać przytomność, wstrzyknął mu zatem stosowną dawkę środka nasennego, po czym wraz z Kellerem wepchnęli go do worka marynarskiego i zaciągnęli zamek.

W domu nie było garażu, co oznaczało, że nie mają wyboru, tylko muszą wynieść Walsha przez drzwi frontowe, wystawiając się na widok sąsiadów. Gabriel znalazł kluczyki do mercedesa w kieszeni jednego z denatów, wyprowadził auto na ulicę i wjechał na podjazd skodą. Keller sam wyniósł Walsha i wrzucił go do bagażnika. Potem usiadł w fotelu pasażera, pozwalając Gabrielowi prowadzić. Tak było najrozsądniej. Gabriel wiedział z doświadczenia, że lepiej nie powierzać kierownicy facetowi, który właśnie zabił trzech innych.

- Zgasiłeś światła?

Keller skinął głową.

- A co z drzwiami?

- Zamknięte.

Keller zdjął z beretty tłumik, wyjął magazynek i umieścił wszystko w schowku. Gabriel wyjechał na ulicę i ruszył z powrotem w stronę Ballyfermot Road.

- Ile naboji zużyłeś? - spytał.

- Trzy.

- Kiedy Garda znajdzie ciała?

- To nie Garda powinna nas niepokoić.

Keller rzucił niedopałek w ciemność. Gabriel dostrzegł w lusterku wstecznym spadającą iskrę.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Jakbym nigdy stąd nie wyjechał.
- W tym jest cały problem z zemstą, Christopher. Nie poprawia samopoczucia.
- Fakt. - Keller zapalił kolejnego papierosa. - Ale ja dopiero zaczynam.

*Clifden, hrabstwo Galway*

Domek przy Doonen Road wznosił się wysoko na skalnym klifie górującym nad ciemnymi wodami Salt Lake. Miał trzy sypialnie, dużą, nowoczesnie wyposażoną kuchnię, elegancką jadalnię, małą bibliotekę, gabinet, a także piwnicę z kamiennymi ścianami.

Jego właściciel, znany dubliński prawnik, żądał tysiąca euro od osoby za tydzień. Administracja Biura zaproponowała tysiąc pięćset za dwie osoby i prawnik, który rzadko otrzymywał oferty zimą, przyjął warunki. Pieniądze wpłynęły na jego konto następnego ranka z instytucji o nazwie Taurus Global Entertainment, producenckiej firmy telewizyjnej z siedzibą w szwajcarskim Montreaux. Poinformowano prawnika, że dwaj mężczyźni, którzy zamieszkają w jego domu, są przedstawicielami Taurusa przybyłymi do Irlandii w celu opracowania projektu dyskretnej natury. Tyle przynajmniej odpowiadało prawdzie.

Dom był oddalony od Doonen Road o jakieś sto metrów. Prowadziła do niego licha brama, którą ręcznie otwierano i zamykano, a dalej zwirowy podjazd wił się stromo w górę urwiska pośród wrzosów i kolcolistu. W najwyższym punkcie wzniesienia stały trzy stare drzewa przygięte przez wiatr, który wiał od Północnego Atlantyku i Clifden Bay. Wiatr był zimny i bezlitosny. Łomotał oknami domku, zrywał dachówki i hulał po pokojach, gdy ktoś otworzył drzwi. Mały taras nie nadawał się do użytku, był ziemią niczyją. Nawet mewy nie zatrzymywały się tam dłużej.

Doonen Road nie była właściwie drogą, lecz utwardzonym traktem, szerokim zaledwie na tyle, by zmieścić jeden samochód. Przez

jej środek biegł pas zielonej trawy. Czasem przejeżdżali tędy wczasowicze, ale głównie służyła jako boczna droga do Clifden. Wedle irlandzkich standardów było to miasto młode.

Powstało w 1814 roku z inicjatywy Johna d'Arcy'ego, właściciela wielkich dóbr ziemskich, który pragnął stworzyć oazę porządku wśród przemocy i bezprawia na dzikich terenach Connemary. Dla siebie D'Arcy wznosił zamek, a dla miejscowej ludności zbudował śliczne miasto z brukowanymi ulicami i placami oraz dwoma kościołami, których wieże były widoczne z odległości wielu kilometrów. Zamek popadł w ruinę, ale miasteczko, w czasach Wielkiego Głodu niemal wyludnione, stało się jednym z najbardziej popularnych miejsc w zachodniej Irlandii.

Niższy z mężczyzn wynajmujących domek na skale chodził do miasteczka codziennie, zazwyczaj późnym rankiem. Ubrany w ciemnozielony nieprzemakalny płaszcz zarzucał na ramię plecak, a na czoło nisko nasuwał kaszkiet. Kupował kilka rzeczy w supermarkecie, a w Ferguson Fine Wines jedną lub dwie butelki wina, zazwyczaj włoskiego, czasem francuskiego. Potem, nabywszy już prowiant, wolno przechodził wzdłuż sklepowych witryn Main Street z miną człowieka zajętego sprawami większej wagi.

Pewnego razu wstąpił do Lavelle Art Gallery, by spojrzeć na obrazy. Właściciel wspominał później, że ten człowiek wykazywał niezwykłą wiedzę o malarstwie. Nie potrafił jednak określić jego akcentu. Może był to akcent niemiecki, a może jeszcze inny. Dla ludzi z Connemary wszyscy przyjezdni mówili z akcentem.

Czwartego dnia ruszył wzdłuż Main Street szybciej niż dotąd. Zajrzał tylko w jedno miejsce, do sklepiku z prasą, gdzie nabył cztery paczki amerykańskich papierosów i egzemplarz „Independent”. Stronę tytułową wypełniały wiadomości z Dublinu, gdzie w domu w Ballyfermot znaleziono ciała trzech członków radykalnego odłamu IRA. Czwarty z mężczyzn zaginął, prawdopodobnie został uprowadzony. Szukała go policja, jak też zapewne kompani z IRA Prawdziwej.

- Gangi narkotykowe - mruknął sprzedawca zza kontuaru.
- Okropne - przytaknął natychmiast klient z nierozpoznawalnym akcentem.

Wsunął gazetę do plecaka i po chwili wahania również papierosy. Potem ruszył z powrotem w stronę domu prawnika z Dublinu, który, jak się okazało, był powszechnie znienawidzony przez stałych mieszkańców Clifden. Drugi z mężczyzn, ten o skórze barwy rzemienia, uważnie słuchał południowych wiadomości w irlandzkim

RTÉ.

- Jesteśmy blisko. - To wszystko, co powiedział.
- Kiedy?
- Może dziś.

Niższy wyszedł na taras, gdy wyższy palił papierosa. Nad Clifden Bay nadciągał czarny sztorm, wiatr uderzał w ściany z siłą szrapneli. Pięć minut. Tyle zdołał wytrzymać. Wolał wrócić do środka w papierosowy dym i napiętą atmosferę oczekiwania. Nie czuł wstydu. Nawet mewy nie wytrzymały dłużej na tym tarasie.

Przez cały okres swojej długiej służby Gabriel wielokrotnie stykał się z terrorystami - palestyńskimi, egipskimi i saudyjskimi, motywowanymi względami religijnymi lub powodowanymi brakiem środków do życia, urodzonymi w slumsach arabskiego świata lub też wzrosłymi w komforcie zachodniej cywilizacji. Często zastanawiał się, kim byliby ci ludzie, gdyby wybrali inną drogę. Wielu z nich odznaczało się nieprzeciętną inteligencją, toteż patrząc w ich nieprzejednane oczy, myślał czasem o nieodkrytych lekach ratujących życie, nieskomponowanej muzyce i nienapisanych wierszach.

Ale Liam Walsh nie budził w nim takich refleksji. Był bezwzględny, prymitywny mordercą, którego jedyne ambicje sprowadzały się do niszczenia życia i cudzej własności. W jego przypadku terrorizm, nawet przy niskich standardach twardego irlandzkich republikanów, był najlepszą karierą, o jakiej mógł marzyć.

Człowiek ten jednak nie znał lęku i posiadał naturalną odporność, która nie pozwalała go złamać. Pierwsze czterdzieści osiem godzin spędził w całkowitej izolacji od świata, w wilgotnym chłodzie piwnicy, z zalepionymi oczami i ustami, ogłuszony przez zatycki w uszach i skrępowany taśmą. Nie otrzymywał pokarmu, tylko wodę, lecz jej nie przyjął. Keller pozwalał mu zaspokajać potrzeby fizjologiczne, które były minimalne, zważywszy na ograniczoną dietę. W razie konieczności zwracał się do Walsh z akcentem protestanckiej klasy robotniczej wschodniego Belfastu. Nie proponował mu jednak wyjścia z sytuacji, w której się znalazł, a tamten o to nie prosił. Widział, jak jego trzech kumple zginęli w parę sekund i zrezygnowany zdał się na swój los. Zarówno komandosi SAS jak irlandzcy terroryści i gangsterzy narkotykowi wyznawali zasady dużych chłopców.

Rankiem trzeciego dnia, udręczony pragnieniem, wypił kilka łyków ciepłej wody. W południe dostał herbatę z mlekiem i cukrem,

a wieczorem herbatę i grzanekę. Dopiero wtedy Keller po raz pierwszy przemówił dłużej.

- Siedzisz po szyję w gównie, Liam - zaczął z akcentem mieszkańca wschodniego Belfastu - ale mogę cię z tego wyciągnąć, jeśli powiesz prawdę.

- Kim jesteś? - wymamrotał Walsh mimo bólu złamanej szczęki.

- To zależy wyłącznie od ciebie - odparł Keller. - Jeśli zaczniesz mówić, będę twoim najlepszym przyjacielem. Jeśli nie, skończysz jak twoi kumple.

- Co chcesz wiedzieć?

- Omagh - odpowiedział Keller.

Rankiem czwartego dnia wyjął mu zatyczki z uszu i knebel z ust, po czym przystąpił do omówienia sytuacji, w jakiej Walsh się znalazł. Oświadczył, że sam jest członkiem małej obywatelskiej grupy protestantów domagającej się sprawiedliwości dla ofiar republikańskiego terroryzmu. Zasugerował, że są powiązani z UVF\*, paramilitarnym ugrupowaniem lojalistów, które zamordowało co najmniej pięćset osób, głównie katolików, w okresie największego nasilenia konfliktu północnoirlandzkiego. UVF uznało wprawdzie zawieszenie broni w 1994 roku, ale ich murale przedstawiające uzbrojonych i zamaskowanych mężczyzn wciąż zdobiły ściany protestanckich osiedli i miast w Ulsterze. Większość proklamowała hasło: „Przygotowani na pokój, gotowi do wojny”. To samo można było rzec o Kellerze.

\* Ulster Volunteer Force (ang.) - Oddziały Ochotników z Ulsteru (przyp. red.).

- Szukam tego, który zbudował bombę - wyjaśnił. - Wiesz, o jakiej bombie mówię, Liam. Tej, która zabiła dwadzieścia dziewięć niewinnych osób w Omagh. Byłeś tam tego dnia. Byłeś z nim w samochodzie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Byłeś tam, Liam - powtórzył Keller - i kontaktowałeś się z nim potem, kiedy rozwalono wasz ruch. Przyjechał tu, do Dublina. Troszczyłeś się o niego do czasu, kiedy zrobiło się za gorąco.

- To nieprawda. Nic z tego nie jest prawdą.

- On znów wrócił do akcji, Liam. Powiedz mi, gdzie go szukać.

Słucham.

Walsh przez chwilę milczał.

- A jeśli powiem?

- Na jakiś czas cię zamkną, długi czas, ale będziesz żył.

- Pieprz się - prychnął Walsh.

- Nie ty nas obchodzisz, Liam - odparł spokojnie Keller - tylko

on. Powiedz, gdzie go znaleźć, a pozwolimy ci żyć. Ale nie rznij durnia, bo cię zabiję. I nie będzie to uprzejmy strzał w głowę. To zaboli, Liam. Mocno.

Tego popołudnia nawałnica rozszalała się nad całą Connemara. Gabriel usiadł przy kominku, czytając Fitzgeralda, podczas gdy Keller przemierzał smagane wichurą tereny, wypatrując oznak wzmożonej aktywności policji. Liam nadal tkwił w piwnicy, związany, zakneblowany, oślepiiony i ogłuszony. Nie dostawał płynów ani pokarmu. Tego wieczoru tak osłabł z głodu i odwodnienia, że Keller niemal niósł go do toalety.

- Ile jeszcze? - spytał Gabriel przy kolacji.
- Coraz bliżej.
- Już to mówiłeś.

Keller milczał.

- Czy można by coś zrobić, żeby to przyspieszyć? Chciałbym się stąd wynieść, zanim Garda zapuka do drzwi.

- Albo IRA Prawdziwa - dodał Keller.
- No więc?
- Wciąż wytrzymuje ból.
- A co z wodą?
- Woda jest zawsze dobra.
- Czy on wie?
- Wie.
- Potrzebujesz pomocy?
- Nie. - Keller wstał. - To sprawa osobista.

Kiedy odszedł, Gabriel wyszedł na taras i stał tam, chłostany deszczem.

Wytrzymał pięć minut. Nawet taki twardziel jak Liam Walsh nie wytrzyma tej ulewy dłużej.



# 15

*Thames House, Londyn*

W każdy piątek, zazwyczaj o szóstej wieczór, choć czasem nieco później, jeśli jakiś kryzys dotknął Londyn lub resztę świata, Graham Seymour spotykał się na drinka z Amandą Wallace. Była dyrektorem generalnym MI5, a wcześniej jego szefową. Wstąpili do MI5 w tym samym roku i równolegle pięli się w służbowej karierze - on w sekcji antyterrorystycznej, ona w kontrwywiadzie.

W końcu jednak to Amanda wygrała wyścig do fotela dyrektora generalnego, ale teraz, całkiem nieoczekiwanie i na dodatek u zmierzchu kariery, Seymour otrzymał największe z możliwych wyróżnień. Stał się bowiem najważniejszym szpiegiem w Londynie. Amanda znenawidziła go za to i po cichu starała się jak mogła podkopywać go na każdym kroku.

Tak jak on miała szpiegostwo we krwi. Jej matka w czasie wojny pracowała w archiwum MI5 i Amanda po ukończeniu Cambridge nie wyobrażała sobie innego zajęcia niż praca w wywiadzie. Wspólnota pasji i zainteresowań powinna zbliżyć ją do Seymoura, tymczasem widziała w nim tylko rywała. Był przystojnym draniem, który zbyt łatwo odnosił sukcesy, ona zaś, niezręczna i raczej nieśmiała, pragnęła go prześcignąć. Znali się od trzydziestu lat i oboje wspięli się na szczyty kariery w wywiadzie brytyjskim, jednak charakter ich relacji nigdy nie uległ zmianie.

W poprzedni piątek Amanda odwiedziła go w Vauxhall Cross, co oznaczało, że zgodnie z zasadami teraz Seymour ma się wybrać do niej. Nie wzdragał się zbytnio. Lubił wracać do Thames House. Jego służbowy jaguar wjechał na podziemny parking za pięć szóstą, a dwie

minuty później winda zawiozła go na najwyższe piętro. W korytarzu panowała taka cisza jak nocą na szpitalnym oddziale, uznał zatem, że kierownictwo brata się z szeregowymi służbami w jednym z dwóch komfortowo urządzonych barów mieszczących się w budynku. Jak zwykle zatrzymał się, by zerknąć do swego dawnego gabinetu. Miles Kent, który objął po nim funkcję zastępcy szefa wydziału, tępo wpatrywał się w terminal komputerowy. Wyglądał, jakby co najmniej od tygodnia nie spał.

- Jakie nastroje? - spytał czujnie Seymour.

- Jakby ją ktoś przypiekał na wolnym ogniu. Lepiej się pospiesz - dodał. - Królowa nie lubi czekać.

Ruszył korytarzem w stronę biura dyrektora generalnej. Jeden z członków wyłącznie męskiego personelu Amandy przywitał go w poczekalni i niezwłocznie wprowadził do jej dużego gabinetu. Stała w zadumie przed oknem wychodzącym na budynki Parlamentu. Obracając się, zerknęła na zegarek. Punktualność ceniła ponad wszystko.

- Graham - odezwała się beznamiętnie, jakby czytała jego nazwisko z grubej księgi raportów, jednej z tych, jakie asystenci przygotowywali dla niej przed ważnymi spotkaniami. Potem obdarzyła go zawodowym uśmiechem. Wydawało się, że opanowała go, ćwicząc przed lustrem. - Dobrze, że wpadłeś.

Na lśniącym stole konferencyjnym stała taca z alkoholami. Amanda przygotowała dla niego dzin z tonikiem, a dla siebie wytrawne martini z oliwkami i koktajlowymi cebulkami. Chlubiła się swoją mocną głową, która, jak twierdziła, jest niezbędna w pracy szpiega, a w jej przypadku stanowiła jedną z nielicznych ujmujących cech.

- Zdrowie. - Seymour lekko uniósł szklankę, ale ona tylko się uśmiechnęła. Z wielkiego płaskiego telewizora cicho płynęły wiadomości BBC. Wysokiej rangi funkcjonariusz Gardy Síochána stał przed małym domem w Ballyfermot, gdzie znaleziono ciała trzech mężczyzn - członków gangu narkotykowego wywodzących się z IRA Prawdziwej.

- Dość drastyczne - stwierdziła.

- Najwyraźniej wojna o terytorium - mruknął znad brzegu szklanki.

- Nasi przyjaciele z Gardy mają wątpliwości.

- Coś wiedzą?

- Właściwie to nic, i dlatego się niepokoją. Zazwyczaj po gangsterskich egzekucjach telefony rozgrzewają się do białości, ale

nie tym razem. No i jeszcze - dodała - chodzi o sposób, w jaki zginęli. Na ogół gangsterzy rozwalają z automatów wszystko co popadnie, tutaj jednak ktoś działał bardzo precyzyjnie. Trzy strzały, trzy ciała. Ci z Gardy uważają, że to zawodowiec.

- Czy podejrzewają, gdzie może być Walsh?
- Działają z założeniem, że gdzieś na terenie Republiki, ale nie mają pojęcia gdzie. - Spojrzała na Seymoura i uniosła brwi.

- Nie jest przywiązany do krzesła w jakiejś kryjówce MI6, Grahamie?

- Niestety.

Spojrzał na ekran, ale BBC zmieniła już temat. Premier Jonathan Lancaster przybył do Waszyngtonu na spotkanie z amerykańskim prezydentem. Nie przebiegło tak pomyślnie, jak oczekiwał. Wielka Brytania nie była w tej chwili pupilkiem Waszyngtonu, a w każdym razie Białego Domu.

- Twój przyjaciel - zauważyła chłodno Amanda.
- Amerykański prezydent?
- Jonathan.
- Twój też - odparł.
- Nasze stosunki z premierem są bardzo serdeczne - odrzekła z naciskiem - ale nie mogą równać się z waszymi. Ty i Jonathan jesteście jak syjamscy bracia.

Było oczywiste, że chciała powiedzieć więcej na temat szczególnej więzi łączącej go z premierem. W końcu jednak dołała sobie martini i opowiedziała pikantną plotkę na temat żony pewnego ambasadora z emiratów arabskich. Seymour odwzajemnił się uzyskaną niedawno informacją o pewnym mężczyźnie mówiącym z brytyjskim akcentem, który poszukiwał ręcznych wyrzutni rakietowych na targu broni w Libii. Po przełamaniu lodów wdali się w lekką rozmowę z gatunku tych, jakie potrafią prowadzić tylko asy wywiadu. Dzielili się wiedzą, zdradzali sekrety, doradzali sobie nawzajem, a dwukrotnie nawet wybuchnęli śmiechem. W tych krótkich chwilach można by przypuszczać, że ich rywalizacja nie istnieje. Rozmawiali o sytuacji w Iraku i Syrii, mówili o Chinach, ekonomii globalnej i jej wpływie na poziom bezpieczeństwa, komentowali również działania amerykańskiego prezydenta, przypisując mu odpowiedzialność za wiele światowych problemów. Na koniec przeszli do Rosjan. Ostatnio zawsze to robili.

- Ich cyberwojownicy - rzekła Amanda - chcą zniszczyć nasze instytucje finansowe za pomocą wszystkiego, co mają w tym swoim paskudnym małym przyborniku. Próbują również atakować system administracyjny i sieci komputerowe największych dostawców naszej

armii.

- Mają jakiś konkretny cel?  
- W gruncie rzeczy wydaje się, że nie. Po prostu usiłują wyrządzić tyle szkód, ile to możliwe. Nigdy nie widzieliśmy takiej bezmyślności.

- Dostrzegacie jakieś istotne zmiany ich zachowań tutaj, w Londynie?

- D4 obserwuje wyraźny wzrost aktywności w londyńskiej rezydenturze. Nie jesteśmy pewni, co to znaczy, ale jest oczywiste, że przygotowują coś poważnego.

- Bardziej niż wepchnięcie do łóżka premiera nielegalnej rosyjskiej imigrantki?

Amanda uniosła brwi, śledząc wzrokiem oliwkę pływającą przy brzegu szklanki. Na ekranie pojawiła się twarz księżnej. Rodzina informowała, że utworzono fundusz do wspierania spraw szczególnie bliskich jej sercu. Pierwszą darowiznę złożył Jonathan Lancaster.

- Wiesz coś nowego?

- O księżnej?

Skinęła głową.

- Nic. A ty?

Odstawiła drinka i przez długą chwilę przyglądała mu się w milczeniu. W końcu zapytała:

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że to był Eamon Quinn?

Stukając paznokciem w oparcie fotela, czekała na odpowiedź. Nie wróżyło to dobrze. Seymour uznał, że nie ma wyboru. Musi wyznać prawdę, a przynajmniej podać jakąś jej wersję.

- Nie powiedziałem - odezwał się w końcu - bo nie chciałem cię w to wciągać.

- Bo mi nie ufasz?

- Bo nie chcę, żebyś się tym splamiła.

- Dlaczego miałabym się tym splamić? W końcu to ty. Grahamie, nie ja, byłeś szefem antyterroryzmu podczas zamachu w Omagh.

- I dlatego to ty zostałeś szefem służb bezpieczeństwa. - Zamilkł, po czym dodał: - A nie ja.

Zapadła pełna napięcia cisza. Chciał wyjść, lecz nie mógł. Sprawę należało jakoś rozwiązać.

- To Quinn działał z ramienia Prawdziwej IRA - spytała w końcu - czy ktoś inny?

- Za kilka godzin powinniśmy wiedzieć.

- Kiedy Liam Walsh w końcu pęknie?

Seymour nie odpowiedział.

- Działacie z upoważnienia MI6?
- O tym nie wie nikt.
- No tak, to twoja specjalność - rzekła z sarkazmem. - Pewnie pracujesz z Izraelczykami. Przecież chcieli wyeliminować Quinna już dawno temu.

- Szkoda, że nie skorzystaliśmy z tej oferty.
- Co wie Jonathan?
- Nic.

Cicho zakłęła, co zdarzało się nader rzadko.

- Zamierzam dać ci w tej sprawie wiele swobody - odezwała się w końcu. - Nie ze względu na ciebie, ale dla dobra służb. Oczekuję jednak uprzedzenia, gdyby wasza operacja miała się rozszerzyć na teren brytyjski. A jeśli coś nie wypali, zrobię wszystko, żeby to twoja głowa spadła, nie moja. - Uśmiechnęła się. - Jasne?

- Nie spodziewałbym się niczego innego.
- No to bardzo dobrze. - Spojrzała na zegarek. - Niestety muszę już iść. Grahamie. Za tydzień u ciebie?

- Już się cieszę. - Seymour wstał i wyciągnął rękę. - Było mi bardzo miło, Amando.

# 16

*Clifden, hrabstwo Galway*

Przenieśli go z piwnicy na górę z oczami wciąż zalepionymi taśmą i po raz pierwszy pozwolili wziąć prysznic. Potem przebrali w błękitno-biały dres i dali coś do jedzenia, a także nieco herbaty z cukrem i mlekiem. Jego wygląd nie uległ jednak zmianie. Wychudzony, opuchnięty i śmiertelnie blady wyglądał, jakby wstał z mar.

Po posiłku Keller powtórzył swoje ostrzeżenie. Walsh może liczyć na dobre traktowanie, jeśli jasno i uczciwie odpowie na zadane pytania. Jeśli zaś będzie kłamał, kręcił, krzyczał lub próbował uciekać, wróci do piwnicy, a warunki, jakie go tam czekają, będą znacznie mniej przyjemne niż dotychczas. Gabriel milczał, ale Walsh, któremu lęk i ślepotą wyostrzyły słuch, wyraźnie czuł jego obecność. Gabriel nie miał obiekcji. Nie chciał, by Walsh nabrał przeświadczenia, że nadzór nad nim sprawuje tylko jeden człowiek, nawet gdyby należał do najbardziej niebezpiecznych na świecie.

Keller nie był formalnie wyszkolony w technikach przesłuchiwania, ale z fachowością śledczego wyrobił w Walshu nawyk prawdziwych odpowiedzi, bez wahań i uników. Początkowo zadawał proste pytania, tak by móc szybko zweryfikować odpowiedzi. Data urodzenia. Miejsce urodzenia. Imiona rodziców i rodzeństwa. Szkoły, do jakich uczęszczał. Data rekrutacji do IRA.

Walsh zeznał, że urodził się w Ballybay w hrabstwie Monaghan 16 października 1972 roku. Miejsce jego urodzenia miało pewne znaczenie, gdyż znajdowało się trzy kilometry od Irlandii Północnej, w pełnym napięć regionie pogranicza. Równie znacząca była data. W tym samym dniu 1890 roku urodził się bowiem Michael Collins,

założyciel IRA. Do osiemnastego roku życia, kiedy to wstąpił do armii, Walsh uczęszczał do szkoły katolickiej. Werbujący go nie próbował upiększać przyszłości, jaka czeka ochotnika. Nie krył, że otrzyma nędzny żołd, że wciąż będzie ryzykował życie i - co niemal pewne - spędzi wiele lat w więzieniu. Wielce też prawdopodobne, że zginie gwałtowną śmiercią.

- Jak nazywał się ten werbujący? - spytał Keller z ulsterskim akcentem.

- Nie wolno mi mówić.

- Teraz już wolno.

- Seamus McNeil - odparł Walsh po chwili wahania. - Był...

- Członkiem Brygady Południowego Armagh - dokończył Keller. - Zginął w zasadzce z rąk brytyjskich żołnierzy i został pochowany przez IRA z należnymi honorami, niech spoczywa w pokoju.

- W gruncie rzeczy - rzekł Walsh - zginął w trakcie nawałania z SAS.

- Nawałanki są dla gangsterów i kowboi - odparł Keller. - Ale miałeś mi opowiedzieć o szkoleniach.

Walsh zastosował się do tego polecenia. Wyślano go do obozu w głębi Irlandii na kurs obsługi broni ręcznej i szkolenie z konstrukcji i podkładania bomb. Miał zakaz picia alkoholu oraz kontaktów z kimkolwiek, kto nie był członkiem IRA. W końcu, sześć miesięcy od daty rekrutacji, został wcielony do elitarniej jednostki operacyjnej IRA. Należał do niej również najlepszy konstruktor bomb i taktyk operacyjny, niejaki Eamon Quinn. Choć zaledwie kilka lat od Walshu starszy, już stał się legendą. W 1980 roku odbył szkolenie w jednym z pustynnych obozów Libii. Okazało się jednak, jak utrzymywał Walsh, że to Quinn, nie Libijczycy, skonstruował najwięcej bomb. I to on podarował im projekt bomby, która wybuchła na pokładzie samolotu Pan Am, rejs 103, nad Lockerbie w Szkocji.

- Brednie - stwierdził Keller.

- Jak uważasz.

- Kto jeszcze był w tym obozie?

- Głównie członkowie PLO\* i faceci z któregoś jej odłamu.

\* Palestinian Liberation Organization (ang.) - Organizacji Wyzwolenia Palestyny (przyp. red.).

- Którego?

- Chyba z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny.

- Widzę, że znasz palestyńskie ugrupowania terrorystyczne.

- Mamy wiele wspólnego z Palestyńczykami.

- Na przykład?

- Tak jak oni jesteśmy okupowani przez rasistowskie potęgi kolonialne.

Keller spojrział na Gabriela, który obojętnie oglądał swoje dłonie. Walsh, wciąż z zawiązanymi oczami, zdawał się wyczuwać narastające w pokoju napięcie. Szalejący na zewnątrz wiatr łomotał w drzwi i okna, jakby chciał wdrzeć się do środka.

- Gdzie ja jestem? - spytał Walsh.
- W piekle - odparł Keller.
- Co mam zrobić, żeby stąd wyjść?
- Mówić dalej.
- Co chcecie wiedzieć?
- Zacznijmy od szczegółów twojej pierwszej operacji.
- To było w dziewięćdziesiątym trzecim.
- Miesiąc?
- Kwiecień.
- Ulster czy Anglia?
- Anglia.
- Miasto?
- Jedyne, które się liczy.
- Londyn?
- Tak.
- Bishopsgate?

Walsh przytaknął. Bishopsgate...

W marcu w miejscowości Newcastle-under-Lyme w Staffordshire zniknęła wywrotka marki Ford Iveco. Przewieziono ją do wynajętego magazynu i przemalowano na kolor ciemnoniebieski. Następnie Quinn umieścił w niej bombę - tonę azotanu amonu i oleju napędowego. Sporządził ładunek w południowym Armagh i przemycił go do Anglii. Rankiem 24 kwietnia Walsh wjechał ciężarówką do Londynu i zaparkował przy Bishopsgate 99, przed siedzibą banku HSBC. Wybuch strzaskał szyby o łącznej wadze ponad pięciuset ton, spowodował zawalenie się kościoła i śmierć fotoreportera. Rząd brytyjski zareagował otoczeniem londyńskiego centrum finansowego kordonek bezpieczeństwa nazwanym „stalowym pierścieniem”.

Nic sobie z tego nie robiąc, IRA powróciła do Londynu w lutym 1996 roku z kolejną bombą zaprojektowaną i zbudowaną przez Eamona Quinna. Tym razem cel stanowiło Canary Wharf w dzielnicy Docklands. Wybuch był tak silny, że zadrzały szyby w odległości ponad siedmiu kilometrów. Premierzy Wielkiej Brytanii i Irlandii



szybko ogłosili podjęcie rozmów pokojowych. Osiemnaście miesięcy później, w lipcu 1997 roku, IRA zgodziła się na zawieszenie broni.

- I tu strasznie daliśmy ciała - oświadczył Walsh.

- A kiedy później, jesienią, nastąpił w ruchu rozłam - mówił dalej Keller - dołączyłeś do McKevitta i Bernadette Sands?

- Nie. - Walsh potrząsnął głową. - Pracowałem z Eamonem Quinnem.

Od samego początku, ciągnął Walsh, IRA Prawdziwa była naszpikowana informatorami z MI5 i Crime and Security, tajnej sekcji Gardy Síochána do spraw przestępczości i bezpieczeństwa, działającej w zakamuflowanych lokalach dublińskiego Phoenix Park. Mimo to jednak grupa Quinna zdołała dokonać serii ataków bombowych, w tym potężnego zamachu w Banbridge pierwszego sierpnia 1998. Bombę, która ważyła pięćset funtów, ukryto w czerwonym vauxhall cavalierze. Zakodowane ostrzeżenia telefoniczne były niedokładne. Nie podawały miejsca i czasu detonacji. W rezultacie zamachu trzydzieści trzy osoby zostały poważnie ranne, w tym dwóch funkcjonariuszy ulsterskiej policji, a fragmenty vauxhalla znajdowano jeszcze w odległości sześciuset metrów.

- To była - skończył Walsh - zapowiedź nadchodzących atrakcji.

- Omagh - rzekł spokojnie Keller.

Nie odpowiedział.

- Byłeś w grupie operacyjnej?

Walsh przytaknął.

- W którym samochodzie? - spytał Keller. - Tym z bombą, w zwiadowczym czy ewakuacyjnym?

- Wiozłem bombę.

- Jako kierowca czy pasażer?

- Miałem prowadzić, ale w ostatniej chwili to się zmieniło.

- Kto kierował?

Walsh zawahał się, a potem odrzekł:

- Quinn.

- Skąd ta zmiana?

- Powiedział, że jest bardziej zdenerwowany niż zwykle i że prowadzenie go uspokoi.

- Ale to nie był prawdziwy powód, co, Liam? Quinn chciał wziąć sprawę w swoje ręce. Unicestwić proces pokojowy.

- Mówił, że to kula w łeb.

- Miał zostawić bombę przed sądem?

- Taki był plan.

- Czy choć próbował tam zaparkować?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Ruszył prosto na Lower Market Street i zaparkował przed S.D. Kells.

- Dlaczego nic nie zrobiłeś?
- Próbowałem go powstrzymać, ale nie słuchał.
- Mogłeś lepiej się postarać.
- Widzę, że nie znasz Eamona Quinna.
- Gdzie był samochód ewakuacyjny?
- Na parkingu supermarketu.
- A kiedy już się tam znaleźliście...?
- Zatelefonował na drugą stronę granicy.
- Cegły są w murze.

Walsh skinął głową.

- Czemu nikomu nie powiedziałeś, że bomba znajduje się w innym miejscu?

- Gdybym otworzył usta, Quinn by mnie zabił. A poza tym - dodał - było już za późno.

- A po wybuchu?
- Zrobił się niezły pieprznik.

Śmierć i zniszczenie wzbudziły falę oburzenia po obu stronach granicy i na świecie. IRA Prawdziwa wyraziła ubolewanie i ogłosiła zawieszenie broni, ale to nie miało już znaczenia. Ruch poniósł nieodwracalną klęskę. Walsh zamieszkał w Dublinie, by dopatrzeć interesów Prawdziwej IRA w rozkwitającym handlu narkotykami. Quinn zniknął z pola widzenia.

- Gdzie się ukrył?
- W Hiszpanii.
- Co tam robił?
- Leżał na plaży, aż skończyły mu się pieniądze.
- A wtedy?
- Zadzwoił do starego kumpla i powiedział, że chce wrócić do gry.

- Co to za kumpel?

Walsh zawahał się, a potem odrzekł:

- Muammar Kaddafi.

*Clifden, hrabstwo Galway*

- Nie był to sam Kaddafi - dodał szybko - ale jego zausznik z wywiadu libijskiego.

Zbliżyli się z Quinnem w pustynnym obozie szkoleniowym dla terrorystów. Walsh tłumaczył, że Quinn potrzebował azylu, a libijski agent za zgodą dyktatora udzielił mu schronienia w swoim kraju. Mieszkał w otoczonej murem willi w ekskluzywnej dzielnicy Trypolisu i wykonywał sporadyczne zadania dla libijskich służb bezpieczeństwa. Był też częstym gościem w podziemnym bunkrze Kaddafiego, gdzie raczył przywódcę opowieściami o walce z Brytyjczykami. Z czasem Kaddafi wprowadził Quinna w krąg swych regionalnych sojuszników o nie najlepszej reputacji.

Nawiązał wtedy kontakty z wszystkimi podejrzanymi elementami na kontynencie: lokalnymi dyktatorami, watażkami, najemnikami, przemytnikami diamentów, a także islamskimi bojownikami różnej maści. Poznał również pewnego rosyjskiego handlarza bronią, który dostarczał uzbrojenie i amunicję na tereny wszystkich rebelii i wojen domowych w Afryce Subsaharyjskiej. Człowiek ten zgodził się również wysłać mały kontener z karabinami AK47 i plastikiem wybuchowym na potrzeby IRA Prawdziwej. Walsh odebrał dostawę w Dublinie.

- Czy pamiętasz, jak się nazywał ten libijski agent? - spytał Keller.

- Przedstawiał się jako Abu Muhammad.

Keller spojrzała na Gabriela, który wolno skinął głową.

- A rosyjski handlarz?

- Iwan Charkow. Zginął w Saint-Tropez kilka lat temu.
- Jesteś pewien, Liam, że to był Iwan?
- A kto inny? Iwan kontrolował cały handel bronią w Afryce i zabijał każdego, kto próbował wejść mu w drogę.
- A willa w Trypolisie? Wiesz, gdzie była?
- Stała w dzielnicy, którą nazywają al-Andalus.
- Przy jakiej ulicy?
- Via Canova. Numer dwadzieścia siedem - dodał. - Ale nie trać czasu. Quinn wyjechał z Libii lata temu.
- Co się stało?
- Kaddafi postanowił się poprawić. Zrezygnował z programu zbrojeń i oznajmił Amerykanom i Europejczykom, że pragnie normalizacji wzajemnych stosunków. Tony Blair wymienił z nim uścisk dłoni w namiocie koło Trypolisu, a BP otrzymała prawo do odwiertów na libijskiej ziemi. Nie pamiętasz?
- Pamiętam, Liam.
- Najwyraźniej - ciągnął Walsh - brytyjski wywiad wiedział, że Quinn ukrywa się w Trypolisie. Szef MI6 naciskał na Kaddafiego, żeby się go pozbył, a dyktator na to przystał. Zwrócił się wówczas do kilku ze swych sprzymierzeńców w Afryce, by przyjęli Quinna, ale spotkał się z odmową. Skontaktował się zatem z jednym ze swych największych przyjaciół i załatwił sprawę. Tydzień później wręczył Quinnowi własnoręcznie podpisany egzemplarz swej „Zielonej książki” i wsadził go do samolotu.
- A przyjaciel, który zgodził się przyjąć Quinna?
- Tylko jeden wchodził w rachubę.

Przyjacielem był Hugo Chávez, prezydent Wenezueli, sprzymierzeniec Rosji, Kuby i mułłów z Teheranu - soli w oku Ameryki. Chávez uznawał się za przywódcę światowych ruchów rewolucyjnych i prowadził niemal jawnie obóz szkoleniowy dla terrorystów i lewicowych rebeliantów na wyspie Margarita. Quinn szybko stał się gwiazdą. Pracował dla każdego, począwszy od peruwiańskiego Świetlistego Szlaku aż po Hamas i Hezbollah, dzieląc się sekretami morderczego fachu, który doskonalił w czasie długoletnich zmagania z Brytyjczykami.

Chávez, tak jak wcześniej Kaddafi, traktował Quinna dobrze. Oddał mu do dyspozycji nadmorską willę i wyposażył w paszport dyplomatyczny, umożliwiając podróże po całym świecie. A poza tym dał mu nową twarz.

- Kto operował?
- Lekarz Kaddafiego.
- Ten Brazylijczyk?

Walsh przytaknął.

- Przyjechał do Caracas i zrobił operację w tamtejszym szpitalu.

Poddał Quinna pełnej rekonstrukcji. Jego stare zdjęcia są teraz bezwartościowe. Nawet ja z trudem go rozpoznałem.

- Widziałeś się z nim w Wenezueli?

- Dwa razy.

- Byłeś w tym obozie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie miałem prawa wstępu. Widziałem się z nim na kontynencie.

- Mów dalej, Liam.

Rok po przybyciu Quinna do Wenezueli wysokiej rangi funkcjonariusz irańskich służb wywiadowczych VEVAK dyskretnie odwiedził wyspę. Nie przybył tam jednak na spotkanie ze swymi sojusznikami z Hezbollahu. Przyjechał spotkać się z Quinnem. Spędził na wyspie tydzień, a gdy wyruszył z powrotem do Teheranu, Quinn pojechał z nim.

- Dlaczego?

- Irańczycy chcieli, żeby skonstruował dla nich broń.

- Jaką?

- Taką, której Hezbollah mógłby użyć w starciu z izraelskimi czołgami i pojazdami opancerzonymi w południowym Libanie.

Keller spojrzął na Gabriela, który kontemplował rysę na suficie. Walsh, nieświadomy tożsamości swego małego audytorium, mówił dalej.

- Irańczycy umieścili Quinna w fabryce broni w Lavizan, na przedmieściach Teheranu. Zbudował tam typ broni przeciwpancernej, nad którą pracował od lat. W wyniku eksplozji powstawała ognista kula, która mknęła z prędkością trzystu metrów na sekundę i otaczała płomieniami pancierz zbliżającego się pojazdu. Hezbollah użył tej broni przeciw Izraelczykom latem 2006 roku. Ich czołgi płonęły niczym zapalka. Wyglądało to jak holocaust.

Keller znów przeciągle spojrzął na Gabriela, który tym razem wpastrywał się wprost w Liama Walsha.

- A kiedy skończył projektować broń przeciwpancerną?

- Pojechał do Libii, żeby pracować z Hezbollahem.

- Co robił?

- Głównie bomby przydrożne.
- A potem?
- Irańczycy wysłali go do Jemenu, gdzie pracował z Al-Kaidą na Półwyspie Arabskim.
- Nie wiedziałem, że między Irańczykami i Al-Kaidą były powiązania.
- Czy ktoś ci to powiedział?
- Keller wzruszył ramionami.
- Gdzie on teraz jest?
- Nie mam pojęcia.
- Kłamiesz, Liam.
- Nie kłamię. Przysięgam, że nie wiem, gdzie jest i dla kogo pracuje.
- Kiedy widziałeś go ostatnio?
- Sześć miesięcy temu.
- Gdzie?
- W Hiszpanii.
- To duży kraj, Liam.
- Na południu w Sotogrande.
- To ulubione miejsce Irlandczyków.
- Wygląda jak Dublin, tyle że jest słońce.
- Gdzie się spotkaliście?
- W małym hoteliku obok przystani.
- Czego chciał?
- Żebym dostarczył przesyłkę.
- Jaką przesyłkę?
- Pieniądze.
- Dla kogo?
- Dla jego córki.
- Nie wiedziałem, że był żonaty.
- Mało kto wie.
- Gdzie jest ta córka?
- W Belfaście ze swoją matką.
- Mów dalej, Liam.

Połączone służby wywiadu brytyjskiego zebrały stopy materiałów na temat życia i działań Eamona Quinna, ale nigdzie w ich przepastnych aktach nie figurowała najmniejsza wzmianka o żonie i dziecku.

To nie takie dziwne, wyjaśnił Walsh. Quinn, mistrz strategii operacyjnej, włożył wiele wysiłku w to, by otoczyć swą rodzinę tajemnicą. Walsh twierdził, że uczestniczył w ceremonii ślubu Quinna, a później, w latach gdy ten działał za granicą jako gwiazda

międzynarodowego terroryzmu, pomagał rodzinie w sprawach finansowych. Przesyłka, którą Walsh otrzymał w hiszpańskim kurorcie Sotogrande, zawierała sto tysięcy funtów w używanych banknotach. Była to największa jednorazowa kwota, jaką Quinn powierzył swemu staremu kumpłowi.

- Dlaczego dał aż tyle? - spytał Keller.
- Powiedział, że to ostatnia wypłata na dłuższy czas.
- Wyjaśnił dlaczego?
- Nie.
- Nie pytałeś?
- Wolałem nie.
- I dostarczyłeś całą kwotę?
- Co do pensa.
- Nie zatrzymałeś dla siebie jakiejś małej sumki za usługę?

Przecież Quinn by się o tym nie dowiedział.

- Widać, że nie znasz Eamona Quinna.

Keller zapytał jeszcze, czy Quinn kiedykolwiek przekradł się do Belfastu, żeby zobaczyć rodzinę.

- Nigdy.
- A one naprawdę nigdy nie wyjeżdżały za granicę, żeby się z nim spotkać?
- Bał się, że Brytyjczycy będą je śledzić. A poza tym - dodał - już by go nie poznały. Miał nową twarz. Stał się kimś innym.

Powrócili zatem do tematu operacji, która zmieniła powierzchowność Quinna. Gabriel i Keller dysponowali materiałem z Saint Barthélemy, który udostępnili im Francuzi - kilkoma ujęciami z kamer na lotnisku i kilkoma ziarnistymi fotografiami z zewnętrznych kamer bezpieczeństwa. Ale na żadnym z nich twarz Quinna nie była wyraźnie widoczna. Zasłaniały ją czarna czupryna i broda. Był kimś, kogo szybko się zapomina. Liam Walsh stwarzał szansę na uzupełnienie portretu Quinna, gdyż pół roku wcześniej siedział naprzeciw niego w pokoju hotelowym w Hiszpanii.

W razie konieczności Gabriel wykonywał portrety pamięciowe, ale nigdy na podstawie opisu świadka z zawiązanymi oczami. Uważał to za niemożliwe. Keller tymczasem wyjaśnił, jak rzecz ma przebiegać.

- Jest tu jeszcze ktoś - poinformował Walsh. - Człowiek, który równie dobrze posługuje się szkicownikiem i ołówkiem, jak bronią i pięściami. Nie jest Irlandczykiem ani mieszkańcem Ulsteru.

Jemu właśnie Walsh miał opisać Quinna. Mógł patrzeć na szkic, ale pod żadnym pozorem nie wolno mu było spojrzeć na twarz

rysownika.

- A jeśli zrobię to niechący?
- Nie rób.

Keller zerwał mu taśmę z oczu. Walsh kilkakrotnie zamrugał, a potem spojrział wprost na postać siedzącą po przeciwnej stronie stołu. Mężczyzna miał przed sobą szkicownik, a obok niego leżało pudełko z kolorowymi ołówkami.

- Właśnie złamałeś zasadę - rzekł spokojnie.
- Chcesz wiedzieć, jak wygląda, czy nie?

Gabriel wziął do ręki ołówek.

- Zacznijmy od oczu.
- Są zielone - powiedział Walsh. - Jak twoje.

Pracowali bez przerwy przez następne dwie godziny. Walsh opisywał, Gabriel szkicował. Walsh korygował, Gabriel poprawiał. W końcu, o północy, portret był gotowy. Brazylijski chirurg plastyczny wykonał dobrą robotę. Dał Quinnowi twarz pozbawioną jakichkolwiek godnych zapamiętania, charakterystycznych cech. Gabriel zdołałby ją jednak rozpoznać, gdyby spotkał Quinna na ulicy.

Jeśli nawet Walsh był ciekaw, kim jest ów zasłonięty szkicownikiem mężczyzna o zielonych oczach, nie dał tego po sobie poznać. Nie bronił się także, gdy Keller ponownie zalepił mu taśmą oczy, ani gdy Gabriel wstrzykiwał środek uspokajający, który miał go uspić na kolejne kilka godzin. Nieprzytomnego wsadzili do worka marynarskiego, po czym wytarli każdy przedmiot i powierzchnię, których mogliby wcześniej dotknąć. Potem wrzucili Walsha do bagażnika i wsiadli do skody. Prowadził Keller. To był jego teren.

Jechali pustą drogą w nierównomiernym deszczu; rześista ulewa przeradzała się w gęstą mżawkę. Keller palił papierosa za papierosem, słuchając wiadomości radiowych. Gabriel patrzył przez okno na czarne wzgórza i chłostane wiatrem bagna oraz wrzosowiska, lecz w tej chwili jego myśli całkowicie pochłaniał Eamon Quinn.

Od czasu ucieczki z Irlandii ten człowiek współdziałał z najgroźniejszymi ugrupowaniami na świecie. Być może dyktowało mu to sumienie lub przekonania polityczne, choć Gabriel wątpił. Był przekonany, że dla Quinna nie miało to znaczenia. Podążał tą samą drogą, którą wcześniej wytyczyli Carlos i Abu Nidal. Był terrorystą najemnikiem, zabijał na zlecenie potężnych protektorów. Ale kto mu płacił? I kto zlecił zabójstwo księżnej?

Gabriel miał długą listę potencjalnych podejrzanych, teraz jednak



przede wszystkim należało odnaleźć Quinna. Liam Walsh wymienił wystarczająco dużo miejsc do szukania, żadne jednak nie budziło większych nadziei niż dom w Belfaście Zachodnim. Gabriel w głębi duszy chciał szukać gdzie indziej, gdyż nie uznawał ataków na żony i dzieci. Ale Quinn nie zostawił im wyboru.

Przy wschodnim końcu Hillary Harbor Keller skręcił w gruntową drogę i jechał nią, aż dotarł do terenu gęsto porośniętego wrzosami i kolcolistem. Zatrzymał się na niewielkiej polanie, zgasił światła i wyłączył silnik, po czym nacisnął dźwignię zwalnającą zatrask bagażnika. Gabriel sięgnął do klamki, jakby chciał wysiąść i podnieść klapę, lecz Keller go powstrzymał.

- Zaczekaj - powiedział tylko, nim otworzył drzwi i stanął w deszczu.

W tym czasie Walsh zdążył już odzyskać przytomność. Gabriel słuchał, jak Keller mu wyjaśnia, co teraz nastąpi. Ponieważ zgodził się współdziałać, odzyska wolność, pod żadnym warunkiem nie wolno mu jednak rozmawiać na ten temat ze współnikami. I niech nie próbuje ostrzegać Quinna. Jeśli to zrobi, będzie martwy.

- Czy to jasne, Liam?

Gabriel usłyszał, jak Walsh mruknął coś twierdząco. Potem poczuł, że tył skody lekko się unosi, gdy Keller pomagał Irlandczykowi wygramolić się z bagażnika. Po chwili wieko opadło. Walsh, podtrzymywany pod łokieć przez Kellera, lecz nadal z taśmą na oczach, poczłapał w gąszcz wrzosów. Przez chwilę słychać było jedynie wiatr i deszcz, a potem w głębi wrzosowiska dwukrotnie błysnęło przytłumione światło.

Po chwili pojawił się Keller, wcisnął się za kierownicę, włączył silnik i tyłem wyjechał na drogę. Gabriel patrzył w okno, podczas gdy radio nadawało wiadomości z niespokojnego świata. Tym razem nie zapytał Kellera, jak się czuje. To była sprawa osobista. Zamknął oczy i zasnął, a gdy się obudził, dzień już wstał i właśnie przekraczali granicę Irlandii Północnej.

*Omagh, Irlandia Północna*

Pierwszym miastem po drugiej stronie granicy było Aughnacloy. Keller zatrzymał się na stacji benzynowej nieopodal pięknego kościoła z kamienną elewacją, po czym wjechał na A5, kierując się na północ do Omagh, tak samo jak zrobili Quinn i Liam Walsh 15 sierpnia 1998 roku. Było kilka minut po dziewiątej, gdy dotarli od południa na przedmieścia.

Deszcz ustał i w szczelinie między chmurami ukazało się słońce. Zostawili samochód obok budynku sądu i ruszyli do kafejki przy Lower Market Street. Keller zamówił tradycyjne irlandzkie śniadanie, ale Gabriel poprosił tylko o herbatę i pieczywo. Przelotnie spojrzął w lustro i przeraziło go własne odbicie. Uznał jednak, że Keller wygląda jeszcze gorzej. Miał zapadnięte oczy otoczone czerwonymi obwódkami, a jego twarz domagała się gwałtownie maszynki do golenia. Nic jednak w jej wyrazie nie wskazywało na to, że kilka godzin wcześniej zabił człowieka na wrzosowiskach hrabstwa Mayo.

- Dlaczego tu jesteśmy? - spytał Gabriel, patrząc, jak pierwsi poranni przechodnie, głównie właściciele sklepików, spieszą przez lśniące wilgocią chodniki.

- To przyjemne miejsce.
- Byłeś tu kiedyś?
- Nawet kilkakrotnie.
- W jakim celu?
- Spotykałem się z informatorem.
- Z IRA?
- Mniej więcej.

- Gdzie on teraz jest?
- Na cmentarzu Greenhill.
- Co się stało?

Keller odtworzył ręką kształt pistoletu i przyłożył lufę do skroni.

- IRA? - spytał Gabriel.

Keller wzruszył ramionami.

- Mniej więcej.

Gdy podano śniadanie, Keller rzucił się na posiłek, jakby nie jadł od wielu dni, Gabriel natomiast apatycznie skubał pieczywo. Na niebie chmury zdawały się igrać ze światłem - to jaśniał poranek, to znów nadciągał zmierzch. Gabriel wyobraził sobie tę ulicę pod grubą warstwą potłuczonego szkła, wśród którego walają się ludzkie szczątki. Spojrzał na Kellera i ponownie zapytał, po co przyjechali do Omagh.

- Na wypadek gdybyś miał wątpliwości.
- Co do czego?

Keller spojrział na resztki śniadania i odparł:

- Co do Liama Walsh.

Gabriel milczał. Po drugiej stronie ulicy kobieta bez ręki, z twarzą pokrytą bliznami po oparzeniach, usiłowała otworzyć drzwi sklepu z odzieżą. Pomyślał, że może jest jedną z ofiar. Było ich ponad dwieście - mężczyźni, kobiety, nastolatki, małe dzieci. W obliczu zamachu bombowego politycy i prasa niemal wyłącznie skupiają uwagę na zabitych. Świat szybko zapomina o rannych - tych ze spaloną skórą i wspomnieniami tak strasznymi, że żadne terapie ani leki nie są w stanie przywrócić im spokoju. Tak wyglądają sukcesy człowieka, którym jest Eamon Quinn, mężczyzny, który sprawił, że kula ognia mknęła z szybkością trzystu metrów na sekundę.

- No i?
- Nie - odparł Gabriel. - Nie mam wątpliwości.

Przed kafejką stanął czerwony vauxhall sedan. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Gabriel poczuł, że krew napływa mu do twarzy, gdy patrzył, jak się oddalają. Potem spojrział na samochód, jakby czekał, aż zapalnik czasowy w schowku osiągnie zero.

- Co byś zrobił? - spytał nagle.
- Z czym?
- Gdybyś wtedy wiedział, gdzie ta bomba jest.
- Próbowałbym ich ostrzec.
- A gdyby miała zaraz eksplodować? Ryzykowałbyś życie?

Nim Keller zdołał odpowiedzieć, kelnerka położyła na stole rachunek. Gabriel zapłacił gotówką, wsunął rachunek do kieszeni i

wyszedł za swym towarzyszem na ulicę. Budynek sądu stał po prawej stronie, Keller natomiast skręcił w lewo i poprowadził Gabriela obok kolorowych sklepów i witryn w stronę wieży z błękitno-zielonego szkła, która górowała nad chodnikiem niczym kamień nagrobny. Był to pomnik ku czci ofiar zamachu, wzniesiony dokładnie w miejscu, gdzie nastąpiła eksplozja. Stali tam przez chwilę, nie odzywając się ani słowem, mijani przez spieszących gdzieś przechodniów. Większość z nich odwracała wzrok.

Po przeciwnej stronie ulicy jakaś jasnowłosa kobieta w okularach słonecznych podniosła do oczu smartfon, jakby chciała zrobić zdjęcie. Keller szybko obrócił się do niej tyłem. Gabriel też.

- Więc co byś zrobił, Christopher?

- W sprawie bomby?

Gabriel przytaknął.

- Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby przeprowadzić ludzi w bezpieczne miejsce.

- Nawet gdybyś miał zginąć?

- Nawet wtedy.

- Skąd masz pewność?

- Bo inaczej nie umiałbym dalej żyć.

Gabriel przez chwilę milczał, a potem cicho powiedział:

- Będiesz dobrym agentem MI6, Christopher.

- Agenci MI6 nie zabijają terrorystów i nie porzucają ich ciał na odludziu.

- Nie - zgodził się Gabriel. - Tylko najlepsi.

Obejrzał się przez ramię. Kobieta ze smartfonem zniknęła.

Od czasu gdy Christopher Keller ostatnio był w Belfaście, upłynęło dwadzieścia pięć lat. Centrum miasta pod jego nieobecność bardzo się zmieniło. W gruncie rzeczy gdyby nie kilka stałych punktów, takich jak Opera i hotel Europa, z trudnością by je poznał. Nie było już brytyjskich żołnierzy patrolujących ulice ani wojskowych punktów obserwacyjnych na szczycie wyższych budynków. Nie było też lęku na twarzach przechodniów idących Great Victoria Street. Miasto wyraźnie się podzieliło ze względu na różnice religijne, a w bardziej radykalnych dzielnicach wciąż pojawiały się prowokacyjne murale. Ale w większości przypadków ślady długiej i krwawej wojny uległy zatarciu. Belfast reklamował się jako turystyczna mekka. I z jakiegoś powodu, pomyślał Keller, turyści faktycznie tu przyjeżdżali.

Jedną z głównych atrakcji miasta była dzwięczna muzyka cel-

tycka, która powróciła tu po zakończeniu wojny. Większość barów i pubów, z których dobiegały dźwięki śpiewu i instrumentów, znajdowała się przy ulicach w pobliżu katedry św. Anny. Lokal Tommy'ego O'Boyle'a mieścił się przy Union Street na parterze starej wiktoriańskiej kamienicy z czerwonej cegły. Nie wybiło jeszcze południe i drzwi były zamknięte. Keller nacisnął kciukiem przycisk interkomu i szybko odwrócił się plecami do kamery monitoringu. Nie słysząc odpowiedzi, nacisnął ponownie.

- Zamknięte - rozległ się czyjś głos.
- To widzę - odparł akcentem Belfastu.
- Czego chcesz?
- Pogadać z Billym Conwayem.

Na parę sekund zapadła cisza.

- Jest zajęty.
- Na pewno znajdzie dla mnie czas.
- Jak się nazywasz?
- Michael Connelly.
- Nic mi to nie mówi.
- Powiedz mu, że pracowałem kiedyś w pralni Sparkle Clean

przy tej ulicy.

- Od dawna jest zamknięta.
- Chcemy znowu otworzyć interes.

Ponownie zaległa cisza, po czym głos powiedział:

- Bądź miłym chłopcem i pokaż mi twarz.

Keller się zawahał, ale spojrzął w obiektyw kamery. Dziesięć sekund później zamek odskoczył. Drzwi były otwarte.

- Wejdz - polecił głos.
- Wołę zostać tutaj.
- Jak chcesz.

Nad chodnikiem przefrunęła płachta gazety mieciona zimnym wiatrem znad rzeki Lagan. Keller podniósł kołnierz płaszcza, myśląc o zalanym słońcem tarasie z widokiem na korsykańską dolinę. Wydawała się teraz tak daleka, jakby ją widział kiedyś we śnie. Nie potrafił już przywołać zapachu gór ani twarzy dona. Był znów Christopherem Kellerem. Wrócił do gry.

Usłyszał stuknięcie, a gdy się obrócił, drzwi stały otworem. W wąskim przejściu stał niski chudy mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Miał na twarzy siwy zarost i niewiele włosów na głowie. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie zobaczył ducha. I poniekąd tak było.

- Witaj, Billy - rzekł przyjaźnie Keller. - Miło cię znów widzieć. Naprawdę.

- Myślałem, że nie żyjesz.
- Bo tak jest. - Położył mu rękę na ramieniu. - Przejdź się ze mną, Billy. Czas pogadać.

*Great Victoria Street, Belfast*

Musieli pójść gdzieś, gdzie nikt ich nie rozpozna. Billy Conway zaproponował amerykańską kafejkę z donatami przy Great Victoria Street. Nikt nigdy nie widział tam na żywo człowieka z IRA. Zamówił dwie duże kawy i wskazał pusty stolik w głębi, obok wyjścia awaryjnego. To była choroba wszystkich mieszkańców Belfastu. Nie siadaj zbyt blisko okna, bo na ulicy może wybuchnąć bomba. Zawsze zapewnij sobie drogę ucieczki, na wypadek gdyby jakieś niepożądane osoby pojawiły się w drzwiach frontowych. Keller usiadł tyłem do sali. Conway obserwował innych gości znad brzegu swego kubka.

- Powinieneś wcześniej zadzwonić - powiedział. - Omal nie dostałem zawału.

- Zgodziłbyś się ze mną zobaczyć?

- Nie - odparł Billy. - Myślę, że nie.

Keller się uśmiechnął.

- Zawsze byłeś prawdomówny, Billy.

- Za bardzo. Pomogłem ci wepchnąć wielu do więzienia Maze. - Na chwilę zamilkł, po czym dodał: - A także wielu do piachu.

- To było dawno.

- Nie tak znowu dawno. - Oczy Conwaya niespokojnie lustrowały wnętrze lokalu. - Zdrowo mnie maglowali po twoim wyjeździe z miasta. Powiedzieli, że podałeś im moje nazwisko w tym domu na farmie w południowym Armagh.

- Nie podałem.

- Wiem. - Conway pokiwał głową. - Nie żyłbym już, gdybyś mnie wydał, prawda?

- Nie miałbyś szans, Billy.

Oczy Conwaya znów rozpoczęły swą wędrówkę. Pomógł uratować życie niezliczonej rzeszy ludzkich istot i zapobiec zniszczeniom wielomilionowej wartości. A w nagrodę, pomyślał Keller, nieustannie oczekiwał na kulę z rąk egzekutora. IRA była jak słoń, nigdy nie zapominała. I na pewno nie wybaczała informatorom.

- Jak interes? - spytał Keller.

- W porządku. A co u ciebie?

Keller niezobowiązująco wzruszył ramionami.

- Czym się teraz zajmujesz, Michaelu Connelly?

- Nieważne.

- Przypuszczam, że to nie jest twoje prawdziwe nazwisko.

Keller zrobił minę, która potwierdzała jego przypuszczenia.

- Gdzie się nauczyłeś tak mówić?

- Jak?

- Jak jeden z nas - odparł Conway.

- Pewnie mam talent.

- Masz także inne talenty - dodał Conway. - Wtedy, na tej farmie, było ich czterech na ciebie jednego, i mimo to nie mieli szans.

- W rzeczywistości - rzekł Keller - było ich pięciu.

- Kto piąty?

- Quinn.

Zapadła cisza.

- Odważny z ciebie gość, skoro tu przyjechałeś po tylu latach - odezwał się po chwili Conway. - Jeśli się dowiedzą, że jesteś w mieście, to po tobie. Bez względu na wszystkie porozumienia.

Drzwi kafejki się otworzyły i kilkoro turystów, Duńczycy albo Szwedzi - Keller nie umiał zdecydować - weszło z ulicy do środka. Conway zmarszczył brwi i dopił kawę.

- Przewodnicy oprowadzają ich po mieście i pokazują miejsca najbardziej krwawych wydarzeń. A potem przychodzą z nimi tu, do Tommy ego O'Boyle'a, żeby sobie posłuchali muzyki.

- To dobre dla interesu.

- Pewnie tak. - Spojrzał na Kellera. - Czy dlatego wróciłeś? Żeby zrobić sobie wycieczkę wojennym szlakiem?

Keller patrzył, jak turyści gęsiego wychodzą na ulicę. Potem spojrział na Conwaya i zapytał:

- Kto cię przesłuchiwał po moim wyjeździe z Belfastu?

- Quinn.

- Gdzie to było?

- Nie bardzo wiem. Właściwie to niewiele pamiętam poza no-



zem. Mówił, że wydlubie mi oczy, jeśli się nie przyznam, że jestem angielskim szpiegiem.

- Co mu powiedziałaś?

- Oczywiście zaprzeczyłem. I chyba błagałem go o życie. Wydawało się, że sprawia mu to przyjemność. Zawsze był z niego kawał sukinsyna.

Keller wolno pokiwał głową, jakby właśnie usłyszał słowa głębokiej prawdy.

- Słyszałeś o Liamie Walshu? - spytał Conway.

- Trudno nie słyszeć.

- Jak myślisz, czyja to robota?

- Garda mówi, że chodzi o narkotyki.

- Garda to popaprańcy.

- Co o tym wiesz?

- Wiem, że ktoś wszedł do domu Walsh w Dublinie i bez mrugnienia okiem zabił trzech twardzieli. - Conway zamilkł, a potem spytał: - Coś ci to mówi?

Keller nie odpowiedział.

- Po co tu wróciłeś?

- Quinn.

- Nie znajdziesz go w Belfaście.

- Wiedziałaś, że ma tu żonę i córkę?

- Dotarły do mnie pogłoski, ale nie wiem, jak się nazywa.

- Maggie Donahue.

Conway w zamyśleniu skierował wzrok na sufit.

- To możliwe.

- Znasz ją?

- Wszyscy znają Maggie.

- Pracuje?

- Po drugiej stronie ulicy, w hotelu Europa. W gruncie rzeczy - dodał, zerkając na zegarek - pewnie teraz tam jest.

- A dziecko?

- Chodzi do szkoły Sióstr Miłosierdzia. Musi mieć już z szesnaście lat.

- Wiesz, gdzie one mieszkają?

- Niedaleko Crumlin Road w Ardoyne.

- Potrzebuję adresu, Billy.

- Nie ma problemu.

*Ardoyne, Belfast Zachodni*

Ustalenie adresu Maggie Donahue nie zajęło Billy'emu nawet pół godziny. Mieszkała przy Stratford Gardens 8 ze swym jedynym dzieckiem, córką Catherine, którą tak nazwano na cześć matki Quinna. Sąsiedzi nie byli świadomi pochodzenia imienia dziecka, choć większość przypuszczała, że nieobecny mąż Maggie, żywy czy umarły, musiał należeć do IRA. Przypuszczali także, że był dysydem, jednym z tych, którzy nie chcieli uznać kompromisowego Porozumienia Wielkopiątkowego.

W Ardoyne powszechnie przeważały nastroje rebelianckie. W okresie największego nasilenia konfliktu Królewska Policja Ulsteru uznała tę dzielnicę za zbyt niebezpieczną, by ją patrolować, a nawet tam wkraczać. Ponad dekadę od zawarcia porozumienia pokojowego wciąż była sceną zamieszek oraz starć między katolikami i protestantami.

Niezależnie od pieniędzy otrzymywanych od męża Maggie utrzymywała się z pracy w barze najczęściej bombardowanego w świecie hotelu Europa. Tego popołudnia miała pecha. Musiała sprostać szczególnym wymaganiom jednego z gości. Był nim niejaki Herr Johannes Klemp. Wedle hotelowej karty meldunkowej mieszkał na stałe w Monachium, lecz jego praca, najwyraźniej mająca coś wspólnego z projektowaniem wnętrz, wiązała się z licznymi wyjazdami. Jak wielu klientom, którzy często podróżowali, dość trudno było mu dogodzić. Tym razem chodziło o lunch, który okazał się prawdziwą katastrofą. Sałata była zwiędła, kanapka za zimna, a mleko do kawy skwaśniałe. Co gorsza, wyraźnie upodobał sobie nieszczęsną istotę,

której zadaniem było zaspokajanie kapryśków gości. Jego banalne próby nawiązania z nią rozmowy nie sprawiały jej przyjemności. Tak jak większości kobiet.

- Długi dzień? - zaczął, gdy ponownie nalewała mu kawy do filiżanki.

- To dopiero początek.

Uśmiechnęła się ze znużeniem. Miała kruczoczarne włosy, mleczną cerę, wielkie niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe. Kiedyś musiała być ładna, ale teraz jej rysy się zaostrzyły. Przypuszczał, że to Belfast dodał jej lat. A może, pomyślał po chwili, jej urodę zmarnował Quinn.

- Jesteś stąd? - zapytał.

- Wszyscy są stąd.

- Ze wschodu czy z zachodu?

- Zadaje pan wiele pytań.

- Jestem po prostu ciekaw.

- Czego?

- Belfastu - odparł.

- Dlatego pan tu przyjechał? Z powodu ciekawości?

- Niestety z powodu pracy. Ale mam resztę dnia dla siebie, więc pomyślałem, że pójdę obejrzeć miasto.

- Dlaczego nie wynajmie pan przewodnika? Oni mają dużą wiedzę.

- Wolałbym się zabić.

- Znam to uczucie. - Jej ironiczny ton zdawał się od niego odbijać niczym kamyk rzucony w pancerny pociąg. - Czy jeszcze czegoś pan sobie życzy?

- Mogłabyś wziąć sobie wolne i pokazać mi miasto.

- Nie mogę - odparła krótko.

- O której kończysz?

- O ósmej.

- Wpadnę tu na drinka i opowiem ci, co robiłem.

Uśmiechnęła się smutno.

- Będę tutaj.

Zapłacił gotówką i wyszedł na Great Victoria Street, gdzie Keller czekał za kierownicą skody. Na tylnym siedzeniu leżał owinięty celofanem bukiet kwiatów. Dołączona do niego mała koperta była starannie zaadresowana na nazwisko Maggie Donahue.

- O której wychodzi? - spytał Keller.

- Powiedziała, że o ósmej, ale może chce mnie wykiwać.
- Mówiłem, żebyś starał się być sympatyczny.
- W moim DNA zabrakło sympatii dla żon terrorystów.
- Ona może nie wiedzieć.
- Skąd jej mąż miał sto tysięcy funtów w używanych banknotach?

Keller nie odpowiedział.

- A co z dziewczyną? - spytał Gabriel.
- Jest do trzeciej w szkole.
- A potem?
- Grają w hokeja na trawie z Belfast Model School.
- To protestanci?
- W większości.
- Może być ciekawie.

Keller milczał.

- To co robimy?
- Zawieziemy kwiaty ma Stratford Gardens numer osiem.
- A potem?
- Potem zerknijemy do środka.

Wcześniej jednak postanowili objechać miasto śladem burzliwej przeszłości Kellera. Minęli stare Divis Tower, gdzie mieszkał wśród ludzi z IRA jako Michael Connelly, a potem zamkniętą pralnię przy Falls Road, gdzie tenże Michel Connelly badał odzież, szukając śladu materiałów wybuchowych. Jadąc dalej tą samą drogą, minęli żelazną bramę cmentarza Milltown, gdzie Elizabeth Conlin, kobieta, którą Keller potajemnie kochał, spoczywała w grobie wykopanym przez Eamona Quinna.

- Nigdy tu nie byłeś? - spytał Gabriel.
- To zbyt niebezpieczne. - Keller pokręcił głową. - IRA obserwuje groby.

Z Milltown, mijając osiedle Ballymurphy, wyjechali na Springfield Road. Wzdłuż jej północnej granicy wznosiła się barykada, która oddzielała enklawę protestancką od sąsiadującej z nią katolickiej. Pierwsze z tak zwanych linii pokoju pojawiły się w Belfaście w 1969 roku jako tymczasowe rozwiązanie konfliktów wyznaniowych i próba powstrzymania przelewu krwi. Teraz stały się trwałym elementem architektury miasta, przy czym ich liczba, długość i skala wyraźnie wzrosły od czasu Porozumienia Wielkopiątkowego. Przy Springfield Road wznosiła się przezroczyista zielona

ściana wysokości około dziesięciu metrów, natomiast przy Cuper Way, w szczególnie skonfliktowanej części Ardoyne, powstał prawdziwy mur berliński - betonowa konstrukcja zwieńczona drutem kolczastym. Mieszkańcy obu stron pokryli ją muralami. Przypominała ścianę oddzielającą Izrael i Zachodni Brzeg.

- Czy to ci przypomina pokój? - spytał Keller.

- Nie - odparł Gabriel. - To mi przypomina dom.

W końcu o wpół do drugiej skręcili w Stratford Gardens. Numer osiem, podobnie jak sąsiednie domy, był piętrowym budynkiem z czerwonej cegły. Miał białe drzwi i pojedyncze okna na parterze oraz piętrze. Ogródek z frontu porastały chwasty, zielony pojemnik na śmieci leżał wywrócony przez wiatr. Keller zatrzymał się przy krawężniku i zgasił silnik.

- Interesujące - odezwał się Gabriel, przeciągając głoski - czemu Quinn wolał luksusową willę w Wenezueli niż to miejsce.

- Obejrzałeś drzwi?

- Pojedynczy zamek bez rygla.

- Ile czasu ci to zabierze?

- Pół minuty - odparł Gabriel. - Mniej, jeśli pozwolisz mi zostawić te idiotyczne kwiaty.

- Musisz wziąć kwiaty.

- Wołałbym spluwę.

- Ja biorę spluwę.

- A jeśli w środku siedzi paru kumpli Quinna?

- Udasz katolika z Belfastu Zachodniego.

- Raczej mi nie uwierzą.

- To się postaraj - odrzekł Keller. - Inaczej jesteś trupem.

- Jeszcze jakieś cenne rady?

- Pięć minut, ani chwili dłużej.

Gabriel otworzył drzwi i ruszył w stronę domu. Keller cicho zaklął. Kwiaty wciąż leżały na siedzeniu.

# 21

*Ardoyne, Belfast Zachodni*

Mała irlandzka trzykolorowa flaga zwisała smętnie z oksydowanego uchwyty nad drzwiami. Była niczym marzenie o zjednoczonej Irlandii, wyblakła i postrzępiona. Gabriel poruszył klamką. Jak przypuszczał, drzwi były zamknięte na klucz. Wyciągnął z kieszeni cienkie metalowe narzędzie i techniką opanowaną jeszcze w młodości ostrożnie wsunął je w zamek. Wystarczyło zaledwie kilka sekund, by mechanizm się poddał. Gdy poruszył klamką po raz drugi, drzwi stanęły otworem. Wszedł do środka i cicho zamknął je za sobą. Nie rozległ się alarm, nie zaszczeakał pies.

Poranna poczta leżała w nieładzie na gołej podłodze. Pozbierał koperty, ulotki i ogłoszenia, po czym szybko je przejrzał. Wszystkie były adresowane do Maggie Donahue, z wyjątkiem magazynu mody nastolatków przeznaczonego dla jej córki. Nie było żadnej prywatnej korespondencji, jedynie zwykle reklamowe śmieci, które zapychają skrzynki pocztowe na całym świecie.

Wsunął do kieszeni wyciąg z karty kredytowej, a całą resztę rzucił z powrotem na podłogę. Potem wszedł do salonu.

Pokój był niewielki, kwadratowy. Jego powierzchnia wystarczała zaledwie na to, by zmieścić tu kanapę, szafkę z telewizorem i dwa fotele obite kwiecistą tkaniną. Na stoliku leżała sterta starych magazynów i lokalnych gazet, a także listy, otwarte i nieotwarte. Jednym z nich był biuletyn z apelem o wsparcie finansowe wysłany przez Ruch na Rzecz Suwerenności 32 Hrabstw, polityczne skrzydło IRA Prawdziwej. Gabriel zastanawiał się, czy jego nadawcy wiedzieli, że adresatka jest potajemnie zaślubioną żoną jednego z najbardziej

zasłużonych i utalentowanych konstruktorów bomb i ładunków wybuchowych przeznaczonych dla ich ugrupowania.

Wsunął list z powrotem do koperty, po czym położył ją na stoliku w poprzednim miejscu. Ściany pokoju były gołe z wyjątkiem wiszącego nad kanapą obrazu wzburzonego morza, zapewne nabytego gdzieś na pchlim targu. Na stoliku w rogu stała w ramce fotografia matki i córki wykonana w dniu jej Pierwszej Komunii w kościele Świętego Krzyża. Gabriel nie potrafił dopatrzeć się rysów Quinna w twarzy dziewczynki. Przynajmniej ma tyle szczęścia, jeśli już nic więcej, pomyślał.

Zerknął na zegarek. Od wejścia do domu upłynęło dziewięćdziesiąt sekund. Rozsunął cienkie zasłony i zobaczył samochód, który wolno sunął ulicą. Wewnątrz siedziało dwóch mężczyzn. Mijając skodę, uważnie przyjrzeni się Kellerowi. Potem ruszyli w górę Stratford Gardens i zniknęli za rogiem. Gabriel spojrzął na skodę. Wciąż miała zgaszone światła. Potem przeniósł wzrok na swój BlackBerry. Żadnych ostrzegawczych esemesów ani nieodebranych telefonów.

Opuścił zasłony i wszedł do kuchni. Na blacie stał kubek po kawie z odcisniętym na brzegu śladem kredki do ust. W zlewie moczyły się naczynia. Otworzył lodówkę. Była tam głównie pakowana żywność, żadnych warzyw ani owoców, jedynie wypita do połowy butelka białego włoskiego wina z Tesco. Zamknął lodówkę i zaczął otwierać szuflady. W jednej z nich znalazł czystą kremową kopertę, a wewnątrz ręcznie napisaną wiadomość od Quinna.

„Wpłacaj niewielkie ilości, żeby wyglądało to na pieniądze z napiwków. Ucałuj ode mnie C...”

Wsunął list do kieszeni, gdzie tkwił już wyciąg z karty kredytowej. Dwie i pół minuty. Wyszedł z kuchni i ruszył na górę.

Samochód wrócił o 13.37. Znowu wolno przejechał obok numeru osiem, ale tym razem zatrzymał się przy skodzie. Początkowo Keller udawał, że nie zwraca na to uwagi. Potem obojętnie opuścił szybę.

- Co tu robisz? - spytał kierowca z silnym akcentem Belfastu Zachodniego.

- Czekam na znajomą - odparł Keller, przybierając podobną intonację.

- Jak się nazywa?

- Maggie Donahue.

- A ty? - odezwał się pasażer w samochodzie.

- Gerry Campbell.

- Skąd jesteś, Gerry?
- Z Dublina.
- A przedtem?
- Z Derry.
- Kiedy wyjechałeś?
- Nie twój pieprzony interes.

Keller już się nie uśmiechał, podobnie jak mężczyźni w drugim samochodzie. Szyba się zasunęła. Wóz wolno ruszył cichą ulicą i po raz drugi zniknął za rogiem. Keller zastanawiał się, ile czasu minie, nim ustalą, że Maggie Donahue, sekretna żona Eamona Quinna, pracuje w tej chwili w barze hotelu Europa. Dwie minuty, pomyślał. Może mniej. Wyjął komórkę i zadzwonił.

- Lokalsi zaczynają się denerwować.
- Spróbuj dać im kwiaty.

Połączenie zostało przerwane. Keller włączył silnik i zacisnął dłoń na kolbie beretty. Potem spojrział w lusterko wsteczne, czekając na powrót samochodu.

Na piętrze znajdowało się dwoje drzwi. Gabriel wszedł do pokoju na prawo. Choć większy od drugiego, trudno byłoby go nazwać apartamentem pani domu. Ubrania leżały na podłodze i nieposłanym łóżku. Zasłony były starannie zsunięte. W mroku świeciły tylko czerwone cyfry budzika, który spieszył się dziesięć minut. Gabriel otworzył górną szufladę szafki przy łóżku i oświetlił zawartość swym maglitem. Wyschnięte długopisy, zużyte baterie, koperta zawierająca kilkaset funtów w używanych banknotach i kolejny list od Quinna. Wyglądało na to, że chce zobaczyć córkę. Nie informował, gdzie mieszka ani gdzie ma się odbyć ich spotkanie, ale list dowodził, że Liam Walsh kłamał, twierdząc, że Quinn nie miał kontaktów z rodziną od czasu ucieczki z Irlandii po zamachu w Omagh.

Gabriel dołączył list do swej małej kolekcji dowodów i otworzył szafę. Przeszukał ubrania i znalazł kilka rzeczy stanowiących bezsprzeczną własność mężczyzny. Możliwe, że Maggie Donahue pod nieobecność męża wzięła sobie kochanka. Możliwe również, że ubrania należały do Quinna. Wyjął parę wełnianych spodni i przyłożył do bioder. Przypomnił sobie, że Quinn miał niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu. Nie był bardzo wysoki, ale wyższy od niego. Przeszukał kieszenie. W jednej znalazł trzy euro i mały błękitno-żółty bilet, a raczej jego połowę. Zdołał odczytać z niego tylko cztery cyfry, 5846, nic więcej. Na odwrocie czernił się kilkucentymetrowy pasek



kodu.

Schował bilet do kieszeni, powiesił spodnie na wieszaku i wszedł do łazienki. W szufladzie na lekarstwa znalazł męskie brzytwy, krem po goleniu i dezodorant. Potem wyszedł na korytarz i i zajrzał do drugiego pokoju. Jeśli chodzi o ład, córka Quinna stanowiła przeciwieństwo matki. Łóżko było starannie zasłane, a ubrania równo powieszona w szafie. Gabriel przeszukał szuflady komody, ale nigdzie nie znalazł narkotyków, papierosów ani żadnego śladu spraw ukrywanych przed matką. Ani też śladu kontaktów z Eamonem Quinnem.

Sprawdził czas. Pięć minut. Podeszedł do okna i zobaczył, że samochód z dwoma mężczyznami wolno sunie ulicą. Gdy zniknął, jego BlackBerry zawibrował. Podniósł aparat do ucha.

- Czas minął - usłyszał głos Kellera.
- Jeszcze dwie minuty.
- Nie mamy dwóch minut. - Keller się rozłączył.

Gabriel rozejrzał się wokół. Umiał przeszukiwać pokoje zawodowców, ale nie sypialnie nastolatk. Zawodowcy potrafią dobrze ukryć różne rzeczy, pomyślał, nastolatki raczej nie. Zakładają, że dorośli są tępi, lecz zbytnia pewność siebie je w końcu gubi.

Wrócił do szafy i zaczął szukać w butach. Potem przekartkował magazyny mody, ale znalazł w nich tylko próbki perfum i oferty subskrypcji. Wreszcie przesunął palcem po niewielkim zbiorze książek. Była wśród nich historia konfliktu irlandzkiego napisana przez autora sympatyzującego z IRA oraz z irlandzkim nacjonalizmem. I właśnie tam, między kartkami, znalazł to, czego szukał: fotografię kilkunastoletniej dziewczyny obok mężczyzny w kapeluszu z szerokim rondem i ciemnych okularach. Pozowali na ulicy przed jakimiś starymi budynkami o wyblakłych elewacjach, może europejskimi, a może południowoamerykańskimi. Dziewczyną była Catherine Donahue. A mężczyzną obok jej ojciec, Eamon Quinn.

Kiedy Gabriel wyłonił się z domu numer osiem, na Stratford Gardens było spokojnie. Prześliznął się przez metalową bramę, podeszedł do skody i usiadł na fotelu obok kierowcy. Keller zaczął kluczyć nędznymi uliczkami katolickiej Ardoyne, aż wyjechał w końcu na Crumlin Road. Potem szybko skręcił w Cambrai Street i zwolnił. Ze słupów ulicznych lamp zwisały brytyjskie flagi. Bezpiecznie wrócili na protestanckie terytorium.

- Znalazłeś coś? - spytał w końcu Keller.

- Chyba tak.

- Co?

Gabriel uśmiechnął się i powiedział:

- Quinna.

## *Waring Street, Belfast*

- To może być ktokolwiek - zauważył Keller.
- Może - odparł Gabriel - ale nie jest. To Quinn.

Znajdowali się w pokoju Kellera w hoteliku Premier Inn przy Waring Street. Mieścił się w pobliżu hotelu Europa, ale w niczym go nie przypominał. Keller zameldował się jako Adrien LeBlanc i zwracając się do obsługi, mówił po angielsku z silnym akcentem francuskim. Gabriel szybko przeszedł przez ponury hol i nie odezwał się ani słowem.

- Jak myślisz, gdzie to może być? - Keller wpatrywał się w fotografię.

- Dobre pytanie.
- Nie ma żadnych napisów na budynkach ani samochodach.

Zupełnie jakby...

- Starannie wybrał miejsce.
- Może to Caracas?
- A może Santiago albo Buenos Aires.
- Byłeś tam kiedyś?
- Gdzie?
- W Buenos Aires - odparł Keller.
- Nawet kilka razy.
- W interesach czy dla przyjemności?
- Nie wiemam przyjemności.

Keller uśmiechnął się i ponownie spojrzał na zdjęcie.

- Wygląda mi trochę na stare centrum Bogoty.
- Muszę uwierzyć ci na słowo.

- A może to Madryt?
- Może.
- Pokaż mi ten bilet.

Gabriel mu go podał. Keller starannie przyjrzał się połówce biletu z jednej strony, a potem go obrócił i przesunął palcem po kodzie magnetycznym.

- Kilka lat temu - odezwał się w końcu - don przyjął zlecenie na pewnego dżentelmena. Facet ukradł sporo forsy ludziom, którzy tego nie lubią, i ukrywał się w mieście podobnym do tego z fotografii. Było stare, wyblakłe od słońca, leżało na wzgórzach i jeździły tam tramwaje.

- Jak się nazywał ten gość?
- Wolałbym nie mówić.
- Gdzie się ukrywał?
- Właśnie do tego zmierzam.

Keller znowu przyjrzał się skrawkowi.

- Ponieważ ów dżentelmen nie miał samochodu, wytrwale korzystał z transportu publicznego. Przez tydzień go śledziłem, nim zakończyłem sprawę, a to oznaczało, że również musiałem wytrwale korzystać z transportu publicznego.

- Rozpoznajesz ten bilet, Christopher?
- Być może.

Keller wziął telefon Gabriela, otworzył Google'a i wpisał coś w pasek wyszukiwarki. Gdy pojawiły się wyniki, kliknął na jeden z nich, po czym się uśmiechnął.

- Znalazłeś?

Obrócił aparat tak, by również Gabriel widział ekran. Była na nim widoczna kompletna wersja biletu, który znalazł w domu Maggie Donahue.

- Skąd pochodzi?  
- Z miasta wzgórz i tramwajów.  
- Chyba nie mówisz o San Francisco?  
- Nie - zaprzeczył Keller. - O Lizbonie.  
- Ale to nie dowód, że tam zrobiono zdjęcie - odezwał się po chwili Gabriel.

- Zgoda - odparł Keller. - Ale gdyby się okazało, że Catherine Donahue tam była...

Gabriel nie odpowiedział.

- Nie natknąłeś się czasem na jej paszport, kiedy byłeś w ich domu?

- Nie miałem tyle fartu.

- No więc trzeba pomyśleć, jak to sprawdzić.

Gabriel wziął BlackBerry i poprosił Grahama Seymoura w Londynie o informacje na temat wszystkich wyjazdów Catherine Donahue zamieszkałej w Irlandii Północnej, w Belfaście, przy Stratford Gardens 8. Godzinę później, gdy miasto spowił już gęsty mrok, otrzymali odpowiedź.

Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydało paszport 10 listopada 2013 roku. Tydzień później dziewczynka wsiadła na pokład samolotu British Airways lecącego z Belfastu na londyńskie Heathrow, gdzie po godzinie przesiadła się na kolejny samolot tych samych linii, tym razem lecący do Lizbony. Wedle portugalskich władz imigracyjnych przebywała w tym kraju zaledwie trzy dni. Była to jej jedyna podróż zagraniczna.

- Co jeszcze nie dowodzi, że Quinn tam wtedy mieszkał - zauważył Keller.

- Po co w takim razie miałyby ją ściągać do Lizbony? Czemu nie do Monako, Cannes albo St. Moritz?

- Może miał skąpy budżet?

- A może apartament w jakiejś uroczej starej kamienicy? Gdzieś, gdzie nikt nie zwraca uwagi na kręcącego się tam cudzoziemca.

- Znasz takie miejsca?

- Całe życie spędziłem w podobnych.

Keller przez chwilę milczał.

- I co teraz? - spytał w końcu.

- Moglibyśmy wziąć tę fotografię i mój portret pamięciowy, pojechać do Lizbony i zacząć pukać do różnych drzwi.

- Albo?

- Zlecić to komuś, kto specjalizuje się w znajdowaniu tych, którzy nie chcą być znalezieni.

- Masz kandydatów?

- Tylko jednego.

Gabriel podniósł aparat i połączył się z Elim Lavonem.

*Belfast - Lizbona*

Postanowili wyruszyć do Lizbony najbardziej okrężną drogą. Lepiej się nie spieszyć, stwierdził Gabriel. Lepiej starannie wszystko zaplanować i sprawdzić, czy ktoś ich nie śledzi. Po raz pierwszy Quinn był osiągalny. Nie jako pogłoska, lecz człowiek z krwi i kości. Stał na ulicy obok swojej córki. Można go było dopaść. A potem uwolnić od męki istnienia.

Opuścili Belfast tak, jak tu przybyli, cicho i pod fałszywym pozorem. *Monsieur LeBlanc* powiedział recepcjoniście w Premier Inn, że musi wyjechać ze względów rodzinnych. *Herr Klemp* sprzedał podobną historyjkę w hotelu Europa. Przechodząc przez hol, dostrzegł Maggie Donahue, sekretną żonę mordercy. Podawała właśnie podwójną porcję whiskey jakiemuś pijanemu biznesmenowi. Unikała wzroku Klempa, a on unikał jej oczu.

Dotarwszy do Dublina, zostawili samochód na lotnisku i wynajęli dwa pokoje w hotelu Radisson. Rano zjedli śniadanie w hotelowej restauracji jak dwaj nieznajomi, po czym osobnymi samolotami odlecieli do Paryża. Gabriel wybrał Aer Lingus, Keller - Air France. Pierwszy dotarł na miejsce Gabriel. Odnalazł na parkingu podstawionego tam citroena i zjechał na pas dla przylotów, czekając, aż Keller wyłoni się z terminalu.

Spędzili noc w Biarritz, gdzie Gabriel w akcie zemsty dokonał kiedyś zabójstwa, a następną w hiszpańskim mieście Vitoria, gdzie Keller na zlecenie don Antona Orsatiego zabił ongiś członka baskijskiej separatystycznej grupy ETA.\* Gabriel widział, jak związki Kellera z jego dawnym życiem z wolna słabną, jak z każdym mijają-

cym dniem coraz bardziej nęci go perspektywa współpracy z Grahamem Seymourem w MI6. Quinn rozpełtał ciąg wydarzeń, które zerwały związki Kellera z Anglią. Teraz, dwadzieścia pięć lat później, ten sam człowiek prowadzi go z powrotem do domu.

\*Euskadi Ta Askatasuna (bask.) - Baskonia i Wolność; baskijska organizacja polityczna walcząca o niepodległość metodami zbrojnymi (przyp. red.).

Z Vitorii wyruszyli do Madrytu, a z Madrytu wzdłuż portugalskiej granicy udali się do Badajoz. Keller się niecierpliwił, chciał wreszcie dotrzeć do Lizbony, ale uległ Gabrielowi i pojechali dalej na zachód, by skorzystać z ostatnich promieni słońca w Estoril.

Zatrzymali się w różnych hotelach nad plażą i prowadzili osobne życie mężczyzn bez żon, dzieci i obowiązków. Gabriel przez kilka godzin dziennie sprawdzał, czy nikt ich nie śledzi. Kusilo go, by wysłać wiadomość do Chiary w Jerozolimie, ale się powstrzymał. Nie skontaktował się również z Elim Lavonem.

Lavon, jeden z najbardziej skutecznych tropicieli w świecie, w młodości odnalazł członków Czarnego Września, sprawców masakry, której dokonano podczas Olimpiady w Monachium w 1972 roku. Po opuszczeniu Biura otworzył praktykę prywatną i tropił łupy zarobowane w czasie Holocaustu, a niekiedy niemieckich zbrodniarzy wojennych. Gdyby w Lizbonie istniał choć ślad Quinna - mieszkanie, pseudonim, jakaś żona czy dziecko - bez wątpienia by go znalazł.

Ale gdy minęły kolejne dwa dni bez żadnej wiadomości, nawet Gabriela zaczęły ogarniać wątpliwości. I nie wątpił w zdolności Lavona, lecz w realność związków Quinna z Lizboną. W końcu Catherine Donahue mogła tam pojechać z przyjaciółmi lub wycieczką szkolną. A spodnie, które znalazł w szafie Maggie Donahue, mogły należeć do innego mężczyzny, tak jak przedarty bilet na lizboński tramwaj. Powinniśmy szukać gdzie indziej, myślał. W Iranie, Libanie, Jemenie lub Wenezueli, albo w którymś z niezliczonych miejsc, gdzie Quinn uprawiał swój morderczy fach. Był człowiekiem podziemia. Potrafił ukryć się wszędzie.

Ale na trzeci dzień pobytu w Estoril otrzymał krótką, lecz obiecującą wiadomość od Eliego. Wynikało z niej, że poszukiwany pojawia się w Lizbonie. W południe Lavon był już tego pewny, a późnym popołudniem ustalił jego adres. Gabriel zatelefonował do Kellera i oznajmił, że mogą ruszać w drogę. Opuścili Estoril tak, jak tu przybyli, po cichu i pod fałszywym pozorem, i skierowali się do Lizbony.

- Z pisownią portugalską czy hiszpańską?
- Zależy od nastroju.

Eli Lavon się uśmiechnął. Siedzieli przy stoliku w Café Brasileira w lisbońskiej dzielnicy Chiado. Było wpół do dziesiątej i w kafejce panował tłok. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch mężczyzn w mocno średnim wieku zgarbionych w kącie nad filiżankami kawy. Rozmawiali cicho po niemiecku, w jednym z kilku języków, którym posługiwali się obaj. Gabriel mówił z berlińskim akcentem swojej matki, zaś w wymowie Lavona brzmiał wyraźny wiedeński zaśpiew. Lavon nosił kardigan pod wygniecioną tweedową marynarką, a na szyi zawiązał apaszkę. Miał przerzedzone, niedbale zaczesane włosy, zaś jego twarz o nijakich rysach była trudna do zapamiętania. Stanowiło to jeden z największych atutów Lavona. Sprawiał wrażenie życiowej ofiary, podczas gdy w rzeczywistości był rasowym drapieżnikiem. Nie zwracając niczyjej uwagi, z powodzeniem tropił wytrawnych agentów wywiadu i najbardziej niebezpiecznych terrorystów we wszystkich miejscach świata.

- Imię? - spytał Gabriel.
  - Czasem José. Kiedy indziej Jorge.
  - Narodowość?
  - Raz Wenezuelczyk, raz Ekwadorczyk. - Lavon się uśmiechnął.
- Czy zaczynasz widzieć w tym jakiś plan?
- Ale nigdy nie próbuje udawać Portugalczyka?
  - Nie zna dość dobrze języka. Nawet jego hiszpański jest raczej słaby. Podobno mówi z silnym akcentem.

Ktoś przy barze musiał powiedzieć coś śmiesznego, bo grzmiąca salwa śmiechu odbiła się od szachownicy płytek podłogi i wybrzmiała dopiero wysoko pod sufitem, gdzie kandelabry roztaczały złotą poświatę. Gabriel spojrzął za ramię Lavona i wyobraził sobie, że przy następnym stoliku siedzi Quinn. Ale to nie był Quinn, tylko Christopher Keller. Trzymał filiżankę kawy w prawej ręce. Prawa ręka oznaczała, że wszystko w porządku. Lewa zapowiadałaby kłopoty. Gabriel ponownie spojrzął na Lavona i zapytał, gdzie znajduje się mieszkanie Quinna. Lavon wskazał głową w kierunku Bairro Alto.

- Jaki to budynek?

Lavon wykonał gest wskazujący na wahanie między czymś, co jest znośne i czymś nie do przyjęcia.

- Portier?
- W Bairro Alto?
- Piętro?
- Pierwsze.



- Możemy tam wejść?  
- Dziwię się, że pytasz. Rzecz w tym - Lavon się zawahał - czy tego chcemy.

- A chcemy?

Pokręcił głową.

- Skoro udało się wpaść na trop kryjówki kogoś takiego jak Quinn, nie należy wyważać frontowych drzwi, ryzykując, że się spieprzy. Trzeba obrać punkt obserwacyjny i cierpliwie czekać, aż obiekt się pojawi.

- Jeśli brak innych okoliczności, które trzeba uwzględnić.

- Na przykład?

- Ryzyka kolejnej eksplozji bomby.

- Albo zbliżającego się porodu żony.

Gabriel zmarszczył brwi, lecz nie odpowiedział.

- Na wypadek, gdybyś się niepokoił - dodał Lavon - to czuje się dobrze.

- Jest zła?

- Jest w ósmym miesiącu ciąży, a jej mąż siedzi sobie w kawiarni w Lizbonie. Jaka według ciebie miałyby być?

- Jest bezpieczna?

- Narkiss Street to zapewne najlepiej strzeżona ulica w Jerozolimie. Uzi ani na chwilę nie zdejmuje stamtąd ochrony. - Przez chwilę się wahał, po czym dodał: - Ale żadna ochrona na świecie nie zastąpi męża.

Gabriel milczał.

- Mogę coś zasugerować?

- Jeśli musisz.

- Jedź do Jerozolimy na kilka dni. Twój przyjaciel i ja będziemy obserwować to mieszkanie. Jeśli Quinn się pojawi, dowiesz się o tym pierwszy.

- Jeśli pojedę do Jerozolimy - Gabriel pokręcił głową - już nie zechcę jej opuścić.

- Dlatego to sugerowałem. - Lavon dyskretnie odchrząknął, jakby ostrzegając, że naruszy jego prywatność. - Twoja żona pragnie, żebyś wiedział, że za miesiąc, a może mniej, znów zostaniesz ojcem. Chciałaby cię wtedy mieć przy sobie. W przeciwnym razie twoje życie straci sens.

- Czy powiedziała coś jeszcze?

- Chyba wspomniała o Eamonie Quinnie.

- Co takiego?

- Najwyraźniej Uzi przedstawił jej sytuację. Twoja żona nie lubi

facetów, którzy zabijają kobiety i dzieci. I dlatego chciałaby, żebyś odnalazł Quinna, zanim wrócisz do domu. A potem - dodał - chciałaby, żebyś go zabił.

Gabriel zerknął na Kellera i mruknął:

- To nie będzie konieczne.
- No tak. - Lavon pokiwał głową. - Masz farta.

Gabriel uśmiechnął się i wypił łyk kawy, patrząc, jak Lavon sięga do kieszeni płaszcza i wyjmuje srebrzysty pendrive. Położył go na stole i pchnął w jego stronę.

- Jak sobie życzyłeś, Biuro przekazuje ci akta Tariqa al-Houraniego urodzonego w Palestynie w czasie wielkiej arabskiej katastrofy\*, zastrzelonego na klatce schodowej apartamentowca na Manhattanie tuż przed zamachem na bliźniacze wieże. - Przerwał, po czym dodał: - O ile wiem, byłeś tam w tym czasie. Mnie jakoś nie zaprosili.

\* Mowa o pierwszej wojnie izraelsko-arabskiej 1948-49 (przyp. tłum.).

Gabriel w milczeniu patrzył na nośnik pamięci. Części tych akt nie chciał czytać ponownie. To właśnie Tariq al-Hourani pewnej śnieżnej nocy w styczniu 1991 roku podłożył w Wiedniu bombę pod jego samochód. Eksplozja zabiła jego syna, Daniego, i okaleczyła Leah, pierwszą żonę. Leah przebywała teraz w szpitalu psychiatrycznym w pobliżu Wzgórza Herzla, zamknięta w więzieniu własnej pamięci i poparzonego przez ogień ciała. Gdy był u niej ostatnio, powiedział, że wkrótce znów zostanie ojcem.

- Myślałem - rzekł cicho Lavon - że znasz te akta na pamięć.  
- Znam - Gabriel kiwnął głową - ale chciałbym sobie przypomnieć pewien fragment jego życiorysu.

- Który?
- Okres, który spędził w Libii.
- Masz jakieś przeczucia?
- Może.
- Czy coś jeszcze chciałbyś mi powiedzieć?
- Cieszę się, że tu jesteś, Eli.

Lavon powoli zamieszał kawę.

- A więc choć jeden z nas jest zadowolony.

Wyszli przez słynne zielone drzwi kawiarni Brasileira na wyłożony płytkami plac, gdzie Fernando Pessoa zastygł na wieki w bronzie pod brzemieniem sławy największego poety i pisarza Portugalii. Zimny wiatr znad rzeki Tag wirował przed amfiteatrem ślicznych

żółtych budynków, a przez Largo Chiado hałaśliwie przejechał tramwaj. Gabriel wyobraził sobie, że przy oknie pojazdu siedzi Quinn, ten pacholek śmierci z chirurgicznie zmienioną twarzą i kamiennym sercem.

Lavon tymczasem wspinał się na wzgórze wolnym krokiem spacerowicza. Gabriel podążał za nim, klucząc w labiryncie ciemnych uliczek, podczas gdy Lavon, nie zatrzymując się ani razu, by choć spojrzeć na mapę, przez cały czas opowiadał po niemiecku o wykopaliskach pod Starym Miastem w Jerozolimie i o swym ostatnim odkryciu. Kiedy bowiem nie działał na zlecenie Biura, pracował na wydziale archeologii biblijnej Uniwersytetu Hebrajskiego jako profesor kontraktowy. W związku z monumentalnym odkryciem, którego dokonał pod Wzgórzem Świątynnym, uchodził za izraelską wersję Indiany Jonesa.

Nagle przystanął.

- Rozpoznajesz?
- Co mam rozpoznawać?
- To miejsce. - Nie słysząc odpowiedzi, wykonał zwrot. - A teraz?

Gabriel obrócił się za nim. Ulica była nieoświetlona. Ciemność pozabawiała budynki kształtu, odbierała im charakter, odzierała z detali.

- To w tym miejscu stali. - Lavon przeszedł kilka kroków po brukowanej uliczce. - A ten, kto zrobił to zdjęcie, był tutaj.
- Zastanawiam się, kto to taki.
- To mógł być zwykły przechodzień.
- Nie sądzę, żeby Quinn pozwolił się fotografować nieznanemu.

Lavon bez słowa ruszył dalej pod górę. Parokrotnie skręcał w lewo i w prawo, aż w końcu Gabriel zupełnie stracił orientację. Jedynym punktem odniesienia była dla niego rzeka Tag, która sporadycznie ukazywała się między budynkami, lśniąc jak rybia łuska. W końcu Lavon zwolnił i przystanął, wskazując wejście do jakiegoś budynku. Był nieco wyższy niż większość w Bairro Alto. Miał trzy piętra, nie dwa, a jego frontową elewację pokrywały graffiti. W jednym z okien na pierwszym piętrze zwisiała na zawiasie żaluzja, a z zardzewiałej balustrady balkonu spływało kwitnące pnącze.

Gabriel podszedł do drzwi i spojrzał na tabliczkę domofonu. Miejsce na nazwisko pod numerem 2B było puste. Dotknął kciukiem przycisku i usłyszał dźwięk dzwonka tak wyraźny, jakby dobiegał z otwartego okna lub przenikał papierowe ściany. Potem lekko położył dłoń na klamce.

- Wiesz, ile czasu zabierze mi otwarcie tych drzwi?
- Jakieś piętnaście sekund - odparł Lavon. - Ale cierpliwi zostaną nagrodzeni.

Gabriel spojrzął w dół stromej ulicy. Na rogu dostrzegł restaurację w kształcie pudełka zapalek, a przy stoliku przed nią Kellera, który obojętnie studiował menu. Naprzeciwko nich stały dwa domy podobne do kostek cukru, zaś kilka kroków dalej trzypiętrowy blok z żółtą elewacją. Nad wejściem wisiała skurczona od słońca kartka, informując po angielsku i portugalsku, że w budynku jest mieszkanie do wynajęcia.

Gabriel zdarł ulotkę i wsunął ją w kieszeń. Potem z Lavonem u boku bez słowa i spojrzenia przeszedł obok Kellera i skierował się w stronę rzeki. Nazajutrz rano, pijąc kawę w Café Brasileira, zadzwonił pod numer podany w ogłoszeniu, a w południe, opłaciwszy półroczny czynsz oraz kaucję, stał się najemcą lokalu.

*Bairro Alto, Lizbona*

Wprowadził się do mieszkania o zmierzchu z miną człowieka, którego żona nie chce dłużej oglądać. Jego jedynym bagażem była wysłużona torba podróżna, a skrzywiona twarz nie zachęcała do kontaktów.

Eli Lavon przybył godzinę później, niosąc dwie torby produktów spożywczych. Miały zapewne stanowić posiłek pocieszenia. Ostatni pojawił się Keller. Wśliznął się do budynku cicho niczym złodziej i usadowił przy oknie, jakby okopywał się w kryjówce bandyckiej krainy południowego Armagh. Tak rozpoczęło się długie czekanie.

Mieszkanie było skąpo umeblowane. Zbieranina niedobrych krzeseł w salonie zdawała się pochodzić z sąsiedniego targu staroci, a dwie sypialnie przypominały cele mnichów. Braki umeblowania nie były uciążliwe, gdyż jeden z mężczyzn stale tkwił przy oknie. I nieodmiennie był to Keller. Długo czekał na to, by odnaleźć Quinna i chciał pierwszy go wypatrzyć. Gabriel powiesił na ścianie jego portret pamięciowy, jakby to była rodzinna pamiątka, a Keller zerkał na szkic za każdym razem, gdy jakiś mężczyzna po czterdziestce, wzrostu prawie metr osiemdziesiąt, wchodził w wąską uliczkę. Na trzeci dzień o świcie miał już pewność, że widział Quinna nadchodzącego od strony kawiarni z zamkniętymi okiennicami.

- To była jego twarz - oznajmił Lavonowi podnieconym szeptem.  
- A co ważniejsze - dodał po chwili - jego chód.

Ale to nie był Quinn, tylko, jak się później okazało, Portugalczyk, który pracował w sklepie przy sąsiedniej ulicy. Lavon, mistrz inwigilacji, wyjaśnił, że długa obserwacja może prowadzić do błędu.

Czasem widzimy to, co chcemy zobaczyć. Zdarza się również, że obiekt stoi tuż przed obserwującym, lecz ten jest tak zmęczony lub zaślepiiony ambicją, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

Właściciel mieszkania podpisał umowę z Gabrielem jako jedynym lokatorem, toteż tylko on pokazywał się publicznie. Sprawiał wrażenie człowieka o złamanym sercu, mężczyzny, który nie wie, co zrobić z wolnym czasem. Spacerował w górę i w dół ulicami Bairro Alto, na pozór bez celu jeździł tramwajami, odwiedzał Museu do Chiado, pił po południu kawę w Café Brasileiro.

A poza tym w zielonym parku nad brzegami Tagu spotkał się z kurierem Biura, który przekazał mu walizkę zawierającą narzędzia obserwacji terenowej - kamerę na statywie z noktowizorem, paraboliczny mikrofon, radio satelitarne, miniaturowy nadajnik oraz laptop wyposażony w bezpieczne satelitarne połączenie z Bulwarem Króla Saula. Była tam również notatka od szefa Wydziału Operacyjnego, który lekko karcił go za to, że wynajął mieszkanie na własną rękę, zamiast powierzyć transakcję agencji. I jeszcze list od Chiary.

Gabriel przeczytał go dwukrotnie i spalił w umywalce łazienki. Ogarnął go potem nastrój równie czarny jak popiół, który rutynowo spuścił z wodą.

- Moja propozycja wciąż jest aktualna - oznajmił Lavon.
- Jaka propozycja?
- Mogę tu zostać z Kellerem, a ty jedź do domu i zajmij się żoną.

Odpowiedział to samo co poprzednio. Lavon już nie wracał do tej sprawy, nawet późnym wieczorem, gdy pustoszały stoliki narożnej restauracji i deszcz obmywał cichą ulicę. Gasili światła w mieszkaniu, by nie zdradziły ich własne cienie, a w ciemnościach z ich twarzy znikał upływ lat. Znów byli dwudziestolatkami, których Biuro wysłało jesienią 1972 roku z zadaniem odszukania sprawców masakry na Olimpiadzie w Monachium.

Operacji nadano kryptonim „Gniew Boży”. W słownictwie zaczerpniętym z hebrajskiego Lavon, tropiciel, nazywał się *ayin*, zaś Gabriel, zabójca, *aleph*. Przez trzy lata tropili terrorystów w całej Europie. Zabijali w ciemności i w świetle dnia, żyjąc wciąż w obawie, że zostaną aresztowani i oskarżeni. Spędzali niezliczone noce w obskurnych pokojach, obserwując drzwi oraz ludzi i potajemnie wchodząc w cudze życie. Napięcie i wizja krwi odebrały im sen, a jedynym łącznikiem z rzeczywistym światem było radio tranzystorowe. Dowiadywali się z niego o wojnach wygranych i przegranych, o niechlubnej rezygnacji amerykańskiego prezydenta, a czasem, w ciepłe letnie noce, słuchali muzyki - takiej, jakiej słuchają zwykli

dwudziestoletni chłopcy, ich rówieśnicy, którym własny kraj nie zlecił funkcji egzekutorów mających pomścić jedenastu zamordowanych Żydów.

Bezsenność wkrótce dotknęła wszystkich w małym mieszkanku w Bairro Alto. Początkowo zamierzali pełnić na zmianę dwugodzinne dyżury przy oknie, ale w miarę upływających dni trzej weterani działań operacyjnych podjęli coś w rodzaju łącznej obserwacji. Wszyscy, którzy przechodzili pod ich oknem, byli fotografowani bez względu na wiek, płeć i narodowość. Ci, którzy wchodzili do obserwowanego budynku, podlegali dodatkowym oględzinom, podobnie jak jego mieszkańcy. Stopniowo ich sekrety wychodziły na jaw, taka jest bowiem natura długotrwałej obserwacji. Najczęściej jednak ujawniają się wtedy powszednie grzechy niewinnych ludzi.

W mieszkaniu był telewizor z anteną satelitarną, która nie odbierała sygnału, gdy padał deszcz lub gdy nad ulicą wiał ze średnią siłą wiatr. Stanowił on jedyny łącznik ze światem, a ten z każdym mijającym dniem zdawał się coraz bardziej wymykać im spod kontroli. Był to świat, w który Gabriel miał wkroczyć z chwilą, gdy zostanie zaprzysiężony na nowego szefa Biura. I mógł to być również świat Kellera, gdyby ten zdecydował się go wybrać.

Keller bowiem był ostatnim dziełem, jakie Gabriel restaurował - usunął brudny werniks, a płótno rozprostował i poddał retuszowi. Z angielskiego zabójcy Keller miał się wkrótce zmienić w angielskiego szpiega.

Jak wszyscy dobrzy obserwatorzy również on posiadał wrodzoną samokontrolę, ale po siedmiu dniach czuwania opuściła go cierpliwość. Lavon sugerował spacer nad rzeką albo przejażdżkę na wybrzeże, cokolwiek, by tylko przerwać monotonię obserwacji.

Keller jednak nie chciał opuścić mieszkania ani stanowiska przy oknie. Fotografował twarze ludzi, których strumień przepływał pod jego stopami - starych znajomych, nowych przybyszy, przypadkowych przechodniów - i czekał na mężczyznę po czterdzieście, wzrostu jakieś metr siedemdziesiąt osiem, który wejdzie do budynku po drugiej stronie wąskiej uliczki. Patrząc na niego, Lavon odnosił wrażenie, że Keller obserwuje Lower Market Street w Omagh. Czekają, aż nadjedzie czerwony vauxhall cavalier z wyraźnie obciążonym tyłem, zatrzyma się przy krawężniku i wysiądzie z niego dwóch mężczyzn - Quinn i Walsh. Walsh poniósł już karę za swoje grzechy. Teraz nadszedł czas na Quinna.

Ale gdy kolejny dzień minął bezowocnie, Keller zaproponował, by zacząć szukać gdzie indziej. Logicznym kierunkiem byłaby Ameryka

Południowa. Mogliby na przykład wybrać się do Caracas i dotąd kopać w drzwi, aż w końcu znajdą gdzieś Quinna. Gabriel zdawał się poważnie rozważać tę ewentualność. W rzeczywistości jednak obserwował około trzydziestoletnią kobietę, która siedziała samotnie w restauracji przy końcu ulicy.

Jej torba leżała na krześle obok. Była duża na tyle, by pomieścić nie tylko kosmetyki, lecz również ubranie na zmianę. Miała rozsunięty zamek, tak by można było bez trudu sięgnąć do środka. Pomyślał, że agentka wywiadu MI6 położyłaby torbę w tym samym miejscu, zwłaszcza gdyby miała w niej broń.

- Czy ty mnie słuchasz? - spytał Keller.

- Chłonę każde słowo - skłamał Gabriel.

Ostatnie blaski dnia gasły, około trzydziestoletnia kobieta nie zdejmowała jednak okularów słonecznych. Gabriel skierował na nią teleobiektyw i zrobił zdjęcie. Potem starannie obejrzał je na podglądzie. Dobra twarz do malowania, pomyślał. Szerokie kości policzkowe, mały delikatny podbródek, nieskazitelnie biała skóra. Okulary słoneczne przesłaniały oczy, ale zgadywał, że są niebieskie. Miała długie do ramion kruczoczarne włosy, choć wątpił, by ich kolor był naturalny.

W chwili gdy ją fotografował, kobieta patrzyła w kartę dań. Teraz jednak podniosła wzrok i wpatrywała się w górę ulicy. Nie było to warte uwagi. Większość gości restauracji spoglądała w przeciwną stronę, gdzie rozciągała się panorama miasta. Gdy pojawił się kelner, Gabriel chwycił paraboliczny mikrofon i umieścił go na stole. Za późno. Usłyszał tylko, że kelner mówi po angielsku: „dziękuję”, po czym rozległa się muzyka taneczna. Dzwonek jej komórki. Odrzuciła połączenie, włożyła telefon do torby i wyjęła z niej przewodnik po Lizbonie. Gabriel ponownie przysunął oko do obiektywu i teraz nastawił kamerę nie na twarz kobiety, lecz na przewodnik, który trzymała w ręce. Egzemplarz był angielski, autorstwa Frommera. Po kilku minutach położyła go na kolanach i znów wpatrzyła się w ulicę.

- Co tam widzisz?

- Nie jestem pewien.

Keller przysunął się bliżej okna i podążył za spojrzeniem Gabriela.

- Ładna - powiedział.

- Może.

- Nowa czy mieszkanka?

- Najwyraźniej turystka.

- Dlaczego ładna młoda turystka siedzi tam samotnie?

- Dobre pytanie.



Znów pojawił się kelner, niosąc kieliszek białego wina, który postawił na stole obok przewodnika. Otworzył bloczek na zamówienia, ale kobieta powiedziała coś, co sprawiło, że wycofał się, niczego nie zapisując. Chwilę później wrócił z rachunkiem.

Położył go na stole i odszedł. Nie wymienili ani jednego słowa.

- Co tam się stało? - zapytał Keller.
- Zdaje się, że ładna młoda turystka zmieniła zdanie.
- Ciekawe dlaczego.
- Może ma to coś wspólnego z telefonem, którego nie odebrała.

Ręka kobiety sięgnęła teraz do otwartej torby. Wyjęła z niej pojedynczy banknot, położyła go na rachunku, postawiła na nim kieliszek i wstała.

- Może jej się tam nie podoba - zasugerował Gabriel
- A może boli ją głowa.

Kobieta sięgała teraz po torbę. Założyła pasek na ramię i po raz ostatni spojrzała w górę ulicy. Potem obróciła się w przeciwną stronę, okrążyła róg i zniknęła.

- Źle - stwierdził Keller.
- Zobaczymy.

Gabriel patrzył, jak kelner zabiera pieniądze, ale w myślach obliczał, ile czasu minie, zanim kobieta znów się pojawi. Dwie minuty, uznał. Tyle czasu zabierze jej powrót do miejsca przeznaczenia, jeśli pójdzie równoległą ulicą.

Spojrzał na zegarek, a gdy upłynęło dziewięćdziesiąt sekund, przyłożył oko do obiektywu i zaczął wolno liczyć. Gdy dotarł do dwudziestu, zobaczył, jak kobieta wyłania się z półcienia, z torbą na ramieniu, w ciemnych okularach.

Zatrzymała się przy wejściu do obserwowanego budynku, wsunęła klucz w zamek i pchnęła drzwi. Gdy wchodziła do holu, z domu wychodził inny jego mieszkaniec, dwudziestokilkuletni mężczyzna. Zerknął na nią przez ramię. Gabriel nie umiał powiedzieć, czy z podziwem, czy z ciekawością. Sfotografował go, a potem spojrzął w ciemne okna na pierwszym piętrze. Dziesięć sekund później za żaluzjami rozbrzmiało światło.

*Bairro Alto, Lizbona*

Nie widzieli jej więcej aż do następnego ranka, kiedy to o wpół do dziewiątej pojawiła się na balkonie w płaszczu kąpielowym. Gabriel pomyślał, że to płaszcz Quinna, gdyż był stanowczo za duży na jej szczupłą figurę.

W zamyśleniu podniosła papierosa do ust i w ostrym świetle poranka lustrowała ulicę. Tym razem jej oczy nie były zasłonięte. I jak przypuszczał, okazały się niebieskie. Jak niebo, jak błękit Vermeera. Zrobił kilka zdjęć i wysłał je na Bulwar Króla Saula. Potem patrzył, jak kobieta opuszcza balkon i znika za francuskimi drzwiami.

Przez następnych dwadzieścia minut w jej oknie paliło się światło. Potem zgasło, a chwilę później wyszła z budynku. Przewiesiła torbę przez prawe ramię i wetknęła ręce w kieszenie płaszcza. Był to rodzaj okrycia, jakie noszą uczennice, całkiem inny niż zwykowna skórzana kurtka, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Szła szybkim krokiem, głośno stukając po bruku obcasami. Odgłos wzmógł się, gdy przechodziła pod ich oknem, osłabł, gdy mijała nieczynną jeszcze restaurację, i ucichł, gdy znikła.

Citroen, którego Gabriel odebrał w Paryżu, był zaparkowany za rogiem budynku, w którym mieszkali, na ulicy wystarczająco szerokiej, by mogły tam stać samochody Keller poszedł po auto, podczas gdy Gabriel pieszo ruszył za kobietą przez kolejną brukowaną ulicę pełną sklepów i kawiarenek. Ulica wychodziła na szeroki bulwar, który spływał ze wzgórza niczym dopływ Tagu. Kobieta weszła do kawiarni, zamówiła coś w barze i usiadła za stolikiem przy oknie. Gabriel wszedł do kawiarni po przeciwnej stronie bulwaru i zajął po-

dobne stanowisko. Keller stanął samochodem przy krawężniku, czekając, aż policjant wreszcie każe mu odjechać.

Przez piętnaście minut ich pozycje nie uległy zmianie. Kobieta siedziała w swojej kawiarni, Gabriel w swojej, a Keller za kierownicą citroena. Kobieta wpatrywała się w komórkę, popijając kawę, i co najmniej raz gdzieś zadzwoniła. Wreszcie, o dziewiątej trzydzieści, wsunęła telefon do torby i wyszła na ulicę. Ruszyła na południe, w stronę rzeki, lecz po kilku krokach nagle się zatrzymała, przywołując machnięciem ręki taksówkę, która jechała w przeciwnym kierunku. Gabriel szybko opuścił kawiarnię i wskoczył do citroena. Keller zawrócił i wcisnął gaz do dechy.

Minęło trzydzieści sekund, nim znów zobaczyli taksówkę. Mknęła na północ, manewrując w porannym ruchu między ciężarówkami, autobusami, lśniącymi niemieckimi sedanami i rozklekotanymi gratami mniej zamożnych mieszkańców miasta. Gabriel rzadko odwiedzał Lizbonę i jego wiedza na temat geografii miasta była urywkowa. Ale nawet dysponując tylko nią, zdał sobie sprawę, dokąd zmierza taksówka. Droga, którą podążała, kierowała się na lotnisko niczym igła w kompasie.

Wjechali w nowoczesną część miasta i wraz ze strumieniem pojazdów dotarli do dużego ronda na skraju zielonego parku. Tam zmienili kierunek na północno-wschodni i dojechali do kolejnego ronda, które wyrzuciło ich na Avenida da República.

Przy jej końcu pojawiły się pierwsze znaki kierujące na lotnisko. Taksówka stosowała się do każdego z nich i wreszcie stanęła przed Terminalem 1 na poziomie hali odlotów.

Kobieta wysiadła i szybko ruszyła do wejścia, jakby była spóźniona. Gabriel polecił Kellerowi, by zostawił citroena na parkingu krótkoterminowym, z bronią w bagażniku i kluczykami w magnetycznym pojemniku nad tylnym lewym kołem, po czym wysiadł i poszedł za kobietą do terminalu.

Zatrzymała się na krótko w środku, by spojrzeć na wielką tablicę odlotów zamontowaną nad lśniącym nowoczesnym holem, po czym bez wahania ruszyła do stanowiska British Airways i stanęła w krótkiej kolejce pasażerów pierwszej klasy. Była to pomyślna okoliczność. Brytyjskie linie latały z Lizbony tylko w jedno miejsce. Lot 501 startował za godzinę. Następny był dopiero o siódmej wieczorem.

Gabriel wyjął z kieszeni telefon i wysłał wiadomość do działu podróży przy Bulwarze Króla Saula, żądając dwóch biletów pierwszej

klasy na lot 501 - jednego dla Johannesesa Klempa, drugiego dla Adriana LeBlanc. Dział szybko potwierdził odbiór wiadomości i polecił czekać. Dwie minuty później pojawiły się numery rezerwacji.

W pierwszej klasie było tylko jedno miejsce. W swej bezgranicznej mądrości dział podróży zarezerwował je dla Gabriela. *Monsieur* LeBlanc otrzymał jedno z kilku wolnych miejsc w klasie ekonomicznej. Znajdowało się z tyłu maszyny, w strefie zawodzących dzieci i zapachów toalety.

W kolejnej wiadomości wysłanej na Bulwar Króla Saula Gabriel żądał podstawienia samochodu w miejsce krótkiego postoju na Heathrow. Potem wsunął BlackBerry do kieszeni i obserwował, jak kobieta, trzymając bilet w dłoni, kieruje się do stanowiska kontroli bezpieczeństwa. Keller odczekał, aż zniknie, po czym podszedł do Gabriela.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

Gabriel się uśmiechnął.

- Do domu.

Odprawili się osobno. Bez walizek, bez podręcznego bagażu. Portugalski funkcjonariusz straży granicznej podbił ich fałszywe paszporty, a pracownicy ochrony przeszukali ich i przepuścili. Do startu zostało czterdzieści pięć minut, więc powlekli się do pachnącej perfumami strefy bezcłowej i w stoisku z prasą kupili coś do czytania, by nie wchodzić na pokład z pustymi rękami.

Gdy wrócili, kobieta czekała w poczekalni przed bramką. Jej niebieskie oczy wpatrywały się w ekran telefonu. Gabriel usiadł za nią i czekał na boarding. Pierwszą informację nadano po portugalsku, drugą po angielsku. Kobieta wstała, dopiero słysząc drugą. Wrzuciła telefon do torby i ruszyła przejściem dla pierwszej klasy do rękawa samolotu. Gabriel zrobił to samo chwilę później. Trzymając bilet do kontroli przed wejściem, zerknął na Kellera, który stał żałośnie pośród objuczonej torbami, stłoczonej masy pasażerów. Patrząc na opatulone niemowlę, drapał się w nos środkowym palcem i marszczył brwi, pewien, że niebawem stanie się ono źródłem jego udręki.

Kiedy Gabriel wszedł na pokład, kobieta zdążyła się już usadowić w fotelu i otrzymała kieliszek szampana. Siedziała w drugim rzędzie przy oknie po lewej stronie. Torba leżała niedbale u jej stóp, a magazyn pokładowy na kolanach. Jeszcze go nie otworzyła.

Nie zwróciła na niego uwagi, gdy przeciskał się obok stojącego otęłego emeryta, by wsunąć się w swój fotel. Czwarty rząd, przejście,

prawa strona samolotu. Przesadnie umalowana stewardesa wcisnęła mu w dłoń szampana. Nie bez powodu włączono go w cenę biletu: miał smak musującej terpentyny. Ostrożnie postawił kieliszek pośrodku stolika między siedzeniami i skinął sąsiadowi głową. Był to brytyjski biznesmen, który z silnym akcentem Yorkshire wykrzykiwał coś do komórki na temat zaginionej przesyłki.

Gabriel wyciągnął aparat i wysłał kolejną wiadomość na Bulwar Króla Saula. Tym razem prosił o sprawdzenie tożsamości około trzydziestoletniej kobiety, która zajmowała miejsce 2A w samolocie British Airways, lot 501. Odpowiedź przyszła pięć minut później, gdy Keller przesuwał się obok z miną więźnia prowadzonego na ciężkie roboty. Pasażerka nazywała się Anna Huber, miała trzydzieści dwa lata, była obywatelką Niemiec i mieszkała we Frankfurcie przy Lessingstrasse 11.

Gabriel wyłączył BlackBerry i zaczął się przyglądać kobiecie siedzącej po drugiej stronie przejścia.

Kim jesteś? - pytał w myślach. I co robisz w tym samolocie?

*Lotnisko Heathrow, Londyn*

Lot trwał dwie godziny i czterdzieści sześć minut. Kobieta o nazwisku Anna Huber przetrwała podróż, nie jedząc i nie pijąc nic oprócz szampana. Pół godziny przed lądowaniem wstała, wzięła torbę, poszła do toalety i starannie zamknęła drzwi. Gabriel pomyślał o pobycie Quinna w Jemenie, gdzie wspólnie z Al-Kaidą pracowali nad bombą zdolną zniszczyć samolot. Być może tak się to skończy, pomyślał. Rozbije się na zielonej angielskiej ziemi przypięty do siedzenia razem z biznesmenem z Yorkshire.

Nagle drzwi toalety się otworzyły i kobieta wyszła. Wyszczotkowała swoje ciemne włosy i lekko podmalowała bladą twarz. Jej błękitne oczy obojętnie przesunęły się po nim, gdy zajmowała miejsce.

Samolot wynurzył się z chmur i tak silnie uderzył w pas, że otworzyło się kilka schowków na bagaże. Było zaledwie kilka minut po pierwszej, a na zewnątrz panował mrok. Biznesmen znowu zaczął wrzeszczeć do komórki. Najwyraźniej jego problemy się nie rozwiązały.

Gabriel włączył BlackBerry i przeczytał, że srebrny volkswagen passat będzie czekał przed Terminalem 3. Wysłał esemesa z potwierdzeniem, odpiął pas, po czym wolno wstał i stanął w kolejce pasażerów czekających na wyjście z samolotu. Anna Huber stała zgarbiona pod oknem, z torebką na ramieniu. Gdy otworzyły się drzwi kabiny, Gabriel odczekał, by mogła dołączyć do kolejki stojących w przejściu. Podziękowała mu krótkim skinieniem głowy, bez oznak zainteresowania, po czym skierowała się do rękawa.

Niemiecki paszport umożliwił jej wejście na teren Wielkiej

Brytanii po ekspresowej odprawie dla członków Unii Europejskiej. Gabriel stał tuż za nią, gdy brytyjski urzędnik imigracyjny pytał ją o cel wizyty. Nie dosłyszał odpowiedzi, ale najwyraźniej była ona satysfakcjonująca, gdyż funkcjonariusz obdarzył kobietę ciepłym uśmiechem. Gabriel nie spotkał się z równie serdecznym powitaniem. Urzędnik wbił pieczętkę w jego paszport z ledwie tłumioną niecierpliwością i oddał go, nie podnosząc wzroku.

- Miłego pobytu - mruknął.
- Dziękuję - odparł i ruszył za kobietą.

Zrównał się z nią w wąskim przejściu do hali przylotów. Niskiej rangi agent z londyńskiej komórki stał przy barierce obok dwóch kobiet w czarnych chustach. Z wyrazem głębokiego znudzenia trzymał tekturową plakietkę z napisem „Ashton”. Wcisnął tekturkę do kieszeni i przyłączył się do Gabriela, gdy ten mijał łzawą scenę rodzinnego powitania.

- Gdzie samochód?

Agent skinął w stronę najdalszych drzwi na lewo.

- Wracaj do barierki i trzymaj ten znak. Za kilka minut wyjdzie jeszcze jeden.

Mężczyzna zawrócił na swoje poprzednie stanowisko. Na zewnątrz we wczesnopopołudniowym zmroku stał rząd taksówek i obok wózki bagażowe. Kobieta przecięła pasy ruchu i skierowała się w stronę parkingu krótkoterminowego. Takiego scenariusza Gabriel nie wziął pod uwagę. Wyjął komórkę i połączył się z Kellerem.

- Gdzie jesteś?
- Kontrola paszportowa.
- W hali przylotów czeka człowiek z plakietką z napisem „Ashton”. Zaprowodzi cię do samochodu.

Rozłączył się bez słowa i ruszył za kobietą na parking. Jej samochód był na drugim poziomie, błękitne bmw z brytyjską rejestracją. Wyjęła kluczyk z torebki, otworzyła wóz pilotem i usiadła w fotelu kierowcy. Gabriel ponownie zadzwonił do Kellera.

- Gdzie teraz jesteś?
- Za kierownicą srebrnego passata.
- Zabierz mnie spod wejścia na parking krótkoterminowy.
- Łatwo powiedzieć.
- Jeśli nie będziesz tam za dwie minuty, możemy ją zgubić.

Rozłączył się i schował za betonowym słupem, gdy bmw wyjeżdżało. Potem biegiem ruszył w stronę rampy i wrócił na poziom przylotów. Maskę bmw wyłaniała się już z parkingu. Chwilę później wóz przemknął obok i zniknął mu z oczu. Znow zaczął dzwonić do

Kellera, ale przerwał, widząc migające światła błyskawicznie zbliżającego się volkswagena. Wskoczył na miejsce pasażera i gestem nakazał jechać na wprost. Dostrzegli bmw, gdy skręcało w autostradę A4, w kierunku zachodniego Londynu. Keller zwolnił i zapalił papierosa. Gabriel opuścił okno i połączył się z Grahamem Seymourem.

Telefon zadzwonił w trakcie krótkiej przerwy między spotkaniem z kadrą kierowniczą i wizytą szefa wywiadu jordańskiego, człowieka, którego w głębi ducha nie znośił. Seymour zanotował kluczowe informacje, choć później tego żałował. Anna Huber, niemiecki paszport, zamieszkała we Frankfurcie, właśnie przyleciała do Londynu przez Lizbonę, gdzie spędziła jedną noc w mieszkaniu powiązanim z Eamonem Quinnem. Na lotnisku Heathrow wsiadła do niebieskiego bmw z brytyjską rejestracją AG62 VDR, które stało na parkingu krótkoterminowym. Obecnie samochód jechał w kierunku Londynu, śledzony przez przyszłego szefa izraelskich służb wywiadowczych oraz dezertera z jednostki specjalnej SAS, który został zawodowym zabójcą.

Seymour odebrał telefon z aparatu przeznaczonego do łączności prywatnej. Obok znajdowała się bezpośrednia linia łącząca go z Amandą Wallace w Thames House. Po kilku sekundach wahania podniósł słuchawkę. Nie musiał wybierać numeru. Natychmiast rozległ się głos Amandy.

- W czym ci mogę pomóc. Grahamie? - spytała przyjaźnie.
- Obawiam się, że moja operacja dotknieła brytyjskiej ziemi.
- W jakiej formie?
- Samochodu jadącego do centrum Londynu.

Rozłączywszy się, Amanda wsiadła do prywatnej windy i zjechała do centrum operacyjnego. Zajęła swoje zwykłe miejsce przy biurku na podwyższeniu i wyjęła telefon, łącząc się ponownie z Grahamem Seymourem.

- Gdzie są? - zapytała.

Nim odpowiedział, minęło pełnych napięcia dziesięć sekund. Bmw zbliżało się do estakady Hammersmith. Amanda poleciała jednemu z techników przenieść obraz z kamer CCTV na centralny ekran wideo. Dwadzieścia sekund później zobaczyła błękitne bmw, które przemknęło w deszczowej mgle w gęstym ruchu.



- Jaki samochód ma Allon?

Seymour odpowiedział w chwili, gdy na ekranie, trzy samochody za bmw, ukazał się passat. Amanda poleciła operatorom, by śledzili ruchy obu samochodów, po czym połączyła się z szefem A4, operacyjnym ramieniem MI5, nakazując objąć samochody fizyczną obserwacją.

Wszyscy członkowie kierownictwa spieszyli teraz do centrum operacyjnego, w tym również zastępca dyrektora, Miles Kent. Amanda poprosiła go, by sprawdził rejestrację bmw i w ciągu niecałej minuty otrzymała odpowiedź. Numer AG62VDR nie figurował w bazie danych. Tablice były fałszywe.

- Sprawdź, czy nie zgłoszono kradzieży jakiegoś niebieskiego bmw - warknęła.

Tym razem sprawdzanie trwało dłużej, bo blisko trzy minuty. Ten sam model bmw skradziono przed czterema dniami w nadmorskiej miejscowości Margane. Tyle że popielaty, nie błękitny.

- Musieli go przemaalować - stwierdziła. - Sprawdź, kiedy zaparkował na Heathrow i dostarcz mi to wideo.

Patrzyła na centralny ekran. Bmw mijalo skrzyżowanie West Cromwell Road i Earls Court Road. Passat wciąż znajdował się trzy samochody dalej. Gabriel Allon, którego spotkała tylko raz, był dobrze widoczny na miejscu pasażera. Podobnie jak mężczyzna za kierownicą.

- Kim jest kierowca ściganego samochodu? - spytała niecierpliwie Seymoura.

- To długa historia.

- Nie wątpię.

Bmw zbliżało się do Muzeum Historii Naturalnej. Wokół, na chodnikach, tłoczyła się młodzież szkolna. Amanda ścisnęła telefon tak mocno, aż zbieła jej kciuki, lecz gdy się odezwała, jej głos brzmiał spokojnie i pewnie.

- Nie mogę się zgodzić, żeby trwało to za długo. Graham.

- Popieram każdą twoją decyzję.

- Cieszę się. - W jej głosie brzmiał ostry ton wzgardy Nie odrywała wzroku od centralnego ekranu. - Powiedz Allonowi, żeby się wycofał. Zajmiemy się tym stąd.

Słuchała, jak Seymour przekazuje polecenie. Potem połączyła się specjalną linią z szefem Metropolitalnej Służby Policijnej. Odpowiedział błyskawicznie.

- Ciemnoniebieskie bmw sedan jedzie Cromwell Road w kierunku wschodnim, brytyjska rejestracja AG62VDR. Tablice są fał-

szywe, samochód niemal na pewno jest kradziony, a prowadząca go kobieta ma powiązania ze znanym terrorystą.

- Co radzisz?

Amanda Wallace wpatrywała się w ekran. Bmw jechało Brompton Road w stronę Hyde Park Corner. A trzy samochody dalej, z tą samą prędkością, jechał srebrny passat.

Skrajem Brompton Square jechał na motorze londyński policjant. Obojętnie minął bmw, nie zwrócił też uwagi na zbliżającego się srebrnego passata. Gabriel podniósł do ucha komórkę.

- Co jest grane? - zapytał Seymoura.

- Amanda poleciła, żeby interweniował Met. Mają zatrzymać tę kobietę.

- Gdzie oni są?

- Jedna grupa nadjeżdża od strony Park Lane, druga zbliża się do Hyde Park Corner od Piccadilly.

Za zalanym deszczem oknem samochodu rozbłysł rząd ekskluzywnych sklepów. Galerie sztuki, designerski salon wystawowy, agencja nieruchomości, kawiarnia na świeżym powietrzu, gdzie turyści sączyli drinki pod osłoną zielonej markizy. W dali zażyły syreny W uszach Gabriela brzmiały jak głos dziecka wołającego matkę. Keller gwałtownie wcisnął pedał hamulca. Tuż przed nim zapaliło się czerwone światło. Od bmw dzieliły ich dwa pojazdy - taksówka i jakiś prywatny samochód. Przed nimi była Brompton Road, a po jej prawej stronie wyrosły charakterystyczne wieżyczki Harrodsa. Dźwięk syren się nasilał, ale wciąż nie było widać policji.

Światła zmieniły się na zielone, samochody ruszyły. Minęły Montpelier Street i kolejne rzędy sklepów i kawiarni. Wtem bmw skręciło na pas dla autobusów i stanęło przed oddziałem banku HSBC. Drzwi samochodu się otworzyły, kobieta wysiadła i spokojnie odeszła. W okamgnieniu zniknęła pod baldachimem parasoli, które w deszczu wyrastały jak grzyby.

Gabriel patrzył na niebieski samochód stojący przy krawężniku, na tłum turystów i pieszych spieszących gdzieś w deszczu i na bajkową fasadę ikonicznego domu handlowego po przeciwnej stronie ulicy. Wreszcie spojrzął na ekran swojego BlackBerry, który cicho zawibrował mu w dłoni. Nadszedł esemes od niezidentyfikowanego nadawcy. Składał się z czterech słów:

„Cegły są w murze”...

*Brompton Road, Londyn*

Wyskoczyli we mgle z samochodu, jak szaleńcy machając rękami i wykrzykując to samo słowo wśród zawodzenia syren. Przez kilka sekund nikt nie reagował. W końcu Gabriel wyjął beretkę ze schowka w samochodzie i dopiero wtedy ludzie zaczęli się cofać. Lęk okazał się jedynym skutecznym narzędziem perswazji. Odsuwał tłum od bmw, pomagając wstać tym, którzy upadali, podczas gdy Keller rozpaczliwie próbował ewakuować pasażerów piętrowego autobusu. Prerażeni zablokowali drzwi z przodu i z tyłu, on zaś wyciągał ich siłą i spychał na ulicę jak szmaciane lalki.

Kierowcy jadący w obu kierunkach Brompton Road stanęli, przyglądając się zamieszaniu. I choć Gabriel walił pięściami w okna, machając rozpaczliwie, by jechali dalej, nie odnosiło to skutku. Pojazdy beznadziejnie się blokowały. Z tyłu białego forda ciasno przypięty pasami do fotela siedział dwuletni chłopczyk o kręconych włosach.

Gabriel chwycił za klamkę, ale drzwi były zablokowane, a przerażona matka dziecka, najwyraźniej biorąc go za szaleńca, nie chciała otworzyć.

- Tam jest bomba! - wrzasnął przez szybę. - Uciekajcie!

Ale kobieta patrzyła na niego oniemiała, nic nie rozumiejąc, a dziecko zaczęło płakać.

Keller skończył ewakuację autobusu i teraz walił w drzwi banku HSBC. Gabriel oderwał wzrok od dziecka i nad dachami unieruchomionych samochodów spojrzął na chodnik po przeciwnej stronie. Przed Harrodsem zgromadził się tłum gapiów. Rzucił się w

ich kierunku, krzyżąc i wymachując bronią, tak że w końcu roz-  
pierzchli się w panice. W zamieszaniu jakaś ciężarna kobieta upadła  
na chodnik. Podbiegł do niej i pomógł dźwignąć się na nogi.

- Możesz iść?
- Chyba tak.
- Uciekaj, szybko! - krzyknął. - Dla twojego dziecka.

Pchnął ją w bezpiecznym kierunku i zaczął obliczać w myśli, ile  
czasu minęło od chwili, gdy w jego telefonie pojawiła się ta wiadomość.  
Dwadzieścia sekund, ocenił, najwyżej trzydzieści.

W tym czasie zdążyli odciągnąć ponad sto osób od miejsca, które  
lada moment miało stać się strefą wybuchu, ale samochody nadal  
blokowały ulicę, wśród nich biały ford.

Tymczasem z drzwi Harrodsa zaczął się wylewać tłum klientów. Z  
pistoletem w dłoni wpychał ich do środka, krzyżąc, by ukryli się jak  
najgłębiej wewnątrz budynku. Gdy wrócił na ulicę, samochody wciąż  
stały. Biały ford jaśniał niczym flaga kapitulacji. Kobieta nadal tkwiła  
za kierownicą, sparaliżowana brakiem decyzji i nieświadoma, co się  
wydarzyło. Z tyłu zanosilo się płaczem dziecko.

Beretta wypadła mu z dłoni i nagle zaczął biec, rozdzierając  
powietrze rękami, jakby chciał frunąć w ich stronę. Gdy sięgał drzwi  
samochodu, oślepiła go eksplozja olśniewająco białego światła, ni-  
czym blask tysiąca słońc. Uniósł się w podmuchu palącego wiatru i  
opadł bezradnie w tył pośród morza szkła i krwi. Poczul jeszcze, jak  
dotyka go ręka dziecka, i krótko ją przytrzymał, lecz wyśliznęła mu  
się z dłoni. Potem osunął się w mrok, cichy i spokojny. I nie było już  
nic więcej.

**Część druga**

# **ŚMIERĆ SZPIEGA**

*Londyn*

Policja Metropolitalna stwierdziła później, że trwało to czterdzieści siedem sekund - czterdzieści siedem sekund od chwili, gdy kobieta porzuciła samochód przy Brompton Road, do momentu gdy wybuchła umieszczona w bagażniku bomba. Ważyła dwieście pięćdziesiąt kilogramów i była fachowo wykonana. Trudno było spodziewać się po Quinnie czegoś innego.

Ale początkowo Met nie zdawała sobie sprawy, że to był Quinn. Wszystko okazało się dopiero później, po wrzaskliwych awanturach, groźbach rezygnacji, odwetu i nieuchronnych czyszkach kadrowych. Policja wiedziała tylko tyle, ile się dowiedziała od Amandy Wallace, szefowej MI5, minuty przed katastrofą.

Trzydziestodwuletnia kobieta z niemieckim paszportem odebrała kradzione bmw z krótkoterminowego parkingu na Terminalu 3 lotniska Heathrow i jechała w kierunku centrum Londynu. MI6 zostało poinformowane przez wysokiej rangi funkcjonariusza obcego wywiadu - którego tożsamości nie ujawniono - że kobieta jest powiązana ze znanym terrorystą, mózgiem wielu operacji i niezawodnym konstruktorem bomb. Amanda Wallace poleciła komendantowi Met, by podjął środki w celu zatrzymania samochodu i aresztowania tej kobiety. Komendant zareagował, wysyłając do akcji jednostki sekcji antyterrorystycznej SCO 19. Pierwszy opancerzony wóz rozpoznawczy przybył na miejsce wydarzeń w chwili wybuchu. Obaj funkcjonariusze zginęli.

Z błękitnego bmw nie zostało nic. W miejscu, gdzie stał, ział krater szerokości dwudziestu i głębokości dziesięciu metrów. Później

znaleziono fragment dachu. Pływał w odległym ponad pół kilometra jeziorze Serpentine. Samochody i autobusy płonęły na ulicy jak rozżarzone węgle, a z uszkodzonego wodociągu trysnął gejzer, zmywając rozrzucone członki zabitych i rannych. O dziwo, konstrukcja budynku po najbliższej samochodu-pułapki północnej stronie ulicy nie ucierpiała zbyt mocno. Cały impet uderzenia skierował się na Harrodsa.

Wybuch zerwał fasadę budynku, ukazując jego wnętrze. Niczym w piętrowym domku dla lalek wyeksponował łóżka i łazienki, meble i wyposażenie domu, a także stoiska z biżuterią, perfumami i damską odzieżą. Potem jeszcze przez długi czas osłupiali goście Georgian Restaurant wpatrywali się w zdewastowaną ulicę na dole. Słynna herbaciarnia cieszyła się popularnością wśród bogatych kobiet z roponośnych emiratów Zatoki, które w swych czarnych chustach wyglądały jak kruki przycupnięte na drutach.

Liczbę ofiar trudno było ustalić. Do wieczora znaleziono pięćdziesiąt dwoje zabitych i ponad czterystu rannych, w tym wielu ciężko. Kilku ekspertów wyraziło w telewizji ulgę, a nawet zdumienie, że liczba ofiar nie była znacznie wyższa. Ocaleni mówili o dwóch mężczyznach, którzy sekundy przed eksplozją dokonywali desperackich prób zepchnięcia ludzi znajdujących się w pobliżu samochodu-pułapki w bezpieczniejsze miejsce.

Ich wysiłki były wyraźnie widoczne na nagraniu wideo, które dotarło do BBC. Jeden, stojąc na chodniku z bronią, starał się zmusić napierający tłum do odwrotu, drugi tymczasem wyciągał pasażerów z autobusu. Ich tożsamość nie została ustalona. Samochód, którym jechali, podobnie jak bmw, rozpadł się w kawałki. Żaden z mężczyzn więcej się nie pojawił, a przynajmniej nie był widziany publicznie. Met zaprzeczyła, jakoby byli z nią powiązani. MI5 oraz Tajne Służby Wywiadowcze wstrzymały się od komentarza. Na nagraniu CCTV jeden z nich schronił się sekundy przed detonacją bomby, natomiast drugiego widziano po raz ostatni, gdy biegł w stronę białego forda uwięzionego w korku na Brompton Road. Pasażerów auta - matkę i małego chłopczyka - spopieliła ognista kula. Mężczyznę również uznano za zmarłego, choć nie odnaleziono ciała.

Początkowy szok i oburzenie szybko ustąpiły żądzy odwetu oraz intensywnym poszukiwaniom sprawców. U góry listy potencjalnych podejrzanych znajdowała się ISIS, ekstremalna organizacja dżihadystyczna, która krwawym terrorem opanowała terytorium rozciągające się od Aleppo niemal po bramy Bagdadu. Organizacja ta wydała walkę cywilizacji Zachodu, a wśród jej członków znajdowało się kilkuset obywateli Wielkiej Brytanii, którzy zachowali swe cenne

brytyjskie paszporty. Zdaniem ekspertów telewizyjnych ISIS miała zarówno motyw, jak i możliwości dokonania ataku w centrum Londynu. Tymczasem rzecznik organizacji zaprzeczył jakimkolwiek powiązaniom z tą sprawą, podobnie jak kilka innych ugrupowań globalnego islamskiego konglomeratu śmierci zwanego Al-Kaidą.

Do odpowiedzialności przyznała się pewna mała frakcja palestyńska oraz jakieś ugrupowanie o nazwie Męczennicy Dwóch Świętych Meczetów. Żadne z tych oświadczeń nie zostało potraktowane serio.

Jedyną osobą, która mogła odpowiedzieć na pytanie o odpowiedzialność za zamach, była kobieta, która dostarczyła bombę do celu - Anna Huber, trzydzieści dwa lata, obywatelka Niemiec, ostatnio zameldowana we Frankfurcie przy Lessingstrasse 11. Ale czterdzieści osiem godzin po ataku miejsce jej pobytu nadal pozostawało tajemnicą. Elektroniczne próby prześledzenia jej ruchów nie dały rezultatu. System CCTV zarejestrował, jak idzie Brompton Road w stronę Knightsbridge, ale po detonacji, gdy pośród dymu i zgliszczy spanikowany tłum wylał się na ulicę, kamera zgubiła jej ślad.

Kobieta nazywająca się Anna Huber nie opuściła kraju samolotem ani pociągiem i nikt taki nie przekroczył żadnej innej granicy europejskiej. Jednostki niemieckiej Bundespolizei przeprowadziły nalot na jej mieszkanie i znalazły cztery opustoszałe pokoje, w których nie było śladu żyjącej tam kiedyś osoby. Sąsiedzi opisywali ją jako spokojną i poważną. Jedni mówili, że pracowała w międzynarodowych służbach pomocowych i spędzała większość czasu w Afryce, inni wspominali coś o przemyśle turystycznym. A może to było dziennikarstwo?

Odpowiedzialność za ochronę brytyjskiej ziemi przed terrorystami spadała głównie na MI5 i Połączone Centrum Analiz Terrorystycznych JTAC. W efekcie gniew społeczeństwa i polityków w związku z zamachem na Brompton Road skierował się głównie na Amandę Wallace. Słowo „skonfliktowana” zaczęło się pojawiać przed jej nazwiskiem wszędzie, gdzie tylko występowało ono w druku, jak i wówczas, gdy wymieniano je w radiu czy telewizji. Nieokreślone źródła w Met oskarżały służby bezpieczeństwa i wywiad o brak porozumienia. Jeden ze śledczych porównał tempo przepływu informacji między Thames House a Scotland Yardem do ruchów lodowca. Później jeszcze uściślił tę opinię, określając współpracę między tymi dwoma instytucjami mianem „nieistniejącej”.

W następstwie biegu wydarzeń w prasie pojawiły się niepochlebne komentarze na temat stylu kierowania firmą przez Amandę Wallace. Jej podwładni rzekomo odczuwali przed nią lęk, a liczni członkowie



kierownictwa podobno szukali gdzie indziej lepszych warunków pracy. I to w czasach, gdy Wielkiej Brytanii nie było na to stać. Pisano, że relacje Amandy z Grahamem Seymourem, jej odpowiednikiem w MI6, są trudne, że prawie z sobą nie rozmawiają, a w czasie pewnego kryzysowego spotkania w gabinecie premiera udawali, że się nie widzą. Jeden z cenionych byłych pracowników twierdził, że stosunki między dwoma brytyjskimi służbami wywiadowczymi są najgorsze od pokolenia. Uznany dziennikarz, który pisywał do „Guardiana” na temat problemów bezpieczeństwa, sugerował, że brytyjski wywiad przeżywa głęboki kryzys. I tym razem dziennikarz miał rację.

Od tej pory wokół Thames House narastała atmosfera oczekiwania na egzekucję, której ofiarą miała być Amanda Wallace. Ona jednak położyła temu kres.

Posłużyła się w tym celu owym znanym korespondentem z „Guardiana”, człowiekiem, którego przez lata wspomagała. Historia, na jaką się powoływał, nie zaczynała się jednak od zamachu na Brompton Road, lecz od śmierci księżnej. Twierdził, że od tej chwili sprawy przybrały zły obrót. W jego tekście wielokrotnie występowało nazwisko Quinn, a także Graham Seymour. Zdaniem jednego z politycznych komentatorów trudno byłoby podać doskonalszy przykład morderstwa dokonanego za pomocą przecieku prasowego.

W południe zaczęło się więc następne oczekiwanie na egzekucję. Tym razem jej obiektem miał być szef Tajnej Służby Wywiadowczej Jej Królewskiej Mości. Nie wydał żadnego oświadczenia i nie odstępował od swych normalnych zajęć do jedenastej trzydzieści, kiedy to zauważono, że jego służbowy jaguar z przyciemnionymi szybami wjeżdża w bramę Downing Street. Pozostawał pod numerem dziesięć niecałą godzinę, choć później Simon Hewitt, dyrektor do spraw kontaktów z mediami w siedzibie premiera, zaprzeczył, jakoby szef wywiadu postawił tam stopę.

Wkrótce po czternastej widziano jego jaguara, gdy wjeżdżał na podziemny parking Vauxhall Cross. Okazało się jednak, że Grahama Seymoura w nim nie było. W tym czasie siedział z tyłu nieoznakowanego furgonu i znajdował się już daleko od Londynu.

*Dartmoor, hrabstwo Devon*

Droga nie miała nazwy i nie figurowała na mapie. Z lotu ptaka wyglądała jak rysa wśród wrzosowisk, a może ślad po strumieniu płynącym przez te tereny w czasach, gdy człowiek budował kamienne kręgi. Przy wjeździe stał znak, zardzewiały i wyblakły. Informował, że droga jest prywatna. Widoczna na końcu brama budziła cichy respekt.

Teren rozciągający się za nią, posępny i nagi, wymagał specyficznych upodobań. Człowiek, który zbudował tu dom, zbił majątek na transporcie morskim. Przekazał go swemu jedyjnemu synowi, a ten z kolei, nie mając potomstwa, zapisał wszystko Tajnym Służbom Wywiadowczym, w których pracował przez blisko pół wieku. Służył w wielu odległych zakątkach imperium, pod wieloma różnymi nazwiskami, ale głównie znany był jako Wormwood. Służby nazwały tym nazwiskiem jego dom, a ci, którzy z niego korzystali, uznali to za słuszne.

Budynek zbudowany z miejscowego kamienia, który pociemniał ze starości i zaniedbania, stał na wzniesieniu. Za nim, w głębi zarośniętego dziedzińca, znajdowała się dawna stajnia przekształcona obecnie na biura i mieszkania dla służby. Gdy Wormwood Cottage pustoszał, opiekował się nim tylko jeden człowiek, niejaki Parish. Ale gdy byli tu goście - których nazywano „spółką” - wówczas obsługa mogła liczyć nawet dziesięć osób. Wiele zależało od tego, kim był gość i przed kim się ukrywał. Sojusznik mający nielicznych wrogów mógł poruszać się swobodnie, ale zbieg polityczny z Iranu czy Rosji pilnowany był niemal jak więzień.

Dwaj mężczyźni, którzy przybyli tu wieczorem w dniu zamachu przy Brompton Road, plasowali się gdzieś pośrodku. Zapowiedziano ich z zaledwie kilkuminutowym wyprzedzeniem. Przybyli w towarzystwie zaufanego człowieka kierownictwa znanego w pracy jako Davies oraz lekarza, który leczył nieuleczalne rany. Doktor spędził resztę nocy, usiłując poskładać starszego z dwóch mężczyzn, młodszy zaś obserwował każdy jego ruch.

Ten młodszy, chociaż Anglik, mieszkał w innym kraju i mówił innym językiem, starszego zaś otaczał nimb legendy. Dwaj członkowie obsługi zajmowali się nim już jakiś czas temu, po incydencie w Hyde Parku z udziałem córki amerykańskiego ambasadora. Był prawdziwym dżentelmenem, miał naturę artysty i dość spokojne usposobienie. I choć zdarzały mu się chwile zniecierpliwienia, w tej branży nikogo to nie dziwiło. Mieli go chronić, pilnować, by na niczym mu nie zbywało, a potem przysposobić do dalszej drogi. Nikt nigdy nie wymienił jego imienia czy nazwiska, gdyż, jak im powiedziano, nie istniał. Był człowiekiem bez przeszłości i bez przyszłości. Niezapisaną kartą. Nie żył. Po prostu.

Przez pierwsze dwie doby rozmawiał tylko z lekarzem, który opatrywał mu rany, i z młodszym Anglikiem. Nie odezwał się słowem do obsługi, poza zdawkowym „dziękuję”, gdy przynosili mu posiłki lub czystą odzież. Tkwił w swym małym pokoju z widokiem na puste wrzosowiska, mając do dyspozycji jedynie telewizję i londyńskie gazety. Raz tylko zwrócił się z prośbą - chciał skorzystać ze swej komórki. Ale Parish, stały nadzorca posiadłości, uprzejmie mu wyjaśnił, że goście, nawet tak wysokiej rangi jak on, nie mogą używać prywatnych środków łączności w Wormwood Cottage ani na otaczającym go terenie.

- Chciałbym wiedzieć, jak się nazywali - odezwał się ranny mężczyzna na trzeci dzień, gdy Parish osobiście przyniósł mu herbatę i grzanki.

- Kto jak się nazywał, sir?
- Ta kobieta z dzieckiem. Policja nie ujawniła ich danych.
- Obawiam się, że nie mogę panu pomóc. Jestem tylko dozorcą.
- Znajdź mi ich dane - powtórzył pacjent i Parish, pragnąc się wycofać, obiecał, że zrobi, co może.
- Co z moim BlackBerry?
- Przykro mi. - Parish spojrział na niego z ubolewaniem. - Obowiązuje nas regulamin.

Czwartego dnia na tyle odzyskał siły, że opuścił pokój. W południe siedział w ogrodzie, gdy jego młodszy towarzysz wyruszył na spacer

po wrzosowiskach, i był tam również o zachodzie, gdy tamten powrócił, ciągnąc za sobą dwóch wykończonych ochroniarzy. Anglik odbywał przechadzkę bez względu na pogodę, nawet piątego dnia, gdy nad wrzosowiskami szalała wichura. W tym dniu zażądał, by obciążono mu plecak taką ilością gruzu i kamieni, jaką mógł pomieścić. Dwaj ochroniarze byli półzywi, gdy przywlekli się do domu.

Tej nocy w swej kwaterze przekształconej ze stajni szeptali z podziwem o nadludzkiej sile i wytrzymałości tego człowieka. Jeden z nich, były członek SAS, twierdził, że rozpoznaje w nim fachowca z pułku tej jednostki. Mówił, że zdradzają to jego ruchy i sposób, w jaki obejmuje wzrokiem krajobraz. Czasem sprawiał wrażenie, jakby widział go po raz pierwszy. Kiedy indziej zdawał się zastanawiać, jak kiedykolwiek mógł go opuścić.

Funkcjonariusze ochrony zajmowali się różnymi ludźmi przebywającymi w tym domu - zbiegami, szpiegami, spalonymi agentami operacyjnymi, a nawet oszustami wzbogaconymi na pieniądzach podatników. Ale ten był inny. Niezwykły. Niebezpieczny. Miał mroczną przeszłość i, być może, jasną przyszłość.

Na szósty dzień, kiedy to „Guardian” opublikował swój głośny artykuł i kiedy, jak mówiono, brytyjski wywiad rozpadł się na kawałki, młodszy z mężczyzn wyruszył na szczyt wzgórza. Oznaczało to pięć kilometrów marszu, a dziesięć, gdyby - jak przypuszczała ochrona - ten cholerny idiota chciał maszerować w obie strony. Ale po dwóch kilometrach, przecinając smagane wiatrem wzgórze, nagle stanął, jakby w przeczuciu niebezpieczeństwa. Błyskawicznie obrócił głowę w lewo, po czym zastygł w bezruchu, wpatrując się w cel.

Był nim, jak się okazało, nieoznakowany furgon podskakujący na drodze z Postbridge. Anglik patrzył, jak skręca w trakt bez nazwy, a potem znika w zieleni drzew niczym stalowa kula w labiryncie. Wtedy opuścił głowę i ruszył dalej. Maszerował ze swym ciężkim plecakiem w tempie, któremu ochroniarze z trudem mogli sprostać. Szedł, jakby przed czymś uciekał. I jakby wracał do domu.

W chwili gdy furgon dotarł do końca drogi, brama była już otwarta. Na powitanie wyszedł jedynie Parish. Cóż za okropny widok, pomyślał, patrząc, jak szef Tajnych Służb Jej Królewskiej Mości wypelza z tyłu zwykłego dostawczaka. Czołgał się, opowiadał tego samego wieczoru, jak jakiś dżihadysta pojmany na polu walki i wystawiony na Bóg wie co. Parish z szacunkiem uściśniła dłoń szefa, któremu wiatr rozwiewał gęste siwe loki.

- Gdzie on jest? - zapytał Seymour.
  - Który z nich, sir?
  - Nasz przyjaciel z Izraela.
  - W swoim pokoju, sir.
  - A ten drugi?
  - Tam. - Parish wskazał na wrzosowiska.
  - Kiedy wróci?
  - Trudno powiedzieć, sir. Czasem myślę, że nigdy. Robi wrażenie człowieka, który może chodzić bez końca, jeśli tak postanowi.
- Szef blade się uśmiechnął.
- Czy mam polecić ochronie, żeby natychmiast sprowadzili go do domu, sir?
  - Nie - odparł Graham Seymour, wchodząc do budynku. - Sam się tym zajmę.

## *Wormwood Cottage, Dartmoor*

Pomieszczenia Wormwood Cottage wyposażone były w najnowocześniejszy system monitoringu audio-wideo, zdolny rejestrować każde słowo i ruch przebywających tu osób. Seymour polecił Parishowi go wyłączyć i usunąć z domu całą obsługę z wyjątkiem kucharki, panny Coventry, która podała im w dzbanku herbatę Earl Grey, a także świeżo upieczone słodkie bułeczki z bitą śmietaną z Devonshire.

Usiedli z Gabrielem w kuchni przy małym stole stojącym w przytulnej niszy o przeszklonych ścianach. Na jednym z krzeseł, jak nieproszony gość, leżał rozłożony egzemplarz „Guardiana”. Seymour spojrzął na niego z miną równie ponurą jak krajobraz za oknem.

- Widzę, że śledzisz wszystko na bieżąco.
- Niewiele mam tu do roboty.
- To dla twojego dobra.
- Twojego również.

Seymour wypił łyk herbaty, nie odpowiadając.

- Utrzymasz się? - zagadnął Gabriel.
- Myślę, że tak. W końcu premier i ja jesteśmy sobie dosyć bliscy.
- Zawdzięcza ci swoją karierę polityczną, nie wspominając o małżeństwie.
- W gruncie rzeczy to ty uratowałeś karierę Jonathana. Ja byłem tylko twoim cichym pomocnikiem.
- Seymour podniósł gazetę i zmarszczył brwi, patrząc na nagłówek artykułu.
- Uderzająco trafny - zauważył Gabriel.

- Nic dziwnego, mieli dobre źródło.
- Widzę, że nieźle to wytrzymujesz.
- A co mi pozostaje? Zresztą nie ma w tym nic osobistego. To akt samoobrony. Amanda nie zamierza się poddać.

- Efekt jest ten sam.

- Owszem - przyznał Seymour z goryczą. - Brytyjski wywiad pogrążył się w chaosie. W oczach opinii publicznej wyłącznie z mojej winy.

- Niesłychane, że tak się to potoczyło.

Zapadła cisza.

- Będą jeszcze jakieś niespodzianki? - spytał po chwili milczenia Seymour.

- Martwe ciało w hrabstwie Mayo.

- Liam Walsh?

Gabriel skinął głową.

- Myślę, że na to zasłużył.

- Owszem.

Seymour w zamyśleniu sięgnął po bułeczkę.

- Przykro mi, że cię w to wciągnąłem. Powinienem zostawić cię w Rzymie, żebyś skończył tego Caravaggia.

- A ja powinienem był cię uprzedzić, że kobieta, która spędziła noc w mieszkaniu Eamona Quinna, wsiada do samolotu lecącego do Londynu.

- Co by to zmieniło?

- Może coś.

- Nie jesteśmy policją, Gabrielu.

- To znaczy?

- Instynktownie zachowałbym się tak jak ty. Nie zatrzymałbym jej na Heathrow. Pozwoliłbym odjechać w nadziei, że doprowadzi mnie do celu.

Seymour odłożył gazetę na puste krzesło.

- Muszę stwierdzić - odezwał się po chwili - że jak na faceta, który zaatakował ćwierćtonową bombę, wyglądasz całkiem nieźle. Może ty naprawdę jesteś archaniołem?

- Gdybym nim był, znalazłbym sposób, żeby ich wszystkich ocalić.

- Ocaliłeś bardzo wielu. Obliczamy, że co najmniej sto osób. I prawdopodobnie wyszedłbyś z tego bez szwanku, gdybyś się schował w Harrodsie.

Gabriel nie odpowiedział.

- Dlaczego to zrobiłeś? - Seymour nie dawał za wygraną. - Dla-

czego wybiegłeś na ulicę?

- Bo ich zobaczyłem.
- Kogo?
- Tę kobietę i dziecko w samochodzie. Próbowałem ich ostrzec, ale nie rozumiała, nie chciała...
- To nie twoja wina - uciął Seymour.
- Znasz ich nazwiska?
- Nazywała się Charlotte Harris. Mieszkała na Shepherds Bush.
- A chłopiec?
- Miał na imię Peter. Po dziadku.
- Ile miał lat?
- Dwa i cztery miesiące. - Seymour przerwał i ostrożnie spytał: -

Mniej więcej tyle, ile twój syn, prawda?

- To nie ma znaczenia.
- Oczywiście, że ma.
- Dani był kilka miesięcy starszy.
- I przypięty pasem do fotela, gdy wybuchła bomba.
- Skończyłeś, Graham?
- Nie. - Seymour zamilkł i w pokoju na chwilę zapadła cisza. - Wkrótce znów będziesz ojcem. A także szefem. Ojcowie i szefowie nie szukają konfrontacji z ćwierćtonowymi bombami.

Na zewnątrz słońce zawisło nad szczytem odległego wzgórza. Wrzosowiska zalała ognista poświata.

- Ile wiedzą moje służby?- zapytał Gabriel.
- Wiedzą, że byłeś w pobliżu bomby, gdy detonowała.
- Skąd?
- Twoja żona rozpoznała cię na wideo CCTV. Jak pewnie się spodziewasz, chce, żebyś wrócił do domu. Podobnie Uzi. Groził, że przyleci do Londynu i osobiście zmusi cię do powrotu.
- Dlaczego tak nie zrobił?
- Szamron przekonał go, żeby się wstrzymał. Uznał, że lepiej poczekać, aż opadnie kurz.
- Mądre posunięcie.
- Spodziewałeś się innego?
- Nie ze strony Szamrona.

Ari Szamron był dwukrotnym dyrektorem generalnym izraelskiego wywiadu, szefem szefów, wiekuistym przywódcą. Stworzył Biuro wedle własnych wyobrażeń, wymyślił jego język, opracował zasady postępowania, ukształtował ducha. Nawet teraz, gdy był stary i podupadał na zdrowiu, zazdrośnie strzegł swego dzieła. To z jego błogosławieństwem Gabriel miał wkrótce objąć kierownictwo Biura. I



to również przez niego rzucił się jak szaleniec w stronę białego forda z dzieckiem przypiętym do fotelika.

- Gdzie mój telefon? - zapytał.
- W naszym laboratorium.
- Wasi technicy zapewne dobrze się bawią naszym oprogramowaniem?
- Nasze jest lepsze.
- A więc pewnie już wiedzą, gdzie był Quinn, gdy wysłał tego esemesa.
- Centrala Łączności Rządowej zlokalizowała jego komórkę w Londynie. Pozostaje pytanie - ciągnął - skąd miał twój numer.
- Myślę, że od tych samych ludzi, którzy go najęli, żeby mnie zabił.
- Są jacyś podejrzani?
- Tylko jeden.

# 31

## *Wormwood Cottage, Dartmoor*

W szafie na korytarzu wisiały kurtki marki Barbour, a w przed-sionku pod ścianą stały rzędy gumowców. Panna Coventry wymogła, by wzięli latarkę. Wyjaśniła, że noc na wrzosowiskach zapada nagle i nawet doświadczeni turyści tracą orientację w monotonii bezkresnego krajobrazu. Była to latarka wojskowa dużej mocy, o zasięgu szpera-cza.

- Gdybyśmy się zgubili - rzucił Gabriel, ubierając się do wyjścia - możemy wysłać sygnał jakiemuś przelatującemu samolotowi.

Gdy wychodzili z domu, słońce było już wspomnieniem. Pomarańczowy blask rozjaśniał jeszcze horyzont, ale nad głowami płynął wąski księżyc, a na wschodzie lśniła zimnym światłem plejada gwiazd. Gabriel - słaby, obolały i posiniaczony - niepewnie ruszył ścieżką, trzymając w ręce wyłączoną latarkę. Seymour, wyższy i chwilowo sprawniejszy, maszerował obok. Marszczył w skupieniu brwi, słuchając, co się wydarzyło, a także, co ważniejsze, jak do tego doszło.

Gabriel twierdził, że cały ten spisek miał swój początek w pewnym domu wśród brzoź nad zamarzniętym jeziorem. Dokonał tam ongiś niewybaczalnego czynu wobec kogoś takiego jak on sam, człowieka chronionego przez mściwe służby. Oznaczało to wyrok śmierci. Ale nie tylko dla niego. Wyrok obejmował również jego współnika, a także jeszcze kogoś, kto uczestniczył w sprawie. Ten jednak miał inaczej odpłacić za swe winy. Za karę czekała go kompromitacja, a na jego karierze miał zaciążyć skandal.

- To ja? - zapytał Seymour.

- Ty.

- Pomysłodawcy spisku - ciągnął Gabriel - nie działali w pośpiechu. Planowali bardzo ostrożnie pod ścisłym nadzorem swego politycznego zwierzchnika. Quinn był ich bronią, przynętą idealną. Organizatorzy spisku nie mieli stałych kontaktów z konstruktorem bomb, ale ich drogi oczywiście się krzyżowały. Zaprosili go do swej siedziby, traktowali jak bohatera, obsypywali pieniędzmi i otaczali luksusem. A potem wysłali go w świat, żeby dokonał aktu zbrodni: czynu, który wstrząśnie całym narodem i uruchomi dalszą część planu.

- Chodzi o księżnę?

Gabriel przytaknął.

- Nie możesz udowodnić ani jednego słowa.

- Nie, jeszcze nie.

Przez kilka dni po zamachu, mówił dalej Gabriel, brytyjski wywiad nie był świadom roli Quinna.

Wtedy Uzi Navot przyleciał do Londynu z informacją pochodzącą z poważnego irańskiego źródła. W konsekwencji Seymour udał się do Rzymu, a Gabriel na Korsykę. Potem z pomocą Kellera przeszedł całą bandycką przeszłość Quinna. Znaleźli jego zatajoną rodzinę w Belfaście Zachodnim i małe mieszkanko na wzgórzach Lizbony, gdzie kobieta o nazwisku Anna Huber spędziła noc pod obserwacją trzech mężczyzn. Dwaj z nich wsiedli za nią do samolotu i tak zaczął się trzeci akt spisku. Błękitne bmw, skradzione, przemalowane i zaopatrzone w fałszywe tablice rejestracyjne, podstawiono dla niej na Heathrow. Kobieta wsiadła do samochodu i dotarła nim na Brompton Road. Zaparkowała naprzeciw słynnego domu towarowego, uzbroiła bombę i rozplynęła się w tłumie, podczas gdy dwaj mężczyźni desperacko starali się ratować, kogo mogli. Wiedzieli, że bomba zaraz wybuchnie, bo Quinn to zapowiedział. Krótki esemes o zagadkowej treści był jednoznaczny z jego podpisem. I przez cały czas ci, którzy go najęli, obserwowali bieg wydarzeń. Być może, dodał Gabriel, robią to nadal.

- Myślisz, że infiltrują moją działalność?

- Od dawna.

Seymour umilkł i spojrzał przez ramię na blednące w oddali światła Wormwood Cottage.

- Czy jesteś tu bezpieczny?

- Ty mi to powiedz.

- Parish znał mojego ojca. Nie spotkałem nikogo bardziej lojalnego. Ale mimo to - dodał - na wszelki wypadek wkrótce cię

przeniesiemy.

- Obawiam się, że już za późno. Grahamie.
- Dlaczego?
- Bo jestem martwy.

Seymour przez chwilę patrzył na niego zdumiony, a potem zrozumiał.

- Chcę, żebyś skontaktował się z Uzim przez swoją służbową linię - ciągnął Gabriel. - Powiedz mu, że nie przeżyłem śmiertelnych obrażeń i przekaż głębokie kondolencje. Poproś, żeby wysłali Szamrona po moje ciało. Bez niego nie zdołam tego zrobić.

- To znaczy czego?

- Zabić Eamona Quinna - odparł zimno. - A potem zabić tego, kto mu płaci.

- Zostaw Quinna mnie.

- Nie. - Gabriel pokręcił głową. - On jest mój.

- Nie możesz w tym stanie ścigać nikogo, a tym bardziej jednego z najbardziej niebezpiecznych terrorystów na świecie.

- A więc będzie mi potrzebny ktoś do noszenia bagaży. I to chyba ktoś z MI6 - dodał szybko. - Ktoś, kto będzie pilnować brytyjskich interesów.

- Masz kogoś na myśli?
- Owszem - odparł. - Ale jest pewien problem.
- Mianowicie jaki?
- On jeszcze nie jest w MI6.
- Nie - odparł Seymour. - Jeszcze nie.

Podążył za spojrzeniem Gabriela w mroczną dal krajobrazu. Początkowo nie widział nic, potem z ciemności wyłoniły się postaci trzech mężczyzn. Dwaj wręcz ślaniali się ze zmęczenia, trzeci natomiast lekko maszerował ścieżką, jakby zamierzał pokonać jeszcze wiele kilometrów. Zatrzymał się gwałtownie, podniósł głowę i machnął sztywno wyciągniętą ręką. Zaraz potem stanął między nimi i uśmiechając się, wyciągnął do Seymoura dłoń.

- Graham - rzekł przyjaźnie. - Dawno cię nie widziałem. Zostajesz na kolację? Podobno panna Coventry przygotowuje swoją słynną zapiekankę.

Potem odwrócił się i ruszył dalej w ciemność. Chwilę później już go nie było.

*Wormwood Cottage, Dartmoor*

Graham Seymour istotnie został na kolacji, a potem jeszcze dłużej. Panna Coventry podała wiejską zapiekankę i przyzwoite bordeau przy kuchennym stole. Potem przeszli we trzech do salonu, gdzie siedząc przy kominku, wrócili do przeszłości. Gabriel, który notował wszystko w pamięci, był głównie widzem i świadkiem tej rozmowy. Najwięcej mówił Keller. Opowiadał o swej tajnej misji w Belfaście, o śmierci Elizabeth Conlin i o Quinnie. Opisał również noc w zachodnim Iraku w styczniu 1991 roku, gdy jego jednostka znalazła się pod ostrzałem lotnictwa koalicji, a także swoją długą wędrówkę zakończoną w życzliwych ramionach don Antona Orsatiego. Seymour nie przerywał i nie osądzał nawet wtedy, gdy słuchał o zabójstwach dokonanych na zlecenie. Unikał ocen. Interesował go wyłącznie Keller.

W końcu, kiedy wypili butelkę najlepszej whisky, jaką znaleźli w Wormwood Cottage, dorzucił do kominka świeże polano i przedstawił układ, który umożliwił Kellerowi powrót do kraju. Proponował pracę w MI6, a wraz z nią nowe nazwisko i tożsamość. Christopher Keller nadal będzie dla wszystkich martwy z wyjątkiem służb MI6 oraz najbliższej rodziny, a powierzone mu sprawy będą odpowiadać jego szczególnym umiejętnościom. Papierkowa robota w Vauxhall Cross nie wchodzi w rachubę. MI6 ma wystarczająco dużo analityków do takich zadań.

- A jeśli wpadnę na ulicy na starego kumpla?
- Powiesz mu, że się myli i nie będziesz się zatrzymywać.
- Gdzie mam mieszkać?

- Gdzie tylko zechcesz, pod warunkiem, że będzie to Londyn. To chyba oczywiste.

- A co z moją willą na Korsyce?

- Zobaczymy.

Gabriel, który siedział przy ogniu, pozwolił sobie na krótki uśmiech. Keller nadal zadawał pytania.

- Dla kogo mam pracować?

- Dla mnie.

- Co będę robić?

- Cokolwiek zlecę.

- A kiedy odejdziesz?

- Nigdzie nie odchodzę.

- W gazetach piszą co innego.

- Pracując w MI6, szybko zrozumiesz, że gazety niemal zawsze kłamią. - Seymour podniósł szklankę i przyjrzał się barwie whisky w blasku ognia.

- Co powiemy w dziale personalnym? - wypytywał Keller.

- Najmniej jak się da.

- Nie ma szansy, żebym przeszedł tradycyjną weryfikację.

- Raczej nie.

- Co z moimi pieniędzmi?

- Ile ich jest?

Kiedy podał prawdziwą kwotę, Seymour uniósł brew.

- Trzeba będzie pogadać z prawnikami.

- Nie lubię prawników.

- Niestety nie możesz mieć tajnych kont.

- Dlaczego?

- Ponieważ ze względów oczywistych funkcjonariuszy MI6 obejmuje w tym względzie zakaz.

- Nie będę normalnym funkcjonariuszem MI6.

- Niemniej musisz stosować się do zasad.

- Nigdy tego nie robiłem.

- Właśnie - odrzekł Seymour. - Dlatego tu jesteś.

Rozmawiali w ten sposób jeszcze długo po północy, aż w końcu umowa została zawarta i Seymour znów z wysiłkiem wspiął się na tył nieoznakowanego furgonu. Zostawił laptop pozbawiony łączności ze światem oraz pendrive z dwoma zabezpieczonymi hasłem nagraniami wideo. Pierwsze było montażem obrazów z systemu CCTV ukazujących, jak dostarczono błękitne bmw na lotnisko Heathrow. Po raz

pierwszy kamery uchwyciły samochód w pobliżu Bristolu, kilka godzin przed eksplozją bomby. Jechał autostradą M4 do Londynu.

Kierowca miał kapelusz i okulary słoneczne, toteż jego twarz dla kamer była niewidoczna. Zatrzymał się tylko raz, by uzupełnić paliwo, za które zapłacił gotówką, nie odzywając się do sprzedawcy ani słowem. Nie odezwał się też do nikogo na parkingu przy Terminalu 3, gdzie zostawił bmw o jedenastej trzydzieści, pół godziny po starcie samolotu British Airways, lot 501, z Lizbony. Wyjął walizkę z tylnego siedzenia, ruszył na terminal i wsiadł do szybkiego pociągu z Heathrow na stację Paddington, gdzie czekał na niego motocykl. Godzinę później zniknął wraz z motorem z zasięgu kamer CCTV na jakiejś wiejskiej ścieżce na południe od Luton. Pochodzenia motocykla nie zdołano ustalić. Nigdy też nie wykryto, skąd wyjechał samochód w dniu zamachu.

Drugie nagranie dotyczyło wyłącznie kobiety. Zaczynało się od jej przejścia przez Heathrow, a kończyło zniknięciem w dymie i chaosie na Brompton Road. Gabriel uzupełnił to nagranie o kilka scen zarejestrowanych we własnej pamięci.

Znów zobaczył, jak kobieta siedzi samotnie w restauracji w bocznej uliczce, jak zatrzymuje taksówkę na ruchliwym bulwarze, a potem, w samolocie, obojętnie patrzy mu w twarz. Jest dobra, pomyślał. Twardy przeciwnik. Wiedziała, że ją śledzą niebezpieczni mężczyźni i ani razu nie okazała lęku lub niepewności. Możliwe, że była kimś, kogo Quinn spotkał podczas swych podróży przez piekło regionów globalnego terroryzmu, choć Gabriel w to wątpił. Sprawiała wrażenie zawodowca. Wysokiej kategorii. Miała klasę i charakter.

Ponownie obejrzał nagranie od początku. Patrzył, jak bmw zjeżdża na przeznaczony wyłącznie dla autobusów pas przed bankiem HSBC. Patrzył, jak kobieta wysiada i spokojnie odchodzi. A potem patrzył, jak dwaj mężczyźni wyskakują ze srebrnego passata - jeden uzbrojony w pistolet, drugi tylko w brutalną siłę - i zaczynają spychać tłum w bezpieczne miejsce. Na czterdzieści pięć sekund nad sparaliżowaną ulicą zapadła śmiertelna cisza. I wtedy jeden z nich ruszył jak szalony w stronę białego fordka uwięzionego w ruchu. Może jednak Graham Seymour ma rację? Może on, Gabriel, naprawdę jest archaniołem?

Niemal świtało, gdy wyłączył komputer. Zgodnie z poleceniem oddał go przed śniadaniem Parishowi razem z odręczną notatką przeznaczoną dla Grahama Seymoura w Vauxhall Cross. Zwracał się w niej z prośbą o pozwolenie na odbycie dwóch spotkań - jednego z wybitną publicystką zajmującą się sprawami politycznymi, drugiego z najsłynniejszym na świecie dezterem.

Seymour zgodził się na oba i wysłał do Wormwood Cottage nieoznakowaną furgonetkę. Późnym popołudniem tego samego dnia mknęła wzdłuż skał półwyspu Lizard w zachodniej Kornwalii. Keller, jak się okazało, nie był sam. Nieodżałowanej pamięci Gabriel Allon również jechał do domu.



*Gunwalloe Cove, Kornwalia*

Po raz pierwszy widział go z pokładu kecza, z odległości jakiejś mili. Mały domek na południowym brzegu zatoczki Gunwalloe Cove tkwił na szczycie skały niczym chata celnika w Pourville z obrazu Moneta. Poniżej widniała sierpowata połać ubitego piasku, gdzie pod zdradliwymi falami drzemał stary wrak. Po drugiej stronie, za fioletowym zawciągami i czerwoną kostrzewą, które porastały szczyty skał, rozciągało się pochyłe zielone pole przecięte rzędami krzewów.

Teraz jednak Gabriel tego nie widział, gdyż kulił się jak uchodźca z tyłu dostawczej furgonetki. Wiedział jednak, że jest już blisko. Mówiła mu to droga. Znał tu każdy zakręt i każdy prosty odcinek, każdy garb i każdy wybój, szczekanie każdego psa i słodką sielską woń każdego z pastwisk. Tak więc gdy furgonetka ostro skręciła przy pubie Lamb and Flag i zaczęła zjeżdżać ku plaży, wyprostował się w oczekiwaniu. Wóz zwolnił, zapewne by przepuścić jakiegoś rybaka jadącego od strony zatoki, po czym znów ostro skręcił, tym razem w lewo, by wjechać w prywatny podjazd. Potem otworzyły się tylne drzwi i ochroniarz z MI6 powitał go we własnym domu, jakby był turystą po raz pierwszy przybywającym do Kornwalii.

- Witamy w Gunwalloe, panie Carlyle! - zawołał, przekrzykując wiatr. - Mam nadzieję, że podróż nie była uciążliwa. W dzisiejszych czasach ruch bywa bardzo męczący.

Uderzyło go powietrze, słone i rześkie. Późne popołudniowe słońce miało ostrą barwę pomarańczy, a skąpane w ognistym blasku morze pokrywały białe grzebienie pian. Gabriel przez chwilę stał na

podjeździe z gardłem ściśniętym nagłą tęsknotą, w końcu jednak strażnik uprzejmie poprowadził go do wejścia. Ochrona miała wyraźne polecenie, by kryć go przed światem, dla którego wkrótce miał stać się martwy.

Podniósł wzrok i wyobraził sobie Chiare. Stała w drzwiach z pełną wyrzutu miną, jej niesforne włosy spływały z ramion, a ręce skrzyżowała na brzuchu. Ale gdy wspiął się po trzech frontowych schodkach, gdzieś zniknęła. Odruchowo powiesił swój nieprzemakalny płaszcz na kołku w holu i przeciągnął dłonią po starym zamszowym kaszkiecie, który zawsze wkładał na długie spacery wzdłuż skalistego brzegu. Obracając się, znów zobaczył Chiare. Zdejmowała z kuchni ciężki gliniany garniec, a gdy uniosła pokrywę, pomieszczenie wypełnił aromat cielęciny, wina oraz szaławii.

Na stole, przy którym pracowała, leżały rozsypane fotografie zaginionego portretu Rembrandta. Gabriel właśnie zgodził się wytropić ten obraz dla marszanda sztuki Juliana Isherwooda, nie wiedząc, że poszukiwania cennego dzieła sztuki doprowadzą go do irańskiego programu jądrowego. Zdołał zlokalizować i zniszczyć cztery tajne zakłady wzbogacania uranu, a jego niezwykle osiągnięcie znacznie spowolniło tempo przygotowań Iranu do produkcji broni nuklearnej. Ale Irańczyków jego wyczyny nie ucieszyły. W rzeczywistości chcieli go zlikwidować z determinacją równą tej, z jaką postanowili zrobić to ludzie, którzy najęli w tym celu Eamona Quinna.

Obraz Chiary zniknął. Otworzył przeszkłone drzwi i przez chwilę wyobraził sobie, że słyszy pod powierzchnią morza kościelne dzwony Lyonesse, mitycznego podwodnego Miasta Lwów. Samotny rybak stał zanurzony do pasa w falach przyboju. Na plaży nie było nikogo oprócz idącej brzegiem kobiety oraz mężczyzny w nylonowej kurtce zeglarskiej.

Kobieta kierowała się na północ i była do niego odwrócona tak, że widział jej wysmukłą sylwetkę z tyłu. Od morza powiał zimny wiatr. Tak zimny, że Gabriel poczuł chłód. Pamiętał, jak szła mroźną ulicą Petersburga. Zarówno wtedy, jak teraz, patrzył na nią z góry. Stał bowiem na gzymsie cerkiewnej kopuły. Wiedziała, że tam jest, lecz nie podniosła głowy. Była zawodowcem. Wysokiej kategorii. Miała klasę i charakter.

Gdy dotarła do najdalej wysuniętego na północ krańca plaży, zrobiła gwałtowny zwrot w tył, a mężczyzna w nylonowej kurtce obrócił się niemal jednocześnie z nią. Wodna mgła otulała tę scenę baśniową aurą. Kobieta przystanąła, by spojrzeć, jak rybak wyciąga z fal trzepocącego się okonia, i śmiejąc się z czegoś, co powiedział,

podniosła naniesiony przypiływem kamień i rzuciła go w morze. Potem obróciła się i znów znieruchomiała, najwyraźniej zaskoczona czymś niespodziewanym. Może widokiem mężczyzny, który stał przy barierze skalnego tarasu tak samo jak wtedy, gdy spoglądał na nią z wysokości cerkiewnej kopuły w Petersburgu. Rzuciła kolejny kamień we wzburzone morze, opuściła głowę i ruszyła dalej. Teraz, tak jak i wtedy, Madeline Hart nie spojrzała w górę.

Zaczął się od romansu premiera Jonathana Lancastera i młodej kobiety, która pracowała w siedzibie jego partii. Ale to nie była zwykła kobieta, tylko rosyjska „śpiąca” agentka, ulokowana w Anglii jeszcze jako dziecko. Romans też nie był pospolitym romansiem, lecz częścią wyrafinowanego rosyjskiego planu. Miał on zmusić premiera do przekazania lukratywnych praw do odwiertów na Morzu Północnym firmie energetycznej o nazwie Volgatek Oil & Gas, stanowiącej własność Kremla.

Gabriel dowiedział się prawdy o tej sprawie od człowieka, który prowadził tę operację, funkcjonariusza SWR\*, niejakiego Pawła Żirowa. Później z grupą agentów operacyjnych Biura wytropili Madeline Hart w Petersburgu i wywieźli ją z Rosji. Jej ucieczce towarzyszył skandal niespotykany w brytyjskiej historii. Lancaster, upokorzony osobiście i politycznie, zareagował unieważnieniem umowy dotyczącej wierceń na Morzu Północnym oraz zamrożeniem rosyjskich depozytów w brytyjskich bankach. Wedle pewnych szacunków rosyjski prezydent stracił osobiście kilka miliardów dolarów. Prawdę mówiąc, pomyślał Gabriel, to niesłychane, że czekał aż tak długo, by dokonać odwetu.

\* SWR (Służba Wniesznej Razwiedki) - Służba Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej (przyp. red.).

Zamiarem KGB było przestoczenie Madeline Hart w angielską dziewczynę. Zdołano to osiągnąć przez lata manipulacji i szkolenia. Jej znajomość rosyjskiego była ograniczona i nie czuła się związana z krajem, który opuściła jako dziecko. Po powrocie do Anglii pragnęła jedynie wrócić do dawnego życia, ale z powodów politycznych, jak też ze względu na jej własne bezpieczeństwo, nie było to możliwe. Gabriel udostępnił jej swój ukochany dom w Kornwalii. Wiedział, że to miejsce ją zachwyci. Wychowała się na państwowych zapomogach w budynku komunalnym w angielskim Basildon i nie marzyła o niczym więcej niż o pokoju z widokiem.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała, wspinając się po schodach na ta-

ras. Potem się uśmiechnęła. Takie samo pytanie zadała mu tamtego popołudnia w Petersburgu. Jej oczy były też takie jak wtedy, błękitnoszare, szeroko otwarte z przejęcia.

Zaraz je jednak przymrużyła, patrząc z troską na jego posiniaczoną twarz.

- Wyglądasz okropnie - oświadczyła z typowo angielskim akcentem, który łączył w sobie cechy wymowy Londynu i Essex. Nie było w nim jednak cienia moskiewskich naleciałości. - Co się stało?

- Miałem wypadek na nartach.
- Nie wyglądasz mi na narciarza.
- To był mój pierwszy raz.

Nastąpiła nieco niezręczna chwila, gdy zapraszała go do jego własnego domu. Powiesiła swój płaszcz na kołku obok jego okrycia i wyszła do kuchni zrobić herbatę. Napełniła czajnik elektryczny butelkowaną wodą i wyjęła z kredensu stare pudełko po herbacie Harney & Sons. Gabriel nabył je przed wieloma laty w kornwalijskim Marazion, w domu handlowym Morrisons.

Usiadł na swym ulubionym stołku i patrzył na kobietę, która opanowała przestrzeń zajmowaną zawsze przez jego żonę. Na kuchennym blacie leżały nieprzeczytane londyńskie gazety. Wszystkie zamieszczały drastyczne opisy zamachu na Brompton Road oraz komentarze na temat konfliktu wewnątrz brytyjskich służb wywiadowczych. Spojrzał na Madeleine. Zimne morskie powietrze zabarwiło jej blade policzki na różowo. Wydawała się zadowolona, nawet szczęśliwa. Zupełnie nie przypominała załamanej kobiety, którą odnalazł w Petersburgu. Nie miał serca, by jej powiedzieć, że to ona stanowi przyczynę wszystkiego, co się wydarzyło.

- Zaczynałam już myśleć, że nigdy więcej cię nie zobaczę - powiedziała. - To trwało...

- Zbyt długo - uciął.
- Kiedy ostatnio byłeś w Anglii?
- Latem tego roku.
- Dla przyjemności czy służbowo?

Odpowiedział z pewnym wahaniem. Jeszcze długo po ucieczce Madeline z Rosji nie podawał jej swego prawdziwego nazwiska. Zdarza się, że uciekinierzy zaczynają tęsknić za krajem.

- To była podróż służbowa.
- Mam nadzieję, że udana.

Chwilę się namyślał.

- Owszem - odparł w końcu. - Chyba tak.

Madeline zdjęła czajnik z podstawy i nalała wrzątku do pękatego

białego dzbanka, który Chiara wybrała w sklepie w Penzance.

- Jesteś tu szczęśliwa, Madeline? - Spojrzał na nią badawczo.
- Żyję w strachu, że mnie stąd wyrzucisz.
- Jak tak możesz myśleć?
- Nigdy nie miałam własnego domu - odparła. - A także matki ani ojca. Zawsze było tylko KGB. A kiedy stałam się osobą, którą chciałam się stać, zabrali mi i to.
- Możesz zostać tu tak długo, jak tylko zechcesz.

Otworzyła lodówkę, wyjęła karton z mlekiem i napełniła nim mały dzbanuszek Chiary.

- Ciepłe czy zimne?
- Zimne.
- Cukier?
- Broń Boże.
- Mam chyba w spiżarni paczkę biskwitów.
- Już jadłem. - Nalał mleka na dno filiżanki i załał je herbatą. -

Jak tam sąsiedzi?

- Są nieco wścibscy.
- Nie mów.
- Najwyraźniej wywarłeś na nich silne wrażenie.
- To nie ja.
- Nie przytaknęła. - To był Giovanni Rossi, wielki włoski konserwator dzieł sztuki.
- Nie taki wielki,
- Vera Hobbs jest innego zdania.
- Jak smakują teraz jej bułeczki?
- Są prawie tak dobre jak te w kawiarence na szczycie Lizard Point.

Jego uśmiech zapewne zdradził, jak bardzo tęsknił za tym miejscem.

- Nie wiem, jak mogłeś stąd wyjechać - powiedziała.
- Ani ja.

Spojrzała na niego z namysłem znad brzegu filiżanki.

- Jesteś już prawdziwym szefem waszych służb?
- Jeszcze nie.
- A kiedy będziesz?
- Za kilka miesięcy, może mniej.
- Przeczytam o tym w gazetach?
- Teraz już podajemy nazwiska kierownictwa, tak jak MI6.
- Biedny Graham - westchnęła, obrzucając spojrzeniem rozrzucone gazety.

- Tak - przytaknął automatycznie.
- Myślisz, że Jonathan go zdymisjonuje?

Dziwnie było słyszeć, jak mówi o premierze po imieniu. Zastanowił się, jak się do niego zwracała w owe noce, które spędzali razem na Downing Street pod nieobecność Diany Lancaster.

- Nie - odparł po chwili. - Nie sądzę.
- Graham za dużo wie.
- No właśnie.
- A Jonathan jest bardzo lojalny.
- Wobec wszystkich z wyjątkiem żony.

Zranił ją tą uwagą.

- Przepraszam, Madeline. Nie powinienem...
- Nie szkodzi - odparła szybko. - Zasłużyłam na to.

Jej długie kształtne dłonie nagle zaczęły drżeć. Uspokoiła je, wyjmując z dzbanka torebki herbaty, dodając nieco ciepłej wody i na powrót kładąc na nim pokrywkę.

- Czy wszystko jest tu takie, jak zapamiętałeś?
- Kobieta, którą widzę, wydaje się teraz inna. Poza tym nic się nie zmieniło.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, lecz nie odpowiedziała.

- Grzebiesz w moich rzeczach? - spytał.
- Bez przerwy.
- Znalazłaś coś ciekawego?
- Niestety nie. Zupełnie jakby mężczyzna, który tu mieszkał, nigdy nie istniał.

- Tak samo jak Madeline Hart.

W jej oczach pojawił się lęk. Wolno przeszli przez pokój - jej pokój z widokiem.

- Powiesz mi wreszcie, czemu tak wyglądasz?
- Byłem na Brompton Road, kiedy wybuchła bomba.
- Dlaczego?

Tym razem nie taił prawdy.

- A więc jesteś agentem obcego wywiadu...
- Obawiam się, że tak.
- I to ty próbowałeś ratować tych ludzi....

Milczał.

- A kim jest ten drugi mężczyzna?
- Nieważne.
- Zawsze tak mówisz.
- Tylko wtedy, kiedy tak jest.
- A kobieta?

- Z paszportu wynika, że była...
- Tak - przerwała mu. - Czytałam w gazetach.
- Widziałeś nagranie CCTV?
- Niewiele tam jest. Kobieta wysiada z samochodu, wolno odchodzi, następuje wybuch.
- To było bardzo fachowe.
- Bardzo - przytaknęła.
- Widziałeś jej zdjęcie z Heathrow?
- Jest mało wyraźne.
- Myślisz, że to Niemka?
- Powiedziałabym, że pół na pół.
- A drugie pół?

Madeline zapatrzyła się w morze.

## *Gunwalloe Cove, Kornwalia*

Mieli w sumie cztery fotografie. Pojedyncze zdjęcie kobiety siedzącej samotnie w restauracji oraz kolejne trzy zrobione w chwili, gdy stała przy zardzewiałej balustradzie balkonu Quinna, a spod jej stóp spływało kwitnące pnącze. Podnosząc papierosa do ust, odsłoniła wewnętrzną stronę ramienia. Madeline przyjrzała jej się bliżej i z namysłem uniosła brwi.

- Widzisz to? - spytała.

- Co?

Podniosła zdjęcie.

- Tę bliznę.

- To może być skaza na fotografii.

- Może być, ale nie jest. To skaza na dziewczynie.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ - odparła - byłam tam, kiedy to się stało.

- Znasz ją?

- Nie - odparła, wpatrując się w fotografie - ale znałam dziewczynę, którą kiedyś była.



*Gunwalloe Cove, Kornwalia*

Gabriel po raz pierwszy usłyszał tę historię na brzegu zamrożonego rosyjskiego jeziora z ust mężczyzny, który nazywał się Paweł Żirow. Teraz w swym domku nad morzem usłyszał ją po raz drugi od kobiety, która nazywała się Madeline Hart. Nie znała swego prawdziwego nazwiska i niemal nic nie wiedziała o swych biologicznych rodzicach. Jej ojciec był jednym z ważnych generałów KGB, być może nawet szefem wszechwładnego Zarządu Głównego. Jej dwudziestoletnia matka, maszynistka w KGB, zmarła wkrótce po urodzeniu córki. Przedawkowanie środków nasennych w połączeniu z wódką położyły kres jej istnieniu. Tak przynajmniej powiedziano Madeleine.

Umieszczono ją w sierocińcu. Nie był to jednak zwykły dom sierot, lecz placówka KGB, gdzie, jak mawiała, wychowywały ją wilki. Po pewnym czasie - nie umiała powiedzieć, kiedy to nastąpiło - opiekunowie przestali mówić do niej po rosyjsku.

Wychowywano ją w całkowitym milczeniu, aż w końcu wszelkie ślady ojczyjstego języka zniknęły z jej pamięci. Wtedy umieszczono ją pod opieką wychowawców, którzy mówili wyłącznie po angielsku. Oglądała nagrania brytyjskich programów dla dzieci i czytała angielskie książki dla dzieci. Ten ograniczony kontakt z brytyjską kulturą nie zdołał jednak zmienić jej akcentu. Wedle własnego określenia mówiła po angielsku jak spiker Radia Moskwa.

Ośrodek, w którym mieszkała, znajdował się na przedmieściach Moskwy, niedaleko siedziby centrali wywiadu w Jasieniewie, którą KGB nazywało Centralą Moskwa. Po pewnym czasie przeniesiono ją

do obozu KGB w głębi Rosji, leżącego w pobliżu zamkniętego miasta, które nie posiadało nazwy, tylko numer. Na terenie obozu znajdowało się małe angielskie miasteczko, a w nim sklepy przy głównej ulicy, park, autobus z kierowcą mówiącym po angielsku, a także rzędy domów z czerwonej cegły, gdzie podopieczni żyli razem jak rodziny. W oddzielnej części obozu znajdowało się małe amerykańskie miasteczko z kinem, w którym wyświetlano popularne amerykańskie filmy. A w niewielkiej odległości stamtąd było miasteczko niemieckie. Zarządzano nim wspólnie ze wschodnioniemieckim Stasi. Co tydzień dostarczano tam żywność z Berlina Wschodniego - niemieckie kielbasy, piwo i świeżą niemiecką szynkę. Panowała opinia, że wychowankowie w sektorze niemieckim mają najlepsze warunki.

Na ogół wychowankowie obozu pozostawali w swoich odrębnych fałszywych światach. Madeline mieszkała z kobietą i mężczyzną, którzy w końcu mieli przenieść się z nią do Anglii. Tymczasem uczęszczała do surowej angielskiej szkoły, piła herbatę i jadła słodkie bułeczki w małym angielskim sklepiku i bawiła się w angielskim parku, który był nieodmiennie pokryty grubą warstwą rosyjskiego śniegu. Od czasu do czasu pozwalano jej obejrzeć amerykański film w amerykańskim mieście albo zjeść kolację w piwnym ogródku sektora niemieckiego. W czasie jednej z takich wypraw poznała Katerinę.

- Przypuszczam, że nie mieszkała w amerykańskim miasteczku - wtrącił Gabriel.

- Nie. - Madeline pokręciła głową. - Katerinę wychowywano na niemiecką dziewczynę.

Była kilka lat starsza od Madeline, podłotek u progu kobiecości, lecz już wtedy zapowiadała się na piękność, którą się wkrótce stała. Mówiła trochę po angielsku, gdyż młodzież objętą programem niemieckim uczono dwóch języków, toteż cieszyło ją, że może ćwiczyć z Madeline, której angielski mimo dziwnego akcentu był znakomity. Z zasady przyjaźnie między wychowankami z różnych szkół nie były popierane, ale w przypadku Madeline i Kateriny wychowawcy zrobili wyjątek. Katerina od jakiegoś czasu cierpiała na depresję i jej opiekunowie nie byli pewni, czy w takim stanie nadaje się do pełnienia tajnej misji w którymś z krajów Zachodu.

- Jak to się stało, że w końcu ją zakwalifikowano? - zapytał Gabriel.

- Z podobnych względów jak i mnie.
- Jej ojciec był w KGB?
- W tym wypadku matka.
- A ojciec?

- Był niemieckim oficerem wywiadu specjalizującym się w prowokacjach seksualnych. Katerina urodziła się w efekcie takiego związku.

- Dlaczego jej matka nie zdecydowała się na aborcję?

- Pragnęła tego dziecka, ale zostało jej odebrane. A potem odebrano jej też życie.

- A ta blizna?

Madeline milczała. Znow podniosła fotografię dziewczyny stojącej na balkonie, którą знаła jako Katerinę.

- Co ona robiła w Lizbonie? - spytała. - I dlaczego podłożyła bombę na Brompton Road?

- Jej mocodawcy wysłali ją do Lizbony, bo wiedzieli, że obserwujemy to mieszkanie.

- A bomba?

- Była przeznaczona dla mnie.

Spojrzała na niego uważnie.

- Dlaczego chcieli cię zabić?

Zawahał się, a potem odpowiedział:

- Z powodu ciebie, Madeline.

Zapadła cisza.

- A na co liczyłeś - odezwała się w końcu - kiedy zabiłeś oficera KGB na rosyjskiej ziemi, a potem pomogłeś mi uciec na Zachód?

- Myślałem, że rosyjski prezydent będzie zły, ale nie sądziłem, że podłoży bombę na Brompton Road.

- Nie doceniłeś rosyjskiego prezydenta.

- Przeciwnie - odparł. - Ja i on mamy długą historię.

- Próbował cię już zabić?

- Owszem - przytaknął. - Ale teraz po raz pierwszy mu się udało.

Jej szarobłękitne oczy spojrzały ze zdziwieniem. I nagle zrozumiała.

- Kiedy umarłeś?

- Kilka godzin temu, w brytyjskim szpitalu wojskowym. Dzielnie walczyłem, ale bez powodzenia. Odniosłem zbyt ciężkie rany.

- Kto jeszcze wie?

- Oczywiście moje służby, a także żona, którą delikatnie uprzedzono o tej sytuacji.

- A Centrala Moskiewska?

- Jeśli, jak przypuszczam, przeczytali e-mail MI6, to wznoszą już toast za mój zgon. Ale żeby mieć pewność, zamierzam to wyraźnie zademonstrować.

- Czy mogę jakoś pomóc?

- Powiedz coś miłego na moim pogrzebie. I nie spaceruj po plaży tylko z jednym ochroniarzem.
  - W rzeczywistości było ich dwóch.
  - Ten rybak?
  - Będziemy mieć na kolację pieczonego okonia. - Uśmiechnęła się i zapytała: - Co zrobisz z wolnym czasem teraz, gdy nie żyjesz?
  - Zamierzam znaleźć tych, którzy mnie zabili.
- Madeline wzięła do ręki fotografię Kateriny na balkonie.
- A co z nią?
- Przez chwilę milczał, a potem powiedział:
- Nie dokończyłaś historii tej blizny na jej ręce.
  - To się wydarzyło podczas ćwiczeń praktycznych.
  - Jakich ćwiczeń?
  - W cichym zabijaniu. - Spojrzała na niego i dodała ponuro: - KGB wcześniej zaczyna.
  - A ty?
  - Byłam za młoda - pokręciła głową - ale ona była starsza i mieli wobec niej inne plany. Instruktor wręczył jej nóż i polecił, żeby go zabiła. Katerina usłuchała. Ona zawsze słuchała.
  - Mów dalej.
  - Nawet gdy ją rozbroił, nadal atakowała. I w końcu zraniła się własną bronią. Miała szczęście, że nie wykrwawiła się na śmierć. - Spojrzała na fotografię. - Jak myślisz, gdzie ona teraz jest?
  - Sądzę, że gdzieś w Rosji.
  - W mieście bez nazwy. - Oddała mu zdjęcie. - Miejmy nadzieję, że tam pozostanie.

Po powrocie do Wormwood Cottage wspiał się po schodach do swego pokoju i wyczerpany opadł na łóżko. Pragnął zatelefonować do żony, ale się nie odważył. Miał pewność, że jego wrogowie przeszukują sieć, próbując przechwycić jego głos. Ludzie martwi nie telefonują do nikogo.

Gdy w końcu zapadł w sen, zaczęły go dręczyć koszmary. Szedł główną nawą wiedeńskiej katedry, niosąc drewnianą skrzynkę z materiałami do prac renowatorskich. Tak jak tamtego wieczoru, przy wejściu czekała na niego pewna niemiecka dziewczyna, która chciała porozmawiać, ale w jego śnie była to Katerina. Z jej ramienia lała się strumieniem krew.

- Możesz to naprawić? - zapytała, wskazując ranę, ale on przeszedł bez słowa obok i ruszył przez spokojne wiedeńskie ulice w

stronę placu w starej żydowskiej dzielnicy.

Plac był pokryty śniegiem i całkowicie zakorkowany przez londyńskie autobusy. Jakaś kobieta próbowała uruchomić silnik swego mercedesa, ale ten nie chciał zapalić, gdyż podłączono bombę do akumulatora, który z tego powodu całkowicie się rozładował. Z tyłu przymocowany pasami siedział jego syn, ale kobieta za kierownicą nie była jego żoną. To była Madeline Hart.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała przez potłuczoną szybę. I wtedy bomba wybuchła.

Zapewne krzyczał przez sen, bo gdy się ocknął, w drzwiach pokoju stał Keller. Panna Coventry podała im w kuchni śniadanie, a potem patrzyła, jak wychodzą w zimny mglisty ranek na przechadzkę po wrzosowiskach. Nogi Gabriela osłabły z braku ruchu, ale Keller okazał mu litość. Pierwszy kilometr pokonali w umiarkowanym tempie, które jednak stopniowo rosło, w miarę jak Gabriel opowiadał o Madeline i owocu miłosnej intrygi KGB, jakim okazała się Katerina. Gorączkowo przekonywał, że muszą ją odnaleźć, a potem wysłać na Kreml wiadomość, która nie wymaga przekładu.

- Nie zapominaj o Quinnie - rzekł Keller.

- Może nigdy nie było żadnego Quinna - snuł domysły Gabriel. - Może to tylko nazwa i zapis wątpliwego śladu. Może był jedynie przynętą, którą rzucili do wody, żeby zwabić nas na powierzchnię.

- Sam w to nie wierzysz, prawda?

- W każdym razie przyszło mi to na myśl.

- To on zamordował księżnę.

- Według informacji uzyskanej od irańskiego wywiadu - zauważył z naciskiem Gabriel.

- Kiedy możemy wyruszyć?

- Po moim pogrzebie.

Po powrocie do Wormwood Cottage znalazł w nogach łóżka starannie złożone ubranie na zmianę. Wziął prysznic, przebrał się i po raz kolejny wspiął na tył dostawczej furgonetki. Tym razem przewieziono go na wschód do bezpiecznej kryjówki w Highgate. Znał ten dom, gdyż kiedyś już w nim mieszkał. Wszedł, rzucił płaszcz na oparcie krzesła w salonie i wszedł po schodach do małego gabinetu na piętrze.

Wąskie jak szczelina okno wychodziło na ślepy zaułek - widok w sam raz dla denata. Deszcz bulgotał w rynnach, na okapach łkały gołębie. Minęło pół godziny, podczas której zapadł mrok i rząd ulicznych lamp, niepewnie migocąc, zaczął się budzić do życia. Wtedy dostrzegł szary samochód, który z przesadną ostrożnością

wspinał się w górę zbocza. Gdy w końcu zatrzymał się przed domem, wysiadł z niego młody mężczyzna o niewinnym wyglądzie, a za nim wyłoniła się kobieta.

To właśnie ona miała poinformować świat o tragicznej śmierci niedoszłego szefa izraelskich służb wywiadowczych. Gabriel spojrzął na zegarek i się uśmiechnął. Była spóźniona. Jak zawsze.

## *Highgate, Londyn*

- Wykluczone - oświadczyła Samantha Cooke. - Ani teraz, ani nigdy. Nawet za milion cholernych lat.

- Ale dlaczego?

- Mam wymienić powody?

Stała pośrodku salonu z podniesioną ręką i zwróconą do góry dłonią, gdy domagał się odpowiedzi. Wchodząc, rzuciła torebkę na siedzenie wyblakłego fotela z uszakami, ale nadal nie zdjęła przemoczonego płaszcza.

Miała długie do ramion włosy w odcieniu popielatego blondu i przenikliwe niebieskie oczy. W tym momencie z niedowierzaniem przyglądała się jego twarzy. Przed rokiem umożliwił jej umieszczenie w „The Daily Telegraph” na prawach wyłączności rozmowy z Madeline Hart, rosyjską agentką, a zarazem potajemną kochanką premiera. Wywiad ten przeszedł do historii brytyjskiego dziennikarstwa.

Teraz oczekiwał przysługi z jej strony. Miała opublikować inną zastrzeżoną informację, tym razem potwierdzając jego śmierć.

- Po pierwsze - oznajmiła - to nieetyczne. Pod każdym względem.

- Uwielbiam, kiedy brytyjscy dziennikarze mówią o etyce.

- Nie pracuję dla tabloidów, tylko dla poważnej gazety.

- Dlatego cię potrzebuję. Jeśli ta wiadomość ukaże się w „The Daily Telegraph”, ludzie uznają ją za prawdziwą. Jeśli natomiast przekazuje ją...

- Zrozumiałam. - Ściągnęła płaszcz i rzuciła go na torebkę. - Chyba muszę się napić.

Gabriel skinął głową, wskazując wózek, na którym stały alkohole.

- A ty? - zapytała.

- Dla mnie trochę za wcześnie, Samantho.

- Dla mnie też. Muszę jeszcze napisać artykuł.

- O czym?

- O tym, jak Jonathan Lancaster zamierza uzdrowić Narodową Służbę Zdrowia. Prawdziwie sensacyjny temat.

- Mam lepszy.

- Jasne, że masz. - Podniosła butelkę beefeatera, zawahała się i wymieniła ją na dewars. Napełniła kryształową szklankę na wysokość dwóch palców, wrzuciła lód i dołała sporo wody. - Do kogo należy ten dom?

- Od lat do mojej rodziny.

- Nie przypuszczałam, że jesteś angielskim Żydem. - Podniosła dekoracyjną misę stojącą na końcu stołu i obróciła ją do góry dnem.

- Czego szukasz?

- Pluskiew.

- Brygada dezynsektorów była tu w zeszłym tygodniu.

- Mówię o urządzeniach podsłuchowych.

- Aha.

Wbiła wzrok w klosz lampy.

- Nie obawiaj się.

Podniosła na niego oczy, lecz się nie odezwała.

- Nigdy nie przekazałaś informacji, która okazała się nieprawdziwa?

- Nigdy celowo.

- Naprawdę?

- Nie tej wagi - uściśliła.

- Rozumiem.

- Czasami - ciągnęła, podnosząc szklankę do ust - drukowałam niepełną historię po to, żeby jej podmiot poczuł się zmuszony ją uzupełnić.

- Tak postępują śledczy.

- Ale ja nie podtapiam moich bohaterów i nie zrywam im paznokci.

- Powinnaś. Usłyszałabyś lepsze historie.

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Dlaczego? - zapytała. - Czemu właściwie chcesz, żebym cię uśmierciła?

- Niestety nie mogę powiedzieć.

- Będziesz musiał. Inaczej nic z tego. - Miała rację i wiedziała o



tym. - Zaczniemy od podstaw, dobrze? Kiedy umarłeś?

- Wczoraj po południu.
- Gdzie?
- W brytyjskim szpitalu wojskowym.
- Którym?
- Nie mogę powiedzieć.
- Długa choroba?
- Ciężkie obrażenia w wyniku wybuchu bomby.

Jej uśmiech zniknął. Ostrożnie odstawiała drinka na stół.

- Gdzie kończą się kłamstwa, a zaczyna prawda?
- To nie są kłamstwa, Samantha, tylko podstęp.
- Gdzie? - spytała ponownie.

- To ja byłem agentem, który zawiadomił brytyjski wywiad o bombie na Brompton Road. To ja próbowałem zepchnąć pieszych w bezpieczniejsze miejsce, nim wybuchła. - Zamilkł, a potem dodał: - I to ja byłem jej celem.

- Możesz to udowodnić?
- Spójrz na nagranie CCTV.
- Widziałam. To mógł być ktokolwiek.
- Ale to nie był ktokolwiek, Samantha. To był Gabriel Allon, który właśnie zmarł.

Opróżniła szklanekę i dołała sobie whisky, tym razem z mniejszą ilością wody.

- Muszę powiedzieć o tym wydawcy.
- Wykluczone.
- Powierzyłabym mu własne życie.
- Nie o twoje życie tu chodzi, tylko o moje.
- Przecież ty już nie żyjesz, zapomniałeś? Jesteś martwy.

Gabriel spojrzął na sufit i wolno wypuścił powietrze. Te potyczki zaczynały go już nużyć.

- Wybacz, że ciągnąłem cię taki kawał - powiedział po chwili. - Pan Davies odwiezie cię do pracy. Udajmy, że rozmowy nie było.

- Nie skończyłam jeszcze drinka.
- A co z artykułem na temat planu Lancastera odnośnie służby zdrowia?
- To bzdury.
- Artykuł czy plan?
- Jedno i drugie. - Podeszła do wózka z alkoholami i srebrnymi szczypcami wyjęła z wiaderka kostkę lodu. - Opowiedziałeś mi niezłą

historię, wiesz?

- Uwierz mi, Samantha, że na tym nie koniec.
- Skąd wiedziałeś, że w tym samochodzie jest bomba?
- Na razie nie mogę ci powiedzieć.
- Kim była ta kobieta?
- Nie była Anną Huber i nie pochodziła z Niemiec.
- Czyli skąd?
- Nieco bardziej na wschód.

Samantha Cooke odczekała, aż łód opadnie na dno, i dopiero wtedy delikatnie odłożyła szcypce na wózek. Chociaż stała tyłem do Gabriela, widział, jak się zmagają ze swym dziennikarskim sumieniem.

- Jest Rosjanką? Czy to chcesz powiedzieć?

Nie odzywał się.

- Uznaję twoje milczenie za potwierdzenie. Pozostaje pytanie, dlaczego Rosjanka miałyby podłożyć bombę na Brompton Road.

- Zgadnij.

Udała, że poważnie się zastanawia.

- Myślę, że to wiadomość dla Jonathana Lancastera.

- Jakiej treści?

- Nie pogrywaj z nami - odparła chłodno. - Zwłaszcza jeśli chodzi o forszę. Te prawa do odwiertów na Morzu Północnym były warte dla Kremla miliardy, a Lancaster sprzątnął im je sprzed nosa.

- W gruncie rzeczy to ja je sprzątnąłem, dlatego rosyjski prezydent i jego hycle chcą mnie uśmiercić.

- A ty chcesz, aby myśleli, że im się udało.

Skinął głową.

- Dlaczego?

- Bo to mi ułatwi robotę.

- Jaką robotę?

Nie odpowiedział.

- Rozumiem - odezwała się miękko. Siadła i wypila nieco whisky. - Jeśli kiedyś ludzie się dowiedzą, że ja...

- Myślę, że zbyt dobrze mnie znasz, aby się tego obawiać.

- Na jakie źródło mam się powołać?

- Wywiad brytyjski.

- Kolejne kłamstwo.

- Podstęp - poprawił miękko.

- A jeśli zadzwonię do twoich służb?

- Nie odpowiedzą. Ale jeśli połączysz się z tym numerem - podał jej skrawek papieru - pewien małowówny dżentelmen bez wahania potwierdzi mój zgon.

- Czy on się jakoś nazywa?
- Uzi Navot.
- Szef Biura?

Gabriel przytaknął.

- Połącz się z nim normalną linią, ale cokolwiek zrobisz, nie wspominaj, że właśnie rozmawiałś z nieboszczykiem. Centrala Moskwa prowadzi stały nasłuch.

- Potrzebne mi będzie źródło brytyjskie. Wiarygodne.

Podał jej kolejny skrawek papieru, a na nim jeszcze jeden numer telefonu.

- To jego prywatna linia. Nie nadużywaj tego przywileju.

Włożyła oba numery do torebki.

- Jak szybko możesz to wydrukować?
- Jeśli się sprężę, mogłabym zdążyć do jutrzejszego wydania.
- A kiedy to wrzucisz do sieci?
- Mniej więcej do północy.

Zapadła cisza. Samantha podniosła drinka do ust, ale się powstrzymała. Czekał ją długi wieczór.

- Co będzie, kiedy odkryją, że wcale nie umarłeś? - zapytała.
- A czemu mają odkryć?
- Nie zamierzasz chyba pozostać nieboszczykiem?
- To ma pewną zaletę.
- Mianowicie jaką?
- Taką, że nikt już nie zechce mnie zabić.

Odstawiła drinka na stół i wstała.

- Czy chciałbyś, żebym powiedziała o tobie coś specjalnego?

- Powiedz, że kochałem mój kraj i mój naród. I że wiele wiązało mnie też z Anglią.

Gdy pomógł jej włożyć płaszcz, zarzuciła torebkę na ramię i wyciągnęła do niego rękę.

- Miło było trochę cię poznać - oświadczyła. - Myślę, że będzie mi cię brak.

- Teraz dość już łez, Samantho.
- Racja - odparła. - Nadszedł czas zemsty.

# 37

*Wormwood Cottage, Dartmoor*

Gdy wieczorem Gabriel wrócił do Wormwood Cottage, ujrzał parkującego na podjeździe sedana o oficjalnym wyglądzie. Panna Coventry sprzątała po kolacji ze stołu, a w gabinecie dwaj mężczyźni nachylali się nad szachownicą, bez reszty pochłonięci grą. Obaj palili, toteż szachowe figury przypominały żołnierzy zagubionych w wojennej mgle.

- Kto wygrywa? - spytał Gabriel.

- A jak myślisz - odparł Ari Szamron. Spojrzał na Kellera i spytał: - Czy ty kiedyś wykonasz ten ruch?

Keller przesunął pionek. Szaron westchnął ze smutkiem i dodał drugiego skoczka do swego małego obozu jeńców wojennych. Stali w dwóch równych rzędach obok popielniczki. Szamron zawsze narzucał pewną dyscyplinę tym, którzy mieli pecha, by wpaść w jego ręce.

- Zjedz coś - zwrócił się do Gabriela. - To nie potrwa długo.

Panna Coventry zostawiła w piecyku talerz jagnięciny z groszkiem. Jedząc samotnie w kuchni, przysłuchiwał się postępom gry w sąsiednim pokoju. Stukot drewnianych szachowych figur i trzaski starej zapalniczki Szamrona marki Zippo dziwnie go uspokajały. Udręczone milczenie Kellera wskazywało na to, że nie idzie mu najlepiej. Gabriel umył talerz i sztucce, położył je na suszarce i wrócił do salonu. Szamron ogrzewał dłonie przy płonącym w kominku węglu i drewnie. Miał na sobie starannie wyprasowane spodnie khaki, grubą koszulę z białej bawełny i swoją starą skórzaną kurtkę lotniczą z dziurą na lewym ramieniu. W szklach jego brzydkich okularów w stalowej oprawce odbijał się błysk płomieni.

- No i? - spytał Gabriel.
- Walczył dzielnie, ale nadaremnie.
- A jak grał?
- Odważnie, z wprawą, ale bez wizji strategicznej. Z upodobaniem zabija, lecz nie chce zrozumieć, że czasem lepiej pozwolić wrogowi żyć, niż od razu go likwidować. - Szamron spojrzał na Gabriela i się uśmiechnął. - Jest wykonawcą, nie strategiem.

Potem znów wbił wzrok w płomienie.

- Czy tak to sobie wyobrażałeś?
- Co?
- Twoją ostatnią noc na tej ziemi.
- Owszem - odparł. - Właśnie tak.
- Uwięziony ze mną w jakimś tajnym miejscu. W brytyjskiej kryjówce - dodał Szamron ze wzdęciem. Rozejrzał się, lustrując wzrokiem ściany i sufit. - Myślisz, że podsłuchują?

- Twierdzą, że nie.
- Ufasz im?
- Tak.
- Niesłusznie. W gruncie rzeczy - ciągnął Szamron - nigdy nie powinieneś był się mieszać w szukanie tego Quinna. Podkreślam, że byłem temu przeciwny. To Uzi zdecydował.

- Od kiedy to go słuchasz?

Szamron wzruszył ramionami, dając za wygraną.

- Nazwisko Eamona Quinna od dawna figuruje na mojej liście - odpowiedział. - Chciałem, żebyś ze swoim przyjacielem je wykreślił, zanim kolejny samolot spadnie z nieba.

- To nazwisko nadal tam jest.
- Już niedługo. - Błysnął płomień zapalniczki. Ostra woń tureckiego tytoniu zmieszała się z zapachem angielskiego drewna i węgla.
- A ty? - zapytał Gabriel. - Przypuszczałeś, że tak się to skończy?
- Twoją śmiercią?

Gabriel przytaknął.

- Nieskończoną ilość razy.
- Jak wtedy na pustyni Ar-Rab al-Chali - przypomniał Gabriel.
- Albo w Harwich.
- I w Moskwie.
- Właśnie - potwierdził Szamron. - Zawsze będziemy mieć Moskwę. Dlatego tu jesteśmy.

Przez chwilę w milczeniu zaciągał się dymem. Zazwyczaj Gabriel poprosiłby go, by tego nie robił, ale nie tym razem. Szamron pogrzązał się w smutku. Wkrótce miał stracić syna.

- Twoja przyjaciółka z „Telegraphu” właśnie skończyła rozmawiać z Uzim.

- Jak się to odbyło?

- Wyrażał się o tobie całkiem dobrze. Wybitny talent, wielka strata dla kraju. Tej nocy Izrael czuje się mniej bezpieczny. - Zamilkł, po czym dodał: - Myślę, że w gruncie rzeczy sprawiało mu to przyjemność.

- Co konkretnie?

- Wszystko. - Szamron pokiwał głową. - Skoro nie żyjesz, nie możesz zostać następnym szefem służb.

Gabriel się uśmiechnął.

- Tylko nie miej żadnych złudzeń - uprzedził. - Kiedy to się skończy, wrócisz do Jerozolimy, gdzie cudownie zmartwychwstaniesz.

- Tak jak...

Szamron uniósł dłoń. Wyrósł w miasteczku na wschodzie Polski, gdzie doświadczył pogromów. Wciąż nie zawarł paktu z chrześcijaństwem.

- Dziwię się, że nie przyjechałeś do Anglii z grupą ewakuacyjną - powiedział Gabriel.

- Przyszło mi to na myśl.

- Ale?

- Ważne, żeby przekazać Rosjanom, że za zabójstwo przyszłego szefa naszych służb zapłacą wysoką cenę. Ironia polega na tym, że to ty masz im to uświadomić.

- Sądzisz, że Rosjanie rozumieją ironię?

- Tołstoj rozumiał. Ale car rozumie tylko siłę.

- A co z Irańczykami?

Szamron zastanowił się nad odpowiedzią.

- Mają mniej do stracenia - odrzekł w końcu. - Dlatego należy ich traktować z większą ostrożnością.

Rzucił niedopałek w ogień i z pogniecionego pudełka wyciągnął kolejnego papierosa.

- Człowiek, którego szukasz, jest w Wiedniu. Zatrzymał się w hotelu InterContinental. Nasze Biuro zarezerwowało już noclegi dla ciebie i Kellera. Spotkasz tam również dwóch innych starych znajomych. Wykorzystasz ich w razie potrzeby.

- A co z Elim?

- Nadal siedzi w tej norze w Lizbonie.

- Wyślij go do Wiednia.

- Chcesz prowadzić obserwację tego mieszkania w Lizbonie?

- Nie - odparł Gabriel. - Quinn nigdy się tam nie pojawi. Lizbona

spełniła już swoje zadanie.

Szamron wolno skinął głową.

- Co do sposobu łączności - rzekł po chwili - będziemy musieli stosować stare metody, jak podczas operacji Gniew Boży.

- Trudno stosować stare metody w nowoczesnym świecie.

- Umiesz naprawić czterystuletni obraz tak, żeby wyglądał jak nowy. Jestem pewien, że i z tym sobie poradzisz. - Spojrzał na zegarek. - Chciałbym, żebyś po raz ostatni mógł zadzwonić do żony, ale obawiam się, że w tej sytuacji nie jest to możliwe.

- Jak znosi wiadomości na temat mojej śmierci?

- Lepiej, niż można by oczekiwać. - Zerknął na Gabriela. - Szczęściarz z ciebie. Niewiele kobiet w ostatnich tygodniach ciąży pozwoliłoby mężom ruszać na wojnę z Kremlem.

- To część naszej umowy.

- Tak myślałem. Poświęciłem życie ojczyźnie i swojemu narodowi, ale jednocześnie odsunąłem od siebie wszystkich, którzy byli mi bliscy. - Urwał, po czym dodał: - Wszystkich oprócz ciebie.

Na dworze zaczynało znowu padać. Miecione atakiem ulewy gęste krople wody z sykiem opadły na palenisko. Szamron, wpatrzony w zegarek, zdawał się tego nie zauważać. Czas nigdy mu nie sprzyjał, teraz jednak bardziej niż kiedykolwiek.

- Ile jeszcze? - spytał.

- Niedługo - odparł Gabriel.

Szamron palił w milczeniu, podczas gdy krople deszczu przemieniały się w parę w rozżarzone palenisko.

- Czy tak to sobie wyobrażałeś?

- Właśnie tak.

- To przerażające, prawda?

- Co takiego, Ari?

- Żeby dziecko umierało przed rodzicem. To podważa porządek rzeczy. - Rzucił papierosa w ogień. - Trudno nawet rozpaczać. Można tylko myśleć o zemście.

Ari Szamron, podobnie jak Gabriel, nie przystosował się w pełni do nowego świata. Z odrazą nosił komórkę, wiedział bowiem lepiej niż inni, w jakim stopniu takie wynalazki mogą zwrócić się przeciwko swym użytkownikom. Obecnie aparat spoczywał w drewnianym pudełku na biurku Parisha, gdzie ten przechowywał zakazane przedmioty należące do członków „spółki”. Nie krył, że stary mężczyzna nie budzi jego sympatii. Jak on pali... Wielkie nieba! Jest gorszy niż

ten młody Anglik, który wciąż uganiał się po wrzosowiskach. Cuchnął jak popielniczka, a wyglądał jak śmierć. No i te zęby! Jego uśmiech przypominał stalowe wnyki i był równie ujmujący. Nie zdradzał, czy zamierza spędzić tu noc. Nie informował o swych planach, a Parish nie otrzymał żadnych wskazówek z Vauxhall Cross z wyjątkiem zagadkowej wiadomości dotyczącej strony internetowej „Telegraphu”.

Polecono mu, by regularnie ją sprawdzał, począwszy od północy. Miał się tam ukazać artykuł, który interesował tych dwóch mężczyzn z Izraela. Vauxhall Cross nie pofatygowało się nawet, by wyjaśnić, dlaczego to takie ważne. Najwidoczniej rzecz była oczywista. Parish miał wydrukować artykuł i przekazać go obu mężczyznom bez żadnych komentarzy i z należytą powagą, cokolwiek miałyby to znaczyć. Pracował dla MI6 przez blisko trzydzieści lat, pełniąc różne funkcje. Wykonywał różne dziwne polecenia centrali i wiedział z doświadczenia, że wspierają one ważne operacje.

Pozostał więc przy biurku do późna, długo po tym, jak panna Coventry została odwieziona do swej ponurej wioski w Devon, a ochrona, sfatygowana uganiem się po wrzosowiskach za młodym Anglikiem, udała się na spoczynek. Teraz włączył się system elektroniczny, co oznaczało, że nad ich bezpieczeństwem czuwa aparatura, nie ludzie. Parish przeczytał kilka stron powieści P. D. James, w duchu błogosławiąc tę lekturę, i wysłuchał w radiu jakiegoś fragmentu Haendla. Głównie jednak wsłuchiwał się w deszcz. Kolejny podły wieczór. Kiedy to się skończy?

Z wybicciem północy otworzył w komputerze przeglądarkę i wpisał adres „Telegraphu”. Ukazały się codzienne doniesienia - awantura w parlamencie w związku z planem naprawy Narodowej Służby Zdrowia, bombardowanie w Bagdadzie, plotki na temat romansu jakiejś gwiazdy popu, co wzbudziło w nim głęboką odrazę. Nie dostrzegł jednak nic, co w jakimkolwiek stopniu mogłoby zainteresować „spółkę” z Ziemi Świętej. No, może cię nadziei niosły rozmowy w sprawie broni jądrowej z Iranem, ale przecież nie musieli dowiadywać się o tym od niego.

Wrócił więc do lektury P. D. James i swojego Haendla, a gdy po pięciu minutach kliknął „Odśwież”, jego oczom ukazało się to samo co poprzednio. Upływały kolejne minuty, lecz nadal nic się nie zmieniło.

Kiedy jednak odświeżył stronę piętnaście minut po północy, przeglądarka zamarła w bezruchu. Parish nie był ekspertem w dziedzinie informatyki, ale wiedział, że strony blokują się w przypadku



dokonywanych zmian bądź też z powodu przeciążenia sieci. Wiedział również, że wtedy żadna ilość kliknięć nie przyspieszy procesu otwierania, toteż przez kolejną chwilę zajmował się powieścią, czekając, aż strona w końcu uwolni się z cyfrowej niewoli.

Nastąpiło to siedemnaście minut po północy. U góry potężną czcionką ukazały się trzy słowa. Parish wezwał imię Boga swego nadaremno, zaraz tego żalując, po czym kliknął „Drukuj”. Chwilę później wsunął wydruk do kieszeni i ruszył przez dziedziniec do tylnych drzwi domu. Przez cały czas w głowie brzmiała mu dziwaczna instrukcja, którą otrzymał z Vauxhall Cross. Stosowna powaga, no tak. Ale jak tu powiedzieć facetowi, że właśnie zmarł?

*Londyn - Kreml*

Wiadomość leżała tam niemal godzinę, być może niezauważona. Inne media też jej nie przekazały. W końcu producent BBC World Service, ponaglony telefonem redaktora „Telegraphu”, umieścił ją w biuletynie informacyjnym o pierwszej w nocy. Gdy usłyszało to Radio Izrael, w ciągu kilku minut rozdzwoniły się telefony. Wyciągnięto z łóżek reporterów, a także wpływowych członków tamtejszych służb bezpieczeństwa i wywiadu, zarówno byłych, jak i obecnych.

Oficjalnie nikt nie potwierdzał informacji. Nieoficjalnie sugerowano, że jest prawdopodobna. Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydało tylko oświadczenie, że sprawdza wiarygodność komunikatu, a kancelaria premiera wyraziła nadzieję, że to pomyłka. Niemniej gdy pierwsze promienie słońca oświetliły rankiem Jerozolimę, falami eteru popłynęła muzyka poważna. Podano oficjalnie, że Gabriel Alon, izraelski anioł mściciel desygnowany na szefa służb wywiadowczych, nie żyje.

W Londynie natomiast wiadomość o jego śmierci stała się bardziej przyczyną kontrowersji niż żałoby. Wiele spraw wiązało go z brytyjską ziemią, część powszechnie znana, większość na szczęście nie.

Głośne były jego działania skierowane przeciw sponsorowi terroryzmu, saudyjskiemu finansistcie Zizi al-Bakariemu, a także Iwanowi Charkowowi, faworyzowanemu przez Kreml handlarzowi bronią. Wszyscy wiedzieli o dramatycznej akcji ocalenia Elizabeth Halton, córki amerykańskiego ambasadora, przed Katedrą Westminsterską, a także o koszarze w Covent Garden. Ale dlaczego ścigał samochód wiozący bombę na Brompton Road? I dlaczego tuż

przed wybuchem rzucił się w stronę białego forda uwięzionego w korku? Czy działał w porozumieniu z MI6, czy też powrócił do Londynu na własną rękę? I czy słynne izraelskie służby wywiadowcze nie ponoszą części winy za tę tragedię?

Brytyjski wywiad odmówił wszelkich komentarzy, podobnie jak Policja Metropolitalna. Premier Lancaster, wizytując państwową szkołę na East Endzie, zignorował związane z tym pytanie dziennikarza, co brytyjskie media uznały za potwierdzenie. Lider opozycji domagał się śledztwa parlamentarnego, zaś imam najbardziej radykalnego meczetu w Londynie z trudem ukrywał radość. Nazwał śmierć Allona „z dawną oczekiwanym darem Allaha dla ludu palestyńskiego i całego islamskiego świata”. Arcybiskup Canterbury delikatnie skrytykował tę wypowiedź jako „niezbyt pomocną”.

W Green's Restaurant and Oyster Bar, eleganckiej knajpie przy St. James's, gdzie spotykał się artystyczny świat Londynu, panował nastrój pogrzebowy. Gabriel Allon był tu powszechnie ceniony nie jako agent wywiadu, lecz jeden z najwybitniejszych konserwatorów dzieł sztuki swojej generacji, mimo że niektórzy z obecnych nieświadomie zostali wciągnięci w jego operacje, a zaledwie kilku przyjęło to z aprobatą.

Julian Isherwood, słynny marszand, który współpracował z Gabrielem, odkąd pamiętał, był nieutulony w żalu. Nawet Oliver Dimpleby, gruboskórny handlarz z Bury Street, na ogół niezdolny do wzruszeń, łkał nad kieliszkiem białego Montrachet, który zabrał Roddy'emu Huthinsonowi. Jeremy Crabbe, dyrektor działu malarstwa starych mistrzów w szacownym domu aukcyjnym Bonhams, nazwał Allona „jednym z prawdziwie wielkich”. Nie chcąc pozostać w tyle, Simon Mendenhall, wiecznie opalony główny licytator z Christies, oznajmił, że od tej pory świat sztuki nie będzie już taki sam. Simon nigdy nie widział Gabriela i zapewne nie umiałby go wskazać w policyjnej konfrontacji, a jednak, co rzadko się zdarzało, jego słowa zawierały niezaprzeczalną prawdę.

Smutek zapanował również za oceanem, w Ameryce. Były prezydent, dla którego Allon wykonał wiele tajnych misji, oświadczył, że funkcjonariusz izraelskich służb wywiadowczych odegrał ważną rolę w zabezpieczeniu amerykańskiej ziemi przed kolejnym terrorystycznym spektaklem w stylu 11 września.

Adrian Carter, wieloletni szef Narodowych Tajnych Służb CIA, nazwał go „partnerem, przyjacielem, być może najbardziej odważnym człowiekiem, jakiego znałem”. Zoe Reed, spikerka CNBC, odczytała komunikat o śmierci Allona załamującym się głosem. Sarah

Bankroft, specjalny kurator nowojorskiego Muzeum Sztuki Współczesnej, z niewyjaśnionych przyczyn odwołała wszystkie spotkania w tym dniu. Kilka godzin później powiedziała sekretarce, że bierze sobie wolne na resztę tygodnia. Ci, którzy byli świadkami jej pospiesznego wyjścia z muzeum, twierdzili, że sprawiała wrażenie zrozpaczonej.

Nie było tajemnicą, że Allon kochał Włochy, i na ogół Włochy również go kochały. Na wiadomość o jego śmierci Jego Świątobliwość papież Paweł VII udał się w Watykanie do prywatnej kaplicy. Natomiast jego prywatny sekretarz, znany ze swych potężnych możliwości Monsignor Luigi Donati, wykonał kilka pilnych telefonów, próbując sprawdzić, czy smutna informacja jest prawdziwa.

Między innymi rozmawiał z szefem słynnego wydziału karabinierów do spraw skradzionych dzieł sztuki, generałem Cesare Ferrarim. Generał nie miał jednak żadnych wiadomości. Podobnie jak Francesco Tiepolo, właściciel słynnej weneckiej firmy renowacyjnej, która w tajemnicy zatrudniała Allona do prac nad najcenniejszymi dziełami sztuki religijnej w tym mieście. Żona Allona pochodziła ze starej żydowskiej rodziny, a jego teść był głównym rabinem tego miasta. Donati wielokrotnie próbował połączyć się z jego biurem i domem. W końcu jednak brak odpowiedzi skłonił go do uznania najbardziej tragicznej wersji.

Jednak w kilku innych miejscach świata reakcja na śmierć Allona bardzo się różniła, zwłaszcza w kompleksie starannie strzeżonych budynków znajdujących się w podmoskiewskim Jasieniewie. Była to ongiś siedziba Pierwszego Zarządu Głównego KGB. Teraz wszystko należało do Służb Wywiadu Zagranicznego, ale większość tu pracujących używała wciąż starej, stosowanej w czasach KGB, nazwy Centrala Moskwa.

W większej części kompleksu tego dnia życie biegło normalnie, ale nie w położonym na drugim piętrze biurze pułkownika Aleksieja Rożanowa. Przybył on do Jasieniewa o trzeciej rano w osłepiającej śnieżnej zadymce i spędził cały ranek na nerwowej wymianie depesz ze swym przyjacielem Dimitrim Uljaninem, szefem rezydentury w Londynie. Depesze były zabezpieczone najnowszym szyfrem i przesyłane najbezpieczniejszą linią, jaką służby dysponowały. Niemniej Rożanow i Uljanin omawiali kwestię tak, jakby to był rutynowy problem dotyczący podania brytyjskiego biznesmena o wizę.

Do godziny pierwszej po południu Uljanin i jego właściwie obsadzona kadrowo londyńska rezydentura wiedzieli wystarczająco dużo, by potwierdzić, że informacja podana przez „Telegraph” jest praw-

dziwa. Jednakże Rożanow, który był z natury sceptykiem, nadal pozostał nieufny. W końcu, o drugiej po południu, podniósł słuchawkę i połączył się z Uljaninem bezpośrednio. Ten miał krzepiące wiadomości.

- Widzieliśmy starego, jak wychodził z budynku nad Tamizą przed jakąś godziną.

Wielki budynek nad Tamizą był siedzibą MI6, a starym Ari Szamron. Londyńska rezydentura śledziła każdy jego krok od chwili, gdy przybył do Londynu.

- Gdzie stamtąd poszedł?

- Pojechał na Heathrow i wsiadł na pokład samolotu El Al lecącego na Ben-Gurion. Ciekawe, Aleksiej, że lot opóźnił się o kilka minut.

- Dlaczego?

- Okazało się, że załoga naziemna musiała coś jeszcze załadować do luku bagażowego.

- Co takiego?

- Trumnę.

W czasie długich dziesięciu sekund, podczas których Aleksiej Rożanow przetrwał wiadomość, na bezpiecznej linii rozległy się trzaski i syki.

- Jesteś pewien, że to była trumna?

- Aleksiej, proszę...

- Może jakiś ostatnio zmarły brytyjski Żyd chciał spocząć w Ziemi Obiecanej.

- Nie - zaprzeczył Uljanow. - Stary stał na baczność na płycie, kiedy ładowano trumnę do luku.

Rożanow rozłączył się i po chwili wahania wybrał najważniejszy numer w Rosji. Odpowiedział mu męski głos. Rozpoznał go. Na Kremlu nazywano tego człowieka Portierem.

- Muszę zobaczyć się z szefem - oświadczył Rożanow.

- Szef jest zajęty przez całe popołudnie.

- To ważne.

- Nasze stosunki z Niemcami również.

Rożanow zaklął pod nosem. Zapomniał o wizycie kanclerz Niemiec.

- Wystarczy mi kilka minut - wyjaśnił.

- Przewidywana jest krótka przerwa między ostatnim spotkaniem i kolacją. Może zdołam cię wcisnąć.

- Powiedz mu, że mam dobre wiadomości.

- Lepiej, żebyś miał - odparł Portier - bo kanclerz nie przestaje go

nękać za tę Ukrainę.

- O której przyjść?
- O piątej. - Portier się rozłączył.

Aleksiej Rożanow odłożył słuchawkę i patrząc, jak za oknem pada śnieg, myślał o trumnie ładowanej na pokład izraelskiego odrzutowca i o starym człowieku, który stał przed nią na baczność. A potem po raz pierwszy od niemal roku się uśmiechnął.

Od tamtej pory upłynęło dziesięć miesięcy co do dnia. Wtedy to Aleksiej Rożanow się dowiedział, że w brzozowym lesie w Twerskiej Oblaści znaleziono zamrożone na kość ciało jego starego druha i towarzysza, Pawła Żirowa, z dwiema kulami w głowie. Wezwano go wtedy na Kreml, gdzie odbyło się spotkanie z samym prezydentem federacji. Szef życzył sobie, by Rożanow podjął działania odwetowe. I nie chodziło mu o serię chaotycznych zabójstw. Domagał się działań, które skonfliktowałyby wewnętrznie wrogie służby i zakłóciły ich wewnętrzny porządek, ostatecznie zniechęcając je do wtrącania się w sprawę Rosji.

Nade wszystko jednak zależało mu na tym, by nie dopuścić do objęcia kierownictwa izraelskich służb wywiadowczych przez Gabriela Allona. Prezydent miał wielkie plany. Pragnął przywrócić Rosji jej przyblakłą wielkość, odzyskać utracone imperium. Tymczasem Gabriel Allon, agent wywiadu w sumie małego kraju, był jednym z jego najbardziej niebezpiecznych i wścibskich oponentów.

Rożanow długo układał swój plan, nader starannie montując niezbędne elementy. Potem z prezydenckim błogosławieństwem zlecił dokonanie zabójstwa, które miało uruchomić działania operacyjne ze strony przeciwnika. Graham Seymour, szef MI6, zareagował zgodnie z przewidywaniami. Podobnie zresztą Allon. A teraz jego ciało leżało na pokładzie odrzutowca lecącego na lotnisko Ben-Guriona. Rożanow uważał, że pogrzebią go na Wzgórzu Oliwnym, obok grobu syna. Zresztą nie jego sprawa. Liczy się tylko to, że Allon nie ma już wśród żywych.

Otworzył dolną szufladę biurka. Była tam butelka, szklanka i pudełko dunhilli, które szczególnie sobie upodobał, pracując w Londynie przed upadkiem Związku Radzieckiego - tą wielką katastrofą, jak zwykł mawiać. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy nie tknął alkoholu ani papierosów, teraz jednak nalał sobie szczodłą porcję wódki i wytrząsnął z pudełka papierosa. Coś sprawiło, że się zawahał, nim zapalił. Ponownie sięgnął po telefon, a potem cofnął rękę i zamiast

dzwonić, wsunął w komputer krążek DVD. Dysk zawirował i na ekranie pojawiły się obrazy Brompton Road. Zaczął oglądać wszystko od początku, a potem uważnie przyjrzał się mężczyźnie, który biegł na osłep w stronę białego samochodu. Gdy nagranie się skończyło, uśmiechnął się po raz drugi tego dnia.

- Kretyn - mruknął pod nosem i skrzesał zapalką ogień.

Rożanow zamówił samochód z resortowego garażu na czwartą po południu. Ponieważ jechał pod prąd gęstego moskiewskiego ruchu, w ciągu czterdziestu minut dotarł do Wieży Borowickiej na Kremlu. Wszedł do Pałacu Prezydenckiego i eskortowany przez oficera straży, ruszył na górę do gabinetu prezydenta federacji.

- Za wcześniej, Aleksiej.
- Lepiej wcześniej niż późno.
- Usiądź.

Rożanow siadł i czekał. Nadeszła godzina piąta i minęła. A potem szósta. W końcu, o wpół do siódmej, pojawił się Portier.

- Ma dla ciebie dwie minuty.
- Więcej mi nie trzeba.

Portier poprowadził go przez marmurowy hol do złotych podwoi. Strażnik otworzył jedno ze skrzydeł i Rożanow wszedł sam do gabinetu. Była to przepastna ciemnawa sala; krąg światła obejmował jedynie biurko, za którym siedział Szeff, wpatrzony w stos papierów. Nie podnosił wzroku, mimo że Rożanow z wolna się zbliżał, a na koniec stanął w milczeniu i obronnym gestem złożył dłonie na podbrzuszu.

- No i ? - odezwał się wreszcie Szeff - Prawda to czy nie?
- Londyński rezydent mówi, że prawda.
- Nie pytam londyńskiego rezydenta. Pytam ciebie.
- Prawda, Szefie.
- Powiedz to, Aleksiej.
- Nie żyje. Szefie.

Prezydent ponownie opuścił wzrok na dokumenty.

- Przypomnij mi, ile mamy zapłacić temu Irlandczykowi.
- Zgodnie z umową - ważył słowa Rożanow - miał dostać dziesięć milionów po zakończeniu pierwszej fazy operacji i kolejne dziesięć po drugiej.
- Gdzie on teraz jest?
- W lokalu SWR.
- Gdzie, Aleksiej?

- W Budapeszcie.
- A kobieta?
- Tu, w Moskwie - odparł. - Czeka na polecenie wyjazdu.

Cisza, która zapadła, przypominała noc na cmentarzu. Rożanow poczuł ulgę, gdy Szef przemówił.

- Chciałbym wprowadzić drobną zmianę.
- Jaką?
- Powiedz temu Irlandczykowi, że otrzyma całe dwadzieścia milionów po zakończeniu obu faz operacji.
- To może być problem.
- Nie, nie może.

Szef pchnął teczkę przez potężne biurko. Rożanow otworzył ją i zajrzał do środka. Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy, pomyślał. Nie ma człowieka, nie ma problemu.



*Londyn - Wiedeń*

Ale oczywiście Gabriel Allon żył. W tej samej chwili, w której Aleksiej Rożanow wjeżdżał na Kreml, wsiadał na pokład odrzutowca British Airways na lotnisku Heathrow w Londynie. Miał teraz siwe włosy, a jego oczy nie były już zielone. W kieszeni płaszcza nosił podniszczony brytyjski paszport i kilka kart kredytowych na to samo nazwisko. Był to prezent, który otrzymał od Grahama Seymoura za zgodą samego premiera. Zajął miejsce w pierwszej klasie, trzeci rząd przy oknie. Gdy usiadł, stewardesa zaproponowała mu drinka oraz duży wybór czasopism. Wybrał „Daily Telegraph”, a gdy czerwone budynki zachodnich przedmieść Londynu zniknęły w dole, zaczął czytać o swojej śmierci.

Lot z Heathrow do Wiednia trwał dwie godziny. Gabriel udawał, że czyta i udawał, że śpi, pogrzebał chwilę w plastikowym pojemniku, w którym podano samolotowy posiłek, i uprzejmie zbył sąsiada, który chciał nawiązać konwersację. Ludzie martwi nie prowadzą rozmów w samolotach. I nie mają telefonów komórkowych. Gdy samolot dotknął pasa na wiedeńskim lotnisku Schwechat, był jedynym pasażerem pierwszej klasy, który nie sięgnął automatycznie po komórkę. No tak, pomyślał, wyjmując torbę ze schowka nad głową, śmierć też ma swoje zalety.

W holu lotniska, podążając za znakami, skierował się do kontroli paszportowej. Od czasu do czasu przystawał, udając, że próbuje się zorientować, gdzie jest, mimo że znał drogę na pamięć. Wzrok młodego funkcjonariusza urzędu imigracyjnego spoczywał na jego twarzy nieco zbyt długo.

- Pan Stewart? - spytał, patrząc w paszport.
- Tak - odparł neutralnym akcentem.
- Pierwszy raz w Austrii?
- Nie.

Oficer przekartkował paszport i znalazł wcześniejsze wizy.

- Co tym razem pana sprowadza?
- Muzyka.

Austriak podbił paszport i bez słowa go oddał. Gabriel wszedł do hali przylotów, gdzie obok kantoru wymiany walut stał Christopher Keller. Natychmiast wyszedł za Gabrielem na zewnątrz, a potem obaj skierowali się w stronę parkingu krótkoterminowego, gdzie czekał na nich samochód, tym razem ciemnoszary audi A6.

- Lepsze to niż skoda - orzekł Keller.

Gabriel wyciągnął kluczyk spod tylnego lewego nadkola i starannie sprawdził podwozie. Potem otworzył drzwi, wrzucił torbę na tylne siedzenie i usiadł za kierownicą.

- Może ja poprowadzę? - spytał Keller.
- Nie. - Allon zapalił silnik. To jest jego terytorium.

Nie potrzebował map ani nawigacji, za przewodnika służyła mu pamięć. Ruszył Ost Autobahn do Kanału Dunajskiego, a potem skierował się na zachód między budynkami Landstrasse do Parku Miejskiego. Hotel InterContinental stał na południowym skraju parku, przy Johannegasse. Na otaczających go ulicach i wokół niego mrowiło się od policji.

- Rozmowy nuklearne - wyjaśnił boy hotelowy, gdy Gabriel wysiadł i wyciągał torbę z tylnego siedzenia.

- Jaka delegacja tu mieszka? - spytał, ale chłopak w odpowiedzi uśmiechnął się tylko nieszczerze, mówiąc:

- Miłego pobytu, Herr Stewart.

W lobby było jeszcze więcej policji, w mundurach i w cywilu, a także kilku muskularnych facetów w koszulach bez krawata, którzy wyglądali na irańską ochronę. Gabriel i Keller przeszli obok nich do recepcji, zameldowali się i wjechali windą na czwarte piętro. Keller otrzymał pokój 428, Gabriel numer 409. Wsunął kartę magnetyczną w zamek i krótko się zawahał, nim pchnął drzwi. Z radia przy łóżku cicho płynęła muzyka Mozarta. Wyłączył radio, dokładnie przeszukał pomieszczenie, po czym starannie powiesił ubrania w szafie, by nie przysparzać zajęć obsłudze. Na koniec podniósł słuchawkę i połączył się z recepcją.

- Proszę z Feliksem Adlerem.

- Łączę.

Rozległ się dwukrotny sygnał, a potem na linii rozbrzmiał głos Eliego Lavona.

- Który pan ma pokój, Herr Adler?

- Siedemset dwanaście.

Gabriel odłożył słuchawkę i ruszył na górę.

*Hotel InterContinental, Wiedeń*

Eli Lavon otworzył drzwi i pospiesznie wciągnął go do środka. Nie był sam. Przez szczelinę między kotarami zerkał na ulicę Jakow Rossman, a na podwójnym łóżku rozciągnął się Michaił Abramow, który oglądał mecz piłki nożnej. Żaden z nich nie wydawał się szczególnie uradowany widokiem żywego Gabriela, zwłaszcza Michaił, który sam dwukrotnie żegnał się już z życiem.

- Są dobre wiadomości z domu - powiedział Lavon. - Twoje ciało bezpiecznie przybyło do kraju i jest teraz w drodze do Jerozolimy.

- Jak długo będziemy to ciągnąć?

- Aż uwierzą w to Rosjanie.

- A moja żona?

- Rozpacza, to oczywiste, ale przyjaciele jej nie odstępują.

Gabriel wyrwał pilota z dłoni Michaiła i przebiegł po kanałach informacyjnych. Najwyraźniej jego piętnaście minut dobiegło końca, gdyż nawet BBC zajęło się już czymś innym. Zatrzymał się na CNN, widząc reportera stojącego przed siedzibą Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, gdzie odbywały się negocjacje między Stanami Zjednoczonymi z ich europejskimi sojusznikami a Islamską Republiką Iranu. Z niekorzyścią dla Izraela i sunnickich arabskich państw Bliskiego Wschodu obie strony były bliskie zawarcia umowy, która umacniała pozycję Iranu jako wschodzącej potęgi nuklearnej.

- Wygląda na to, że twoja śmierć nastąpiła w najgorszym momencie - zauważył Lavon.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem. - Gabriel objął spojrzeniem obecnych w pokoju. - Jak każdy z nas.

- Owszem - zgodził się Lavon. - Podobnie zrobili Irańczycy.  
Gabriel znów spojrzał na ekran.

- Czy nasz przyjaciel też tam jest?

Lavon skinął głową.

- Nie siedzi przy stole obrad, ale należy do irańskiego służb pomocniczych.

- Mieliśmy z nim jakiś kontakt, odkąd przyjechał do Wiednia?  
Wiecie coś?

- Spytaj o to jego oficera prowadzącego.

Gabriel spojrzał na Jakowa Rossmana, który nadal obserwował ulicę. Miał krótkie czarne włosy i ospowatą twarz. Przez całą karierę w wywiadzie werbował agentów w najbardziej niebezpiecznych miejscach świata: na Zachodnim Brzegu, w Strefie Gazy, Libanie, Syrii, a teraz w Iranie. Okłamywał swych agentów i wiedział, że im też zdarza się kłamać. Pewne kłamstwa mieściły się w zasadach umowy, ale nie to, które podsunął mu cenny irański informator. Stanowiło bowiem część spisku prowadzącego do zabójstwa przyszłego szefa służb, w których Jakow służył, i za to Irańczyk musiał ponieść karę. Ale nie od razu. Najpierw miał otrzymać szansę odkupienia grzechów.

- Zazwyczaj wpadam do miasta - wyjaśnił Jakow - kiedy toczą się negocjacje. Amerykanie nie zawsze skłonni są opowiadać, co dzieje się przy stole, Reza uzupełnia więc naszą wiedzę.

- A zatem nie będzie zdziwiony, kiedy cię usłyszy.

- Ani trochę. W gruncie rzeczy - dodał Jakow - pewnie się dziwi, że jeszcze nie nawiązałem kontaktu.

- Może myśli, że siedzisz w Jerozolimie i odprawiasz sziwę po mojej śmierci.

- Miejmy nadzieję.

- Gdzie jest jego rodzina?

- Przekroczyli granicę dwie godziny temu.

- Żadnych problemów?

Pokręcił głową.

- I Reza o niczym nie wie?

- Jeszcze nie. - Jakow uśmiechnął się i znów podjął obserwację ulicy.

Gabriel spojrzał na Lavona i zapytał:

- W którym pokoju mieszka?

Ten gestem wskazał ścianę.

- Jak to zrobiliście?

- Włamaliśmy się do systemu hotelowego i znaleźliśmy numer

jego pokoju.

- Możecie wejść do środka?
- Kiedy nam się spodoba.

Czarodzieje z działu technicznego sporządzili magiczną kartę zdolną otwierać zamki elektroniczne w hotelach na całym świecie. Pierwsze przesunięcie karty łamało kod, drugie otwierało zamek.

- I zostawiliśmy tam pewien drobiazg - dodał Lavon.

Schylił się i wzmocnił dźwięk w laptopie. Z radia przy łóżku w sąsiednim pokoju płynął koncert Bacha.

- Jaki to ma zakres? - spytał Gabriel.
- Tylko na pokój. Nie ruszaliśmy telefonu. I tak nigdy go nie używa do rozmów zewnętrznych.

- Jest coś ciekawego?
- Mówi przez sen i pije w tajemnicy. Poza tym nic.

Lavon ściszył dźwięk w laptopie. Gabriel spojrział na ekran telewizora. Tym razem reporter stał na balkonie, z którego rozciągał się widok na Stare Miasto w Jerozolimie.

- Słyszałem, że miał zostać ojcem - rzekł Michał.
- Naprawdę? - zdziwił się Gabriel.
- Bliźniaki.
- Niemożliwe.

Michał, demonstrując znudzenie, na powrót włączył mecz. Gabriel wrócił do swojego pokoju i czekał na telefon.

Rozjarzona światłami siedziba Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej mieściła się na przeciwległym brzegu Dunaju, w dzielnicy Wiednia zwanej Centrum Międzynarodowym. Rozmowy między Amerykanami i Irańczykami trwały do ósmej wieczorem, kiedy to obie strony wyjątkowo zgodnie uznały, że nadszedł czas na spoczynek. Główna amerykańska negocjatorka krótko poinformowała zebranych reporterów, że w rozmowach nastąpił postęp. Jej irański odpowiednik był mniej optymistyczny. Mruknął coś na temat nieprzejednanego stanowiska Amerykanów i wsunął się na tylne siedzenie urzędowej limuzyny.

Było wpół do dziewiątej, gdy irańska kawalkada przybyła do Inter-Continentalu. Delegacja przeszła przez hol otoczona kordonem ochrony i wsiadła do wind, które ku oburzeniu innych gości hotelowych zatrzymano dla wygody jej członków. Tylko jeden z nich, Reza Nazari, zasłużony funkcjonariusz VEVAK-u podający się za irańskiego dyplomatę, mieszkał na siódmym piętrze.

Ruszył teraz pustym korytarzem pod numer 710, wsunął kartę magnetyczną w szczelinę zamka i wszedł do pokoju. Odgłos zamykanych drzwi rozległ się za ścianą, gdzie został tylko jeden z poprzedniej grupy mężczyzn, a mianowicie Jakow Rossman. Dzięki przekąźnikowi ukrytemu za łóżkiem Irańczyka Jakow słyszał też inne dźwięki: szelest płaszcza rzuconego na krzesło, stukot butów spadających na podłogę, telefon do serwisu hotelowego, szum wody w toalecie. Jakow ściszył dźwięk w laptopie, podniósł słuchawkę i wybrał numer. Gdy po dwóch sygnałach rozległ się głos Rezy Nazariego, wyjaśnił po angielsku, o co mu chodzi.

- To niemożliwe, przyjacielu - odparł Nazari. - Nie dziś wieczorem.

- Wszystko jest możliwe, Reza. Zwłaszcza dziś wieczorem.

Irańczyk zawahał się, po czym spytał:

- Kiedy?

- Za pięć minut.

- Gdzie?

Jakow wydał instrukcje, rozłączył się i wzmocnił dźwięk w laptopie. Słyszał, jak Nazari odwołuje zamówienie w serwisie hotelowym, nakłada buty i płaszczyk, a potem zamyka drzwi. W końcu na korytarzu rozległy się kroki. Wtedy znów sięgnął po telefon i połączył się z pokojem 409. Po dwóch sygnałach odezwał się głos nieboszczyka. Sprawiał wrażenie zadowolonego z otrzymanej wiadomości. Wszystko jest możliwe, myślał Jakow, odkładając słuchawkę. Zwłaszcza dziś.

Trzy piętra niżej Gabriel wstał z łóżka i spokojnie podszedł do okna. Obliczał w myślach, jak długo potrwa, nim człowiek, który spiskował, by go zabić, pojawi się w rozświetlonym podjeździe hotelowym. Minęło zaledwie czterdzieści pięć sekund, gdy tam wbiegł. Z góry wydawał się niegroźną figurką, punktem w ciemnościach nocy wręcz nikim. Ruszył na ulicę, odczekał na chwilę przerwy w słabym wieczornym ruchu i przeszedł na drugą stronę, gdzie rozciągał się Park Miejski, wielki romb ciemności w rozjarzonym światłami mieście. Nikt z irańskiej delegacji go nie dostrzegł, w ślad za nim ruszył jedynie niski mężczyzna w eleganckim kapeluszu z rondem, zameldowany jako Feliks Adler.

Gabriel podszedł do telefonu i odbył dwie rozmowy, jedną z pokojem numer 428, drugą z recepcją, prosząc o podstawienie samochodu. Potem wsunął berettę za pasek dżinsów, włożył skórzaną

kurtkę i naciągnął nisko kaszkiet, zasłaniając twarz, która tego dnia pojawiała się zbyt często na ekranach telewizyjnych.

Korytarz przed jego pokojem był pusty, podobnie jak winda, którą zjechał na dół. Przeszedł niezauważony obok ochrony oraz policjantów i ruszył w zimną noc. Audi czekało na podjeździe z Kellerem za kierownicą. Gabriel pokierował go ku wschodniej granicy parku. Toczyli się z wolna wzdłuż krawężnika, gdy w świetle jednej z lamp pojawił się Reza. Czekał tam już mercedes z przygaszonymi światłami. Wewnątrz siedziało dwóch mężczyzn. Nazari wsunął się na tylne siedzenie i wóz gwałtownie ruszył. Irańczyk nie wiedział, że właśnie popełnia drugi największy błąd w życiu.

Gabriel patrzył, jak tylne światła mercedesa znikają wśród uroczych wiedeńskich ulic, a potem spostrzegł, że z parku wyłania się Herr Adler. Zdjął kapelusz, sygnal, że Nazari jest we właściwych rękach, i ruszył z powrotem do hotelu. Herr Adler nie chciał uczestniczyć w wieczornej zabawie. Herr Adler nigdy nie lubił ostrych balang.



# 41

## *Dolna Austria*

- Dokąd jedziemy?
- W bezpieczne miejsce.
- Nie mogę na długo opuszczać hotelu.
- Spokojnie, Reza. Zdamy do północy. Nikt z nas nie chce zamienić się w dynię.

Jakow długo oglądał się przez ramię. Wiedeń zmieniał się stopniowo w smugę żółtawego światła na horyzoncie. Przed nimi ukazały się falujące pola i winnice Dolnej Austrii. Michał przekraczał o kilka kilometrów limit prędkości. Jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą wybijał nerwowy rytm na drążku skrzyni biegów. Najwyraźniej irytowało to Rezę Nazarięgo.

- Kim jest twój kumpel? - spytał Jakowa.
- Możesz go nazywać Izaak.
- Syn Abrahama, biedak. Szczęście, że pojawił się ten archanioł, bo inaczej... - Umilkł. Patrzył przez okno na ciemne pola. - Dlaczego nie spotykamy się tam gdzie zawsze?

- Zmiana scenerii.
- Po co?
- Czy oglądałeś dzisiaj wiadomości?
- Allon?

Jakow skinął głową.

- Moje kondolencje.
- Oszczędź mi tego, Reza.
- Miał być waszym szefem, prawda?
- Podobno.

- A więc teraz Uzi zostanie na stanowisku. Przyzwoity gość, ale nie to co Gabriel Allon. Uziemiu przypisuje się zasługi za ujawnienie naszego programu wzbogacania uranu, ale każdy wie, że to Allon umieścił te podrasowane wirówki w łańcuchu produkcji paliwa jądrowego.

- Jakie znów wirówki?

Na twarzy Rezy pojawił się zawodowy uśmiech, ostrożny i dyskretny. Był niskim mężczyzną drobnej budowy o głęboko osadzonych brązowych oczach i starannie przystrzyżonej brodzie. Sprawiał wrażenie raczej urzędnika niż człowieka czynu. Zdawał się cenić umiar. Tak przynajmniej zapewniał, gdy przed dwoma laty, w czasie służbowej wizyty w Stambule, nawiązał kontakt z Biurem. Oświadczył, że pragnie uchronić swój kraj przed katastrofą kolejnej wojny i chciałby stać się pomostem między Biurem a postępowym odłamek VEVAK-u.

Pomost ten nie był tani. Nazari pobrał do tej pory ponad milion dolarów, co na standardy Biura stanowiło szokującą sumę. W zamian nieprzerwanie dostarczał cennych informacji, które pozwalały izraelskim politykom i dowódcom wojskowym na bezprecedensowy wgląd w intencje Iranu. Nazari był tak cenny, że Biuro zapewniło jego rodzinie bezpieczne schronienie na wypadek, gdyby został zdemaskowany. Nieco wcześniej tego dnia, bez jego wiedzy, uruchomiono procedury związane z ewakuacją żony i dzieci.

- Byliśmy bliżej tej broni, niż wam się wydawało - ciągnął Nazari. - Gdyby Allon nie zniszczył tych czterech zakładów wzbogacania uranu, w ciągu roku osiągnęlibyśmy cel. Ale odbudowaliśmy je i stworzyliśmy kilka nowych. I teraz...

- Znowu jesteście blisko.

Nazari przytaknął.

- Ale to chyba nie martwi waszych amerykańskich przyjaciół. Prezydent chce podpisać tę umowę. Żeby, jak mówią, pozostawić po sobie spuściznę.

- Spuścizna prezydenta nie interesuje Biura.

- Ale podzielacie jego zdanie, że nuklearny Iran jest nieunikniony. Uzi nie zmierza do konfrontacji militarnej, Allon to co innego. Gdyby mógł, zrównałby nas z ziemią. - Irańczyk wolno pokręcił głową. - Ciekawe, dlaczego ścigał ten samochód w Londynie.

- Owszem - odrzekł Jakow. - Ciekawe.

Obok okna, przy którym siedział Nazari, przesunął się znak drogowy z napisem „Czeska Republika 42 km”. Ponownie spojrzął na zegarek.

- Dlaczego nie spotkaliśmy się w starym miejscu?
- Mamy dla ciebie małą niespodziankę, Reza.
- Jaką?
- Chcemy pokazać, jak cenimy wszystko, co dla nas zrobiłeś.
- Jak daleko jeszcze?
- Niedaleko.
- Muszę przed północą wrócić do hotelu.
- Nie martw się, Reza. Nie zamienimy się w dynie.

Jakow Rossman był całkowicie szczery w dwóch sprawach: naprawdę mieli niespodziankę dla swego cennego agenta i faktycznie zbliżali się do celu. Była to willa położona około pięciu kilometrów na zachód od miasta Eibesthal - uroczy zadbanej dom, z jednej strony graniczący z winnicą, z drugiej z polem pogrążonym w zimowym śnie. Żółta elewacja oraz białe obramowania okien nadawały mu włoski charakter, wszystko w nim wydawało się bezpieczne i przyjazne. Oprócz izolacji od świata. Od najbliższego sąsiedztwa dzielił go kilometr, toteż nikt nie usłyszałby dobiegającego stamtąd wołania o pomoc, zaś huk wystrzału rozpląnąłby się w końcu w falistym terenie.

Willą stała jakieś pięćdziesiąt metrów od drogi. Prowadził do niej nieutwardzony podjazd obsadzony sosnami. Parkowało tam już audi A6. Silnik wciąż cicho szumiał, a maska była gorąca. Michaił zatrzymał się za nim, wyłączył silnik i zgasił światła. Jakow spojrzał na Nazarię i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Chyba nie masz przy sobie nic głupiego, co, Reza?
- Jak na przykład?
- Jak pistolet.
- Nie mam pistoletu - prychnął Irańczyk. - Tylko pas samobójcy. Uśmiech Jakowa przybladł.
- Rozepnij płaszcz - polecił.
- Jak długo ze mną pracowałeś?
- Dwa lata - odparł Jakow. - Ale dziś jest inaczej.
- Dlaczego?
- Zaraz zobaczysz.
- Kto tam jest?
- Rozepnij płaszcz, Reza.

Nazari spełnił polecenie. Jakow szybko, ale starannie go przeszukał. Znalazł tylko plik banknotów, komórkę, paczkę francuskich papierosów, zapalniczkę i klucz do pokoju w InterContinentalu.

Wrzucił wszystko do kieszeni przy fotelu i skinął głową, patrząc w lusterko wsteczne. Michał wysunął się zza kierownicy i otworzył przed Nazarim drzwi. W nagłym świetle Jakow po raz pierwszy zobaczył w twarzy Irańczyka więcej niż tylko obawę.

- Coś nie tak, Reza?

- Jesteś Izraelczykiem, a ja Irańczykiem. Dlaczego ma być coś nie tak?

- Stanowisz nasz najważniejszy atut, Reza. Kiedyś napiszą o nas książkę.

- Tylko niech ją wydadzą długo po naszej śmierci.

Nazari wysiadł i z Michałem u boku ruszył w stronę wejścia do budynku odległego o dwadzieścia kroków. W tym czasie Jakow zdążył się wydostać z tylnego siedzenia i wyjąć pistolet z kabury na biodrze. Wsunął go do kieszeni płaszcza i stał metr za swym agentem, gdy dotarli do drzwi. Podały się pod naciskiem ręki Michała. Nazari się zawahał, lecz pchnięty przez Jakowa wszedł za Michałem do środka.

W holu panował półmrok, ale z wnętrza domu sączyło się światło, a w powietrzu unosił się zapach palonego drewna. Michał poprowadził ich do salonu, gdzie w otwartym kominku palił się jasno ogień. Przed nim, tyłem do drzwi, stali Gabriel i Keller, na pozór zatopieni w myślach. Na ich widok Nazari zastygł, po czym odskoczył w tył. Ale Jakow złapał go za jedno ramię, a Michał za drugie. Razem unieśli go do góry, tak że zawisł stopami nad drewnianą podłogą.

Mężczyźni przy kominku wymienili spojrzenia i uśmiech. Był to ich prywatny żart kosztem gościa. Potem Allon wolno się obrócił, jakby do tej pory nie wiedział, co dzieje się za nim. Nazari wił się jak ryba na haczyku, wybałuszając oczy z przerażenia. Gabriel spojrział na niego spokojnie, lekko przechylając głowę i podpierając dłonią brodę.

- Coś nie tak, Reza? - spytał w końcu.

- Jesteś...

- Żywy? - Gabriel się uśmiechnął. - Przykro mi, Reza, ale chyba niezbyt ci to wyszło.

Na niskim stoliku leżał glock kaliber 0,45 cala, automat o potężnej sile rażenia. Gabriel sięgnął po niego i ujął rękojeść, waząc pistolet w dłoni. Potem wyciągnął go do Kellera, który podniósł rękę obronnym gestem, jakby proponowano mu płonące polano.

Wówczas Gabriel ruszył powoli w stronę Nazariego i zatrzymał się metr przed nim. W prawej ręce trzymał pistolet, natomiast lewą, błyskawicznie jak atakujący wąż, złapał Rezę za gardło.

Twarz Irańczyka w jednej chwili przybrała kolor dojrzałej śliwki.

- Chciałbyś mi coś powiedzieć?
- Przykro mi - wysapał tamten.
- I mnie, Reza. Ale obawiam się, że na to już za późno.

Wzmocnił chwyt, aż w końcu poczuł pod palcami, że chrząstka grdyki zaczyna pękać. Wtedy przyłożył lufę do czoła Nazariego i pociągnął za spust. Gdy rozległ się strzał, Keller odwrócił się i wbił wzrok w ogień. To sprawa osobista, pomyślał. A sprawy osobiste bywają nieprzyjemne.

*Dolna Austria*

Nabój kalibru 0,45 cala, który Gabriel wystrzelił w głowę Rezy, był ślepy, ale ładunek prochowy spowodował ogłuszający huk, a wylot lufy zostawił pośrodku czoła Irańczyka małe osmalone kółko, niczym znak modlitewny pobożnego muzułmanina.

To wystarczyło, by Nazari jak kamień zwałił się na ziemię. Przez kilka sekund nie ruszał się i nie oddychał. Wtedy jednak Jakow ukląkł obok i wierzchem dłoni uderzył go w twarz, przywracając mu przytomność.

- Ty draniu! - wydyszał Reza. - Ty pieprzony draniu!
- Ugryzłbym się na twoim miejscu w język, Reza, bo następnym razem użyję prawdziwej amunicji.

Są tacy, których lęk paraliżuje, i tacy, którzy reagują bezcelową brawurą. W Nazarim wyzwolił brawurę - być może tak go szkolono, a może po prostu myślał, że nie ma nic do stracenia. Sprężył się i z całej siły chciał kopnąć Gabriela, który zdołał się lekko uchylić. Nie dając za wygraną, przywarł więc do nogi Michaiła i usiłował powalić go na ziemię. Brutalny cios pod łopatkę wystarczył, by powstrzymać jego atak. Zaraz jednak Michaił odsunął się na bok, pozwalając Jakowowi dokończyć robotę. Ten ostatni przez całe dwa lata rozpieszczał swego agenta, schlebiał mu i płacił niewyobrażalne kwoty. Teraz, przez dwie straszliwe minuty, brał odwet za zdradę. Ale jego ciosy oszczędzały twarz Irańczyka. Bez względu na okoliczności Nazari musiał zachować prezencję.

Keller nie uczestniczył w samosądzie. W tym czasie spokojnie ustawił przed kominkiem drewniane krzesło. Po chwili Irańczyk

zwałił się na nie bezwładnie, nie stawiając już oporu, gdy Jakow i Michaił mocowali go do oparcia taśmą izolacyjną. Potem skrępowali mu nogi, podczas gdy Gabriel spokojnie ładował glocka, demonstrując każdy nabój, nim wsunął go do magazynka. Żaden nie był ślepy. Tym razem załadował automat prawdziwą amunicją.

- Masz prosty wybór - oznajmił spokojnie, wprowadzając pierwszy nabój do komory. - Możesz żyć lub zostać męczennikiem. - Przyłożył wylot lufy do czoła Nazariego. - Co wolisz, Reza?

Ten w milczeniu wpatrywał się w pistolet. W końcu z trudem wykrztusił:

- Wolę żyć.  
- Mądra decyzja. - Gabriel opuścił broń. - Ale obawiam się, że nie dostaniesz życia za darmo, bracie. Musisz za nie zapłacić.

- Ile?  
- Najpierw mi powiesz, jak razem ze swoimi rosyjskimi przyjaciółmi spiskowałeś, żeby mnie zabić.

- A potem?  
- Potem pomożesz mi ich znaleźć.  
- Odradzałbym ci, Allon.  
- Dlaczego?  
- Bo ten, który to zlecił, jest zbyt ważny, żebyś mógł go zabić.  
- Kto to jest?  
- Sam zgadnij.  
- Szef SWR?  
- Nie bądź głupi. - Nazari spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Żaden szef SWR nie tknąłby cię bez zezwolenia. Rozkaz przyszedł z góry.

- Od prezydenta?  
- Oczywiście.  
- Skąd wiesz?  
- Uwierz mi, Allon. Wiem.  
- Może cię to zdziwi, Reza, ale jesteś ostatnim człowiekiem na świecie, któremu teraz ufam.

- Mogę cię zapewnić - rzekł Nazari, wpatrując się w broń - że odważam się na to uczucie.

Zażądał, by go uwolniono i traktowano z odrobiną szacunku. Gabriel odrzucił oba postulaty, lecz uległ prośbie o szklanek wody, gdy Reza chciał przepłukać poranione gardło. Jakow przysunął szklanek do ust swego agenta, a potem strzepnął kilka kropli, które spadły mu

na marynarkę, gdy tamten pił. Gest ten nie uszedł uwagi Irańczyka.

- Mogę prosić o papierosa? - spytał.

- Nie - odparł Gabriel.

Nazari się uśmiechnął.

- A więc to jednak prawda. Wielki Gabriel Allon nie lubi dymu tytoniowego. - Wciąż się uśmiechając, spojrzął na Jakowa. - Ale nie mój przyjaciel. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie w pokoju hotelowym w Stambule. Myślałem, że z powodu dymu włączy się alarm.

Miejsce było równie dobre jak każde inne, toteż właśnie tam Gabriel zaczął przesłuchiwać kandydata. Było to w jesienny dzień przed dwoma laty, gdy Reza Nazari przybył do Stambułu na rozmowy z tureckim wywiadem. Podczas przerwy w obradach udał się do małego hoteliku nad Bosforem i w pokoju na piętrze po raz pierwszy spotkał się z mężczyzną, którego miał odtąd znać jako „pana Taylora”. Powiedział, że zamierza zdradzić swój kraj i w dowód dobrej woli wręczył mu pendrive z tajnymi informacjami wielkiej wagi, w tym dokumentami dotyczącymi irańskiego programu jądrowego.

- Czy te dokumenty były prawdziwe?

- Oczywiście.

- Ukradłeś je?

- Nie musiałem.

- Kto ci je dał?

- Moi zwierzchnicy z Ministerstwa Wywiadu.

- Od początku byłeś podstawiony?

Nazari potwierdził.

- Kto cię prowadził?

- Wolałbym nie mówić.

- A ja wolałbym nie zachłapać twoim mózgiem ściany, ale zrobię to, jak się wkurzę.

- Esfahani.

Mohsen Esfahani był zastępcą szefa VEVAK-u.

- Jaki cel miała ta operacja? - spytał Gabriel.

- Uzyskanie wpływu na perspektywę, z jakiej wasze Biuro ocenia intencje i możliwości Iranu.

- *Taqiyya*.

- Nazwij to, jak chcesz, Allon. My, Persowie, mamy w tej kwestii odwieczne doświadczenie. Znacznie dłuższe niż Żydzi.

- Na twoim miejscu, Reza, przestałbym się tak chęłpić. W przeciwnym razie mogę cię oddać w ręce pana Taylora.

Irańczyk zamilkł. Gabriel spytał jeszcze o milion dolarów, które Biuro zdeponowało w prywatnym banku w Luksemburgu na użytek



Nazariego.

- Zakładaliśmy, że będziecie obserwować te pieniądze - odparł - toteż Esfahani polecił mi część ich wydać. Kupiłem prezenty dla dzieci i sznur pereł dla żony.

- Nic dla Esfahaniego?

- Złoty zegarek, ale kazał mi go zwrócić. Mohsen to człowiek wiary. I jak ty, Allon, jest całkowicie nieprzekupny.

- Skąd o tym wiesz?

- Masz u nas grubą teczkę. - Zamilkł i dodał: - Prawie tak grubą jak ta w Centrali Moskwa. Ale to zrozumiałe. Nigdy nie postawiłeś stopy na irańskiej ziemi, a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Jeśli zaś idzie o Rosję... - Uśmiechnął się. - No cóż, powiedzmy, że masz tam wielu wrogów, Allon.

Biuro nie wiedziało na temat swego cennego agenta wielu rzeczy, między innymi tego, że był on wcześniej głównym łącznikiem VEVAK-u z SWR. Jak się okazało, z oczywistej przyczyny - studiował na uniwersytecie historię Rosji, znał dobrze rosyjski i działał w Afganistanie w czasie sowieckiej okupacji. W Kabulu poznał licznych oficerów KGB, w tym pewnego młodego człowieka, któremu wróżyono wielką karierę. Okazało się, że trafnie. Był teraz jednym z głównych graczy Centrali Moskwa. Nazari regularnie się z nim spotykał, omawiając ważne sprawy polityczne, począwszy od irańskiego programu jądrowego po wojnę domową w Syrii, gdzie zarówno VEVAK, jak i SWR niezmordowanie pracowały nad umacnianiem reżimu swego atakowanego zewsząd klienta.

- Jak się nazywa?

- Tak jak ty używa wielu różnych nazwisk - odparł Nazari.

- Ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że naprawdę nazywa się Rożanow.

- Imię?

- Aleksiej.

- Opisz go.

Nazari zrobił to niezbyt pewnie. Opisany przez niego mężczyzna miał z metr osiemdziesiąt wzrostu i rzadkie siwiejące blond włosy, które czesał na wzór rosyjskiego prezydenta.

- Wiek?

- Koło pięćdziesiątki.

- Języki?

- Mówi każdym, którym zechce.

- Jak często się spotykacie?
- Raz na dwa lub trzy miesiące. Jeśli to konieczne, częściej.
- Gdzie?
- Czasem lecę do Moskwy, zazwyczaj jednak wybieramy jakieś neutralne miejsca w Europie.

- Jakże to miejsca?
- Mieszkania służbowe, restauracje. - Wzruszył ramionami. -

Wiadomo.

- Kiedy widzieliście się po raz ostatni?
- Przed miesiącem.
- Gdzie?
- W Kopenhadze.
- A konkretnie?
- W małej restauracji koło Nowego Portu.
- Rozmawialiście o broni atomowej i Syrii?
- Właściwie - odparł Nazari - omawialiśmy szczegółowo tylko jeden temat.
- Czego dotyczył?
- Ciebie.

*Dolna Austria*

Ale to nie w Kopenhadze Reza Nazari i Aleksiej Rożanow po raz pierwszy rozważali sprawę Gabriela Allona. Jego nazwisko przewijało się wielokrotnie w czasie ich poprzednich spotkań, choć nigdy z tak mściwą determinacją jak przed dziesięcioma miesiącami podczas kolacji na starym mieście w Zurychu. Służba Wywiadu Zagranicznego, SWR, przechodziła głęboki kryzys. W Obwodzie Twerskim znaleziono zamrożone ciało Pawła Żirowa, Madeline Hart zbiegła do Wielkiej Brytanii, a należące do Kremla zakłady energetyczne pozbawiono praw do odwiertów ropy na Morzu Północnym.

- Przyczyną tego wszystkiego - ciągnął Nazari - jesteś ty.
- Kto tak twierdzi?
- Jedyna osoba, która się w Rosji liczy. Szef.
- I przypuszczam, że domagał się mojej śmierci.
- To nie wszystko - odparł Nazari. - Chciał cię zlikwidować obcymi rękami, nie angażując w to Rosji. A przy okazji ukarać Brytyjczyków, zwłaszcza Grahama Seymoura.

- I dlatego Rosjanie wybrali Eamona Quinna.

Nazari milczał.

- Sądzę, że słyszałeś to nazwisko.
- Uważałem go za przyjaciela.
- To ty pozyskałeś go do budowy broni przeciwpancernej dla Hezbollahu.

Nazari przytaknął.

- Broni, która miota ogniste kule, przemieszczające się z prędkością trzystu metrów na sekundę.

- Była bardzo skuteczna, co mogą potwierdzić Izraelskie Siły Obronne.

Jakow zamierzył się na niego z wściekłością, lecz Gabriel go postrzymał.

- Czego chciał od ciebie Rożanow? - zapytał.

- W tamtym czasie tylko nawiązania z wami kontaktu.

- A ty się zgodziłeś.

- Jeśli chodzi o ciebie - odparł Nazari - interesy Iranu były zbieżne z rosyjskimi.

W tym okresie, jak wyjaśnił, Quinn mieszkał w Wenezueli pod opieką umierającego Hugo Cháveza. Jego przyszłość rysowała się niepewnie. Nie miał żadnej gwarancji, że następca Cháveza pozwoli mu tam zostać lub używać wenezuelskiego paszportu. W rachubę wchodziła wprawdzie Kuba, ale Quinn nie miał ochoty żyć pod dyktando braci Castro. Potrzebował nowego domu i nowego sponsora.

- Jeśli o nas chodzi, trudno byłoby wybrać lepszy moment - zakończył.

- Gdzie się z nim spotkałeś?

- W hotelu w centrum Caracas.

- Był tam ktoś jeszcze?

- Rożanow przyprowadził kobietę.

Gabriel podniósł zdjęcie Kateriny na balkonie Quinna w Lizbonie. Nazari skinął głową.

- Jaka była jej rola w tej operacji?

- Nie wtajemniczono mnie we wszystkie szczegóły. W tamtym czasie byłem tylko łącznikiem z Quinnem.

- Ile mu obiecano?

- Dziesięć milionów.

- Z góry?

- Po wykonaniu zadania.

- Czyli po mojej śmierci?

Nazari zerknął na Kellera, dodając:

- I jego.

To sprawiło, że Gabriel powrócił do spotkania w Kopenhadze. Nazari wspominał, że Aleksiej Rożanow był zdenerwowany, ale pełen nadziei. Pierwszy cel został wybrany. Teraz potrzebowali kogoś, kto zasugeruje nazwisko Quinna wywiadowi izraelskiemu i brytyjskiemu. Rożanow poprosił Nazariego, by podjął się tej roli, ale ten zdecydowanie odmówił.

- Dlaczego?

- Nie chciałem robić nic, co mogłoby zagrozić mojej pozycji w

oczach pana Taylora.

- Więc dlaczego zmieniłeś zdanie?

Nazari milczał.

- Ile ci zapłacili, Reza?

- Dwa miliony.

- Gdzie są te pieniądze?

- Chcieli, żebym je włożył do moskiewskiego banku, ale uparłem się przy Szwajcarii.

Gdy Gabriel spytał o nazwę banku, numer rachunku i hasła dostępu, Nazari podał mu dane. Bank miał siedzibę w Genewie. Ostatnio Biuro uznało za konieczne zbadanie bilansu tej instytucji. Uzyskanie dostępu do wskazanego konta nie stanowiło zatem trudności.

- Pewnie nie wspomniałeś o tym Mohsenowi Esfahaniemu.

- Nie. - Nazari chwilę się zawahał. - Mohsen o niczym nie wie.

Naprawdę.

- A twoja żona? - naciskał Gabriel. - Powiedziałeś jej o tym?

- Dlaczego pytasz?

- Bo z natury jestem ciekawy.

- Nie. - Znów się zawahał. - Moja żona nic nie wie.

- Może powinienes się przyznać?

Gabriel wziął od Michaiła telefon i podał go Nazariemu. Ten patrzył na aparat, nie rozumiejąc.

- No proszę, Reza. Dzwon.

- Co wyście zrobili?

- Włączyliśmy alarm przeciwpożarowy.

- Co to znaczy?

Tym razem rzecz wyjaśnił Jakow.

- Przypominasz sobie o kryjówce, którą przygotowaliśmy dla ciebie i twojej rodziny, Reza? Nigdy nie była potrzebna, bo przecież nigdy nie zdradziłeś swoich mocodawców.

Twarz Irańczyka wykrzywiła się w panice.

- Ale o niczym nie wspomniałeś swojej żonie - ciągnął Jakow. - Zachowałeś kryjówkę na wypadek, gdyby twoje sprawy w VEVAK-u źle się potoczyły, a ty potrzebowałbyś bezpiecznej przystani. Wszystko, co mieliśmy zrobić, sprowadzało się do włączenia alarmu, a oni...

- Gdzie są? - przerwał mu Nazari.

- Mogę ci powiedzieć, gdzie ich nie ma, Reza. W Islamskiej Republice Iranu.

W zapadniętych oczach Irańczyka pojawił się niebezpieczny spój. Wolno przesunął wzrok z Jakowa na Gabriela.

- Popeliłeś błąd, przyjacielu. Ktoś taki jak ty dobrze wie, jakie niebezpieczeństwa grożą niewinnym członkom rodziny wciągniętym w tę grę.

- Widzisz, Reza, jedną z zalet śmierci jest to, że człowieka nie dręczą już wyrzuty sumienia. - Gabriel zamilkł, po czym dodał: - Rozjaśnia mi to myśli. - Cofnął rękę z komórką. - Pytanie brzmi, czy rozjaśnia i twoje.

Nazari przeniósł wzrok z jego twarzy na kominek. Groźny spokój w jego oczach zniknął. Zastąpiła go rezygnacja. Nie miał wyboru, musiał zdać się całkowicie na łaskę śmiertelnego wroga.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał w końcu.  
- Chcę, żebyś ratował swoją rodzinę. I siebie.  
- Jak mam to zrobić?  
- Pomagając mi odnaleźć Quinna i Rożanowa.  
- To niemożliwe, Allon.  
- Kto tak uważa?  
- Sam Szef.  
- Teraz ja jestem szefem - odrzekł Gabriel. - A ty pracujesz dla mnie.

Przez następną godzinę odtwarzali wszystko od początku. Szczególną uwagę poświęcili kontu bankowemu w Genewie i okolicznościom ostatniego spotkania Nazariego z Rożanowem w Kopenhadze. Ustalona została dokładna data, nazwa restauracji, czas i sposób przyjazdu, a także nazwy hoteli, w których się zatrzymali.

- A następne spotkanie? - spytał Gabriel.  
- Nie zostało wyznaczone.  
- Kto zwykle inicjuje kontakt?  
- To zależy od sytuacji. Jeśli Aleksiej chce coś omówić, kontaktuje się i sugeruje miejsce spotkania. Jeśli ja chcę się z nim zobaczyć...  
- Jak się kontaktujesz?  
- Tak, żeby nie namierzyły mnie wasze służby ani NSA.  
- Wrzucasz post na jakieś niewinne konto w Internecie?  
- Czasem najprostsze sposoby są najlepsze.  
- Adres Rożanowa?  
- Używa kilku. - Wyrecytował cztery przypadkowe kombinacje liter i liczb. Był to imponujący popis pamięci.

Zbliżała się jedenasta. Mieli zaledwie tyle czasu, by odwieźć Irańczyka do InterContinentalu przed północą. Gabriel ostrzegł go jeszcze przed konsekwencjami złamania ich pospiesznie zawartej

umowy. Reza wyglądał zdumiewająco dobrze jak na człowieka, który zebrał dotkliwie cięgi i niemal doświadczył egzekucji. Jedynym widocznym śladem jego przeżyć było małe oparzenie pośrodku czoła.

- Przyłóż sobie lód, jak wrócisz do pokoju - poradził Jakow, wpychając go do samochodu. - Musisz się dobrze prezentować na jutrzejszych negocjacjach.

Zatrzymali się przy wschodniej granicy parku, skąd Michaił odprowadził Rezę do hotelu. Lobby było puste. Nazari wsiadł sam do windy, wjechał na siódme piętro i wszedł do swego monitorowanego pokoju. Eli Lavon schylony nad laptopem nasłuchiwał, co dzieje się za ścianą. Najpierw z toalety dobiegły odgłosy gwałtownych torsji, po czym Reza wybuchł niepohamowanym szlochem, gdy nikt nie odebrał telefonu w jego domu w Teheranie. Lavon ściszył dźwięk, pozostawiając swej ofierze nieco prywatności. Zabawy dużych chłopców, pomyślał. Zasady dużych chłopców.

*Worobiowe Wzgórza, Moskwa*

Sen Kateriny Akułowej był taki sam jak zawsze. Szła przez brzozy las w pobliżu swego starego obozu szkoleniowego, gdy wtem drzewa rozstały się jak kurtyna i ukazało się kryształowo błękitne jezioro. Nie musiała zdejmować ubrania. We śnie była zawsze naga, bez względu na sytuację. Wśliznęła się pod spokojną płaską powierzchnię i płynęła przez ulice swego sztucznego niemieckiego miasteczka. Wtem woda zamieniła się w krew, a ona poczuła, że tonie. Dusząc się z braku tlenu, z sercem walącym o żebra, rozpaczliwie przedzierała się w górę ku punkcikowi światła. Ale za każdym razem, gdy docierała do powierzchni, jakaś ręka spychała ją w dół. Ręka była kobieca, miękka i piękna. I choć Katerina nigdy nie poznała jej dotyku, wiedziała, że to ręka jej matki.

Ocknęła się i usiadła prosto na łóżku, gwałtownie łapiąc powietrze, jakby przez kilka minut się dusiła. Miała wilgotne splątane włosy i drżące ze strachu ręce. Sięgnęła po paczkę papierosów, wyciągnęła jednego i z trudem zapaliła, głęboko wciągając dym w płuca. Nikotyna podziałała na nią uspokajająco. Tak było zawsze. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że zbliża się południe. Spała niemal dwanaście godzin. Za oknem śnieg przestał padać i na bladym niebie słabo świecił biały krążek słońca. Zima ofiarowała Moskwie kilka godzin wytchnienia.

Opuściła nogi na podłogę, powlokła się do kuchni i zaparzyła w ekspresie kawę. Wypiła całą filiżankę, stojąc przy maszynie, i natychmiast zrobiła sobie następną. Służbowa komórka SWR leżała na blacie. Podniosła ją i zmarszczyła brwi, patrząc na ekran. Aleksiej



nadal nie wydał polecenia wyjazdu. Była pewna, że nie jest to przeoczenie. Miał widać powody. Nigdy nie robił nic bez powodu.

Sprawdziła prognozę pogody. Było kilka stopni powyżej zera, rzadkość o tej porze roku. Popołudnie zapowiadało się bezchmurnie. Od dawna nie ćwiczyła, pomyślała więc, że przebieżka dobrze jej zrobi. Wzięła filiżankę z kawą do sypialni i zaczęła się ubierać.

Podkoszulek i legginsy z oddychającej tkaniny, na to ciepły dres, a na nogi nowe sportowe buty, oryginalne amerykańskie, a nie tandetne podroby z rosyjskich fabryk. Wolałaby biegać boso niż w czymś podobnym. Na koniec nałożyła grube rękawice i wsunęła włosy pod wełnianą czapkę. Został jeszcze makarow 9mm, ale broń przeszkadza w bieganiu. Poradzi sobie bez niej, jeśli jakiś pijany zbok będzie na tyle głupi, by ją zaczepiać. Kiedyś na ścieżce w Parku Gorkiego pobiła do nieprzytomności jakiegoś obmacywacza. Aleksiej dokończył robotę, tak przynajmniej mówiono w Centrali. Ona sama nigdy nie zainteresowała się losem tego człowieka. Cokolwiek go spotkało, zasłużył na to.

Przez kilka minut rozciągała mięśnie, paląc drugiego papierosa i pijąc trzecią kawę. Potem zjechała windą do holu i lekceważąc powitanie nieogolonego skacowanego portiera, wyszła na ulicę. Chodnik był oczyszczony ze śniegu. Ruszyła lekkim krokiem w kierunku zachodnim, na Miczurynski Prospekt, który graniczył z Moskiewskim Uniwersytetem Państwowym. Zapewne studiowałaby na tej uczelni, gdyby nie była córką funkcjonariuszki KGB, która zapomniała o środkach antykoncepcyjnych, aranżując miłosną pułapkę.

U stóp wzgórza skręciła w prawo łagodnym łukiem ulicy Kosygina. Jej środkiem biegła brukowana ścieżka, z obu stron obsadzona bezlistnymi drzewami. Katerina zaczynała się rozgrzewać. Czuli pierwsze krople potu zbierające się na skórze pod bluzą. Wydłużyła krok i zwiększyła tempo. Minęła śliczną zielono-białą cerkiew, a potem punkt widokowy na Worobiowych Wzgórzach, gdzie dwoje uśmiechniętych nowożeńców pozowało do zdjęć na tle panoramy miasta.

Należało to do tradycji wśród rosyjskich młodych par, ale jej nie było pisane. Gdyby chciała wyjść za mąż, co mało prawdopodobne, SWR musiałyby zaakceptować jej wybór. Ślub odbyłby się w sekrecie, bez udziału fotografów i rodziny. Co zresztą nie stanowiłoby problemu, gdyż nie miała żadnej.

Zamierzała dobiec do Rosyjskiej Akademii Nauk i wrócić do domu wzdłuż wybrzeża rzeki Moskwy. Ale mijając krzykliwe wejście

do hotelu Korston, spostrzegła, że śledzi ją range rover z przyciemnionymi szybami. Po raz pierwszy widziała go na Miczurinskim, a potem przy punkcie widokowym na Worobiowych Wzgórzach, gdzie jeden z pasażerów, mężczyzna w skórzanym płaszczu, udawał, że podziwia widok. Teraz samochód parkował przed hotelem, a człowiek w skórzanym płaszczu szedł wśród drzew w jej stronę. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ważył ponad sto kilo i poruszał się rozkołysanym krokiem faceta, który wiele czasu spędza w siłowni.

Nigdy nie cofała się przed niebezpieczeństwem, tak ją szkolono, toteż w niezmiennym tempie zbliżała się do niego, patrząc wprost przed siebie, jakby lekceważyła jego obecność. Trzymał ręce w kieszeniach płaszcza. Gdy chciała go minąć, wyciągnął prawą i chwycił ją za ramię. Poczula się jak w szponach mechanicznej koparki. Ziemia uciekła jej spod stóp. Runęłaby na ścieżkę, gdyby ręka nie utrzymała jej w pionie.

- Puszczaj! - warknęła.
- Niet - odparł zimny głos.

Próbowała się wyrwać, ale było to bardziej ostrzeżenie niż prawdziwa próba ucieczki. On tymczasem jeszcze wzmocnił chwyt. Kolejne ruchy wykonała instynktownie. Mocno nadepnęła na podbicie jego prawej stopy, po czym oślepiła go, wbijając ostry jak sztylet palec w jedno oko, a potem w drugie. Gdy poczuła, że zwolnił uścisk, wykonała obrót i wbiła mu w genitalia podniesione kolano. Potem znów obróciła się wokół osi, wymierzając łokciem tak silny cios w skroń, że bezwładnie zwałił się na ziemię. Zamierzała trwale uszkodzić jego odsłonięte gardło, ale powstrzymała się, słysząc na ścieżce za sobą głośny śmiech.

Położyła dłonie na kolanach, z trudem łapiąc oddech w zimnym powietrzu. Czula w ustach krew. Pomyślała, że to krew z jej snów.

- Czemu to zrobiłeś?
- Chciałem się upewnić, że jesteś gotowa do akcji.
- Zawsze jestem gotowa.
- Właśnie tego dowiodłaś. - Aleksiej Rozanow wolno pokręcił głową. - Ten biedak nigdy już nie będzie szarpać się z kondomem. Może to i szczęście.

Wsiedli na tył limuzyny SWR, która przywiozła Rozanowa, i po chwili utknęli w korku na ulicy Kosygina. Zapewne gdzieś przed nimi doszło do wypadku. To zdarzało się nieustannie.

- Kto to był? - spytała.

- Ten młodzian, którego poturbowałaś?

Skinęła głową.

- Ukończył Instytut Czerwonego Sztandaru. Aż do dziś pokładałem w nim wielkie nadzieje.

- Jak chciałeś go wykorzystać?

- Do pracy mięśni - odparł bez cienia ironii.

Samochód toczył się w tempie idących pieszo. Rożanow wyciągnął paczkę dunhilli z kieszeni na piersiach i ostrożnie wyjął papierosa.

- Po powrocie do mieszkania - odezwał się po chwili - znajdziesz w korytarzu walizkę, a w niej paszport i bilety. Wyjedziesz jutro z samego rana.

- Dokąd?

- Spędzisz noc w Warszawie, żeby uwiarygodnić swoją tożsamość, a potem przejedziesz przez Europę do Rotterdamu. Zamówiliśmy ci pokój w hotelu nieopodal terminalu promowego. Na drugim brzegu będzie czekał na ciebie samochód.

- Jaki?

- Renault. Kluczyk znajdziesz tam gdzie zawsze. Broń będzie ukryta z tyłu. Damy ci skorpioną. - Uśmiechnął się. - Zawsze lubiłaś skorpiony, prawda, Katerino?

- A co z Quinnem? - zapytała.

- Spotkacie się w hotelu. - Zamilkł, po czym dodał: - Nie sądzę, żeby był w humorze.

- Co się stało?

- Prezydent wstrzymał mu wypłatę do zakończenia drugiego etapu operacji.

- Dlaczego to zrobił?

- Żeby bardziej go zmotywować - odparł Rożanow. - Nasz irlandzki przyjaciel znany jest z tego, że chętnie bierze sprawy w swoje ręce. Ten esemes, który uparł się wysłać do Allona, niemal unicestwił perfekcyjnie zaplanowaną operację.

- Nie powinieneś mu dawać numeru Allona.

- To nie było możliwe. Quinn miał jasne żądania. Chciał go zawiadomić, że w samochodzie jest bomba. I że to on za tym stoi.

Z trudem dobrnęli do punktu widokowego na Worobiowych Wzgórzach. Nowożeńcy zniknęli, na ich miejscu pojawiła się nowa para. Pozowała z nią do fotografii dziewczynka sześć-, a może siedmioletnia. Miała białą sukienkę i kwiaty we włosach.

- Śliczne dziecko - rzekł Rożanow.

- Owszem - potwierdziła chłodno Katerina.

Przez chwilę się jej przypatrywał.

- Czy to złudzenie - odezwał się w końcu - czy niechętnie wracasz do akcji?

- Wydaje ci się, Aleksiej.

- Bo jeśli nie jesteś w stanie wykonać zadania, muszę to wiedzieć. Chyba rozumiesz.

- Spytaj o to swojego nowego kastrata.

- Wiem, że byłaś...

- To nie jest problem - ucieła.

- Liczyłem na taką odpowiedź.

- I się nie przeliczyłeś.

W końcu ujrzeli przyczynę potężnego korka. Na ulicy leżała stara babuszka, a obok niej siatka ze sznurka i rozrzucone na asfalcie jabłka. Kilka klaksonów trąbiło z irytacją. Życie jest w Rosji tanie. Stare czy młode, nie ma to znaczenia.

- Mój Boże - mruknął cicho Rożanow, gdy przesuwali się obok okaleczonych zwłok staruszki.

- Czyżby cię przygnębiał widok odrobiny krwi?

- Nie jestem taki jak ty, Katerino. Zabijam wyłącznie piórem i papierem.

- Ja też, jeśli nie mam pod ręką nic innego.

- Cieszę się, że nie tracisz poczucia humoru.

- To niezbędne w tym rodzaju pracy.

- W pełni się z tobą zgadzam. - Wyjął z aktówki plik dokumentów.

- Co to jest?

- Prezydent ma dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Chciałby, żebyś je wykonała przed powrotem do Rosji.

Wzięła od niego akta i przyjrzała się fotografii na pierwszej stronie. Młode czy stare, myślała, to bez znaczenia. Życie w Rosji jest tanie. Jej życie również.

*Kopenhaga, Dania*

- Przepraszam - powiedział Lars Mortensen - ale nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

- Merchant - odparł Christopher Keller.
- Izraelczyk, tak?
- Niestety.
- A ten akcent?
- Urodziłem się w Londynie.
- Rozumiem.

Mortensen był szefem PET, małej, lecz nader skutecznej Duńskiej Służby Wywiadu i Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Oficjalnie był to oddział duńskiej policji podległy Ministerstwu Sprawiedliwości. Jego siedziba mieściła się w anonimowym biurze na północ od ogrodów Tivoli, a gabinet Mortensena znajdował się na najwyższym piętrze. Był wyposażony w meble solidne, jasne i duńskie. Takie jak on sam.

- Jak pewnie pan przypuszcza - mówił - śmierć Allona była dla mnie prawdziwym szokiem. Uważałem go za przyjaciela. Kilka lat temu pracowaliśmy razem. W pewnym domu na północy doszło do przestępstwa. Zajmowałem się tą sprawą w jego imieniu.

- Pamiętam.
- Też pan nad tym pracował?
- Nie.

Mortensen postukał końcem srebrnego pióra w otwartą teczkę z dokumentami.

- Nie mogę uwierzyć, że Allon nie żyje. Sprawiał wrażenie kogoś, kto jest nieśmiertelny.

- Czujemy się podobnie.
- A pańska prośba... Czy ma coś wspólnego z jego śmiercią?
- Wolałbym nie odpowiadać.
- A ja wolałbym uniknąć tego spotkania - odrzekł zimno

Mortensen - ale kiedy przyjaciel zwraca się z prośbą, staram się ją spełnić.

- Nasze służby poniosły straszliwą stratę - odezwał się Keller po chwili milczenia. - Jak się pan zapewne domyśla, skupiamy się wyłącznie na tej sprawie.

Była to wykrętna odpowiedź, ale dla szefa duńskiego wywiadu wystarczająca.

- Czego mamy szukać w tych nagraniach?
- Dwóch mężczyzn.
- Gdzie się spotkali?
- W restauracji Ved Kajen.
- W Nowym Porcie?

Keller skinął głową, a gdy Mortensen spytał o datę i czas, podał mu dane.

- Jak wyglądają ci dwaj? - indagował Duńczyk.

Keller podał mu fotografię.

- Kto to jest?
- Reza Nazari.
- Irańczyk?

Odpowiedź brzmiała twierdząco.

- VEVAK?
- Oczywiście.
- A ten drugi?
- Człowiek SWR. Aleksiej Rożanow.
- Macie jego fotografię?
- To jest właśnie powodem mojego przyjazdu.

Mortensen z namysłem położył fotografię Irańczyka na blacie biurka.

- Dania to mały kraj - rzekł po chwili. - I bardzo spokojny, z wyjątkiem kilku tysięcy opętanych muzułmańskich fanatyków. Rozumie pan, co mówię?

- Myślę, że tak.
- Nie chcę żadnych zatargów z imperium Persów. A tym bardziej z Rosjanami.

- Niech się pan nie niepokoi, Lars.

Mortensen spojrział na zegarek.

- To może potrwać kilka godzin. Gdzie się pan zatrzymał?

- W hotelu d'Angleterre.
- Jak mogę się skontaktować?
- Przez hotelowy telefon.
- Nazwisko?
- LeBlanc.
- Chyba mówił pan, że Merchant.
- Mówilem.

Keller opuścił biuro PET pieszo i ruszył w stronę ogrodów Tivoli. Znajdowały się wystarczająco daleko, by zdążyć stwierdzić, że Mortensen wysłał za nim aż dwa zespoły. Niebo nad Kopenhagą miało barwę granitu, w świetle ulicznych lamp wirowały skąpe płatki śniegu. Przeszedł Rådhuspladsen i pokręcił się po Strøget, głównej ulicy handlowej przeznaczonej dla pieszych. W końcu jednak wrócił do majestatycznego hotelu d'Angleterre. W swoim pokoju na piętrze spędził godzinę, oglądając wiadomości, po czym połączył się z centralą hotelową, informując po angielsku z francuskim akcentem, że schodzi na drinka do baru Balthazar na parterze. Kolejną godzinę przesiedział przy stoliku w kącie, samotnie sącząc wytrawnego szampana.

Myślał ponuro, że tak właśnie wyglądać będzie przyszłość, która czeka go w MI6. Wielki Gabriel Allon, niech spoczywa w spokoju, określił kiedyś życie zawodowego szpiega jako nieustanną podróż i otepiającą nudę, zakłócaną jedynie chwilami czystej grozy.

Wreszcie, kilka minut po siódmej, podeszła kelnerka i poinformowała, że ktoś do niego dzwoni. Udał się do kabiny w holu, by odebrać telefon. Dzwonił Mortensen.

- Chyba znaleźliśmy nagranie, o które wam chodzi - oznajmił. - Przed hotelem czeka na pana samochód.

Nietrudno było rozpoznać sedana wysłanego przez PET, gdyż wewnątrz siedzieli ci sami dwaj mężczyźni, którzy go śledzili. Przejechali przez całe miasto do siedziby policji i wprowadzili go do pokoju wyposażonego w wielki ekran. Jego oczom ukazał się obraz Irańczyka idącego wąską brukowaną uliczką.

Zapis daty i czasu odpowiadał informacji, jaką uzyskali w czasie przesłuchania Nazarięgo.

- To on? - spytał Lars Mortensen.

Gdy Keller przytaknął, Duńczyk kliknął w klawisze laptopa i na ekranie pojawiła się nowa postać - barczysty mężczyzna o wydatnych kościach policzkowych i jasnych przerzedzonych włosach. Wypisz

wymaluj człowiek KGB.

- Czy to o niego chodzi?
- Myślę, że tak.
- Mam jeszcze kilka zdjęć i fragment nagrania wideo, ale to jest zdecydowanie najlepsze. - Mortensen wyjął dyskietkę z komputera i włożył do kasyty. - Prezent od Duńczyków - powiedział, unosząc ją. - Bezpłatny.

- Zdołał pan coś znaleźć na temat ich podróży?
- Nazajutrz Irańczyk wyleciał z Kopenhagi do Frankfurtu. Miał bilet do Teheranu.

- A Rosjanin?
- Wciąż nad tym pracujemy. - Mortensen podał mu dyskietkę. - I jeszcze jedno, rachunek za kolację przekroczył czterysta euro. Rosjanin płacił gotówką.

- To była specjalna okazja.

- Co świętowali?

Keller wsunął dyskietkę do kieszeni płaszcza.

- Rozumiem. - Mortensen pokiwał głową.

Nazajutrz wyleciał do Londynu. Na lotnisku Heathrow czekał na niego komitet powitalny z MI6, który błyskawicznie przewiózł go do bezpiecznego mieszkania przy Bishops Road na Fulham. Przy kuchennym stole siedział Graham Seymour, przerzuciwszy przez oparcie krzesła swój elegancki płaszcz. Ruchem oczu polecił Kellerowi usiąść, po czym pchnął przez stół jakąś kartkę i położył na niej srebrne pióro.

- Podpisz.

- Co to jest?

- Potwierdzenie odbioru nowego telefonu. Pracując u nas, nie możesz używać swojego aparatu.

Keller podniósł kartkę do oczu.

- Minuty? Transmisja danych... Takie rzeczy?

- Po prostu podpisz.

- Jakim nazwiskiem?

- Własnym.

- Kiedy dacie mi nowe?

- Pracujemy nad tym.

- Czy mam w tej sprawie coś do powiedzenia?

- Nie.

- To nie fair.



- Nasi rodzice nie dali nam szansy na wybór imienia. Z MI6 jest podobnie.

- Jeśli nazwiecie mnie Francis, wracam na Korsykę.

Nabazgrał coś nieczytelnie w miejscu podpisu. Seymour wręczył mu nowy czarny BlackBerry i wyrecytował ośmiocyfrowy kod MI6.

- Powtórz ten numer - zażądał.

Keller spełnił jego prośbę.

- Cokolwiek będziesz robić - ostrzegł go - nigdy nic nie pisz.

- Po co miałbym robić coś tak głupiego?

Seymour położył przed nim kolejny dokument.

- To daje ci prawo wglądu w dokumenty MI6. Stałeś się członkiem klubu, Christopher. Jednym z nas.

Keller przesunął palcem po stronie.

- Coś nie w porządku? - zapytał Seymour.

- Zastanawiam się, czy naprawdę chcesz, żebym to podpisał.

- Dlaczego miałbym nie chcieć?

- Bo jeśli będę miał okazję załatwić Eamona Quinna...

- Mam nadzieję, że z niej skorzystasz. Jakbyś znów był w Ulsterze.

Keller podpisał. Na koniec Seymour podał mu pendrive'a.

- Co to jest?

- Aleksiej Rożanow.

- Zabawne - stwierdził Keller - że na zdjęciach wydaje się wyższy.

Wrócił na Heathrow w samą porę, by zdążyć na wczesny popołudniowy lot British Airways do Wiednia. Wylądował kilka minut po czwartej i taksówką udał się pod adres nieopodal Ringstrasse. Był to ładny stary budynek w biedermeierowskim stylu, z kawiarnią na poziomie ulicy. Nacisnął dzwonek, został wpuszczony do holu i ruszył do mieszkania na drugim piętrze.

Drzwi były lekko uchylone, a wewnątrz niecierpliwie czekał nieodżałowanej pamięci zmarły.

*Wiedeń*

Zdjęcia z Kopenhagi stanowiły dowód, że Reza Nazari istotnie spotkał się z mężczyzną, który wyglądał na Rosjanina, i że odbyło się to w czasie oraz miejscu ujawnionym w trakcie przesłuchania. Z akt MI6 wynikało, że tym mężczyzną był faktycznie Aleksiej Rożanow. W latach dziewięćdziesiątych pracował w Londynie jako dyplomata, ale zarówno MI5, jak też MI6 dobrze go znały.

- Jego pełne nazwisko brzmi: Aleksiej Antonowicz Rożanow.

Keller wsunął pendrive'a w laptop Gabriela, wystukał hasło dostępu i otworzył plik.

- Zorganizował siatkę agentów średniej rangi obejmującą wszystkie ambasady w mieście. Próbował również zwerbować dwójkę funkcjonariuszy MI5, ale prawdę mówiąc, MI5 nigdy nie traktowało go poważnie. Podobnie jak MI6. Kiedy jednak Aleksiej powrócił do moskiewskiej Centrali, jego gwiazda gwałtownie rozbłysła.

- Wiemy dlaczego?

- Zapewne wpłynęła na to przyjaźń z prezydentem. Aleksiej należy do najbliższego kręgu cara. To dziś naprawdę gruba ryba.

Gabriel przewinął plik MI6, aż dotarł do fotografii. Ukazywała mężczyznę idącego mokrą londyńską ulicą - wedle załączonego raportu obserwatora była to Kensington High Street. Obiekt wychodził właśnie ze wspólnego lunchu z pracownikiem ambasady kanadyjskiej. Był rok 1995. Związek Radziecki przestał istnieć, zimną wojnę zakończono, ale w Centrali Moskwa niewiele się zmieniło. SWR nadal uważała Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i innych człon-

ków zachodniego sojuszu za swych śmiertelnych wrogów, a funkcjonariusze tacy jak Aleksiej Antonowicz Rożanow szpiegowali w biały dzień.

Gabriel porównał fotografię mężczyzny z jednym ze zdjęć z Kopenhagi - linia włosów nad czołem przesunęła się w górę, twarz wypełniła się i obwisła, ale niewątpliwie był to ten sam człowiek.

- Pytanie - powiedział Keller - czy możemy go zgarnąć publicznie.

- Nie musimy - odparł Gabriel. - Nazari nas wyręczy.

- Na kolejnym spotkaniu?

Gabriel przytaknął, ale Keller nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Coś nie tak?

- Negocjacje między Stanami Zjednoczonymi i Iranem potrwać zapewne jeszcze tydzień.

- Owszem. - Gabriel poklepał egzemplarz londyńskiego „Timesa”. - Chyba coś czytałem w porannych gazetach.

- A kiedy rozmowy się skończą - rzekł z naciskiem Keller - Reza niewątpliwie wróci do Teheranu.

- Jeśli nie będzie miał innych ważnych spraw.

- Spotkania z Rożanowem?

- Właśnie.

W tej samej chwili na ekranie komputera ukazała się wiadomość. Delegacja irańska właśnie wróciła do hotelu. Gabriel wzmocnił dźwięki i chwilę później usłyszał, jak Reza miota się po pokoju.

- Nie wydaje się zadowolony - orzekł Keller.

Gabriel nie odpowiedział.

- Nie wzięłeś pod uwagę jeszcze jednego - odezwał się po chwili Keller. - Istnieje poważne prawdopodobieństwo, że Aleksiej Rożanow nie będzie zainteresowany spotkaniem ze swym współnikiem.

- A ja myślę, że odczuje ulgę, słysząc głos Rezy.

- Jak zamierzasz do tego doprowadzić?

Gabriel uśmiechnął się i powiedział tylko:

- *Taqiyya.*

O siódmej trzydzięci w pokoju Rezy cicho zadzwonił telefon. Reza podniósł słuchawkę, wysłuchał instrukcji i bez słowa się rozłączył. Jego płaszcz leżał na podłodze, w miejscu, gdzie rzucił go wcześniej. Włożył okrycie i zjechał pustą windą do holu. Irański ochroniarz skinął głową, gdy go mijał. Nie zapytał, dlaczego wysokiej

rangi funkcjonariusz VEVAK-u sam wychodzi z hotelu. Nie miał odwagi.

Nazari przeszedł przez ulicę i zagłębił się w ciemnościach Stadtparku. Idąc wzdłuż brzegu wiedeńskiej rzeki, uświadomił sobie, że ktoś go śledzi. To był ten mały, z pospolitą twarzą, w ubraniu, które domagało się pralni. Samochód również czekał w tym samym miejscu, na wschodnim skraju parku. Izraelczyk, którego Nazari znał jako pana Taylora, siedział z tyłu. Jak zwykle, nie wyglądał na zadowolonego. Starannie go obszukał, po czym skinął głową, patrząc w lustro wsteczne.

Samochód ruszył. Prowadził również ten sam mężczyzna o bezkrwistej twarzy i oczach zimnych jak lód. Włączył się w wieczorny ruch, stopniowo zwiększając prędkość.

- Dokąd jedziemy? - spytał Nazari, widząc przemykający za oknami Wiedeń.

- Szef chciałby pogadać z tobą na osobności.
- O czym?
- O twojej przyszłości.
- Nie wiedziałem, że jakąś mam.
- I to bardzo obiecującą, jeśli oczywiście będziesz stosować się do poleceń.
- Nie mogę się spóźnić.
- Nie martw się, Reza. Nie zamienimy się w dynie.

*Wiedeń*

Mówili, że to jasnowidz, wizjoner, prorok. Niemal nigdy się nie mylił. A gdyby nawet tak było, to wyłącznie dlatego, że czas nie zdołał jeszcze dowieść jego racji. Miał wpływ na światowe rynki, poziom gotowości bojowej oraz na politykę. Był niezawodny i niepokonany. Był krzewem gorejącym.

Jego tożsamość, a nawet narodowość stanowiły tajemnicę. Uważano go za Australijczyka, gdyż posiadał stronę internetową na tamtejszych hostach. Wielu jednak wierzyło, że pochodzi z Bliskiego Wschodu, bowiem wykazywana przez niego znajomość polityki tego regionu była zbyt wyrafinowana, by mógł ją posiadać ktoś nie wywodzący się z kultury Orientu. Jeszcze inni twierdzili z przekonaniem, że w istocie jest kobietą. Analiza genderowa jego pisma nie wykluczyła takiej możliwości.

Mimo siły oddziaływania jego blog nie był przeznaczony dla mas. Większość czytelników wywodziła się spośród elit biznesu, kierowniczych kadr prywatnych agencji ochrony, decydentów politycznych oraz dziennikarzy, którzy zajmowali się międzynarodowym terroryzmem oraz kryzysem na Bliskim Wschodzie i w łonie islamu. To właśnie jeden z nich, znany reporter śledczy amerykańskiej sieci telewizyjnej, zauważył krótką wzmiankę, która pojawiła się nazajutrz wczesnym rankiem. Reporter zadzwonił do jednego ze swych informatorów, emerytowanego agenta CIA, który sam prowadził blog, a ten potwierdził wiarygodność informacji. To wystarczyło, by dziennikarz natychmiast skopiował wiadomość i umieścił ją na swym portalu społecznościowym. Tak rozpętał się międzynarodowy

kryzys.

Amerykanie początkowo byli sceptyczni, Brytyjczycy natomiast mniej. Jeden z ekspertów MI6 w dziedzinie rozprzestrzeniania broni jądrowej stwierdził, że oto ziścił się scenariusz koszmaru. Blisko pięćdziesiąt kilogramów wysoce radioaktywnego materiału jądrowego stanowiło ilość wystarczającą do nielegalnej produkcji jednej wielkiej bomby lub kilku mniejszych ładunków wybuchowych, zdolnych unicestwić na długie lata centralne dzielnice miasta. Materiał radioaktywny, którego nazwy nie podano, został wykradzony z tajnego irańskiego laboratorium w pobliżu świętego miasta Qom i sprzedany na czarnym rynku przemytnikowi powiązanemu z czeczeńskim odłamek islamskich terrorystów.

Miejsca, w którym Czeczeni przechowywali materiał, nie zdołano zlokalizować. Podobno Irańczycy gorączkowo go szukali. Z dość niejasnych powodów postanowili jednak nie informować swych rosyjskich przyjaciół o zaistniałej sytuacji.

Irańczycy zaprzeczyli tej informacji, twierdząc, że to prowokacja państw Zachodu i syjonistyczne kłamstwo. Twierdzili, że wzmiankowane laboratorium nie istnieje, a materiały nuklearne znajdujące się w kraju są zabezpieczone i podlegają dokładnej ewidencji. Na niewiele to się zdało. Pod koniec dnia cały Wiedeń mówił już tylko o tym. Główna amerykańska negocjatorka oświadczyła, że uzyskana informacja, niezależnie od swej wiarygodności, uświadamia wagę porozumienia. Jej irański partner zdawał się mniej przekonany. Opuścił salę obrad, nie odzywając się do dziennikarzy, i wsunął się na tył służbowego samochodu. Obok niego usiadł Reza Nazari.

Udali się do ambasady Iranu i pozostali tam do dziesiątej wieczorem, kiedy to wrócili do hotelu InterContinental. Nazari wszedł do swojego pokoju jedynie, by zrzucić płaszcz i zostawić aktówkę, po czym zapukał w sąsiednie drzwi. Michał Abramow szybko wciągnął go do środka. Jakow Rossman zaraz nalał mu szkockiej z minibaru.

- To zakazane - rzekł Nazari.
- Wypij, Reza. Dobrze ci zrobi.

Irańczyk wziął drinka i lekko uniósł szklanekę w toaście.

- Gratulacje - powiedział. - Wywołaliście naprawdę niezłe zamieszanie.

- Jak zapatruje się na to Iran?

- Z powodu zbieżności w czasie dość sceptycznie, najogólniej mówiąc. Przypuszczają, że ta wiadomość jest częścią spisku Biura zmierzającego do sabotażu rozmów i storpedowania porozumienia.

- Czy padło nazwisko Allona?

- Przecież on nie żyje.

Jakow się uśmiechnął.

- A Rosjanie? - spytał.

- Są bardzo zaniepokojeni - odparł Nazari. - Też mówiąc najogólniej.

- Czy wyraziłeś gotowość, żeby ich uspokoić?

- Nie musiałem. Mohsen Esfahani polecił mi nawiązać kontakt i zorganizować spotkanie.

- Czy Aleksiej się zgodzi?

- Nie mogę zagwarantować.

- Więc może powinniśmy skusić ich czymś ciekawszym niż obustronne frazesy.

Nazari milczał.

- Masz przy sobie swój służbowy BlackBerry?

Irańczyk wyjął aparat i pokazał go Jakowowi.

- Wyślij do Aleksieja wiadomość. Napisz, że chciałbyś omówić ostatnie wydarzenia tutaj, w Wiedniu. I dodaj, że Rosja nie ma żadnych powodów do niepokoju.

Nazari szybko ułożył esemesa, pokazał go Jakowowi i wysłał.

- Znakomicie. - Jakow wskazał otwarty laptop. - A teraz wyślij ten.

Irańczyk podszedł i spojrział na ekran.

„Mój rząd kłamie. Sytuacja jest poważna. Musimy się natychmiast zobaczyć”.

Wpisał adres i ponownie kliknął „Wyślij”.

- To powinno go zainteresować.

- Tak - odrzekł Nazari. - Można by tak sądzić.

*Wiedeń*

Aleksiej Rożanow nie odpowiedział ani tego wieczoru, ani naza jutrz rano. Reza Nazari opuścił hotel o ósmej trzydzieści razem z resztą irańskiej delegacji i dwadzieścia minut później zniknął w czarnej dziurze negocjacji nuklearnych. W tym samym czasie Gabriel, uwięziony w wiedeńskiej kryjówce razem z Christopherem Kellerem, pogrążył się w rozważaniach na temat powodów, dla których jego operacja skazana była na klęskę, zanim jeszcze się zaczęła.

Oczywiście możliwe, że Reza poinformował o wszystkim swoje służby, gdy tylko uwolnili go po owym brutalnym przesłuchaniu. Możliwe też, że zawiadomił Aleksieja Rożanowa, iż mężczyzna, którego chciał zlikwidować w spektakularny sposób, cieszy się dobrym zdrowiem i pała żądzą zemsty. A może Aleksiej Rożanow w ogóle nie istnieje? Może to tylko wytwór rozgorączkowanej wyobraźni Nazariego, chytry wybieg zastosowany po to, by Gabriel uwierzył w przydatność Irańczyka i podarował mu życie.

- Najwyraźniej postradałeś zmysły - skwitował Keller.

- To się denatom zdarza. - Gabriel wziął do ręki fotografię Rożanowa na ulicy Kopenhagi. - Może nie przyjedzie? Może jego zwierzchnicy w SWR na jakiś czas postanowili go odstawić? A może zaprosi swojego starego kumpla Rezę do Moskwy, żeby spędzić noc przy wódce i z dziewczynami.

- W takim razie my też wpadniemy do Moskwy - oświadczył Keller. - I tam go zabijemy.

- Nie. - Gabriel wolno pokręcił głową. Nie pojedą do Moskwy. To dla nich miasto zakazane. Szczęście, że zdołali przeżyć ostatnią



wizytę. Jeśli tam wrócą, czeka ich rewanz.

O pierwszej po południu uczestnicy obrad udali się na lunch. Poranna sesja okazała się wyjątkowo nieproduktywna, gdyż obie strony uległy panice w związku z podrzuconą przez Gabriela informacją o kradzieży materiału radioaktywnego. Reza Nazari wymknął się swej delegacji na tyle tylko, by zatelefonować do Jakowa, który czekał w InterContinentalu. Ten połączył się zaraz z Wiedniem i powtórzył Kellerowi wiadomość.

- Moskwa milczy. Aleksiej nie odpowiada.

Zbliżała się druga. Ołowiane niebo wisiało nisko nad ziemią. Za oknami konspiracyjnego mieszkania wirowały płatki śniegu. Oprócz wyjazdu w celu przesłuchania Nazariego, Gabriel nie opuszczał kryjówki. Stał się więźniem tych ścian, które chroniły go przed ludzkim wzrokiem, lecz i przed wspomnieniami czyhającymi tuż za progiem. To Keller zasugerował w końcu, by wybrał się na spacer. Pomógł mu włożyć płaszcz, zawinął szalik na szyi i naciągnął kapelusz nisko na czoło. Na koniec podał glocka kaliber 0,45 cala, automat o potężnej sile rażenia.

- Co mam z tym zrobić?

- Zastrzel każdego Rosjanina, który zapyta o drogę.

- A jak wpadnę na Irańczyka?

- Idź - uciął Keller.

Nim Gabriel wyszedł z budynku, zaczął padać miarowy, gęsty śnieg. Chodniki wyglądały teraz jak przypudrowane cukrem wiedeńskie ciasta. Przez chwilę, nic nie widząc, szedł przed siebie, obojętny na to, czy go śledzą, czy nie. Wiedeń już dawno wydrwił jego umiejętności. Kochał urodę tego miasta, lecz nienawidził jego historii. Był o nią zazdrosny, a zarazem jej współczuł.

Bezpieczne mieszkanie mieściło się w Drugiej Dzielnicy, przed wojną tak gęsto zaludnionej przez Żydów, że Wiedeńczycy nazywali ją Mazzesinsel albo wyspą Macy. Przeszedł Ringstrasse, opuszczając Drugą Dzielnicę i wchodząc w Pierwszą, zatrzymał się przed Café Central, gdzie kiedyś spotkał Ericha Radka, byłego oficera SS, któremu Adolf Eichmann kazał ukryć wszelkie dowody Holocaustu. Potem przeszedł krótką odległość dzielącą go od imponującej starej rezydencji tego zbrodniarza wojennego. Grupa agentów Biura dopadła tu Radka, by następnie wysłać w podróż zakończoną w izraelskiej celi więziennej.

Gabriel stał samotnie przed bramą, a śnieg coraz grubszą warstwą pokrywał mu ramiona. Elewacja budynku była teraz zniszczona i splekana, w brudnych oknach wisiały stare przetarte zasłony. Wyglą-

dało na to, że nikt nie chce zamieszkać w domu zbrodniarza. Być może, pomyślał, dla nich jest jeszcze jakaś nadzieja.

Z podupadłej rezydencji Radka ruszył przez żydowską dzielnicę do Stadttempel. Dwa lata wcześniej, w wąskiej ulicy przed wejściem do miejskiej synagogi, wspólnie z Michailem Abramowem zlikwidowali grupę terrorystów Hezbollahu, którzy zamierzali dokonać masakry w noc szabatu. W świat poszła wiadomość, że terroryści zginęli z rąk EKO Cobry, elitarnej taktycznej jednostki austriackiej policji. Przed synagogą umieszczono nawet tablicę upamiętniającą męstwo funkcjonariuszy. Czytając jej treść, Gabriel uśmiechnął się do siebie. Cóż, tak być powinno, pomyślał. Działania wywiadu i konserwacja dzieł sztuki mają podobny cel. Należy przyjąć i odejść, nie zostawiając po sobie śladu. Choć nie zawsze się to udaje. A teraz jest przecież martwy.

Po wyjściu z synagogi ruszył do pobliskiego budynku, w którym kiedyś mieściła się mała organizacja o nazwie Dochodzenia i Roszczenia Wojenne. Człowiek, który nią kierował, niejaki Eli Lavon, uciekł z Wiednia kilka lat temu, gdy bomba zniszczyła biuro i zabiła jego dwie młode asystentki. Idąc dalej, Gabriel zauważył, że tenże Lavon podąża za nim. Przystanął i przywołał go niemal niedostrzegalnym ruchem głowy. Tropiciel wyraźnie się speszył, że obiekt go dostrzegł, mimo że ten obiekt znał go od czasu, gdy był chłopcem.

- Co ty tu robisz? - spytał Gabriel po niemiecku.
- Doszły mnie dziwne pogłoski - odparł Lavon w tym samym języku - że przyszedł szef Biura spaceruje po Wiedniu bez ochrony.
- Gdzie usłyszałeś coś podobnego?
- Keller mi powiedział. Pilnuję cię od chwili, kiedy wyszedłeś z domu.
- Owszem, wiem.
- Nie, nie wiesz. - Lavon się uśmiechnął. - Naprawdę powinieneś być bardziej ostrożny. Masz wiele powodów, żeby żyć.

Śnieg tłumił odgłos ich kroków, gdy szli cichą ulicą w stronę małego skweru. Serce biło w piersi Gabriela jak żelazny dzwon i nagle nogi zaczęły mu ciążyć jak kamienie. Próbował iść dalej, lecz zatrzymały go wspomnienia. Znów zmagął się z pasami przy foteliku syna i czuł lekki smak wina na ustach żony. Znów słyszał, jak krztusi się silnik samochodu z powodu bomby podłączonej do akumulatora. I znów próbował ją ostrzec, by nie przekreślała ponownie kluczyka.

Za późno. Wraz z wybuchem oślepijąco białego światła jego świat się zawałił. Teraz, po latach, niemal go odbudował. Pomyślał o

Chiarze i przez moment poddał się nadziei, że Rożanow nie połknie przynęty. Lavon zdawał się czytać w jego myślach.

Zazwyczaj tak było.

- Moja propozycja wciąż jest aktualna - powiedział cicho.
- Jaka propozycja?
- Zostaw nam Aleksieja - odparł Lavon. - Czas, żebyś wrócił do domu.

Gabriel wolno ruszył przed siebie i zatrzymał się dokładnie tam, gdzie płonący samochód przemienił się w szerniały szkielec. Nieduża bomba spowodowała potężną eksplozję oraz pożar.

- Czy miałeś okazję spojrzeć na teczkę Quinna? - zapytał.
- Ciekawa lektura - odparł Lavon.
- W połowie lat osiemdziesiątych Quinn był w Ras al Hilal - ciągnął Gabriel. - Pamiętasz Ras al Hilal, Eli? To był obóz we wschodniej Libii, blisko morza. Szkolili się tam również Palestyńscy. - Spojrzał przez ramię. - Tariq tam był.

Lavon nie odpowiadał. Gabriel stał wpatrzony w ośnieżony bruk.

- Przyjechał w osiemdziesiątym piątym. A może szóstym? Miał kłopoty z montażem swoich bomb. No wiesz, problemy z detonatorami, bezpiecznikami i zegarami. Ale kiedy wyjechał z Libii...

Jego głos odpląnął gdzieś w dal.

- Zaczęła się krwawa łaźnia - dokończył Lavon.

Gabriel przez chwilę milczał.

- Myślisz, że się znają? - spytał w końcu.
- Quinn i Tariq?
- Tak, Eli.
- Nie sądzę, żeby mogło być inaczej.
- Może to Quinn pomógł mu rozwiązać problemy, z którymi się borykał. - Umilkł, po czym dodał: - Może to właśnie Quinn zaprojektował bombę, która zabiła moją rodzinę.

- Wyrównałeś rachunki dawno temu.

Gabriel spojrział na niego przez ramię, lecz Eli już go nie słuchał. Stał wpatrzony w ekran komórki.

- Co piszą? - spytał Gabriel.
- Wygląda na to, że Rożanow chciałby jednak zamienić z Nazarim kilka słów.
- Kiedy?
- Pojutrze.
- Gdzie?

Lavon podniósł swojego BlackBerry Gabriel spojrział na ekran, po czym podniósł głowę, wystawiając twarz na padający śnieg. Czy to

nie jest piękne? - myślał. Śnieg oczyszcza Wiedeń z grzechów. A gdy pada na Wiedeń, na Tel Awiw sypią się pociski.

*Rotterdam, Holandia*

Było kilka minut po jedenastej przed południem, gdy Katerina Akułowa wyszła z dworca centralnego w Rotterdamie. Wsiadła do taksówki i nieźle posługując się niderlandzkim, poleciła kierowcy, by zawiózł ją do hotelu Nordzee. Ulica, na której się zatrzymali, miała raczej charakter mieszkalny niż handlowy, a sam hotel sprawiał wrażenie podupadającej nadmorskiej rezydencji, którą wykorzystywano w celach zarobkowych. Młoda Holenderka w recepcji była chyba zdziwiona widokiem gościa.

- Gertrude Berger - przedstawiła się Katerina, stając przed kontuarem. - Wczoraj przyjechał tu mój bardzo dobry przyjaciel, pan McGinnis.

Kobieta spojrzała na ekran komputera i zmarszczyła brwi.

- Nikt się nie meldował w pani pokoju.
- Na pewno?

Recepcjonistka obdarzyła ją łagodnym uśmiechem przeznaczonym dla gości zadających najgłupsze pytania.

- Ale jakiś mężczyzna zostawił to dziś rano - powiedziała, podając jej kopertę z logo hotelu Nordzee w górnym lewym rogu.
- Wie pani, o której to było?
- Jeśli mnie pamięć nie myli, około dziewiątej.
- Mogłaby pani opisać, jak wyglądał?

Zdaniem Holenderki miał z metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ciemne włosy i ciemne oczy.

- Irlandczyk?
- Nie umiem powiedzieć. Jego akcent był naprawdę trudny do

określenia.

Katerina położyła na blacie kartę kredytową.

- Zatrzymam się tylko na kilka godzin.

Recepcjonistka przesunęła kartę nad terminalem, po czym podała Katerinie klucz.

- Pomóc pani z bagażem?

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę - odparła i ruszyła po schodach na piętro.

Jej pokój znajdował się na końcu korytarza, którego ściany zdobiła tapeta w kwiaty oraz sielankowe obrazki holenderskich krajobrazów. Nigdzie nie dostrzegła kamer monitoringu, przeciągnęła więc dłonią wokół framugi drzwi, nim wsunęła klucz w zamek. Po wejściu do pokoju postawiła torbę w nogach łóżka i przeszukała pomieszczenie, wypatrując ukrytych kamer i urządzeń podsłuchowych. W powietrzu unosiła się woń limonki i stęchłych papierosów. Jednoznacznie męska.

Otworzyła okno w łazience, by wywietrzyć pokój, po czym wróciła do sypialni i sięgnęła po kopertę, którą dostała w recepcji. Najpierw sprawdziła, czy nikt jej nie otwierał, a dopiero potem rozdarła. Wewnątrz znajdowała się pojedyncza kartka starannie złożona na trzy części. Krótka, sporządzona drukowanym pismem informacja wyjaśniała przyczynę nieobecności Quinna.

- Ty draniu! - syknęła, a potem weszła do łazienki i spaliła kartkę w umywalce.

Wedle instrukcji wydanej przez Rożanowa miała wykonać zadanie, nie kontaktując się z Centralą w Moskwie. Zawartość koperty wszystko zmieniła. Okazało się, że Quinn nie będzie jej towarzyszył zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Zapowiadał, że dołączy do niej na następnym etapie podróży, już w Anglii, w małym nadmorskim hotelu na wybrzeżu Norfolk. Zgodnie z surowymi procedurami operacyjnymi SWR Katerina musiała uzyskać zgodę prowadzącego na kontynuację podróży. A mogła to osiągnąć tylko w jeden sposób - przez nawiązanie kontaktu.

Wyciągnęła telefon z torebki i napisała krótki e-mail na adres z niemiecką domeną. Kryła się pod nim komórka SWR, która automatycznie szyfrowała wiadomości i przekazywała je okężnymi drogami węzłów serwerowych do Centrali Moskwa. Odpowiedź Aleksieja nadeszła po dziesięciu minutach. Była zwięzła, lecz jasna. Ma robić to, czego żąda Quinn. Przynajmniej na razie.

Minęło już południe. Katerina położyła się na łóżku i z przerwami drzemała do wpół do czwartej. Potem wymeldowała się z hotelu i

taksówką pojechała na terminal promowy P&O. „Pride of Rotterdam”, prom o długości ponad dwustu metrów, zdolny pomieścić dwieście pięćdziesiąt samochodów i ponad tysiąc pasażerów, właśnie rozpoczął boarding. SWR zamówiła jej bilet pierwszej klasy na nazwisko Gertrude Berger. Po wejściu na pokład zostawiła w kabinie walizkę, zamknęła drzwi i ruszyła na górę do jednego z barów. Tłoczyli się już tam pasażerowie, często poszukujący niezobowiązującego miłego towarzystwa, które mogłoby uprzyjemnić dziesięciogodzinną nocną przeprawę. Zamówiła kieliszek wina i siadła przy stoliku na lewej burcie.

Mężczyźni przy barze niebawem dostrzegli atrakcyjną młodą kobietę, której towarzyszył jedynie telefon. Po chwili jeden z nich podszedł do niej, trzymając w ręce dwa drinki, i zapytał po angielsku, czy może się dosiąść. Z jego wymowy wywnioskowała, że jest Niemcem. Był po czterdziestce, miał przerzedzone włosy i elegancki garnitur. Niewykluczone, pomyślała, że pracuje dla którejś z europejskich służb bezpieczeństwa. Uznała jednak, że lepiej popoflirtować z nim przy drinku niż ostentacyjnie go zbyć. Przyjęła zaoferowane wino i skinieniem głowy zaprosiła do stolika.

Okazało się, że pochodzi z Bremy. Jego firma produkowała wysokiej jakości obrabiarki, a on kierował działem kontaktów z klientami. Nie była to wprawdzie praca fascynująca, ale za to stabilna. Z rozmowy wynikało, że firma prowadzi poważne interesy w północnej części Anglii, co tłumaczyło jego obecność na promie z Rotterdamu do Hull. Twierdził, że woli podróżować statkiem niż samolotem, gdyż pozwala mu to odetchnąć od małżeństwa, które, jak należało sądzić, znajdowało się w rozsypce.

Katerina flirtowała z nim przez dwie godziny swym bezbłędnym niemieckim, chwilami poruszając tak poważne kwestie jak deflacja w strefie euro czy kryzys gospodarczy Grecji. Był pod wrażeniem. Jedyne rozczarowanie czekało go pod koniec rozmowy, gdy nie przyjęła zaproszenia do jego kabiny.

- Na twoim miejscu miałbym się na bacności - powiedział, wstając zawiedziony. - Masz chyba cichego adoratora.

- Kogo?

Gestem głowy wskazał przeciwległą część baru, gdzie przy stoliku siedział samotny mężczyzna.

- Wpatruje się w ciebie od chwili, gdy tu usiadłem.

- Naprawdę?

- Znasz go?

- Nie - odparła. - Nigdy go nie widziałam.

Niemiec odszedł w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy, ona natomiast wstała i skierowała się na pusty pokład obserwacyjny, by zapalić papierosa.

Quinn stanął obok chwilę później.

- Kto to jest? - zapytał.
- Handlowiec pełen nadziei na zwycięstwo.
- Jesteś pewna?
- Całkowicie.

Odwróciła się, by mu się przyjrzeć. Miał na sobie elegancki szary garnitur, jasnobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy i okulary w czarnych oprawkach, które zmieniały kształt twarzy. Przemiana była uderzająca. Nawet ona z trudem go rozpoznała. Nic dziwnego, że zdołał przeżyć tyle lat.

- Dlaczego nie było cię w hotelu?
- Jesteś inteligentną dziewczyną. Ty mi to powiedz.

Znow odwróciła się do morza.

- Nie było cię - zaczęła po chwili namysłu - bo się obawiasz, że Aleksiej chce cię zabić.

- A dlaczego miałbym się tego obawiać?
- Ponieważ nie dał pieniędzy, które jest ci winien. Ty zaś uważasz, że drugi etap operacji jest w istocie spiskiem, aby cię zlikwidować i w ten sposób zniszczyć wszelkie ślady powiązań z SWR.

- Czy nie tak?
- Opanuj się, Quinn.

Starannie lustrował ją spojrzeniem.

- Masz broń? - zapytał.
- Nie.
- Pozwól, że sprawdzę.

Nim zdążyła zareagować, przyciągnął ją do siebie i na pozór czule obejmując, przesunął ręką po jej ciele. Sekundę, najwyżej dwie później wyczuł pod jej swetrem makarowa. Wsunął go do kieszeni swego płaszcza, a potem otworzył jej torebkę i wyjął z niej telefon. Włączył go i sprawdził skrzynkę z e-mailami.

- Tracisz czas - powiedziała.
- Kiedy ostatnio kontaktowałaś się z Aleksiejem?
- W południe.
- Jakie wydał instrukcje?
- Mam kontynuować zgodnie z planem.
- Kim był mężczyzna, który postawił ci drinka w barze?
- Mówiłam ci...
- Jest z SWR?



- Cierpisz na paranoję.
- Fakt - zgodził się Quinn. - I dlatego żyję.

Wyłączył komórkę i z uśmiechem wyciągnął rękę, podając jej aparat. Sięgnęła po niego, lecz on w tej samej chwili błyskawicznym ruchem nadgarstka cisnął telefon w morze.

- Ty draniu! - syknęła.
- Taki mój irlandzki fart.

Miał kabinę w sąsiedztwie Kateriny, nieco bliżej części dziobowej. Wepchnął ją do środka i natychmiast wyrzucił zawartość torebki na łóżko. Nie znalazł żadnych elektronicznych wynalazków, tylko portfel z niemieckim paszportem, karty kredytowe i kilka kosmetyków. Był tam również tłumik do makarowa. Wsunął go do kieszeni, a potem kazał jej się rozebrać.

- Możesz sobie pomarzyć - odparła.
- Chyba cię już widziałem...
- Przespałam się z tobą wyłącznie dlatego, że tak mi kazał Aleksiej.
- To samo nakazał i mnie. A teraz ściągaj ciuchy.

Gdy się nie poruszyła, przykręcił tłumik do wylotu lufy makarowa i wycelował pistolet w jej twarz.

- Zacznijmy od płaszcza, dobrze?

Zawahała się, lecz po chwili go zdjęła i podała Quinnowi. Przeszukał kieszenie i podszewkę, ale znalazł tylko papierosy i zapalniczkę. Była wystarczająco duża, by móc kryć urządzenie lokacyjne, wsunął ją więc do kieszeni, by później się jej pozbyć.

- Teraz sweter i dzinsy.

Znów się zawahała, ale w końcu zsunęła sweter przez głowę i zrzuciła dzinsy. Przeszukał jedno i drugie, po czym skinieniem polecił, by rozbierała się dalej.

- To niebezpieczna gra, Quinn.
- Bardzo.
- Co chcesz uzyskać?
- To naprawdę proste. Chcę moich pieniędzy, a ty mi je zapewnisz.

Przesunął palcem po jej piersi, patrząc przy tym prosto w oczy. Pod jego dotykiem natychmiast stwardniały jej sutki, ale twarz nadal wyrażała opór.

- Czego się spodziewałaś, godząc się na pracę dla SWR?
- Spodziewałem się, że Aleksiej dotrzyma słowa.

- Naiwniak.
- Mieliśmy umowę. Otrzymałem zapewnienia.
- Kiedy zadajesz się z Rosjanami - powiedziała - zapewnienia znaczą tyle co nic.
- Teraz już wiem - przytaknął, patrząc na makarowa.
- A jeśli dostaniesz te pieniądze, to gdzie się wybierzesz?
- Znajdę jakieś miejsce. Zawsze coś znajduję.
- Teraz nawet Irańczycy cię nie przyjmą.
- No to pojedę do Libanu. Albo do Syrii. - Zamilkł, po czym dodał: - A może do domu.
- Do Irlandii? - zdziwiła się. - Twoja wojna już się skończyła, Quinn. Pozostała ci tylko SWR.
- Owszem - potwierdził, zsuwając ramiączko jej biustonosza. - A SWR kazała ci mnie zabić.

Katerina milczała.

- Nie zaprzeczasz?
- Skrzyżowała ręce na piersi.
- I co teraz?
  - Pójdę na prosty układ. Dwadzieścia milionów dolarów w zamian za jednego z najcenniejszych agentów SWR. Jestem zupełnie spokojny, że Aleksiej zapłaci.
  - A gdzie zamierzasz mnie trzymać w trakcie tych interesujących negocjacji?
  - Gdzieś, gdzie Aleksiej i jego kamraci nigdy cię nie znajdą. A jeśli jesteś ciekawa, to wiedz, że wszystko, co dotyczy twojej podróży i miejsca bezterminowego pobytu, zostało już ustalone. - Uśmiechnął się. - Aleksiej najwyraźniej zapomniał, że robiłem już takie rzeczy nie raz i nie dwa.

Podał jej sweter, lecz nie wyciągnęła ręki. Sięgnęła natomiast w tył, by rozpiąć stanik, i pozwoliła mu opaść na podłogę. Jest doskonała, pomyślał. Absolutnie doskonała z wyjątkiem tej blizny po wewnętrznej stronie prawej ręki. Wyjął magazynek z makarowa i zgasił światło.

## *Wiedeń - Hamburg*

Wiadomość od Rożanowa nie mogła być bardziej zwięzła.

Miejsce, miasto, godzina. Restauracja Die Bank w Hamburgu mieściła się w dzielnicy Neustadt, a jej specjalnością były owoce morza. Mieli się tam spotkać w czwartek o dziewiątej wieczorem. Oznaczało to, że Gabriel ma zaledwie czterdzieści osiem godzin, by przygotować operację.

Zaczął pracować z Elim Lavonem natychmiast po powrocie do swej wiedeńskiej kryjówki i do północy załatwili kwatery, samochody, broń i bezpieczny sprzęt łącznościowy niezbędny dla przedsięwzięcia. Otrzymali również wsparcie osobowe od Baraka, legendarnej grupy agentów operacyjnych. Nie zdołali tylko zdobyć rezerwacji w Die Bank. Wyglądało na to, że Rosjanin zamówił na czwartek ostatni wolny stolik. Keller zasugerował włamanie do restauracyjnego komputera i aneksję kilku stolików, ale Gabriel się sprzeciwił. Dobrze znał ten lokal i wiedział, że jest tam duży, głośny i tłoczny bar, gdzie dwaj agenci mogą spędzić godzinę lub dwie, nie zwracając niczyjej uwagi.

Biuro nie było osamotnione w swych działaniach. Do akcji przygotowywał się również VEVAK, obrońca islamskiej rewolucji oraz arcywróg Izraela i Zachodu. Sekcja podróży irańskiego wywiadu zarezerwowała dla Rezy Nazariego miejsce w samolocie Austrian Airlines, rejs 171, odlatującym z Wiednia o siedemnastej trzydzieści i przybywającym do Hamburga o dziewiętnastej. Gabriel wolałby wprowadzić nieco wcześniejszą porę, lecz z drugiej strony późny przylot Nazariego pozostawiał Irańczykom i Rosjanom mniej czasu

na figle.

Jedyny kłopot stanowił wybrany przez VEVAK hotel, tania nora w pobliżu lotniska. Gabriel polecił więc Rezie zmienić rezerwację na Marriotta w Neustadt. Mieścił się on w pobliżu restauracji i kilku członków izraelskiej drużyny zarezerwowało tam już pokoje.

Nazari zażądał podwyższenia standardu, a Teheran natychmiast się zgodził, tym sposobem, zdaniem Gabriela, inicjując pierwszą w historii wspólną operację wywiadów Izraela i Iranu. Reza Nazari nie był rozbawiony tym spostrzeżeniem. Kiedy tego wieczoru zjawił się u Jakowa w InterContinentalu na końcową odprawę, pocił się ze zdenerwowania. Gabriel na początek wręczył mu złote pióro.

- W dowód szacunku? - spytał Nazari.

- Myślałem o sprezentowaniu ci spinki do krawata, ale wy, Irańczycy, nie nosicie krawatów.

- Wy, Izraelczycy, też za nimi nie przepadacie. - Nazari starannie przyjrzał się pióru.

- Jaki zasięg?

- Nie twoja sprawa.

- Moc baterii?

- Dwadzieścia cztery godziny, ale nie przesadzaj. Obróć nasadkę w prawo, żeby wyłączyć ładowanie. Każdą przerwę transmisji podczas waszego spotkania potraktuję jako umyślne działanie. I nie wyjdzie ci to na zdrowie.

Nazari nie odpowiedział.

- Trzymaj je w wewnętrznej kieszeni marynarki - ciągnął Gabriel. - Mikrofon jest czuły, więc siedź swobodnie. Jeśli spróbujesz wskoczyć Aleksiejowi na kolana, może to źle zrozumieć.

Nazari włożył pióro do kieszeni płaszcza.

- Co jeszcze?

- Musimy przejrzeć scenariusz tego wieczoru.

- Co takiego?

- Nie zamierzam przesłuchiwać Aleksieja Rożanowa, dlatego zrobisz to za mnie. Oczywiście uprzejmie.

- O co ci chodzi?

- O Quinna.

Gabriel podniósł do góry kartkę.

- Naucz się tych pytań na pamięć, oswój się z nimi. I zadawaj je od niechcenia. Jeśli będziesz zachowywał się jak prokurator, Aleksiej nabierze podejrzeń. - Podał mu pytania. - Spal to jeszcze dziś, kiedy je sobie przyswoisz. Jeśli chcesz, zrobimy ci powtórkę podczas lotu do Hamburga.

- To nie będzie potrzebne, Allon. Jestem zawodowcem. Tak jak ty.

Wziął kartkę.

- W jakim języku będziecie rozmawiać? - zapytał Gabriel.

- Zarezerwował stolik na Aleksieja Romanowa, więc myślę, że po rosyjsku.

- I żadnych mrugań ani gestów - ostrzegł Gabriel. - Nie próbuj także przemycić czegoś pod stołem. Przez cały czas będziemy cię obserwować. Nie zmuszaj mnie do tego, żeby cię zabić.

- A co będzie potem? Po kolacji?

- To zależy od tego, jak się spiszesz.

- Zamierzacie go zabić, prawda?

- Na twoim miejscu martwiłbym się bardziej o siebie.

- Właśnie to robię. - Nazari zamilkł. - Jeśli załatwiecie go jutro wieczorem w Hamburgu - odezwał się po chwili - Rosjanie będą pewni, że biorę w tym udział. I to oni mnie wtedy zabiją.

- Radziłbym ci zatem ukryć się w Teheranie i już nigdy stamtąd nie wyściubiać nosa. - Gabriel się uśmiechnął. - Spójrz na to z jaśniejszej strony, Reza. Ocalisz rodzinę i życie, nie wspominając o tych cholernych dwóch milionach, które SWR przekazała na twoje konto w Genewie. Ogólnie rzecz ujmując, rzekłbym, że nieźle na tym wyszedłeś.

Wstał. Nazari zrobił to samo, wyciągając rękę, ale Gabriel tylko zerknął na nią z gniewem.

- Bądź grzeczny i odrób lekcje. Bo jeśli jutro w Hamburgu skrewisz, osobiście rozwalę ci łeb. - Ujął rękę Nazariego i ścisnął ją tak mocno, aż poczuł, że zaraz zaczną pękać kości. - Witaj w zmienionym świecie, Reza.

Trudno się dziwić, że Reza Nazari nie spał najlepiej tej ostatniej nocy w Wiedniu. Gabriel zresztą podobnie. Spędził ją w bezpiecznym mieszkaniu w Drugiej Dzielnicy razem z Kellerem i Elim Lavonem.

Wspomnienie Lizbony wciąż go nie opuszczało. Miał przed oczami ponure małe mieszkanko w Bairro Alto, spływające z balkonu Quinna pnące i atrakcyjną, około trzydziestoletnią kobietę, którą ścigał aż do londyńskiej Brompton Road. Lizbona była mistrzowskim spektaklem wyreżyserowanym specjalnie dla niego.

W odpowiedzi zmyślił własną historię: opowiastkę o kradzieży materiału radioaktywnego i przedwczesnej śmierci legendarnego szpiega. Ostatni akt widowiska miał się rozegrać nazajutrz wieczorem

w Hamburgu, a główna rola przypadła w nim Rezie Nazariemu. Gabriel złożył ogromną odpowiedzialność na barki śmiertelnego wroga, ale nie miał wyboru. Nazari umożliwił dostęp do Aleksieja Rożanowa, zausznika prezydenta Rosji i opiekuna Eamona Quinna, tego, dzięki któremu kula ognia przemieszczała się z szybkością trzystu metrów na sekundę i który przebywał w obozie w Libii, szkoląc terrorystów razem z Tarikiem al-Houranim. Nie, pomyślał, patrząc, jak śnieg miękko opada na Wiedeń, tej nocy nie zasną.

Jego jedynym towarzyszem był komputer. Ponownie przeczytał brytyjskie akta Rożanowa i przejrzał zdjęcia z Kopenhagi. Tamtego wieczoru Rosjanin spóźnił się nieco, co - jak twierdził Nazari - należało do jego obyczajów. Dwaj ochroniarze z SWR asystowali mu ukradkiem w drodze do restauracji, podczas gdy trzeci pilnował samochodu. Był to miejscowy nabytek, wielki mercedes sedan z duńską rejestracją. Kierowca czekał na cichej bocznej ulicy do czasu, gdy Rożanow pod koniec kolacji wezwał go telefonicznie. Wyszedł z lokalu sam, usiłując podtrzymać złudzenie, że nie podlega całodobowej ochronie.

Tego ranka świt wstał w Wiedniu późno, a i potem niebo się nie rozjaśniło. Gabriel i Keller wyszli z domu kilka minut po ósmej i taksówką pojechali na lotnisko. Odprawili się osobno na poranny lot do Hamburga i po przybyciu na miejsce pojechali dwoma osobnymi taksówkami w to samo miejsce, na Mönckebergstrasse, główną ulicę handlową Hamburga. Stamtąd przeszli razem ze starego na nowe miasto, i dopiero wtedy Gabriel przypomniał sobie, że w Hamburgu jest więcej kanałów niż w Amsterdamie i Wenecji łącznie.

- A w Petersburgu?- zaciekał się Keller.

- Wolałbym nie wiedzieć - odparł po chwili z wymuszonym uśmiechem.

Ulica o nazwie Hohe Bleichen ciągnęła się od hotelu Marriott aż do granic ruchliwego Axel-Springer-Platz. Częściowo przypominała londyńską Bond Street, a częściowo Rodeo Drive. Były to współczesne Niemcy w najbardziej luksusowym wydaniu. Na północnym krańcu ulicy w budynku o kształcie tortu weselnego ulokował się Ralph Lauren, a nieco dalej na południe salon Prady sąsiedował z ekskluzywną porcelaną Dibberna. Obok luksusowego obuwia Ludwiga Reitera wznosił się gmach Die Bank, marmurowa świątynia kulinarna, uwielbiana przez finansową i handlową elitę Hamburga. Fasadę zdobiły czerwone banery z odręcznym logo restauracji, a do środka zapraszał imponujący, pokryty rzeźbami portal.

Było już kilka minut po pierwszej i południowy ruch osiągnął

największe nasilenie. Gabriel wszedł do lokalu sam i znalazł miejsce przy połączanym barze. Zmusił się do wypicia kieliszka rosę, jednocześnie odtwarzając w pamięci rozkład wnętrza. Potem zapłacił gotówką i wyszedł na ulicę. Była wąska, z nielicznymi miejscami parkingowymi. Ruch kierował się z północy na południe. Dokładnie naprzeciwko restauracji znajdowała się mała alejka, gdzie Keller przysiadł na brzegu betonowego gazonu.

- No i? - rzucił Gabriel, dołączając do niego.

- Fajne miejsce.

- Do czego?

- Do czego chcesz. - Keller spojrzał na ulicę. - Te ekskluzywne sklepy zamykają się wcześniej. O dziewiątej wieczorem będzie tu bardzo spokojnie. A o jedenastej wszystko zamrze. - Zerknął na Gabriela i dodał: - Nie chcę być dosłowny.

Gabriel milczał.

- Między wejściem do restauracji i krawężnikiem jest pięć kroków - ciągnął Keller. - Mógłbym podejść go z prawej i zniknąć, nim ciało uderzy w bruk.

- To i ja potrafię - odrzekł Gabriel. - Ale wcześniej chciałbym z nim omówić kilka drobiazgów.

- Quinn?

Gabriel wstał bez słowa i poprowadził Kellera na południe, przez Neustadt do kościoła św. Michała. W cieniu jego potężnej dzwonnicy rozciągał się zielony park, a za nim stały przysadziste budynki mieszkalne. Weszli do jednego z nich, nowoczesnej budowli z atrium krytym przydymionym szkłem, i wjechali windą na czwarte piętro. Gabriel od razu zapukał cicho do drzwi oznaczonych 4D.

Otworzył im Josi Gawisz, wysoki mężczyzna o wyglądzie naukowca. Siedzące przy stole w jadalni Rimona Stern i Dina Sarid wpatrywały się w ekrany laptopów, a Mordechaj i Oded, para wszechstronnie uzdolnionych agentów operacyjnych, pochylała się w salonie nad szczegółową mapą Hamburga.

Dina podniosła wzrok i uśmiechnęła się, poza tym jednak nikt nie zareagował na widok Gabriela. On tymczasem zdjął płaszcz i zbliżył się do okna. Zegar na dzwonnicy Św. Michała wskazywał dziesięć minut po drugiej. Dobrze jest znów znaleźć się w domu, pomyślał. Dobrze jest żyć.

*Piccadilly, Londyn*

W Londynie minęła pierwsza dziesięć po południu. Jurij Wołkow był nieco spóźniony. Oficjalnie pełnił podrzędną funkcję w sekcji konsularnej ambasady rosyjskiej, w rzeczywistości natomiast jako wysokiej rangi funkcjonariusz londyńskiej rezydentury SWR podlegał tylko jej szefowi, Dmitrijowi Uljaninowi.

Brytyjski wywiad dobrze znał charakter działalności Wołkowa, toteż stanął on obiektem stałej obserwacji MI5. Przez całą ostatnią godzinę usiłował zgubić dwuosobowy zespół z A4 - kobietę i mężczyznę udających małżeństwo. W końcu, przepychając się przez zatłoczone chodniki Piccadilly, uzyskał pewność, że wreszcie jest sam.

Przeszedł przez Regent Street i zanurkował w głąb stacji metra przy Piccadilly Circus. Odchodziły stamtąd linie Piccadilly i Bakerloo. Wołkow przyłożył kartę do skanera i wszedł na ruchome schody prowadzące na peron Bakerloo. Tam go dostrzegł. Informator był łysiejącym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, z cofniętą brodą. Miał na sobie pospolity garnitur z domu towarowego i prochowiec. Należał do typu mężczyzn, których młode kobiety, jadąc metrem, instynktownie unikają. I bardzo słusznie, gdyż to właśnie one stanowiły jego słabość. SWR gdzieś w głębi Syberii znalazła trzynastolatkę, niemal dziecko, i rzuciła mu ją na pożarcie. Odtąd stał się jej zakładnikiem.

Był zaledwie trybem w potężnej maszynie wywiadu, ale przez jego ręce rutynowo przechodziły ważne dokumenty. Teraz domagał się niezwłocznego spotkania, co oznaczało, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tym razem ma do przekazania coś ważnego.

Tablica elektroniczna nad peronem rozblysła, zapowiadając po-



ciąg jadący w kierunku północnym. Mężczyzna w prochowcu podszedł do krawędzi peronu, a wtedy Wołkow, oddalony od niego o dziesięć kroków w lewo, zrobił to samo. Obaj patrzyli przed siebie, zamknięci w swej prywatnej przestrzeni, gdy pociąg wjechał na stację i wyrzucił tłum pasażerów. Wówczas weszli różnymi drzwiami do tego samego wagonu.

Mężczyzna w prochowcu usiadł. Wołkow natomiast stał. Przesunął się tylko tak, że teraz dzieliła ich odległość półtora metra, co zapewniało bezpieczną komunikację, po czym mocno ujął poręcz.

Gdy pociąg gwałtownie ruszył, mężczyzna w prochowcu wyjął smartfona, kilkakrotnie dotknął palcem ekranu, po czym wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Dziesięć sekund później urządzenie w wewnętrznej kieszeni marynarki Wołkova trzykrotnie zawibrowało, potwierdzając, że informacja dotarła. To wszystko. Żadnych skrzynek kontaktowych, żadnych spotkań twarzą w twarz. Pełne bezpieczeństwo. Gdyby nawet MI5 zdołało przejąć telefon szpiega, nie znalazłoby tam śladu jego aktywności.

Pociąg wjechał na stację Regents Park, stanął i wypuł jeszcze kilku pasażerów, po czym ruszył dalej. Dwie minuty później, na Baker Street, człowiek w prochowcu wysiadł. Jurij Wołkow dojechał do Paddington, gdzie też opuścił wagon i pieszo ruszył z powrotem do pobliskiej ambasady rosyjskiej.

Mieściła się na północnym krańcu Ogrodów Pałacu Kensington, poza kordonem brytyjskiej ochrony. Wołkow wszedł do budynku i skierował się do rezydencji. Tam zamknął się w kabinie bezpiecznej łączności i wyjął urządzenie z kieszeni. Miało wymiary siedem i pół na dwanaście i pół centymetra, czyli wielkość zewnętrzny dysku. Podłączył je do komputera i wpisał hasło. Urządzenie natychmiast zaczęło terkotać, gdy komputer kopiował zawarty w nim plik. Upłynęło piętnaście sekund i tekst został rozszyfrowany. Wtedy pojawił się na ekranie *en clair*.

- Mój Boże! - wykrztusił Wołkow.

Błyskawicznie wydrukował wiadomość i ruszył na poszukiwanie Dmitrija Uljanina.

Uljanin siedział w gabinecie z telefonem przy uchu, gdy Wołkow wszedł bez pukania i rzucił na biurko wiadomość. Jego szef przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywał się w wydruk, po czym machinalnie odłożył słuchawkę.

- Myślałem, że widziałeś Szamrona w Vauxhall Cross.

- Widziałem.
- A ta trumna, którą wnieśli na pokład?
- Musiała być pusta.

Uljanin wałnął pięścią w blat, rozlewając swoją popołudniową herbatę. Podniósł kartkę.

- Wiesz, co się stanie, kiedy to dotrze do Moskwy?
- Aleksiej Rożanow będzie bardzo zły.
- Nie on mnie niepokoi. - Uljanin pchnął wydruk w jego stronę. - Natychmiast zawiadom Jasieniewo. To była operacja Aleksieja, nie moja. Niech teraz pije piwo, którego nawarzył.

Wołkow wrócił do kabiny i naszkicował projekt depeszy, po czym przekazał go Uljaninowi do aprobaty. Po krótkiej dyskusji to Uljanin włączył w końcu przycisk, bezpiecznie przekazując wiadomość do Centrali. Potem wrócił do swego gabinetu, podczas gdy Wołkow czekał na potwierdzenie odbioru depeszy. Nadeszło po piętnastu minutach.

- Co pisze?
- Nic.
- Co ty mówisz?
- Aleksieja nie ma w Moskwie.
- A gdzie jest?
- W samolocie. Leci do Hamburga.
- Dlaczego tam?
- Jakieś spotkanie. Najwyraźniej coś ważnego.
- Miejmy nadzieję, że sprawdzi szybko pocztę, bo Gabriel Allon nie bez powodu upozorował swoją śmierć. - Uljanin opuścił wzrok na zalane herbatą papiery na biurku i wolno pokręcił głową. - Tak to się kończy, kiedy Irlandczyk wykonuje robotę Rosjanina.

*Fleetwood, Anglia*

Quinn wolno otworzył jedno oko, a potem drugie. Uświadomił sobie, że ramieniem obejmuje kobiece piersi, a w dłoni ściska makarowa, czujnie trzymając palec na spuście. Wokół panował półmrok, przez otwarte okno napływał ostry zapach morza. W sekundach pomiędzy jawą i snem usiłował uprzytomnić sobie, gdzie jest. Czyżby to była jego willa na wyspie Margarita? A może znowu Ras al Hilal w Libii, nadmorski obóz szkoleniowy dla terrorystów?

Z sentymentem wspominał spędzony tam czas. Zaprzyjaźnił się wtedy z palestyńskim konstruktorem bomb. Pomógł mu rozwiązać pewien prosty problem, z którym tamten nie mógł się uporać, gdy sporządzał ładunki wybuchowe. W zamian otrzymał kosztowny szwajcarski zegarek ufundowany przez samego Jasira Arafata. Na kopercie wygrawerowano: „Nigdy więcej awarii zegarów”.

Podniósł zegarek do oczu. Było wpół do piątej po południu. Przez otwarte okno docierały głosy, jacyś mężczyźni rozmawiali z silnym akcentem Lancashire. To nie Margarita ani obóz na libijskim wybrzeżu, tylko angielskie Fleetwood. Ocknął się ze snu w hoteliku przy bulwarze, a kobietą, którą obejmował, była Katerina. I nie robił tego z czułości. Przyciskał ją do siebie tylko dlatego, by móc wreszcie zaznać upragnionego snu. Udało mu się przespać ponad sześć godzin. To wystarczyło, by rozpocząć następny etap operacji.

Podniósł rękę i cicho wyśliznął się z łóżka, nie chcąc jej obudzić. Zestaw do parzenia kawy i herbaty stał na stoliku pod oknem. Napełnił wodą czajnik elektryczny, wrzucił torebkę twininga do aluminiowego dzbanka i wyrzucił przez okno. Renault stało na ulicy tam, gdzie

zaparkował. Worek marynarski z bronią leżał w bagażniku. Uznał, że lepiej zostawić go w samochodzie, niż wносить do hotelu. Wolał ograniczyć liczbę broni palnej znajdującej się w zasięgu najlepszej zabójczynie SWR.

Udał się z makarowem do łazienki i szybko wziął prysznic, nie zamykając drzwi, by nie tracić z oczu kobiety śpiącej w pokoju. Gdy wyszedł, nadal spała. Zaparzył herbatę i napełnił dwie filiżanki, do jednej dodając mleka, a do drugiej cukru. Potem obudził Katerinę i podał jej tę z cukrem.

- Ubieraj się - rzekł zimno. - Czas zawiadomić Moskwę, że wciąż jesteś żywa.

Długo stała pod prysznicem, a potem z niezwykłą starannością się ubrała. Na koniec włożyła płaszcz i ruszyła za Quinnem na dół, do holu, gdzie siwowłosa kobieta po sześćdziesiątce siedziała w przeszklonej wnęcie i w skupieniu robiła coś szydełkiem. Quinn wsunął głowę przez okienko i spytał, gdzie można znaleźć kafejkę internetową.

- Lord Street, złotko. Naprzeciw frytek.

Było to w odległości pięciu minut drogi, którą pokonali w milczeniu. Z obu stron długiej i prostej Lord Street ciągnęły się sklepy. Smażalnia ryb i frytek ulokowała się pośrodku, a dokładnie naprzeciwko niej, zgodnie ze wskazówką, znajdowała się kafejka internetowa. Quinn wykupił trzydzieści minut i zaprowadził Katerinę do terminalu w kącie. Zaadresowała e-mail na adres SWR i spojrzała na Quinna, oczekując poleceń.

- Powiedz Aleksiejowi, że twój telefon leży na dnie Morza Północnego, a ty jesteś w moich rękach. Powiedz też, żeby przelał dwadzieścia milionów dolarów na moje konto w Zurychu. W przeciwnym razie zamierzam wstrzymać drugą fazę operacji i zatrzymać cię jako zakładnika do otrzymania pełnej kwoty.

Zaczęła pisać.

- Po angielsku - zażądał.

- Nie mam uprawnień.

- Gwiżdżę na to.

Skasowała więc tekst niemiecki i zaczęła pisać po angielsku. Zdołała nadać żądaniom Quinna formę rozmowy handlowej między dwoma firmami pracującymi nad tym samym projektem.

- Pięknie - ocenił. - Teraz to wyślij.

Kliknęła odpowiedni przycisk i natychmiast wykasowała e-maila

ze swej poczty.

- Ile czasu będziemy czekać na odpowiedź?
- Niewiele - odparła. - Ale mógłbyś podejść do baru i przynieść coś do picia, żebyśmy nie wyglądali jak para zabójców czekających na decyzję Centrali?

Quinn wręczył jej dziesięciofuntowy banknot.

- Z mlekiem, bez cukru.

Katerina wstała, on tymczasem z brodą opartą na dłoni wpatrywał się w ekran komputera.

Minęło trzydzieści minut wykupionego czasu, a odpowiedź wciąż nie nadchodziła. Quinn wysłał Katerinę do kasy, by opłaciła dodatkowy czas, i po kolejnym kwadransie w jej skrzynce pojawił się e-mail. Napisany był po niemiecku. Jej twarz stężała na widok jego treści.

- Co tam jest?
- Mamy problem.
- Jaki?
- Oni żyją.
- Kto?
- Allon i ten Anglik. - Odwróciła się od ekranu i spojrzała na niego ponuro. - Okazuje się, że cała ta historia z jego śmiercią to podpucha. Centrala twierdzi, że teraz szukają nas.

Twarz Quinna poczerwieniała z gniewu.

- Czy Aleksiej w końcu mi zapłaci?
- Czy ty mnie słuchasz? Nie wywiązałeś się z kontraktu, więc nic ci się nie należy. Aleksiej radzi, żebyś natychmiast umożliwił mi wyjazd. W przeciwnym razie przez resztę życia będziesz się ukrywał przed takimi ludźmi jak ja.

- A co z drugą fazą operacji?
- Nie ma żadnej operacji, Quinn. To koniec. Każą nam się zwi-  
jać.

Przez chwilę wpatrywał się w ekran.

- Powiedz mu, że nie zrobiłem tego wszystkiego na próżno - odezwał się w końcu. - Przechodzimy do drugiego etapu. Niech potwierdzi miejsce.

- Nie zgodzi się.
- Pisz - warknął przez zaciśnięte zęby.

Wysłała drugi e-mail, znów po angielsku. Tym razem czekali na odpowiedź tylko dziesięć minut. Przyszła w formie adresu. Katerina

skopiowała go do wyszukiwarki i kliknęła „Enter”. Quinn się uśmiechnął.

*Thames House, Londyn*

Miles Kent był jedynym człowiekiem w Thames House, który miał wstęp do twierdzy Amandy Wallace bez zapowiedzi. Tego wieczoru wkroczył tam o wpół do siódmej. Zbierała się właśnie do wyjazdu na długi weekend w Somerset. Miała spędzić go wspólnie ze swym mężem, Charlesem, bogatym absolwentem Eton, który robił duże pieniądze w londyńskim City. Uwielbiała go i zdawała się całkiem nieświadoma, że małżonek namiętnie romansuje ze swą młodą sekretarką. Kent często się zastanawiał, czy nie napomknąć jej o tym - stanowiło to przecież potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Uznał jednak, że to ryzykowny krok.

Amanda potrafiła być bezlitośnie mściwa, zwłaszcza wobec tych, których uznała za zagrożenie dla swojej władzy. Charles nie poniósłby żadnych konsekwencji swych wybryków, podczas gdy on, Kent, mógłby wylecieć ze służby w rozkwicie kariery. I co wtedy? Musiałby się zatrudnić w jakiejś prywatnej firmie ochroniarskiej, ostatniej przystani spalonych szpiegów i tajniaków.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo, Miles. Charles już wyjechał.

- Nie potrwa. - Kent opadł na jedno z krzeseł stojących przed jej biurkiem.

- O co chodzi?
- O Jurija Wołkowa.
- Co z nim?
- Był dziś bardzo zajęty.
- Czym?

- W południe opuścił ambasadę. Pieszko. Ci z A4 śledzili go przez blisko godzinę. Potem utracili kontakt wzrokowy.

- Chcesz powiedzieć, że go zgubili?

- To się zdarza, Amando.

- Ostatnio nazbyt często. - Włożyła do aktówki materiały do przeczytania w czasie weekendu. - Gdzie widzieli go po raz ostatni?

- Na Oxford Street. Wrócili do Thames House i przez resztę popołudnia namierzali kolejne ruchy Wołkowa za pomocą CCTV.

- I?

- Pospacerował po Piccadilly, sprawdzając, czy jest sam. A potem zszedł do metra przy Piccadilly Circus i odjechał.

- Którą linią? Piccadilly czy Bakerloo?

- Bakerloo. Wysiadł na Paddington i pieszko wrócił do ambasady.

- Spotkał się z kimś?

- Nie.

- Zabił kogoś?

- Nic o tym nie wiadomo. - Kent lekko się uśmiechnął.

- A co robił w pociągu?

- Po prostu stał.

Amanda dorzuciła do aktówki kolejną teczkę.

- Wygląda mi na to. Kent, że Jurij Wołkow wybrał się po prostu na spacer.

- Rosyjscy szpiegowie nie spacerują bez powodu. Spacerują, bo szpiegują. To ich zadanie.

- Gdzie on teraz jest?

- W swojej ambasadzie.

- Coś szczególnego?

- Wkrótce po jego powrocie GCHQ odnotowała dużą częstotliwość przesyłu priorytetowych wiadomości. Wszystkie zakodowane są szyfrem, którego nie mogą złamać.

- I uważasz, że zbieżność czasowa jest podejrzana?

- Najogólniej mówiąc. - Miles Kent przez chwilę milczał. - Mam złe przeczucia, Amando.

- Przeczucia to dla mnie stanowczo za mało, Miles. Potrzebuję konkretów.

- Takie same przeczucia miałem przed wybuchem bomby na Brompton Road.

Zamknęła aktówkę i usiadła.

- Co proponujesz?

- Niepokoi mnie ta podróż metrem.

- Mówiłeś chyba, że z nikim się nie kontaktował.



- Nie kontaktował się i nie komunikował z nikim fizycznie, ale to nic nie znaczy. Chciałbym otrzymać upoważnienie do sprawdzenia wszystkich osób, którejechały w tym wagonie.

- Nie możemy przeznaczyć na to środków, Miles. Nie teraz.

- A jeśli będziemy zmuszeni?

Amanda udała, że się namyśla.

- No dobrze - powiedziała w końcu. - Ale musi się tym zająć D4. Nie pozwolę ci angażować członków żadnego innego wydziału.

- Zgoda.

- Coś jeszcze?

- Może byś pogadała z naszymi przyjaciółmi za rzeką. - Wskazał białą fasadę Vauxhall Cross. - Lepiej żebyśmy nie byli znów zaskoczeni.

Wstał i opuścił gabinet.

Gdy została sama, wybrała szybkie połączenie z komórką męża. Nie odpowiadał, zostawiła więc wiadomość, że jest spóźniona i się rozłączyła. Potem podniosła telefon łączący ją bezpośrednio z Vauxhall Cross.

- Wiem, że dziś dopiero czwartek, ale zastanawiam się, czy nie mogłabym skusić cię na drinka.

- Cykuta? - spytał Graham Seymour.

- Gin.

- U mnie czy u ciebie?

*Lord Street, Fleetwood*

Wyszli z kafejki internetowej przy Lord Street i ruszyli z powrotem do hotelu. Quinn spokojnie mijał sklepowe wystawy, natomiast Katerina była spięta. Niespokojnie lustrowała wzrokiem ulicę i w pewnej chwili, gdy wyprzedziła ich para nastolatków, boleśnie wbiła Quinnowi paznokcie w ramię.

- Masz jakiś powód do niepokoju? - zapytał.

- Nawet dwa. Gabriel Allon i Christopher Keller. - Spojrzała na niego z ukosa. - Twój esemes do Allona był dość kosztowny. Aleksiej nigdy ci już nie zapłaci.

- Chyba że dotrzymam umowy.

- A jak chcesz to zrobić?

- Zabiję Allona i Kellera. To proste.

Katerina zapaliła papierosa.

- Do takich jak oni strzela się tylko raz - powiedziała, wypuszczając chmurę dymu w zimne powietrze wieczoru. - Nigdy ich już nie znajdziesz.

- Nie muszę.

- To jak chcesz ich zabić?

- Zwabię ich do siebie.

- Gdzie?

- Do naszego punktu docelowego - odparł.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Jesteś szalony - odezwała się w końcu. - Nigdy nie zdołasz zrobić tego sam.

- Nie będę sam. Ty będziesz mi pomagać.

- Ani myślę.
- Obawiam się, że nie masz wyboru.

Gdy dotarli do hotelu, Katerina rzuciła niedopałek na chodnik i weszła za Quinnem do środka. Siwowłosa kobieta nadal szydełkowała w swojej dziupli. Quinn poinformował ją, że za chwilę opuszczają pokój.

- Tak szybko? - zdziwiła się.
- Niestety - odparł. - Coś nam wypadło.

*Hamburg*

W tej samej chwili samolot Austrian Airlines rejs 171 z Wiednia wylądował w Hamburgu i kołował do rękawa. Przewoźnik nie był świadomy tego, że wśród pasażerów znajdują się agent irańskiego wywiadu i jego izraelski zwierzchnik. Mężczyźni siedzieli w odległości kilku rzędów i nie komunikowali się w trakcie lotu. Nie odezwali się do siebie również wtedy, gdy zmierzali przez terminal do stanowiska kontroli paszportowej. Tam ustawili się w tej samej kolejce i po krótkim przeglądzie dokumentów zostali wpuszczeni do Niemiec.

W hamburskim bezpiecznym mieszkaniu Gabriel świętował swoje pierwsze małe zwycięstwo. W przypadku Irańczyków przekraczanie granicy rzadko odbywało się bez kłopotów, nawet jeśli legitymowali się paszportem dyplomatycznym.

VEVAK za pomocą swojego wydziału podróży oraz irańskiego konsulatu zapewnił Rezie Nazariemu samochód. Kierowca czekał przed halą przylotów i zawiózł go wprost do Marriotta w Neustadt. Irańczyk wszedł do hotelu za piętnaście ósma, zameldował się i wjechał na górę do swego pokoju, wieszając na kłameczce tabliczkę z napisem „Proszę nie przeszkadzać”. Dwie minuty później rozległo się pukanie. Gdy otworzył, do środka wszedł Jakow Rossman.

- Masz jeszcze jakieś pytania? - zapytał.
  - Nie mam pytań - odparł Reza. - Tylko żądanie.
  - Takim jak ty nie przysługują żądania, Reza.
- Nazari wysilił się na błądy uśmiech.
- Aleksiej zawsze telefonuje do mnie przed spotkaniem. Jeśli nie

odbiorę, nie przyjdzie. To wszystko.

- Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś?
- Jakoś mi to umknęło.
- Kłamiesz.
- Jak uważasz.

Wciąż się uśmiechał, gdy Jakow z wściekłością patrzył w sufit.

- Ile mi policzysz za odbiór tego telefonu? - warknął w końcu.
- Chcę usłyszeć głos mojej żony.
- To niemożliwe. Nie teraz.
- Wszystko jest możliwe, panie Taylor. Zwłaszcza teraz.

Do tej pory Reza był wzorowym więźniem. Gabriel jednak podejrzewał, że w końcu się zbuntuje. Szamron zawsze powtarzał, że wyłącznie w filmach skazańcy bez oporu pozwalają nałożyć sobie pętlę na szyję, i tylko w planach operacyjnych zwerbowani pod przymusem agenci nie stawiają warunków, nim dopuszczą się zdrady. Nazari mógł wystąpić z wieloma żądaniami. To, że domagał się jedynie rozmowy z żoną, podniosło nieco jego notowania w oczach tych, którzy decydowali o jego losie. W gruncie rzeczy mogło nawet uratować jego życie.

Umożliwienie mu kontaktu z żoną planowano od czasu przesłuchania w Austrii. Teraz wystarczyło, by Jakow zadzwonił pod numer w Tel Awiwie, skąd przełączano go bezpieczną linią do willi we wschodniej Turcji, gdzie pracownicy Biura niańczyli żonę i dzieci Rezy. Bulwar Króla Saula miał nagrywać rozmowę, a tłumacz, rodowity Irańczyk, wykryć wszelkie ukryte w niej znaczenia. Jedyne zagrożenie stanowiła ewentualność podsłuchu ze strony Rosjan i Irańczyków.

Za zgodą Gabriela Jakow połączył się ze wskazanym numerem pięć po ósmej. Pięć minut później na linii rozległ się głos żony Nazariego, a tłumacz przy Bulwarze Króla Saula zaczął się przysłuchiwać. Jakow podał telefon Nazariemu.

- Tylko żadnych łez i pożegnań. Spytaj, jak się miewa, i mów normalnie.

Nazari podniósł telefon do ucha.

- Tala, moja najdroższa - zaczął, z ulgą przyzymkając powieki.
- Tak się cieszę, że słyszę twój głos.

Połączenie trwało nieco ponad pięć minut, dłużej niż Gabriel sobie

zyczył. Uznał, że bezpośredni przekaz tłumaczenia do Hamburga jest zbyt ryzykowny, musiał więc chwilę odczekać, nim uzyskał potwierdzenie, że rozmowa nie budzi podejrzeń. Za oknem zegar na kościele św. Michała wskazywał dwadzieścia po ósmej. Gabriel kilkakrotnie kliknął w klawisze laptopa, zwołując zespół. Pierwszy kryzys tego wieczoru został zażegnany. Teraz czekali już tylko na Aleksieja Rożanowa.

*Neustadt, Hamburg*

Hotel Marriott dzieliło od restauracji Die Bank około stu dwudziestu metrów - spacerem może trzy minuty, dwie, gdy ktoś się spieszył, by nie stracić rezerwacji. Goście, którzy wyszli z hotelu o 20.37, niezbyt się spieszyli, gdyż podobnie jak wielu innych tego wieczoru nie zdołali zarezerwować upragnionego stolika.

Nazywali się Jossi Gawisz i Rimona Stern, lecz oboje zameldowali się w hotelu pod pseudonimami operacyjnymi. Jossi, starszy analityk w dziale badawczym Biura, lubił dramatyczne akcje i dobrze sprawdzał się w terenie. Rimona natomiast była szefem jednostki, która z ramienia Biura szpiegowała rozwój irańskiego programu jądrowego. W tej roli stała się pierwszym odbiorcą fałszywej wiadomości przekazanej przez Nazarięgo.

Nie poznała go osobiście i wcale jej nie cieszyło, że tego wieczoru mają przebywać w tym samym pokoju. Nie ukrywała, że naj chętnie odesłałaby go do Teheranu w sosnowej skrzynce. Jej gniew nie dziwił Gabriela. Rimona była siostrzenicą Arięgo Szamrona i tak jak jej słynny wuj nie tolerowała zdrady, zwłaszcza gdy dopuszczali się jej Irańczycy.

Z wykształcenia i doświadczenia była analitykiem, ale podobnie jak Jossi odznaczała się naturalnym instynktem terenowym. Gdy szła teraz elegancką ulicą, jej uwagę na pozór przyciągnęła torba w witrynie Prądy. Przystanąła na chwilę, gdy mijał ich jakiś samochód i gdy Jossi, odgrywając rolę zniecierpliwionego męża, spojrzął na zegarek. O 20.41 stanęli w imponującym wejściu Die Bank. *Maitre* poinformował ich, że nie ma wolnych stolików, skierowali się więc do baru, by

tam czekać, aż coś się zwolni. Rimona usiadła twarzą do wejścia, a Jossi patrzył w stronę jadalni. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął złote pióro, identyczne jak to, które Gabriel podarował Rezie. Przekręcił nakładkę w prawo, po czym znów wsunął je do kieszeni. Dwie minuty później na ekranie jego służbowej komórki pojawiła się wiadomość. Nadajnik działał. Sygnał był wyraźny i mocny. Jossi zatrzymał przechodzącą kelnerkę i zamówił drinki. Była 20.44.

Reszta zespołu Gabriela spokojnie docierała na miejsce ulicami sąsiadującymi z Die Bank. Dina Sarid parkowała volkswagena na pustym miejscu na Poststrasse naprzeciw outletu Vodafone. Mordechaj zajmował fotel pasażera, a z tyłu Oded wykonywał ćwiczenia oddechowe, by uspokoić galopujące serce. Pięćdziesiąt metrów dalej siedział na motocyklu Michaił Abramow, który patrzył na przechodniów z wyrazem głębokiego znudzenia. Obok niego, na drugim motorze, Keller wpatrywał się w ekran komórki. Nadeszła wiadomość, że oczekiwany mężczyzna jeszcze nie przybył. Była 20.48.

O 20.50 Aleksiej Rożanow nadal nie nawiązał kontaktu z Rezą Nazarim. Gabriel stanął w oknie mieszkania, patrząc na kościelny zegar. Mijały kolejne minuty, a telefon milczał. Po chwili do okna podszedł Eli Lavon, by pokrzepić Gabriela swoją obecnością jak towarzysz żałoby nad grobem wspólnego przyjaciela.

- Musisz go już wysłać, Gabrielu. W przeciwnym razie się spóźni.

- A jeśli nie może wejść do tej restauracji, póki nie otrzyma telefonu od Aleksieja?

- Trzeba go skłonić, żeby wymyślił jakiś powód.

- Aleksiej może tego nie kupić... - Gabriel zamilkł, po czym dodał: - A może wcale się tu nie wybiera.

- Boisz się własnego cienia.

- Nic dziwnego. Dwa tygodnie temu wybuchła mi w twarz ćwierćtonowa bomba.

Upłynęła kolejna minuta. Gabriel podszedł do laptopa, napisał e-mail i go wysłał. Potem wrócił do okna i stanął u boku swego najstarszego przyjaciela.

- Co z nim zrobisz?

- Z kim?

- Z Aleksiejem.

- Dam mu szansę podpisać mój akt zgonu.

- A jeśli podpisze?

Gabriel odwrócił się od zegara i spojrzał na Lavona.

- Moja twarz będzie ostatnią, którą zobaczy.



- Szefowie nie zabijają funkcjonariuszy KGB.
- To się teraz nazywa SWR, Eli. A ja przecież nie jestem jeszcze szefem.

- Daj mi swój telefon - rzekł Jakow.
- Dlaczego?
- Dawaj to cholerstwo. Nie mamy czasu.

Reza oddał mu komórkę. Jakow wyjął z niej kartę SIM i włożył ją do identycznego aparatu. Nazari zawahał się, nim go wziął.

- To bomba? - zapytał.
- Twój telefon na ten wieczór.
- Zakładam, że jest przystosowany?
- Pod każdym możliwym względem.

Nazari wsunął telefon do kieszeni płaszcza, tam, gdzie trzymał pióro.

- Co będzie po kolacji?
- Pod żadnym pozorem - odparł Jakow - nie wychodź razem z nim. Odbiorę cię sprzed restauracji, gdy Aleksiej zniknie.
- Zniknie?

Jakow nie odpowiedział. Nazari włożył płaszcz i energicznie ruszył przez hol.

Była 20.57.

Ponieważ Marriott jest amerykańskim hotelem, na jego dziedzińcu stoją słupki ze stali nierdzewnej i brzydkie betonowe donice, chroniące budynek przed atakiem terrorystów. Reza Nazari, funkcjonariusz w służbie największego światowego sponsora międzynarodowego terroryzmu, ominął przeszkody pod baczным okiem Jakowa, po czym skręcił w ulicę.

Ruch już ustał, chodniki opustoszały. Bez względu na to, co dostrzegł w szklanych witrynach sklepów, nie zwolnił kroku, choć pewnie zauważył dwóch mężczyzn na motocyklach w małej zatoczce naprzeciwko Die Bank. Wszedł do restauracji punktualnie o dziewiątej i przedstawił się nazwiskiem Romanow. Kierownik sali przesunął wypielęgnowanym palcem po liście rezerwacji.

- Oczywiście, pan Romanow. Zapraszamy.

Nazari zdjął płaszcz i został wprowadzony do wysokiej sali jadalnej. Mijając bar, dostrzegł, że obserwuje go kobieta o włosach barwy piaskowca, a siedzący obok mężczyzna pisze coś w komórce.

Potwierdza moje przybycie, pomyślał. Jego stolik znajdował się w rogu pod irytującą czarno-białą fotografią jakiegoś tysego typu o fizjonomii maniaka. Nazari usiadł twarzą do sali. Wiedział, że Aleksiej nie będzie tym zachwycony, ale jego odczucia niewiele go teraz obchodziły. Myślał tylko o żonie i dzieciach, a także o liście pytań, które wręczył mu Allon. Kelner napełnił jego szklankę wodą, a sommelier położył przed nim kartę win. Była 21.07. Nagle poczuł, że nowy telefon wibruje pod marynarką obcym rytmem. Nie rozpoznał numeru, ale odpowiedział.

- Gdzie jesteś? - spytał głos po rosyjsku.

- W restauracji - odparł Nazari w tym samym języku, po czym spytał: - A ty?

- Trochę się spóźnię, ale jestem już blisko.

- Zamówić ci drinka?

- Musimy wprowadzić małą zmianę.

- Jak małą?

Rożanow wyjaśnił, czego oczekuje, i dodał:

- Dwie minuty. Jasne?

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Nazari szybko połączył się z człowiekiem, którego znał jako pana Taylora.

- Słyszałeś?

- Każde słowo.

- Co mam zrobić?

- Gdybym był tobą, Reza, za dwie minuty stałbym przed restauracją.

- Ale...

- Dwie minuty, Reza. Albo unieważniam umowę.

Gdy Reza wstawał od stolika, czarny jak karawan mercedes klasy S na hamburskiej rejestracji pojawił się u wylotu ulicy i bezszelestnie przepłynął obok ciemnych sklepowych witryn, by na koniec stanąć przed Die Bank. Siedzący z przodu pasażer niecierpliwym gestem odprawił usłużnego portiera. Kierowca oburącz przyłgnął do kierownicy, jakby przyłożono mu do głowy pistolet, a mężczyzna na tylnym siedzeniu z napiętym wyrazem twarzy rozmawiał przez telefon. Keller wyraźnie widział ze swego stanowiska po przeciwnej stronie ulicy jego szerokie kości policzkowe i jasne włosy przerzedzone na czubku głowy. Wypisz wymaluj agent moskiewskiej Centrali.

- To on - powiedział do radiofalewki. - Niech Reza zostanie w restauracji. Biermy się do roboty i zakończmy sprawę.

- Nie! - warknął Gabriel.
- Czemu?
- Bo chcę wiedzieć, czemu zmienili plan. I dopaść Quinna.

Radio zatrzeszczało, gdy się rozłączył. Potem drzwi restauracji otworzyły się i Reza Nazari wyszedł na ulicę. Keller zmarszczył czoło. Tyle z wielkiego planowania, pomyślał.

Aleksiej Rożanow nadal rozmawiał przez telefon, gdy Nazari wsunął się na tylne siedzenie mercedesa. Samochód ruszył, błyskawicznie nabierając prędkości, więc Nazari ledwie zdążył zerknąć w stronę alejki. Dwaj mężczyźni nadal siedzieli na motocyklach, nie rozpoczynając pościgu. Nic przynajmniej na to nie wskazywało. Mocno zacisnął dłonie na podłokietnikach, gdy z piskiem opon skręcili za róg. Potem spojrzął na Aleksieja Rożanowa, który wreszcie skończył rozmowę.

- O co tu, u diabła, chodzi? - spytał.
- Uznałem, że nie powinieneś siedzieć w tej restauracji.
- A to dlaczego?
- Bo mamy problem, Reza. Bardzo poważny problem.

## *Hamburg*

- Żyje? Co chcesz przez to powiedzieć?
  - Chcę powiedzieć - odparł dobitnie Rożanow - że Gabriel Allon wciąż chodzi po tej ziemi.
  - O jego śmierci pisała prasa. Potwierdziło ją Biuro.
  - Prasa nic nie wie. A Biuro - Rożanow się skrzywił - najwyraźniej kłamie.
  - Widział go ktoś z waszych służb?
  - Nie.
  - Słyszeliście jego głos?
- Rożanow pokręcił głową.
- No to skąd wiesz?
  - Mamy informację z osobowego źródła. Powiedziano nam, że Allon przeżył eksplozję, odnosząc tylko powierzchowne rany, i że przewieziono go do tajnej mety MI6.
  - Gdzie jest teraz?
  - Nasz informator nie wie.
  - Kiedy się dowiedziałeś?
  - Kilka minut po wylądowaniu w Hamburgu. Centrala radziła mi odwołać nasze spotkanie.
  - Dlaczego?
  - Bo jest tylko jeden powód, dla którego Gabriel Allon mógł upozorować własną śmierć.
  - Chce nas zabić?
- Rosjanin milczał.
- Jakoś cię to nie martwi, co, Aleksiej?

- Spytaj Iwana Charkowa, czy powinno mnie martwić, że Allon pała żądzą zemsty. - Rożanow zerknął przez ramię. - Jedyńm powodem, dla którego tu przyjechałem, jest obawa, że radioaktywny materiał wpadł w łapy Czeceńców. Kreml jest zaniepokojony.

- Ma podstawy.

- A więc to prawda?

- Całkowita.

- Ulżyło mi, Reza.

- Ulżyło ci, że Czeceńcy mogą zbudować brudną bombę? Dlaczego?

- Bo zastanawia mnie zbieżność tych wydarzeń. - Rożanow patrzył przez okno. - Najpierw Allon pozoruje własną śmierć, potem pięćdziesiąt kilo radioaktywnych odpadów znika z irańskiego laboratorium - urwał i po namyśle dodał: - a na koniec ty i ja spotykamy się w Hamburgu.

- Co ty sugerujesz, Aleksiej?

- Ani SWR, ani FSB\* nie uzyskały potwierdzenia, że Czeceńcy ukradli irańskie materiały radioaktywne. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie twój e-mail.

\* FSB (Fiederalnaja Służba Bezopasnosti) - Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej (przyp. red.).

- Miałem wiarygodne doniesienia. Dlatego go wysłałem.

- A może kazał ci to zrobić Gabriel Allon?

Tym razem to Nazari wbił wzrok w okno.

- Zaczynasz mnie denerwować, Aleksiej.

- O to mi chodziło. - Rosjanin na chwilę zamilkł. - Tylko ty mogłeś podać Allonowi moje nazwisko, Reza.

- Zapominasz o Quinnie.

Rożanow zapalił dunhilla, namyślając się, jakby przesuwał figury na wyimaginowanej szachownicy.

- Gdzie on jest? - spytał Nazari.

- Quinn?

Irańczyk przytaknął.

- Dlaczego pytasz?

- Był naszym agentem.

- Prawda, Reza. Ale teraz należy do nas. I jego adres to nie twoja sprawa.

Nazari sięgnął pod płaszcz, chcąc wyjąć papierosa.

- Co robisz? - Rożanow ze zdumiewającą siłą złapał go za nadgarstek.

- Chciałem zapalić.

- Jesteś uzbrojony, Reza?
- Oczywiście, że nie.
- A szkoda. - Rosjanin uśmiechnął się lodowato. - To twój kolejny błąd.

Mercedes kierował się na zachód ku Feldstrasse, ruchliwej ulicy łączącej Neustadt z dzielnicą St. Pauli. Za nim podążali dwaj mężczyźni na motorach oraz dwa samochody, z których każdy wiozł trzech doświadczonych agentów izraelskiego wywiadu. Nikt z nich jednak nie wiedział, co zaszło między Aleksiejem Rozanowem i Rezą Nazarim. Jedynie Gabriel i Eli Lavon, skuleni nad laptopem w konspiracyjnym mieszkaniu, byli świadkami ich gwałtownej konfrontacji. Pióro w kieszeni Irańczyka nie odgrywało już roli, gdyż dawno straciło zasięg. Natomiast komórka, w którą go wyposażono, zapewniała czysty i wyraźny odbiór.

Nagle transmisja zanikła, co nigdy dobrze nie wróżyło. W samochodzie nikt się nie odzywał, zdawało się wręcz, że nikt nie oddycha. Gabriel usiłował wyobrazić sobie sytuację. Dwaj mężczyźni z przodu, dwaj z tyłu, i jeden zakładnik. Być może Aleksiej wyciągnął broń. A może, zastanawiał się, nie było to potrzebne. Może Nazari, złamany presją wielodniowego strachu, przyznał się do winy.

Spojrzał na światło mrugające na ekranie komputera i obrócił się do Lavona.

- Co teraz robi Aleksiej?
- Wyobrażam sobie kilka możliwości - odparł tamten. - I żadna mnie nie cieszy.
- Dlaczego nie podejmują kontroberwacji? Manewrów wymijających?
- Może Aleksiej sam w to nie wierzy...
- W co?
- Że tak szybko zdołałeś go namierzyć.
- Lekceważy mnie? To chcesz powiedzieć, Eli?
- Trudno uwierzyć, ale...

Lavon umilkł, gdyż nagle rozległ się głos Rozanowa. Mówił po rosyjsku.

- O co mu chodzi?
- Daje wskazówki kierowcy.
- Dokąd jadą?
- Nie wiadomo. Ale przypuszczam, że gdzieś, gdzie będą mogli go docisnąć.

- Chętnie posłuchałbym ich pytań.
- Mogą być nieprzyjemne. - Lavon zamilkł, a po chwili dodał: - Śmiertelnie nieprzyjemne.

Gabriel obserwował mrugające światło, które przesuwano się po ekranie. Samochód skręcał w Stresemannstrasse. Droga była tu szersza, a ruch wyraźnie przyspieszył.

- To nie jest złe miejsce - stwierdził Gabriel.
- Nie gorsze od innych.

Gabriel podniósł nadajnik do ust i wydał rozkaz. W ciągu sekund na ekranie pojawiły się dwa kolejne mrugające światła.

Michaił i Keller.

- Łatwiej jest zabić, niż porwać - zauważył cicho Lavon.
- Tak, Eli. Wiem.
- Więc dlaczego teraz z tym nie skończysz?
- Bo do mojej listy doszło nowe pytanie.
- Mianowicie?
- Chcę się dowiedzieć, kto im powiedział, że żyje.

Światła motocykli Michaiła i Kellera zbliżały się do mercedesa, który jechał ze stałą prędkością.

- Oby tylko nie było przypadkowych ofiar - rzekł Lavon.
- Tak, pomyślał Gabriel, słysząc strzały. Oby.

W pewnych dzielnicach Hamburga Niemcy mieszkają w domach do złudzenia przypominających Anglię. Tak właśnie wyglądała okolica, w której czarny mercedes zarył w ziemię. Trójkątny niewielki skwer porośnięty trawą z jednej strony graniczył z ulicą, a z dwóch pozostałych z rzędami domków z czerwonej cegły tak bardzo brytyjskich, iż mogłoby się здаwać, że ich mieszkańcy piją popołudniową herbatę i oglądają w BBC „News at ten”. Zanim mercedes tam utknął, musiał, sunąc pod prąd, przeciąć niekontrolowanym poślizgiem dwa pasy przeciwniejezdni. Po drodze zwałił latarnię i zmiotł tablicę reklamową przy chodniku, aż w końcu wbił się w smukły młody wiąz. Okoliczni mieszkańcy zadali sobie później wiele trudu, by uratować drzewo, lecz ich wysiłki okazały się daremne.

Dwaj mężczyźni siedzący z przodu zginęli, zanim samochód się zatrzymał. I nie kolizja z drzewem ich zabiła, lecz strzały oddane z bliskiej odległości do rozpędzonego samochodu. Świadkowie gorliwie starali się opisać sprawców - dwóch mężczyzn na motocyklach, z których jeden był wysoki i szczupły, a drugi niższy i mocno zbudowany. Każdy z nich oddał tylko dwa strzały. Były tak perfekcyjnie

zsynchronizowane, że wręcz niemożliwe do rozróżnienia.

Nagrania monitoringu potwierdziły później te zeznania. Jeden z hamburskich detektywów, nie posiadając się z podziwu, nazwał to wydarzenie najpiękniejszym zabójstwem, jakie widział w życiu. Jego zachwyt uznano jednak za tak niestosowny, że otrzymał służbową naganę. Zwierzchnik przypomniał mu surowo, że martwe ciała na niemieckiej ziemi nigdy nie stanowiły pięknego widoku. A zwłaszcza ciała Rosjan. I nie ma znaczenia, że należały do dwóch goryli z Centrali Moskwa. Tak czy inaczej był to akt przemocy.

Motocykliści natychmiast zniknęli i nikt więcej ich nie widział. Władze nie zdołały również zlokalizować volkswagena sedana, który pojawił się sekundy po wypadku. Wskoczył z niego mężczyzna potężnej budowy i wyszarpnął tylne drzwi mercedesa, jakby to była zabawka z papier-mâché. Jeden ze świadków twierdził, że wymierzył pasażerowi kilka mocnych ciosów, inni jednak zaprzeczali jego zeznaniom. Niezależnie od przyczyn mężczyzna o słowiańskim wyglądzie wyłonił się z mercedesa z twarzą zakrwawioną i oszołomioną. Jak dotarł do volkswagena? To również stanowiło przedmiot sporów. Jedni mówili, że wsiadł tam dobrowolnie. Inni przekonywali, że zmusił go do tego muskularny kolos, który wyłamywał mu rękę. Cała akcja trwała zaledwie dziesięć sekund, po czym volkswagen wraz z niefortunnym Słowianinem rozpląnął się we mgle.

Hamburski policjant, który wcześniej podziwiał precyzję oddanych strzałów, nie opiewał wprawdzie mistrzostwa olbrzyma, ale był pod wrażeniem. Każdy dureń potrafi nacisnąć spust - opowiadał później kolegom - ale tylko prawdziwy zawodowiec umie porwać moskiewskiego szpiega tak, jakby zrywał jabłko z drzewa.

Pozostawał jeszcze pasażer, który siedział za pechowym kierowcą. Wszyscy twierdzili, że wydobył się z samochodu o własnych siłach i że na pewno nie był to Rosjanin. Może Arab lub Turek, ale nie Rosjanin. W żadnym wypadku. Przez kilka sekund sprawiał wrażenie zbyt oszołomionego, by ocenić sytuację, w końcu jednak dostrzegł mężczyznę o dziobatej twarzy, który machał do niego z okna kolejnego samochodu. Kiedy potykając się, brnął w jego stronę, z niewymowną ulgą raz po raz powtarzał jedno słowo. Brzmiało ono: „Tala”. Co do tego świadkowie byli całkowicie zgodni.



*Hamburg*

Istnieje ścisła procedura dotycząca zwalniania należących do Biura bezpiecznych lokali. Dyktują ją żelazne reguły i obowiązkowe rytuały. Zadekretowane przez Boga i wyryte w kamieniu. Nienaruszalne nawet wtedy, gdy para martwych Rosjan leży na trawiastym skwerku przy ruchliwej drodze. A i wtedy, gdy cel całej operacji, związany i zakneblowany, tkwi z tyłu samochodu, którym go porwano. Gabriel i Eli Lavon dokonywali obrzędu oczyszczania lokalu cicho i automatycznie, lecz z żarliwością zelotów. Tak jak ich wrogowie, byli prawdziwymi wyznawcami.

O wpół do dziesiątej zamknęli drzwi i zeszli na ulicę. Teraz nastąpił kolejny rytuał, a mianowicie dokładne oględziny samochodu w poszukiwaniu bomby. Na koniec, nie widząc nic niepokojącego, wsiedli do środka. Gabriel pozwolił Lavonowi prowadzić. Miał on naturę ulicznego artysty, nie mistrza kierownicy, lecz wrodzona ostrożność, z jaką prowadził pojazd, okazała się nader owocna.

Z Hamburga ruszyli na południe do miasta o nazwie Döhle. Za nim, na horyzoncie, wyrastał gęsty pas drzew. Prowadziła w ich stronę tylko jedna wyboista ścieżka opatrzona napisem: Teren prywatny. Michaił wypatrzył to miejsce dzień wcześniej, podobnie jak trzy inne odpowiednie zakątki. Awaryjne zaplecze okazało się jednak zbędne. Las leżał na głębokim odludziu.

Wjeżdżając w gąszcz, Lavon zgasił reflektory i korzystał tylko z żółtej poświaty lamp postojowych. Mieszanka drzew iglastych i liściastych otaczała ich gęstą ścianą zieleni. Gabriel wołałby widzieć tu brzozy, te jednak rzadko rosły na zachodzie Niemiec. Niemal

wyłącznie na wschodzie.

W końcu światła postojowe wydobyły z mroku volkswagena stojącego na niewielkiej polance. Michaił ze skrzyżowanymi rękami opierał się o przedni zderzak, a obok niego stał Keller, paląc papierosa. Na ziemi u ich stóp leżał Aleksiej Rożanow z ustami zalepionymi taśmą izolacyjną i skrępowanymi nią rękami. Nie było to zresztą konieczne. Agent SWR zdawał się półprzytomny.

- Czy coś powiedział? - spytał Gabriel.
- Nie bardzo miał szansę - odparł Keller.
- Widział twoją twarz?
- Chyba tak, ale wątpię, żeby zapamiętał.
- Ocuć go. Muszę z nim pogadać.

Keller przyniósł z samochodu litrową butelkę wody mineralnej i lał ją tak długo na twarz Rożanowa, aż ten w końcu drgnął.

- Postaw go na nogi - polecił Gabriel.
- Wątpię, żeby ustał.
- Zrób to.

Keller i Michaił jednocześnie chwycili Rożanowa pod ręce i ustawili go w pionie. Jak należało przypuszczać, Rosjanin nie utrzymał się długo w tej pozycji. Gdy ciężko osunął się na ziemię, dźwignęli go znowu, tym razem mocno trzymając za ramiona. Głowa zwisała mu w dół, a broda opadła na piersi. Okazał się wyższy, niż się wydawało na podstawie zdjęć operacyjnych, a także cięższy; ponad sto kilo napiętych ongiś mięśni teraz zmieniło się w tłuszcz. Był dobrym agentem, ale Gabriel był lepszy. Teraz wyjął glocka zza paska spodni i luźno unióś mu brodę. Dopiero po kilku sekundach zapuchnięte oczy Rosjanina zdołały się skupić. Nie było w nich jednak strachu. Zdawał się nie poznawać, kto przed nim stoi. Twardy jest, pomyślał Gabriel, zdzierając mu taśmę z ust.

- Nie wydajesz się zdziwiony moim widokiem, Aleksiej.
- My się znamy? - mruknął Rosjanin.

Gabriel uśmiechnął się zimno.

- Nie - odparł po chwili. - Do tej pory omijała mnie ta przykrość. Za to dobrze znam twoją działalność. Bardzo dobrze. W najmniejszych szczegółach. Muszę tylko wyjaśnić kilka drobiazgów.

- Co proponujesz, Allon?
- Nic.
- A więc nie dostaniesz nic w zamian.

Gabriel wycelował w jego prawą stopę i pociągnął za spust.

Huk strzału poniósł się echem wśród drzew, podobnie jak krzyk Rosjanina.

- Czy zaczynasz wreszcie rozumieć swoje położenie, Aleksiej? Podsumujmy.

Rożanow nie był w tej chwili zdolny do odpowiedzi, Gabriel przemówił więc za niego.

- Ty i twoje służby podłożyliście bombę w Londynie na Brompton Road. Była przeznaczona dla mnie i mojego towarzysza, ale zabiła pięćdziesiąt dwie niewinne osoby. Zabiłeś Charlotte Harris z Shepherds Bush. I zabiłeś jej syna, który nazywał się Peter na cześć swojego dziadka. To z ich powodu znalazłeś się w tym miejscu. - Wycelował glocka w twarz Rosjanina. - Co masz do powiedzenia?

- To Eamon Quinn podłożył tę bombę - wysapał Rożanow. - Nie my.

- Zapłaciłeś mu za to, Aleksiej. I dałeś pomocnika. Na imię ma Katerina.

Rożanow gwałtownie podniósł wzrok i poprzez mgłę bólu patrzył na Gabriela.

- Gdzie jest Quinn? - zapytał Gabriel.

- Nie wiem.

- Gdzie? - powtórzył.

- Mówię ci, Allon. Nie wiem, gdzie jest.

Gabriel wymierzył lufę w jego lewą stopę i pociągnął za spust.

- Jezu! Proszę, przestań!

Rosjanin już nie krzyczał z bólu, lecz łkał jak dziecko. Tak pewnie, myślał Gabriel, łkały okaleczone ofiary bomb Quinna. Tego, który sprawił, że ognista kula mknęła z prędkością trzystu metrów na sekundę. I który przebywał w libijskim obozie razem z Palestyńczykiem zwanym Tariq al-Hourani.

„Czy sądzisz, że oni się znali?”

„Nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej”.

- Zacznijmy od czegoś łatwego - rzekł spokojnie Gabriel. - Skąd masz numer mojej komórki?

- To było w Omagh - odparł Aleksiej. - Przy pomniku. Szła za tobą kobieta. Udawała, że robi ci zdjęcie.

- Pamiętam ją.

- Namierzyła bezprzewodowo twojego BlackBerry. Nie zdołaliśmy odszyfrować żadnego z plików, ale ustaliliśmy numer telefonu.

- Który dałeś Quinnowi.

- Tak.

- To on wysłał mi w Londynie tego esemesa.

- „Cegły są w murze”.

- Gdzie był, kiedy to pisał?

- Na Brompton Road - odrzekł Rożanow. - Poza strefą rażenia.
- Czemu pozwoliłeś mu na to?
- Chciał, żebyś wiedział, że to on.
- Duma zawodowa?
- Najwyraźniej miało to coś wspólnego z człowiekiem o imieniu

Tariq.

Gabriel poczuł gwałtowny skurcz serca.

- Tariq al-Hourani?
- Tak, Palestyńczyk.
- O co mu chodziło?
- Quinn mówił, że chce spłacić stary dług.
- Zabijając mnie?

Rożanow przytaknął.

- Najwyraźniej byli sobie bliscy.

To musi być prawda, myślał Gabriel. Rożanow w inny sposób nie dowiedziałby się o al-Houranim.

- Czy Quinn wie, że ja żyję?
- Dowiedział się dziś.
- A więc wiesz, gdzie on jest, Aleksiej?

Gdy Rożanow nie odpowiadał, wcisnął lufę glocka w jego kolano.

- Wrócił do Anglii.
- A dokładniej?
- Nie wiem.

Gabriel wbił lufę głębiej.

- Przysięgam, Allon. Nie wiem, gdzie on jest.
- Dlaczego wrócił do Anglii?
- Druga faza operacji.
- Gdzie to nastąpi?
- Guy's Hospital w Londynie.
- Kiedy?
- Jutro o trzeciej po południu.
- Kto jest celem?

- Premier. Quinn i Katerina zabiją premiera Jonathana Lanca-  
stera w Londynie jutro po południu.

## *Północne Niemcy*

Rosjanin słabł. Tracił krew i wolę życia. Mimo to Gabriel zmusił go, by opisał wszystko - każdy krok, każdy spiszek i każdą zdradę, od smutnego początku operacji aż po e-mail, który dotarł do moskiewskiej Centrali wcześniej tego wieczoru. Został wysłany ze zwykłego niezabezpieczonego komputera, ponieważ służbowa komórka SWR należąca do niejakiej Kateriny Akułowej nadała ostatni niewyraźny sygnał z dna Morza Północnego.

- Quinn - oświadczył Rożanow - wziął sprawy w swoje ręce. Quinn wymknął się spod kontroli Centrali. Quinn się znarowił.

- Skąd wysłali ten e-mail?
- Nie zdołaliśmy ustalić.

Gabriel ciężko stanął na zdruzgotanej stopie Rożanowa. Gdy ten odzyskał zdolność mówienia, powiedział, że e-mail wysłano z kawiarenki internetowej w miasteczku Fleetwood.

- Mają samochód?
- Renault.
- Model?
- Chyba scénic.
- Jak zaatakuje?
- Mówimy o Quinnie, więc co sądzisz?
- Bomba w samochodzie?
- To jego specjalność.
- Osobowy czy ciężarówka?
- Furgonetka.
- Gdzie teraz jest?

- W magazynie we wschodnim Londynie.
- A dokładnie?

Rożanow wyrecytował adres przy Thames Road w Barking, po czym broda opadła mu na pierś. Gabriel spojrzeniem polecił Kellerowi i Michaiłowi, by go puścili. Zakołysał się w przód jak drzewo, po czym runął na wilgotne poszycie. Gabriel przewrócił go na wznak i wycelował pistolet w jego twarz.

- Na co czekasz? - spytał Rożanow.

Gabriel spojrział na niego z góry, nie odpowiadając.

- Może to prawda, co o tobie mówią - wykrztusił Rosjanin resztką sił.

- Co takiego?
- Że się starzejesz. Że nie masz już do tego jaj.

Gabriel się uśmiechnął.

- Mam jeszcze jedno pytanie, Aleksiej.
- Powiedziałem ci wszystko, co wiem.
- Ale nie, jak się dowiedziałeś, że żyję.
- Przez urządzenia podsłuchowe.
- Co przechwyciliście?
- Głos - odrzekł Rożanow. - Słyszeliśmy twój głos...

Gabriel wycelował w jego kolano i wystrzelił. Rosjanin zwinął się z bólu.

- Mie.. .mieliśmy... źródło.
- Gdzie?
- W... Biurze.

Gabriel ponownie strzelił w to samo miejsce.

- Mów lepiej prawdę, Aleksiej, bo zmarnuję wszystkie naboje, żeby poszatkać ci kolano.

- Źródło - wyszeptał Rożanow.
- Tak, wiem. Macie źródło. Ale kto to jest?
- Pracuje...
- Gdzie pracuje, Aleksiej?
- W MI6.
- Wydział?
- Kadr i...
- Kadr i Bezpieczeństwa?
- Tak.
- Nazwisko, Aleksiej. Jak ten ktoś się nazywa?
- Nie mogę...
- Mów, kto to jest, Aleksiej. Mów, a oszczędzę ci bólu.

**Część trzecia**

# **BANDYCKI KRAJ**

*Vauxhall Cross, Londyn*

Mniej więcej godzinę po śmierci Aleksieja Rożanowa Graham Seymour otrzymał pierwszą wiadomość od swego najnowszego tajnego współpracownika. Informował on, że życie premiera Jonathana Lancastera jest śmiertelnie zagrożone i sugerował, że rosyjski wywiad zwerbował szpiega wewnątrz MI6. Seymour mawiał później, że był to dobrze wróżący początek kariery.

Zważywszy na sytuację, uznał za wskazane wysłać po Gabriela i Kellera prywatny samolot. Z paryskiego Le Bourget zostali przetransportowani na lotnisko London City w Docklands, a stamtąd samochód MI6 przewiózł ich błyskawicznie do Vauxhall Cross.

W pozbawionym okien pokoju na najwyższym piętrze, z telefonem przy uchu, czekał na nich Seymour. Odłożył aparat, gdy weszli, i przez chwilę lustrował ich wzrokiem pozbawionym wyrazu.

- Macie nagranie? - spytał w końcu.

Gabriel wyciągnął swego BlackBerry, znalazł odpowiedni fragment nagrania i wcisnął „Play”.

- *Gdzie to nastąpi?*

- *Szpital Guy's w Londynie.*

- *Kiedy?*

- *Jutro o trzeciej po południu.*

- *Kto jest celem?*

- *Premier Quinn i Katerina zabiją premiera Jonathana Lancastera w Londynie jutro po południu”.*

Zatrzymał nagranie.

- Aleksiej Rożanow? - spytał Seymour, wpatrując się intensywnie



nie w telefon.

Gabriel skinął głową.

- Może odtworzysz to od początku?

- Chyba jednak zacznę od końca.

Przewinął nagranie i po raz drugi kliknął „Play”.

- *Nazwisko, Aleksiej. Jego nazwisko.*

- *Grrr...*

- *Wybacz, ale nie zrozumiałem.*

- *Grimes...*

- *To nazwisko?*

- *Tak.*

- *A imię? Jak ma na imię?*

- *Arthur.*

- *Arthur Grimes? Tak się nazywa?*

- *Tak.*

- *Arthur Grimes z wydziału Kadr i Bezpieczeństwa MI6 jest płatnym agentem wywiadu rosyjskiego?*

- *Tak.*

Potem nastąpiło coś, co zabrzmiało jak strzał. Gabriel zatrzymał nagranie. Seymour zamknął oczy.

O dziewiątej rano grupa A1 A z MI5 włamała się do magazynu przy Thames Road 22 w Barking we wschodnim Londynie. Nie znalazła tam jednak furgonetki ani śladów wskazujących na obecność bomby.

Jednocześnie inna grupa MI5 wkroczyła do kawiarenki internetowej przy Lord Street w miejscowości Fleetwood. Szczęśliwym trafem jeden z obecnych pracowników był tam również poprzedniego wieczoru i zapamiętał parę, która odpowiadała rysopisom Quinna i Kateriny. Pamiętał również, z którego komputera korzystali. Funkcjonariusze MI5 skonfiskowali maszynę i załadowali ją na pokład śmigłowca Królewskiej Marynarki. Miał przybyć do Londynu najpóźniej w południe. Amanda Wallace domagała się, by laboratorium komputerowe MI5 przeprowadziło dokładną analizę zabezpieczonego urządzenia. Ze względów politycznych Graham Seymour zgodził się na to żądanie.

- Gdzie jest Grimes? - zapytał Gabriel.

- Wszedł do budynku kilka minut temu. Teraz nasi ludzie rozkładają jego mieszkanie na części pierwsze. To dla nich dość kłopotliwe. Grimes jest ich bezpośrednim zwierzchnikiem.

- Ile on wie?

- Odpowiada za proces weryfikacji funkcjonariuszy MI6, tak pracowników, jak i kandydatów. - Seymour zerknął na Kellera. - Nie ukrywam, że kilka dni temu rozmawiałem z nim o pewnym specjalnym projekcie, który zamierzamy wkrótce zrealizować.

- Chodzi o mnie?- spytał Keller.

Seymour skinął twierdząco głową.

- Grimes kontroluje również ewentualne luki i naruszenia systemu bezpieczeństwa, co oznacza, że ma pełną możliwość ochrony innych rosyjskich szpiegów i kretów. Jeśli rzeczywiście jest na liście płac SWR, będzie to największy skandal w zachodnim wywiadzie od czasu Aldricha Amesa.

- I dlatego o niczym nie wspomniałeś Amandzie Wallace.

Seymour nie odpowiedział.

- Czy może wiedzieć o pobycie moim i Kellera w Wormwood Cottage?

- Z reguły nie zajmuje się lokalami służbowymi, ale na pewno wie, gdy korzysta z nich ktoś ważny. Tak czy owak - dodał Seymour - za kilka minut się dowiemy, czy to on jest źródłem przecieku.

- W jaki sposób?

- Jurij Wołkow nam powie.

- Kim jest Wołkow?

- Zastępcą szefa rezydentury SWR w rosyjskiej ambasadzie. MI5 twierdzi, że wczoraj po południu spotkał się z informatorem w metrze. Jeden z moich ludzi jest w tej chwili w Thames House i sprawdza nagrania monitoringu. W gruncie rzeczy...

Przerwał mu telefon. Podniósł słuchawkę i przez kilka sekund słuchał w milczeniu. Potem zakończył i połączył się z kimś innym.

- Nie możesz stracić go z oczu. Ani na chwilę. Jeśli pójdziesz do toalety, idź za nim.

Odłożył słuchawkę, patrząc na Gabriela i Kellera.

- Powinienem być przejść na emeryturę, kiedy miałem możliwość.

- Byłby to wielki błąd - stwierdził Keller.

- Dlaczego?

- Bo straciłbyś szansę na dorwanie Quinna.

- Nie wiem, czy pragnę kolejnej szansy. W końcu - Seymour pokręcił głową - nie poszło mi najlepiej. Co tu ukrywać, wygrał ze mną dwa do zera.

W pokoju bez okien zapadła ciężka cisza. Seymour i Keller wpatrywali się w telefon, a Gabriel ani na chwilę nie spuszczał

wzroku z zegara.

- Jak długo zamierzasz czekać, Graham?
- Na co?
- Na to, żebym mógł spokojnie zamienić kilka słów z Arthurem Grimesem.
- Nie wolno ci nawet się do niego zbliżyć. Nikomu nie wolno - dodał. - Jeszcze długo. To może potrwać miesiące, nim będziemy gotowi go przesłuchać.
- Nie mamy miesięcy. Graham. Nasz czas mija o trzeciej po południu.
- W magazynie w Barking nie było żadnej bomby.
- Ta wiadomość wcale mnie nie cieszy.
- Seymour wpatrywał się w zegar.
- Dajmy laboratorium MI5 jeszcze chwilę. Obiecali odzyskać te e-maile do czternastej. Jeśli do tej pory się z tym nie uporają, wezwę Grimesa na rozmowę.
- O co zamierzasz go pytać?
- Zacznę od jego podróży z Jurijem Wołkowem.
- Wiesz, co ci odpowie?
- Nie.
- Zapyta tylko: Z kim?
- Jesteś cholernym fatalistą.
- Owszem - przyznał Gabriel. - To mnie chroni przed późniejszymi rozczarowaniami.

*Bristol, Anglia*

O dziewiątej rano w czwartym programie radia BBC podano pierwszą relację z wypadku w Hamburgu. Krótką i niepełną. Dwaj mężczyźni zostali śmiertelnie postrzeleni, dwaj inni zaginęli. Obie ofiary były Rosjanami. Zaginionych nie zidentyfikowano. Kanclerz Niemiec wyraziła podobno głębokie zaniepokojenie, natomiast Kreml oburzenie. Tak zwykle ostatnio bywało.

Quinn i Katerina usłyszeli wiadomość, jadąc autostradą M5 na wysokości Birmingham. Godzinę później wysłuchali najnowszej wersji, siedząc przed Marks & Spencer w centrum handlowym Cribbs Causeway w Bristolu. Wiadomość z godziny dziesiątej wzbogacono o kolejny szczegół. Wedle niemieckiej policji ofiary strzelaniny posiadały paszporty dyplomatyczne. Katerina wyłączyła radio, gdy specjalista BBC od polityki zagranicznej tłumaczył, że ów incydent może zapoczątkować spiralę kryzysu na skalę międzynarodową.

- Teraz już wiemy, dlaczego Allon upozorował swoją śmierć - stwierdziła.

- Ale po co Aleksiej przyjechał wczoraj do Hamburga?

- Może ściągnięto go podstępem.

- Kto?

- Oczywiście Allon. Prawdopodobnie w tej chwili go przesłuchuje. Może zresztą Aleksiej już nie żyje. W każdym razie powinniśmy założyć, że Allon wie, gdzie jesteśmy. A to znaczy, że natychmiast musimy opuścić Anglię.

Quinn nie odpowiedział.

- A jeśli ci udowodnię, że to Aleksiej był w tym samochodzie? -

ciągnęła.

- Kolejny e-mail do moskiewskiej Centrali?

Przytaknęła.

- Mowy nie ma.

Przesunęła wzrokiem po samochodach stojących na zatłoczonym parkingu.

- Mogą nas obserwować nawet teraz.
- Nie obserwują.
- Jesteś pewien?
- Długo z nimi walczyłem, Katerino. Jestem pewien.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Nie jestem dżihadystką, Eamon. Nie przyjechałam tu, żeby zginąć. Wyciągnij mnie stąd. Skontaktujemy się z Centralą i załatwimy środki na bezpieczny powrót.

- Na pewno tak zrobimy - odparł - ale najpierw musimy jeszcze coś załatwić.

Spojrzała na dwie kobiety, które wchodziły do sklepu Marks & Spencer.

- Po co tu przyjechaliśmy?
- Musimy zrobić zakupy.
- A potem?
- Potem pójdziemy pospacerować.

*Downing Street 10*

Graham Seymour wkrótce po dwunastej w południe opuścił Vauxhall Cross i udał się na Downing Street 10, by uprzedzić o niebezpieczeństwie premiera Jonathana Lancastera. Poinformował go, że Eamon Quinn niemal na pewno wrócił do kraju i planuje kolejny zamach. Być może jego celem będzie Guy's Hospital w czasie wizyty premiera, a może inny obiekt. Wyjaśnił, że będą wiedzieć więcej, gdy laboratorium MI5 zakończy proces odzyskiwania danych z komputera skonfiskowanego we Fleetwood. Nie wspomniał o Arthurze Grimesie i jego tajnym kontakcie z Jurijem Wołkowem z ambasady rosyjskiej. Uważał, że złe wiadomości należy dozować.

- Właśnie minąłeś się z Amandą - rzekł premier. - Radzi mi odwołać wizytę w Guy's. Uważa również, że powinienem zabarykadować się pod dziesiątką, dopóki Quinn nie zostanie ujęty.

- Amanda to mądra kobieta.

- Pod warunkiem, że się z tobą zgadza. - Premier się uśmiechnął.

- Cieszę się, że jesteście dla siebie mili. - Umilkł, po czym spytał: - Bo jesteście dla siebie mili, prawda?

- Tak, panie premierze.

- A więc powiem ci to samo, co powiedziałem jej - kontynuował Lancaster. - Nie zamierzam ani na jotę zmieniać swoich planów z powodu jakiegoś terrorysty z IRA.

- IRA nie ma z tym nic wspólnego. Tu chodzi wyłącznie o interesy.

- Tym bardziej. - Premier wstał i odprowadził go do drzwi.

- Jeszcze jedno, Graham.

- Tak, panie premierze.
- Nie próbuj go zaaresztować.
- Słucham, sir?
- Słyszałeś. Żadnych aresztowań. - Położył mu rękę na ramieniu.
- Wiesz, czasem zemsta uzdrawia nam duszę.
  - Ja nie pragnę zemsty, panie premierze.
  - Sugeruję zatem, żebyś znalazł kogoś, kto jej pragnie, i dopuścił go jak najbliżej Eamona Quinna.
  - Myślę, że mam takiego człowieka. A właściwie to nawet dwóch.

Samochód Seymoura czekał przed słynnymi czarnymi drzwiami Downing Street 10. Zawiózł go z powrotem do Vauxhall Cross, gdzie Gabriel i Keller czekali w pozbawionym okien pokoju na najwyższym piętrze. Wydawało się, że od chwili, gdy wyszedł, zamarli w bezruchu.

- Jak to przyjął? - spytał Gabriel.
  - Ze stanowczością graniczącą z uporem.
  - Kiedy jego kawalkada wyjeżdża z Downing Street?
  - Druga czterdzieści pięć.
- Spojrzał na zegar. Była za pięć druga.
- Wiem, że mieliśmy czekać do drugiej. Graham, ale...
  - Czekamy do drugiej.

Trzej mężczyźni siedzieli nieruchomo, milcząc, podczas gdy upływało końcowe pięć minut. Z chwilą, gdy wskazówka stanęła na drugiej, Seymour połączył się z Amandą Wallace w Thames House po drugiej stronie rzeki i spytał o wyniki analizy.

- Są już blisko - odparła.
- Jak blisko?
- Potrzebują godziny.
- To za dużo.
- Co mam zrobić?
- Zadzwoń, gdy tylko coś znajdą.

Rozłączył się i spojrzał na Gabriela.

- Byłoby lepiej, gdybyś nie słyszał tego, co teraz powiem.
- Możliwe - odrzekł Gabriel - ale za żadne skarby świata nie chciałbym, żeby mnie to ominęło.

Seymour podniósł telefon i wybrał połączenie.

- Arthur - zaczął serdecznie. - Tu Graham. Cieszę się, że cię złapałem.

Siedem piętér pod stopami Grahama Seymoura mężczyzna w szarym boksie wolno odłożył słuchawkę. Jak wszystkie boksy w Vauxhall Cross, i ten nie miał tabliczki z nazwiskiem, tylko serię numerów przedzielonych ukośnikami. To dziwne, że Graham Seymour zwrócił się do niego po imieniu, gdyż większość pracujących w Vauxhall Cross używała tylko nazwy jego funkcji - Kadrowy. Idź, poszukaj Kadrowego, Kryj się, idzie Kadrowy. To brzmiało jak obelga, jak wyraz wzgardy. Unikano go, budził odrazę, ale nade wszystko lęk. Był wtajemniczony w ich sekrety, znał wszystkie słabości i kłamstwa. Wiedział o ich romansach, problemach finansowych, skłonnościach do nałogów. Jego władza umożliwiała niszczenie karier lub - jeśli miał ochotę - ich wspomaganie. Był prokuratorem, sędzią i egzekutorem. Bogiem w szarym boksie. A jednak również on ukrywał pewien sekret. Nie wiadomo, jak odkryli go Rosjanie. A potem podsunęli mu kilkunastoletnią lolitkę, odbierając resztki godności.

„Tu Graham. Cieszę się, że cię złapałem...”

Ciekawy dobór słów, myślał Grimes. Może to freudowskie przejęzyczenie, ale podejrzewał co innego. Zbieżność telefonu Seymoura z informacją, którą dzień wcześniej przekazał w metrze, źle wróżyła. To było lekkomyślne, pochopne posunięcie. I zapewne go zdemaskowało.

„Cieszę się, że cię złapałem”.

Jego marynarka zwisała z haczyka na ścianie obok fotografii rodziny, jeszcze sprzed rozvodu. Na korytarzu za nim Nick Rowe flirtował ze ślicznotką z archiwum. Ten cholerny Rowe krążył wokół niego przez cały dzień. Grimes minął ich bez słowa i ruszył w stronę wind. Kabina nadjechała niemal w chwili, gdy ją przywołał. To nie może być przypadek.

Winda sunęła tak bezszelestnie, że nie odczuwał jej ruchu. Gdy otworzyła się z sykiem, ujrzał Eda Marlowe'a ze swojego wydziału. Stojąc w przejściu, tak głośno ryknął „Arthur!” jakby Grimes nagle ogłuchł.

- Musimy się spotkać na drinka. Jest wiele do omówienia.

Nie czekając na odpowiedź, Marlowe wskoczył pomiędzy zasuwające się drzwi windy i zniknął. Grimes wszedł w oślepiające światło atrium. To była Walhalla szpiegowskiego świata. Ziemia Obiecana. Pokój, w którym urzędował Graham Seymour, znajdował się na prawo. Drzwi na lewo wychodziły na taras. Skręcił w lewo, i wyszedł na zewnątrz.

Zimne powietrze uderzyło go silnie w policzek. W dole płynęła Tamiza, ciemna, ołowiana i dziwnie kojąca. Grimes głęboko ode-



tchnął i spokojnie zaczął zbierać myśli. Miał tę przewagę nad nimi, że znał ich techniki. Jego boks był w porządku. Podobnie jak mieszkanie, konta bankowe, komputery i telefony. Niczego nie mogli mu zarzucić. Niczego oprócz jazdy metrem z Wołkowem. Pokona ich. Odeprze wszelkie zarzuty. Przecież jest Kadrowym.

Właśnie wtedy usłyszał za sobą jakiś odgłos. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Wolno się obrócił i zobaczył z tyłu na tarasie Grahama Seymoura. Jego szpakowate włosy powiewały na wietrze, a twarz się uśmiechała. To ten uśmiech, pomyślał Grimes, utorował mu drogę do kariery, podczas gdy lepsi od niego dusili się beznadziejnie w kółtowni wywiadu.

Seymour nie był sam. Za nim stał nieco niższy mężczyzna o uderzająco zielonych oczach i siwych skroniach. Grimes rozpoznał go i poczuł, że drętwieje.

- Arthur - odezwał się Seymour tym samym na pozór serdecznym tonem, jakim chwilę wcześniej mówił przez telefon. - Co ty tu robisz? Wszyscy czekamy na ciebie w środku.

- Wybacz, Graham. Nieczęsto zdarza mi się bywać w tym miejscu.

Obdarzył go uśmiechem, który nie miał w sobie nic z wdzięku Seymoura. Pomyślał, że nie maskuje poczucia winy, odsłania tylko dziąsła i zęby. Obrócił się, ponownie spojrzął na rzekę i nagle zaczął biec. Jakaś ręka próbowała go chwycić, gdy wspiął się na balustradę, a gdy spadał w stronę tarasu niżej, wyobraził sobie, że leci. Wtedy jednak gwałtownie zbliżyła się ziemia gotowa go przyjąć i uderzył w nią głucho jak pękający owoc.

Upadł z wysokości kilku pięter, co wystarczyło, by zginął. Nie nastąpiło to jednak od razu. W ostatnim przeblýsku świadomości widział otaczające go znajome twarze. Były to twarze z akt, pracownicy MI6, których życie dowolnie plądrował. Ale nawet teraz, w chwili agonii, nikt nie użył jego prawdziwego imienia. Kadrowy skoczył z tarasu na dachu, mówili. Kadrowy nie żyje.

*Kornwalia, Anglia*

W sklepie Marks & Spencer w Bristolu Quinn i Katerina kupili dwie pary butów trekkingowych, dwa plecaki, lornetkę, kijki turystyczne oraz przewodnik po Devon i Kornwalii. Zapakowali wszystko do bagażnika i ruszyli na zachód do kornwalijskiego Helston.

Miejscowość ta sąsiadowała z Bazą Lotniczą Marynarki Wojennej Culdrose, największą w Europie stacją śmigłowców. Quinn poczuł w piersi ucisk, gdy jechał wzdłuż wysokiego ogrodzenia z metalowej siatki, zwieńczonego spiralnymi zasiekami z drutu ostrzowego. Gdy nad drogą zawisł nagle śmigłowiec, miał wrażenie, że znalazł się znowu w „bandyckim kraju”, południowym Armagh. Tamtą wojnę skończyłem, przypomniał sobie. Teraz wojna jest tutaj.

Niecałe pięć kilometrów na południe od lądowiska leżała wioska Mullion. Kierując się wzdłuż znaków prowadzących do zajazdu Old Inn, Quinn ujrzał parking dokładnie po drugiej stronie drogi, obok nadmorskiego sklepu Atlantic Forge. Włożyli sportowe buty i sztormiaki, po czym Quinn wrzucił mapę, przewodnik i lornetkę do płóciennego plecaka. Torbę z bronią zostawił w samochodzie. Wziął tylko makarowa. Katerina nie była uzbrojona.

- Kogo udajemy? - spytała, kończąc się przebierać.
- Wczasowiczów.
- W zimie?
- Zawsze lubiłem nadmorskie kurorty zimą.
- Gdzie się zatrzymamy?
- Gdzie chcesz.
- Co byś powiedział na Godolphin Arms w Marazion?

Uśmiechnął się.

- Jesteś naprawdę dobra, wiesz?
- Lepsza niż ty.
- Możesz wysilić się na brytyjski akcent?

Zawahała się.

- Tak, chyba tak.

- Jesteś bankowcem z Londynu, a ja twoim chłopakiem z Panamy.

- Szczęściara ze mnie.

Opuścili wioskę, idąc wzdłuż Poldhu Road. Quinn szedł brzegiem asfaltu, Katerina bezpiecznie poboczem. Przeszli jakieś półtora kilometra, gdy w żywopłocie pojawiła się przerwa i mały znak skierował ich na ścieżkę publiczną. Obeszli zagrodę dla bydła i przecięli pole uprawne, wychodząc na South West Coast Path. Tędy ruszyli na północ wzdłuż nadmorskich klifów do plaży Poldhu, a potem, idąc przy granicy terenu klubu golfowego w Mullion, dotarli do starożytnego kościoła w St. Winwaloe. Weszli tam na krótko dla zachowania pozorów, po czym skierowali się dalej na północ do zatoki Gunwalloe. Domek stał samotnie na południowym krańcu klifów, obrośnięty zielenią kostrzewy i zawciągu. Na podjeździe stały dwa samochody.

- To tu - powiedział Quinn.

Zrzucił plecak, wyjął lornetkę i skierował ją na linię skał, jakby podziwiał widoki. Potem nastawił obiektyw na dom. Jeden z samochodów był pusty, ale w drugim siedziało dwóch mężczyzn. Przesunął lornetkę w stronę okien. Rolety były starannie zasunięte.

- Mamy towarzystwo - odezwała się nagle Katerina.

- Widzę. - Oderwał lornetkę od oczu.

- Co robimy?

- Idziemy dalej.

Schowwał lornetkę do plecaka i przerzucił go przez ramię. Potem oboje ruszyli przed siebie. Jakies sto metrów dalej zobaczyli mężczyznę, który szedł po skałach w ich kierunku. To nie jest zwykły turysta, pomyślał Quinn. Miał zdyscyplinowane ruchy, lekki krok i broń pod ciemnobłękitną wiatrówką. Zapewne weteran wojskowy, może nawet z SAS. Poczuł, że makarow wciska mu się w podstawę kręgosłupa. Żałował, że nie ma go pod ręką, ale było za późno na zmiany.

- Mów coś - mruknął.

- O czym?

- O tym, jak dobrze się bawiłaś z Billem i Mary w weekend i jak bardzo chciałabyś kupić dom na wsi. Może gdzieś w Cotswolds.

- Nie znoszę Cotswolds.

Zacząła jednak opowiadać z entuzjazmem o Billu i Mary oraz ich farmie nieopodal Chipping Campden. Paplała, jak to Bill podrywa dziewczyny, kiedy się napije, a Mary durzy się w Thomasie, przystojnym koledze z biura, którego ona, Katerina, zawsze uważała za geja. W tym momencie mężczyzna o wyglądzie wojskowego zrównał się z nimi. Quinn cofnął się za Katerinę, by go przepuścić, a ona zwolniła na tyle, by życzyć nieznanemu miłego dnia. Quinn patrzył w ziemię i milczał.

- Czy widziałeś, jak na nas spojrział? - zapytała, gdy znów znaleźli się sami.

- Idź dalej - polecił. - I nie próbuj oglądać się przez ramię.

Domek znajdował się teraz na wprost nich. Za nim, wzdłuż zielonego pola, biegła nadmorska dróżka. Niewielka różnica wzniesień pozwoliła Quinnowi bezkarnie zerkać ponad żywopłot i widzieć twarze dwóch mężczyzn w zaparkowanym samochodzie. Katerina nadal krytycznie wypowiadała się o Mary, on zaś powoli kiwał głową, jakby uznawał jej uwagi za nader wnikliwe.

W pewnej chwili, jakieś pięćdziesiąt metrów za domem, przystanął na krawędzi skały i spojrział na zatoczkę. Jakiś mężczyzna rzucał linę w wysokie fale, a z tyłu wzdłuż połaci złotego piasku szła kobieta, śladem której włókł się inny mężczyzna. Miał na sobie wiatrówkę tej samej barwy co spotkany przez nich wcześniej były żołnierz. Kobieta szła w pewnej odległości od nich, poruszając się wolno i bez celu, niczym więzień, który wykonuje na spacerniaku przepisowe ćwiczenia. Quinn czekał, aż się odwróci, nim podniósł lornetkę do oczu. Potem podał ją Katerinie.

- Nie trzeba - powiedziała.

- Czy to ona?

Przez chwilę patrzyła na kobietę idącą w jej stronę wzdłuż linii brzegu.

- Tak - odparła w końcu. - To ona.

*Szpital Guy's, Londyn*

W ciągu kilku minut, które nastąpiły po samobójstwie Arthura Grimesa, Graham Seymour ponownie apelował do Jonathana Lancastera, by odwołał wizytę w szpitalu Guy's. Premier nie zmienił stanowiska, zgodził się jednak na wzmocnienie ochrony. Dołączył do niej dwóch mężczyzn, którzy podobnie jak on uważali, że zemsta może uzdrowić duszę, i którzy pragnęli zabić Eamona Quinna.

Szef SO1, specjalistycznej jednostki londyńskiej policji powołanej do ochrony premiera i jego rodziny, był, jak można się spodziewać, zbulwersowany poleceniem włączenia do grupy swych podwładnych dwóch obcych mężczyzn. Tym bardziej że jeden z nich był oficerem obcego wywiadu, a drugi awanturnikiem o podejrzanej przeszłości. Dał im jednak krótkofalówki i upoważnienia, które otwierały wszystkie drzwi w szpitalu.

Każdy otrzymał też glocka 17, kaliber 9mm. Było to złamanie wszelkich istniejących protokołów bezpieczeństwa, ale domagał się tego sam premier.

Gabriel i Keller nie mieli już czasu, by jechać na Downing Street. Policyjne bmw odebrało ich z Vauxhall Cross i pomknęło przez Kennington Lane wprost do Southwark. Historyczny szpital Guy's, jedna z najwyższych budowli Londynu, górował nad płataniną ulic w pobliżu Tamizy nieopodal London Bridge. Polecili, by wóz zatrzymał się przed futurystycznym wieżowcem Shard, i wysiedli. Ulicę na co dzień objętą zakazem parkowania teraz, w związku ze zbliżającą się wizytą premiera, wyłączono z ruchu. Natomiast kilka pojazdów parkowało na sąsiedniej Weston Street, w tym biała furgonetka, której opony

uginały się pod ciężarem zawartości. Na żądanie Gabriela policja odnalazła jej właściciela. Okazał się weteranem Marynarki Królewskiej, a obecnie przedsiębiorcą budowlanym, który prowadził remont w pobliskim budynku. Furgonetka była załadowana płytami piaskowca przeznaczonymi na posadzkę.

Snowfields, ostatnia z ulic należących do chronionego kwartału, wąska miejska rynna bez miejsc do parkowania, w tym dniu dostępna była tylko dla wozów policyjnych. Gabriel z Kellerem przeszli tędy do Bramy Trzeciej, głównego wejścia na teren szpitala, i przecięli wewnętrzny kordon ochrony. Minister zdrowia czekał już na dziedzińcu razem z przedstawicielami Narodowej Służby Zdrowia i dużą delegacją pracowników, z których wielu miało na sobie białe kitle i szpitalne uniformy. Gabriel w milczeniu wszedł pomiędzy nich, wypatrując twarzy, którą szkicował w domu w hrabstwie Galway, oraz kobiety, którą po raz pierwszy widział na spokojnej ulicy Lizbony. Potem zadzwonił do Grahama Seymoura urzędującego w pokoju operacyjnym Vauxhall Cross.

- Kiedy przyjedzie premier?
- Za dwie minuty.
- Znaleźli coś w komputerze z Fleetwood?
- Są blisko.
- To samo mówili przed godziną.
- Dam ci znać, gdy tylko coś znajdą.

Połączenie zostało przerwane. Gabriel wsunął aparat do kieszeni i wbił wzrok w Bramę Trzecią. Chwilę później pojawiły się dwa motocykle eskorty, a za nimi rządowa limuzyna. Jonathan Lancaster wyskoczył z tylnego siedzenia jaguara i zaczął ścisnąć dłonie.

- Czy on naprawdę musi? - zniecierpliwził się Keller.
- Obawiam się, że ma to we krwi.
- Oby gdzieś w pobliżu nie było Quinna, bo może się to źle skończyć.

Premier uściśnął ostatnią wyciągniętą dłoń. Potem spojrzął na Gabriela stojącego z Kellerem, skinął głową i wszedł do środka. Była dokładnie trzecia po południu.

*Zatoka Gunwalloe, Kornwalia*

W chwili gdy Jonathan Lancaster zniknął za drzwiami szpitala, w centralnym Londynie zaczął padać deszcz, natomiast w dalekiej części zachodniej Kornwalii spoza warstwy chmur wyjrzało blade słońce. Dobra pogoda stanowiła okoliczność sprzyjającą, gdyż tłumaczyła obecność Kateriny na plaży przy zatoce Gunwalloe.

Przyjechała tam za dziesięć trzecia po południu, zostawiwszy Quinna pięć minut wcześniej w pobliżu starego kościoła. Renault stało teraz na parkingu nad zatoką, a ona miała w plecaku samsunga, telefon przeznaczony do jednorazowego użytku oraz pistolet maszynowy skorpion evo III kaliber 9mm z tłumikiem.

„Zawsze lubiłaś skorpiony, prawda, Katerino?” - przypomniała sobie słowa Rożanowa.

W czasie jazdy z kościoła nad zatokę zastanawiała się przez chwilę, czy nie uciec z Anglii i nie zostawić Quinna własnemu losowi. W końcu jednak postanowiła zostać i wypełnić swoją misję. Miała pewność, że Aleksiej nie żyje, ale mimo to uznała, że nie byłoby rozsądnie wracać do Rosji, nie wypełniwszy zadania. To przecież car wysłał ją powtórnie do Anglii. Ona zaś, jak każdy Rosjanin, wiedziała, że cara nie wolno rozczarować.

Sprawdziła czas. Było pięć po trzeciej. Quinn powinien zbliżyć się do domu na klifie. Jeśli podejrze do niego któryś z ochroniarzy, tak jak ten ekszołnierz rano, Quinn go zabije. Wtedy pozostanie tylko trzech mężczyzn chroniących obiekt, dwaj przed domem i trzeci łowiący ryby w zatoczce. Nie miała wątpliwości co do jego roli. Widziała zarys broni pod kurtką i miniaturową krótkofalówkę, której

użył, by powiadomić kolegów o obecności nieznajomej nad zatoczką. W nagłych przypadkach radio zapewne nadawało jakiś sygnał alarmowy, chyba że nie było na to czasu. Tak czy owak los ochroniarza był przesądzony. Po raz ostatni oglądał zachód słońca.

Wyciągnął rybę z morza, umieścił ją w żółtym wiadrze umocowanym na linie, by nie zmyła go fala, i założył na haczyk przynętę. Następnie, skinąwszy głową w stronę Kateriny, ponownie wszedł w przybrzeżne fale i zarzucił wędkę. Z uśmiechem otworzyła plecak, odsłaniając korpus skorpiona. Ustawiony na tryb automatyczny mógł oddać dwadzieścia strzałów w niecałą sekundę przy minimalnym wzniesieniu lufy. Quinn był uzbrojony w identyczny sposób.

W tej samej chwili zawibrował samsung i na ekranie pojawiła się wiadomość: „Cegły są w murze”.

Musiał to zrobić, pomyślała. Musiał uświadomić Brytyjczykom, że to on. Wrzuciła telefon do plecaka, zacisnęła dłoń na rękojeści skorpiona i skupiła wzrok na mężczyźnie stojącym w wodzie. Nagle jego głową szarpnęło w górę, a potem w lewo, ku klifom. Obrócił się, lecz zbyt późno. Zdążył tylko dostrzec, jak Katerina idzie ku niemu przez piasek z pistoletem w wyciągniętej ręce.

„Dwadzieścia strzałów w niecałą sekundę, minimalne wzniesienie lufy...”.

Fale zalewające plażę poczerwieniały od krwi martwego ochroniarza z MI6. Katerina spokojnie przeładowała pistolet i stromą ścieżką bez wysiłku wspięła się na parking. Stało tam tylko renault.

Wsunęła się za kierownicę, włączyła silnik i ruszyła podjazdem w stronę domu.



*Thames House*

Sposób, w jaki sformułowane były e-maile, nie budził jednoznacznych podejrzeń, ale doświadczonego specjalistę z MI5 uderzyła ich sztuczność. Zresztą dotyczyło to również adresów korespondujących osób. Informatyk pokazał wydruk swemu zwierzchnikowi, a ten uznał, że należy powiadomić o tym Milesa Kenta. Tego ostatniego najbardziej zaintrygowała nazwa ulicy, która pojawiła się w ostatnim e-mailu. Adres wydał mu się dziwnie znajomy, toteż szybko sprawdził go w bazie danych MI5 i odkrył pewną alarmującą zbieżność. Jego następne kroki prowadziły do centrum operacyjnego, gdzie Amanda Wallace monitorowała wizytę premiera w szpitalu. Kent położył przed nią wydruk. Przeczytała i zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy?
  - Przyjrzyj się adresowi.
- Przez chwilę wpatrywała się w kartkę.
- Czy to nie jest dom, w którym mieszkał Allon?

Kent skinął głową.

- Kto tam teraz jest?
- Powinnaś chyba spytać Grahama Seymoura.

Amanda sięgnęła po telefon.

Kilka sekund później, po drugiej stronie Tamizy, w innym centrum operacyjnym. Graham Seymour odebrał telefon.

- Macie coś?
- Problem.

- Jaki?
- Czy ktoś mieszka teraz w domu Allona w zachodniej Kornwalii?

Seymour zawahał się, po czym odparł:

- Wybacz, Amando, ale nie mogę o tym mówić.
- O Boże! - westchnęła ciężko. - Bałam się, że to usłyszę.

Dom na klifie był oficjalnie uznany za jeden z konspiracyjnych lokali MI6, toteż nie posiadał czynnej linii telefonicznej. Jego obecną mieszkankę pozbawiono również komórki z obawy, że nieostrożnie może powiedzieć coś, co mogłoby zdradzić wrogom jej kryjówkę. Próby kontaktu z agentami ochrony nie dały rezultatu. Żaden z nich nie odbierał telefonu, a ich radia w odpowiedzi wydawały tylko trza-ski.

Ale jeden telefon odezwał się natychmiast. Graham Seymour zadzwonił na komórkę Gabriela o 15.17. Gabriel znajdował się w tym czasie w sali wykładowej szpitala, gdzie premier miał przedstawić receptę na bólączki trapiące brytyjską świętość - państwowy system ochrony zdrowia. Seymour obserwujący przebieg wizyty na ekranach wideo w centrum operacyjnym odezwał się spokojniej, niż można by przypuszczać w zaistniałej sytuacji.

- Obawiam się, że to nie premier był celem. Na lądowisku w Battersea na ciebie i Kellera czeka śmigłowiec. Wysyłam po was radiowóz.

Połączenie zostało przerwane, Seymour odłożył słuchawkę. Gdy podniósł wzrok na ekran, zdążył jeszcze dostrzec, jak dwaj mężczyźni wybiegają z sali wykładowej.

*Zachodnia Kornwalia*

Madeline Hart nie usłyszała strzałów, tylko ostry trzask pękającego drewna. A potem zobaczyła, jak przez wyważone drzwi frontowe wdiera się mężczyzna z pistoletem maszynowym. W ułamku sekundy doskoczył do niej i wymierzył pięścią tak brutalny cios w brzuch, że odebrało jej głos i odcięło oddech. Gdy leżała, zwijając się z bólu, związał jej ręce i zalepił usta taśmą, a na głowę narzucił kaptur z czarnej wełny. Mimo że nic nie widziała, wyczuła obecność drugiej osoby, mniejszej i lżejszej. Wspólnie dźwignęli ją na nogi i z trudem łapiącą oddech przeciągnęli przez pokój z widokiem na zatokę.

Na zewnątrz dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał. Sądziła, że należał do jednego z ochroniarzy. Napastnicy wrzucili ją do bagażnika samochodu i zatrzasnęli klapę jak wieko trumny. Potem usłyszała tarcie opon na żwirze i słaby odgłos uderzających o brzeg fal. Na koniec morze ucichło i słychać było jedynie szum gumy na asfalcie. A także głosy. Jeden męski, drugi kobiecy. Mężczyzna niemal na pewno pochodził z Irlandii, ale nietypowy akcent kobiety nie zdradzał jej narodowości. Madeline była pewna jedynie tego, że gdzieś wcześniej już ten głos słyszała.

Nie umiała określić kierunku, w którym zmierzali, czuła tylko, że jadą po nierównej powierzchni. Pewnie jakąś drugorzędną drogą, pomyślała. Nie miało to zresztą znaczenia, gdyż nie posiadała gruntowniejszej wiedzy na temat geografii Kornwalii. W gruncie rzeczy była przecież więźniem w domu, który udostępnił jej Gabriel.

Owszem, od czasu do czasu mogła się wyprawić do Lizard Point i odwiedzić kawiarenkę na klifie, by wypić tam herbatę i zjeść słodką

bułeczkę, ale z reguły nie wychodziła dalej niż na plażę nad zatoką Gunwalloe. Jakiś mężczyzna z londyńskiej siedziby MI6 regularnie przyjeżdżał do Kornwalii, by uświadamić jej stopień zagrożenia czy, jak to określał, wygłosić kazanie. Mówił zawsze to samo - że jej ucieczka jest dla Kremla zniewagą i że pozostaje tylko kwestią czasu, nim Rosjanie podejmą próbę rewanzu.

Czas ten najwyraźniej nadszedł. Podejrzewała, że jej porwanie wiąże się z próbą zabójstwa Gabriela. Mężczyzną z irlandzkim akcentem był niewątpliwie Eamon Quinn. A kobieta? Madeline wsłuchiwała się w cichy szmer jej głosu i dziwaczny zlepek akcentów - niemieckiego, brytyjskiego i rosyjskiego. A potem zamknęła oczy i ujrzała dwie dziewczynki siedzące w parku zainscenizowanego angielskiego miasteczka. Dziewczynki odebrane matkom i wychowane przez wilki. Dziewczynki, które pewnego dnia miały zostać wysłane w świat, by szpiegować dla kraju, którego nigdy naprawdę nie poznały. Wyglądało na to, że ktoś z moskiewskiej Centrali wysłał teraz jedną z nich, by zabiła drugą. Tylko Rosjanie mogą być tak okrutni.

Madeline miała słabe wyczucie czasu, ale zakładała, że do chwili gdy samochód stanął, upłynęło dwadzieścia minut. Silnik ucichł, kłapa bagażnika się uniosła i dźwignęły ją dwie pary rąk - jedna męska, druga wyraźnie kobieca. Powietrze było ostre i nasycone jodem, a ziemia pod stopami nierówna i kamienista. Słyszała szum morza i krzyk mew krążących nad jej głową.

Gdy zbliżyli się do krawędzi wody, zawył silnik i poczuła dym. Przeciągnęli ją przez przybrzeżną płyciznę i wepchnęli na pokład jakiejś niedużej łodzi. Ta natychmiast ruszyła i unosząc się na falach, skierowała ku otwartemu morzu. Związana i zakapturzona Madeline słuchała, jak rotor wiruje pod powierzchnią wody. Zdawał się powtarzać: Wkrótce umrzesz. Już właściwie jesteś martwa.

*Zatoka Gunwalloe, Kornwalia*

Na lądowisku w Battersea czekał na nich śmigłowiec transportowy Westland Sea King z turbospalinowym silnikiem rolls-royce gnome. Przewiózł Gabriela i Kellera przez całą szerokość południowej Anglii z prędkością dwustu kilometrów na godzinę, nieco niższą od maksymalnej. Do Plymouth dotarli o szóstej, a kilka minut później dostrzegli światła latarni morskiej na Lizard Point. Pilot chciał lądować w Culdrose, ale Gabriel skłonił go, by leciał wprost do Gunwalloe.

Gdy mijali widoczny w dole dom na klifie, na podjeździe i wzdłuż całej drogi z Lamb i Flag wirowały błękitne światła policyjnych radiowozów. Ich blask zalewał też zatokę, która teraz stała się sceną zbrodni. Gabriel poczuł, że ogarnia go fala mdłości. Jego ukochane kornwalijskie schronienie, miejsce, w którym odzyskał spokój i równowagę po kilku najtrudniejszych akcjach, stało się areną mordy.

Pilot wysadził ich na północnym krańcu zatoki. Ruszyli biegiem wzdłuż brzegu i stanęli przy lampach oświetlających miejsce zabójstwa. Ostre, skierowane w dół światło wydobywało z mroku ciało mężczyzny. Był wielokrotnie postrzelony w klatkę piersiową. Bliskość ran wlotowych wskazywała na dobrze wyszkolonego zabójcę. Gabriel pomyślał, że mogła to być kobieta.

Podniósł wzrok na czterech mężczyzn stojących nad ciałem. Dwaj mieli mundury policji Devon i Kornwalii, dwaj pozostali, w cywilu, byli detektywami z Wydziału Zabójstw. Zastanawiał się, od kiedy tu są. Wystarczająco długo, odpowiedział sobie po chwili, by oświetlić zatokę jak stadion przed wieczornym meczem futbolu.

- Czy naprawdę musicie używać tych łukowych lamp? Ten człowiek już się nigdzie nie wybiera.

- A kto pyta? - Jeden z detektywów zlustrował go nieprzyjaznym spojrzeniem.

- MI6 - spokojnie odparł Keller, po raz pierwszy podając się za funkcjonariusza służb wywiadu Jej Królewskiej Mości.

Reakcja miejscowych funkcjonariuszy była natychmiastowa.

- Proszę o jakiś dowód - odezwał się detektyw.

Keller wskazał w kierunku śmigłowca przy krańcu zatoki.

- To jest dowód - warknął. - A teraz rób, co mówi kolega, i zgasz te cholerne światła.

Jeden z mundurowych wyłączył lampy łukowe.

- I przekaz radiowozom, żeby wyłączyły lampy sygnalizacyjne. Jasne?

Ten sam policjant wydał rozkaz przez radio. Gabriel popatrzył w stronę domu i zobaczył, że błękitne światła zgasły. Wtedy spojrzął na ciało leżące u jego stóp.

- Gdzie go znaleźliście?

- Pan też jest z MI6? - spytał detektyw w cywilu.

- Odpowiedz na pytanie - warknął Keller.

- Był na linii wody.

- Łowił ryby? - spytał Gabriel.

- Skąd pan wie?

- Jakoś zgadłem.

Detektyw obrócił się i wskazał na skały.

- Strzelano stamtąd. Znaleźliśmy dwadzieścia łusek. - Spojrzął w dół na zabitego. - Jak widać, większość pocisków trafiła w cel. Zapewne zginął, nim jeszcze upadł w wodę.

- Jacyś świadkowie?

- Nikt się nie zgłosił.

- A ślady stóp w pobliżu łusek?

Detektyw skinął głową.

- Ten, kto strzelał, miał buty turystyczne.

- Jaki rozmiar?

- Mały.

- Kobieta?

- Możliwe.

Gabriel odwrócił się i bez słowa poprowadził Kellera ścieżką do domu na górze. Weszli przez przeszklone drzwi wychodzące na taras. Salon przekształcono w stanowisko dowodzenia. Wyłamane drzwi frontowe zwisały na zawiasie, odsłaniając otwór, przez który widać

było kolejne dwa ciała leżące na podjeździe.

Gdy Gabriel i Keller weszli, zbliżył się do nich wysoki mężczyzna, który przedstawił się jako detektyw inspektor Frazier. Gabriel uścił-  
nął mu dłoń, ale nie ujawnił swej tożsamości. Podobnie Keller.

- Który z was jest z MI6? - spytał inspektor.

Gabriel wskazał głową Kellera.

- A pan? - zwrócił się do Gabriela.

- To przyjaciel naszych służb - odparł Keller.

Pogarda inspektora dla partyzantów była jasno wypisana na jego twarzy.

- Znaleźliśmy cztery ofiary - oświadczył. - Jednego w zatoce, dwóch przed domem, a czwartego na ścieżce nad brzegiem. Otrzymał jeden strzał w pierś i jeden w głowę. Nie miał nawet szansy wyjąć broni. Ci na podjeździe byli postrzeleni wielokrotnie, jak ten gość w zatoce.

- A co z kobietą, która tu mieszkała?

- Nie wiadomo, co się z nią stało.

Detektyw podszedł do sztalug Gabriela i powiesił na nich mapę zachodniej Kornwalii.

- Dwóch świadków z miasteczka widziało tuż po piętnastej szybko jadące renault. Kierowało się na północ. Ustawiliśmy blokady drogowe tu, tu i tu - dodał, wskazując palcem trzy miejsca. - Żaden ze świadków nie widział kierowcy, ale obaj twierdzą, że obok siedziała kobieta.

- Wasi świadkowie mają rację - orzekł Gabriel.

Inspektor odwrócił się od mapy.

- Kim ona jest?

- Zabójcą z rosyjskiego wywiadu.

- A mężczyzna, który prowadził?

- Kiedyś był najlepszym konstruktorem bomb w Prawdziwej IRA, co znaczy, że tracicie czas na te blokady. Powinniście skoncentrować siły na zachodnim wybrzeżu. A także sprawdzać bagażniki wszystkich samochodów wjeżdżających dziś na irlandzkie promy.

- Czy ten człowiek z IRA jakoś się nazywa?

- Eamon Quinn.

- A Rosjanka?

- Jej prawdziwe imię brzmi Katerina, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa podaje się za Niemkę. I nie dajcie się zwieść jej wyglądowi - dodał Gabriel. - To ona wpakowała dwadzieścia kul w serce tego ochroniarza w zatoce.

- A kobieta, którą porwali?
  - Nieważne, kim jest. Rozpoznacie ją po worku na głowie.
- Detektyw znów odwrócił się do mapy.
- Wiecie, jaką długość ma wybrzeże Kornwalii?
  - Ponad sześćset kilometrów - odparł Gabriel - i dziesiątki małych zatoczek. Dlatego było kiedyś rajem przemytników.
  - Ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?
  - W spiżarni jest herbata - poinformował Gabriel. - I paczka McVitie's.



*Zatoka Gunwalloe, Kornwalia*

O ósmej wieczorem przy świetle latarek przenieśli ciało znad zatoki na podjazd i ułożyli je obok innych ofiar. Nie leżały tam długo; w ciągu godziny przybyła procesja samochodów transportowych, by przewieźć je do zakładu medycyny sądowej w Exeter.

Tam wysoko wykwalifikowany lekarz stwierdzi, co było oczywiste - czterej agenci tajnych służb zginęli w wyniku postrzału pociskami z broni palnej, które uszkodziły niezbędne do życia narządy wewnętrzne. A może, pomyślał Gabriel, wkrótce się okaże, że lekarz sądowy nigdy nie widział tych ciał. Może Graham Seymour i Amanda Wallace zdołają zamieść pod dywan cały ten cholerny bajzel.

Quinn wywołał kolejny skandal tuż pod nosem wywiadu brytyjskiego, skandal, którego można by uniknąć, gdyby laboratorium informatyczne MI5 odzyskało poszukiwane e-maile kilka minut wcześniej. Jednocześnie Gabriel czuł, że i na nim ciąży część odpowiedzialności. Wszystko to nigdy by się nie wydarzyło, myślał, gdyby swego czasu w petersburskim Ermitażu nie położył egzemplarza „Pokoju z widokiem” na kolanach pięknej młodej kobiety.

„Wydaje mi się, że należy do pani...”

W końcu jednak uznał, że czas na wyrzuty sumienia przyjdzie później. Teraz musi odszukać Madeline. Policja z Devon i Kornwalii obserwowała każdą plażę i zatoczkę w regionie. Sprawdzano wszystkie miejsca, gdzie mogłaby zacumować mała łódź. Ponadto Graham Seymour poprosił dyskretnie Straż Przybrzeżną, by wzmocniła patrole w południowo-zachodniej Anglii. Wszystkie te posunięcia były bardzo rozsądne, ale zapewne niewystarczające i podjęte zbyt późno.

Quinn zniknął. Podobnie jak Madeline. Ale czemu ją uprowadził? Dlaczego nie zostawił jej martwej obok ochroniarzy, ostrzegając w ten sposób innych rosyjskich szpiegów przed próbą dezercji?

Nie potrafił wytrzymać w domu, w którym policja wywróciła wszystko do góry nogami. Nie mógł znieść widoku podziurawionych kulami drzwi i wspomnień, które prześladowały go na każdym kroku. Razem z Kellerem wyszli na taras i usiedli, otulając się płaszczami. Gabriel patrzył na światła wielkiego frachtowca daleko na Atlantyku, zastanawiając się, czy na jego pokładzie nie ma Madeline. Keller palił papierosa i wpatrywał się w sea kinga. Nikt nie zakłócał im ciszy do czasu, gdy krótko po dziesiątej wieczorem zjawił się detektyw inspektor.

Poinformował, że znaleziono samochód renault scénic, porzucony na brzegu odludnej zatoki w pobliżu West Pentire, na północnym wybrzeżu Kornwalii. Był pusty, nie licząc torby na zakupy z Marks & Spencer.

- Oczywiście nie znaleźliście rachunku? - zapytał Gabriel.

- Niestety nie. - Detektyw przez chwilę milczał. - Mój szef skontaktował się z Home Office\* - powiedział w końcu. - Wiem już, kim pan jest.

\* Home Office (ang.) - brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (przyp. red.).

- Proszę zatem przyjąć moje przeprosiny za sposób, w jaki rozmawialiśmy z pana ludźmi.

- To zbędne. Ale może zechciałby pan przed wyjazdem zabrać rzeczy, które mają dla pana wartość. Podobno MI6 wysyła tu zespół, który gruntownie oczyści cały dom.

- Proszę im powiedzieć, żeby ostrożnie obchodzili się ze sztalugami - odrzekł Gabriel. - Mają dla mnie wartość sentymentalną.

Detektyw się wycofał, zostawiając ich samych. Światła frachtowca zniknęły w mroku nocy.

- Jak myślisz, gdzie ją wywiózł? - spytał Keller.

- Gdzieś, gdzie czuje się bezpieczny, gdzie zna ludzi i teren. - Gabriel podniósł na niego wzrok. - Znasz takie miejsce?

- Niestety tylko jedno.

- Bandycki kraj?

Keller przytaknął.

- Jeśli zdoła tam dotrzeć, będzie miał nad nami zdecydowaną przewagę.

- My też mamy coś w zanadrzu.

- Mianowicie?

- Stratford Gardens numer osiem.

Keller znów spojrział na śmigłowiec.

- Czy wzięłeś pod uwagę, że może o to mu chodzi?

- Żeby zaatakować?

- Tak.

- Robi ci to różnicę?

- Mnie nie. - Keller pokręcił głową. - Ale może ty nie powinieneś się w to wdawać. Mimo wszystko...

Nie dokończył myśli, bo było oczywiste, że Gabriel go nie słucha. Wyjął z kieszeni BlackBerry i połączył się z Grahamem Seymourem w Vauxhall Cross. Ich rozmowa trwała najwyżej dwie minuty. Potem znów wsunął aparat do kieszeni i gestem wskazał zatokę, gdzie trzydzieści sekund później zawył turbospalinowy silnik śmigłowca.

Wolno dźwignął się i sztywno ruszył za Kellerem ścieżką prowadzącą w dół. Ostatni raz zobaczył dom tak, jak ujrzał go po raz pierwszy - od strony morza, z odległości jakiejś mili. Wiedział, że nigdy już tu nie wróci. Quinn zniszczył to miejsce tak samo, jak przy pomocy Tariqa zniszczył jego rodzinę. Pomyślał, że to sprawa osobista. Zasady przestały go obowiązywać.

*Hrabstwo Down, Irlandia Północna*

W tej samej chwili „Catherine May”, łódź marki Vigilante 33 przeznaczona do połowów komercyjnych, płynęła przez Kanał Świętego Jerzego z prędkością dwudziestu sześciu węzłów. U steru stał Jack Delaney, były bojownik IRA, który trudnił się teraz przemytem broni i handlem materiałami wybuchowymi. Jego młodszy brat Connor stał w otworze zejściówki i palił papierosa.

O trzeciej nad ranem dotarli na wschód od Dublina, a o piątej znaleźli się przy ujściu Carlingford Lough, połodowcowej zatoczki tworzącej naturalną granicę między Republiką Irlandii i Ulsterem. Stary rybacki port Ardglass leżał najwyżej dwadzieścia mil na północ. Quinn czekał aż do chwili, gdy ujrzał pierwszy błysk latarni morskiej w Ardglass, po czym włączył komórkę. Napisał krótkiego esemesa i z wyraźną niechęcią wysłał niezakodowany tekst w eter. Odpowiedź nadeszła dosłownie dziesięć sekund później.

- Szlag by to... - powiedział.
- Co jest? - spytał Jack Delaney.
- W Ardglass jest za gorąco, żeby tam zawinąć.
- A w Kilkeel?

Kilkeel, port rybacki jakieś czterdzieści pięć kilometrów na południe od Ardglass, był miastem w większości protestanckim o głębokich sentymentach lojalistycznych. Quinn zasugerował je w kolejnej wiadomości. Gdy po kilku sekundach nadeszła odpowiedź, spojrzał na Delaneya i pokręcił głową.

- To gdzie, jego zdaniem, mamy płynąć?
- Podobno na Shore Road jest spokojnie.

- Gdzie?
- Zaraz na północ od zamku.
- Nie przepadam za tą okolicą.
- Zdołasz dobić tam i zawrócić przed wschodem?
- Bez problemu.

Delaney zwiększył prędkość i skierował się na południowy cypel półwyspu Ards. Quinn zerknął do przedniej kabiny i przyjrzał się Madeline, która związana i zakapturzona leżała na jednej z dwóch koi. W czasie podróży była spokojna. Katerina, która kilka razy musiała wybiegać na górę z powodu ataku mdłości, paliła papierosa przy stoliku na pokładzie.

- Jak się czujesz? - spytał.
- Obchodzi cię to?
- Nie bardzo.

Wskazała głową latarnię w Ardglass, patrząc pytająco.

- Chyba minęliśmy wejście do portu?
- Zmiana planu - odrzekł Quinn.
- Policja?

Skinął twierdząco głową.

- A czego się spodziewałeś?
- Szykuj się - powiedział. - Czeka nas jeszcze jedna podróż łądzia.

- Ale mam szczęście.

Quinn wysunął się z zejściówki na pokład. Powietrze było zimne i czyste, na czarnym niebie lśnił gwiazdny pył. Wybrzeże na północ od Ardglass w większości zajmowały tereny uprawne. Gdzieniedzie tylko stały luźno rozrzucone domy zwrócone frontem ku morzu. Przesunął lornetkę wzdłuż linii brzegu, ale wciąż było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. Minęli Guns Island, niezamieszkaną wysepkę zieleni dwieście metrów od Ballyhornan, i kilka minut później okrążyli kamienisty cypel, który strzegł wejścia do Strangford Lough. Znaki nawigacyjne wytyczały szlak prowadzący na północ.

W domach wzdłuż Shore Road zaczynały zapalać się pierwsze światła, co wystarczyło, by dostrzec sylwetkę zamku Kilclief. Chwilę później, nieco dalej wzdłuż linii brzegowej, trzykrotnie rozbłysło światło. Quinn wysłał tylko znak zapytania. Odpowiedź brzmiała: Drzwi są szeroko otwarte.

Wskazał Delaneyowi miejsce, gdzie migało światło i polecił mu kierować się w jego stronę. Potem zbiegł po stopniach do przedniej kabiny i zerwał kaptur z głowy Madeline. Para oczu w półmroku zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

- Dobijamy do brzegu - powiedział. - Zachowuj się grzecznie, bo inaczej wpakuję ci kulę w mózg. Jasne?

Dwoje oczu spojrzało na niego lodowato. Pomyślał, że nie ma w nich lęku, tylko gniew. Musiał przyznać, że podziwia odwagę tej kobiety. Ponownie naciągnął kaptur na jej głowę i dźwignął ją na nogi.

Gdy Connor Delaney przybił do brzegu, Quinn zeskoczył w wodę sięgając mu do pół łydki. Potem wraz z Kateriną podnieśli Madeline i poprowadzili do samochodu czekającego na poboczu. Był to ciemnoszary peugeot 508. Quinn wepchnął Madeline do otwartego bagażnika i zatrzasnął klapę. Potem z Kateriną wsiedli do auta, ona z przodu na siedzenie pasażera, on rozciągnął się z tyłu, mierząc z makarowa w jej plecy. Za kierownicą w marynarskiej kurtce i wełnianej bosmańskiej czapce siedział Billy Conway.

- Witaj w domu - powiedział. Potem włączył silnik i wjechał na drogę.

Ruszyli na zachód w stronę Downpatrick. Quinn instynktownie odwrócił twarz, gdy radiowóz PSNI\* zbliżał się z naprzeciwka, migając światłami.

\* PSNI (Police Service of Northern Ireland (ang.) - formacja policyjna w Irlandii Północnej (przyp. red.).

- Jak myślisz, gdzie oni tak wcześnie jadą w ten miły sobotni ranek?

- Tak jest we wszystkich sześciu hrabstwach. - Billy zerknął w lusterko wsteczne. - Podejrzewam, że z twojego powodu.

- I ja tak podejrzewam.

- Kim jest ta dziewczyna w bagażniku?

Quinn zawahał się, a potem powiedział prawdę.

- Ta Rosjanka, która sypiała z premierem?

- We własnej osobie.

- Rany, Eamon! - Billy Conway przez chwilę prowadził w milczeniu. - Nie wspominałeś, że masz zakładnika.

- Sytuacja faktyczna uległa zmianie.

- Jaka sytuacja?

Quinn nie odpowiedział.

- Co chcesz z nią zrobić?

- Trzymać.

- Gdzie?
- Gdzieś, gdzie nikt jej nie znajdzie.
- Południowy Armagh?

Quinn milczał.

- Lepiej dajmy im znać, że przyjeżdżamy.
- Nie - sprzeciwił się Quinn. - Żadnych telefonów.
- Nie możemy ot tak, stanąć w progu.
- Owszem, możemy.
- Dlaczego?
- Bo nazywam się Eamon Quinn.

Kolejny radiowóz mknął naprzeciwko nich od strony Downpatrick. Quinn schylił głowę, Billy oburącz ścisnął kierownicę.

- Dlaczego ją tu przywiozłeś?
- Na przynętę.
- Po co?
- Jedź, Billy. Opowiem ci wszystko, jak będziemy w bandyckim kraju.

*Ardoyne, Belfast Zachodni*

Sea king z Kellerem i Allonem na pokładzie wylądował w bazie śmigłowców RAF-u w Aldergrove, sąsiadującej z lotniskiem w Belfaście. Na polecenie Amandy Wallace z MI5 czekał na nich samochód, pięcioletni ford escort wyblakłej niebieskiej barwy. Na liczniku miał blisko sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Z puli MI5 udostępniono im również bezpieczny lokal w protestanckiej części Belfastu Północnego. Przybyli wkrótce po północy, oczekiwani przez dwóch oficerów irlandzkiej sekcji antyterrorystycznej. Wspólnie spędzili bezsenną noc, monitorując poszukiwania łodzi, którą zabrano Madeline Hart z odludnej zatoczki na wybrzeżu północnej Kornwalii. Około szóstej rano stało się jasne, że łódź nie zostanie odnaleziona, a już na pewno nie z Madeline na pokładzie.

Brytyjczycy nic nie wiedzieli o jej porwaniu, podobnie jak nie słyszeli, że oficer tajnych służb zginął samobójczą śmiercią, wyskakując z tarasu na dachu Vauxhall Cross. Głównym tematem porannego programu BBC był proponowany przez premiera kontrowersyjny program reformy służby zdrowia, który spotkał się z powszechnym sprzeciwem.

O szóstej trzydzieści Gabriel i Keller wyszli z budynku i wsiedli do forda. Przez następne pół godziny jeździli w kółko po północnej i wschodniej części miasta, by upewnić się, że nie śledzi ich nikt z MI5 bądź innych brytyjskich służb wywiadowczych. W końcu, o siódmej, skręcili w Crumlin Road i skierowali się w stronę katolickiego Ardoyne. Keller zaparkował przy końcu Stratford Gardens i wyłączył silnik. W kilku oknach domków szeregowych paliły się światła, poza



tym jednak ulica pogrążona była w ciemnościach.

- Kiedy pojawiają się twoi przyjaciele? - spytał Gabriel.
- Jest wcześniej - odparł wymijająco Keller.
- To nie brzmi zachęcająco.
- W Belfaście Zachodnim trudno o optymizm.

Przez kilka minut na Stratford Gardens nic się nie działo. Keller lustrował ulicę, wypatrując oznak kłopotów. Gabriel natomiast nie spuszczał wzroku z drzwi pod numerem osiem. Otworzyły się za piętnaście ósma i stanęły w nich dwie osoby - Maggie i Catherine Donahue, żona i córka mężczyzny, który nadał ognistej kuli prędkość trzystu metrów na sekundę i u którego Tariq al-Hourani uczył się konstrukcji bomb. Catherine narzuciła szary płaszcz na strój do hokeja na trawie. Jej matka była w dresie i adidasach. Wyszły przez metalową furtkę przed domem i skręciły w prawo, w stronę Ardoyne Road.

- Gdzie ona gra?
- W Lisburn. Autobus odchodzi o ósmej trzydzieści.
- Nie potrafi sama tam dojść?
- Żeby dotrzeć do Our Lady of Mercy, musi przeciąć dzielnicę protestancką. Ostatnio były tam zamieszki.
- A może i one biorą w nich udział?
- W tym stroju?
- Jedź za nimi - polecił Gabriel.
- A jeśli pojawiają się moi przyjaciele?
- Myślę, że zdołam o siebie zadbać.

Gabriel, nie mówiąc nic więcej, wysiadł. Furtka przed domem numer osiem wydała ostry zgrzyt, gdy ją pchnął, ale drzwi wejściowe bezgłośnie się poddały. Wchodząc do środka, sięgnął do tylnej kieszeni po pistolet. Był to glock 17 wydany przez SO1, specjalną jednostkę policji powołaną do ochrony premiera.

W saloniku świecił ekran telewizora, którego nikt nie oglądał. Nie wyłączając go, wkradł się po schodach na górę z pistoletem w wyciągniętej ręce. W obu sypialniach panował nieład, lecz były puste. Potem zszedł do kuchni. W zlewie leżało kilka talerzy ze śniadania, a na blacie stał dzbanek z herbatą. Wyjął z kredensu kubek, nalał sobie herbaty i siadł przy stole. Czekał.

Odprowadzenie córki do bram żeńskiego liceum Our Lady of Mercy zabrało Maggie Donahue piętnaście minut. W drodze powrotnej nie obyło się bez kłopotów, gdyż na Ardoyne Road zaatakowały ją dwie kobiety z protestanckiej enklawy w Glenbryn. Ich agresję wywo-

łał fakt, że katoliczka odważyła się przejść ulicą zamieszkaną przez lojalistów. W wyniku tej konfrontacji Maggie była czerwona ze złości, gdy skręcała w Stratford Gardens. Wcisnęła klucz w zamek i tak mocno trzasnęła drzwiami, że w małym domu zadrżały szyby. Ktoś w telewizji narzekał na ceny mleka. Ściszyła dźwięk, a potem weszła do kuchni, by zmyć naczynia. Dopiero po kilku sekundach dostrzegła mężczyznę, który popijał przy stole herbatę.

- Jezu Chryste! - wykrzyknęła przerażona.

Gabriel lekko zmarszczył brwi, jakby z naganą, że wzywa imię Pana Boga nadaremno.

- Kim jesteś? - wykrztusiła.

- Właśnie miałem cię spytać o to samo - odparł ze spokojem.

Zdziwił ją jego akcent, lecz po chwili w jej oczach pojawił się błysk. Rozpoznała go.

- To ty jesteś gościem, który...

- Tak - odparł, przerywając jej w pół słowa. - To ja.

- Co robisz w moim domu?

- Coś mi się zawieruszyło, kiedy byłem tu ostatnio. Mam nadzieję, że pomożesz mi to znaleźć.

- O czym ty mówisz?

- O twoim mężu.

Wyjęła komórkę ze spodni i zaczęła wybierać numer. Gabriel wymierzył glocka w jej głowę.

- Przestań - rozkazał.

Zastygła.

- Daj mi ten telefon.

Posłusznie oddała mu aparat. Spojrzał na ekran. Numer, z którym chciała się połączyć, miał osiem cyfr.

- Jeśli się nie mylę, policja Irlandii Północnej ma numer jeden-zero-jeden, czy tak?

Nie odpowiedziała.

- A więc do kogo dzwonisz?

Gdy nadal milczała, wsunął telefon do kieszeni płaszcza.

- To moja własność - zaprotestowała.

- Już nie.

- Czego, do cholery, chcesz?

- W tej chwili - odparł - chcę, żebyś usiadła.

Spojrzała na niego ze złością. W jej oczach było więcej wzdryki niż lęku. W końcu pochodzi z Ardoyne, pomyślał Gabriel. Nielatwo ją wystraszyć.

- Usiądź - powtórzył. I w końcu usłuchała.

- Jak tu wszedłeś?
- Zostawiłaś otwarte drzwi.
- Pieprzysz.

Gabriel położył na stole fotografię i obrócił ją tak, żeby mogła dobrze się jej przyjrzeć. Na ulicy w Lizbonie jej córka stała obok Eamona Quinna.

- Skąd to masz? - zapytała.

Ze znużeniem spojrzął na sufit.

- Z pokoju mojej córki?

Skinał twierdząco głową.

- Co tam robiłeś?

- Próbowałem zapobiec kolejnemu aktowi masowego zabójstwa w wykonaniu twojego męża.

- Ja nie mam męża. - Umilkła i dodała: - Już nie.

- To jest twój mąż. - Gabriel dotknął zdjęcia lufą glocka. - Nazywa się Eamon Quinn. Podłożył bombę na Bishopsgate i w Canary Wharf A także w Omagh i na Brompton Road. Znalazłem w twojej szafie jego ubrania. Znalazłem też jego pieniądze. Co oznacza, że spędzisz resztę życia w pudle, jeśli nie powiesz mi tego, czego chcę się dowiedzieć.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w zdjęcie. Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Nie widział w niej już wzdętych policzków. Widział wstyd.

- On nie jest moim mężem - odezwała się w końcu. - Mój mąż nie żyje od ponad dziesięciu lat.

- Więc dlaczego twoja córka stoi na ulicy Lizbony z Eamonem Quinem?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego?

- Bo mnie zabije.

- Quinn?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Billy Conway

*Crossmaglen, hrabstwo Armagh*

Mała farma leżąca nieco na zachód od Crossmaglen od pokoleń należała do klanu Faganów. Jej obecny właściciel, Jimmy Fagan, nie przepadał za pracą na roli i w późnych latach osiemdziesiątych otworzył w Newry fabrykę, która produkowała aluminiowe drzwi i okna dla kwitnącego w południowym Armagh przemysłu budowlanego. Najważniejszy był jednak dla niego irlandzki republikanizm. Ten weteran wchodzącej w skład IRA słynnej Brygady Południowego Armagh w czasie konfliktu uczestniczył w najbardziej krwawych zamachach bombowych i akcjach z zasadzki, w tym w ataku na brytyjski patrol w pobliżu Warrenpoint, gdzie śmierć poniosło osiemnastu brytyjskich żołnierzy.

Brygada Południowego Armagh odpowiadała łącznie za śmierć stu dwudziestu trzech wojskowych i czterdziestu dwóch funkcjonariuszy Królewskiej Policji Ulsteru. Przez pewien okres niewielki pagórkowaty teren farm był dla żołnierzy najbardziej niebezpiecznym miejscem na świecie. W istocie tak bardzo niebezpiecznym, że armia brytyjska wycofała się z dróg, oddając je w ręce IRA, i przemieszczała się za pomocą śmigłowców. Jednak po pewnym czasie Brygada Południowego Armagh zaczęła atakować również śmigłowce. Wśród czterech, które zdołała zestrzelić, znajdował się również lynx, ostrzeżony z moździerza w pobliżu Crossmaglen. Dokonał tego Jimmy Fagan, a urządzenie zaprojektował i skonstruował Eamon Quinn.

W szczytowym okresie zamieszek nad centrum Crossmaglen górowała wieża obserwacyjna. Teraz zniknęła, a w sercu miasteczka powstał zielony park oraz pomnik ku czci poległych ochotników IRA.

Billy Conway zatrzymał się przed hotelem Cross Square. Quinn wysiadł i minąwszy róg, wszedł do baru Emerald przy Newry Street. Nad wejściem powiewały barwy Crossmaglen Rangers, jakby zamiast rozruchów główną rozrywką mieszkańców stał się teraz futbol.

Quinn otworzył drzwi i wszedł do środka. Zaraz w jego stronę odwróciło się kilka głów. Wojna wprawdzie się skończyła, ale podejrzliwość wobec obcych była tu równie silna jak dawniej. Quinn znał kilku mężczyzn w tym lokalu, ale oni go nie rozpoznali. Zamówił w barze kufel guinnessa i przeniósł go na stół, przy którym Jimmy Fagan siedział z dwoma byłymi członkami Brygady Południowego Armagh. Miał krótko ostrzyżone szpakowate włosy, a jego czarne oczy z upływem lat zwięzły się w szparki.

Teraz, nie rozpoznając Quinna, bacznie go lustrowały.

- Mogę w czymś pomóc, przyjacielu?

- Mógłbym się dosiąść? - spytał Quinn.

Fagan wskazał głową pusty stół na drugim końcu sali i zasugerował, że będzie mu tam wygodniej.

- Wolałbym posiedzieć z wami.

- Przejdź się tam, kolego - odrzekł cicho Fagan - bo możesz oberwać.

Quinn usiadł. Mężczyzna obok złapał go za nadgarstek.

- Spokojnie - mruknął Quinn, a potem spojrzał na Fagana. - To ja, Jimmy - rzekł cicho. - Eamon.

Fagan surowo spojrzał mu w twarz i nagle zdał sobie sprawę, że nieznamy, który siedzi po drugiej stronie stołu, mówi prawdę.

- Chryste! - wyszeptał. - Co ty tu robisz?

- Mam interesy.

- Już rozumiem, dlaczego RUC\* wciąż się tu kręci.

\* RUC (Royal Ulster Constabulary) - Królewska policja Ulsteru (przyp. red.).-

To się teraz nazywa PSNI, Jimmy. Nie słyszałeś?

- Porozumienie Wielkopiątkowe wymazało wiele grzechów - stwierdził po chwili Fagan - ale nie twoje. Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli dopijesz piwo i znikniesz.

- Nie mogę, Jimmy.

- Dlaczego?

- Interesy.

Spił pianę z piwa i rozejrzał się po pomieszczeniu. Woń impregnowanego drewna zmieszana z wonią piwa, cichy pomruk głosów, szmer mowy Armagh. Po tylu latach w ukryciu, latach sprzedawania się za najwyższe stawki, w końcu znów się znalazł w domu.

- Po co tu przyszedłeś?
- Chciałem spytać, czy wzięłbyś udział w małej akcji.
- Co będę z tego miał?
- Pieniądze.
- Ale żadnych bomb, Eamon.
- Tak - zgodził się. - Bez bomb.
- Więc co to za robota?
- Zasadzka - odrzekł Quinn. - Jak za dawnych czasów.
- Kto jest celem?
- Ten, który nam się wymknął.
- Keller?

Quinn przytaknął.

Fagan tylko się uśmiechnął.

Farma miała osiemdziesiąt hektarów powierzchni, a może nawet sto, w zależności od tego, którego członka klanu Faganów o to zapytałeś. Pofałdowany teren podzielono na mniejsze pastwiska niskimi kamiennymi murkami, z których część wzniesiono na długo jeszcze, zanim pierwszy protestant postawił stopę na tej ziemi. Tak przynajmniej głosiła legenda. Irlandia leżała za wzgórzem, na wyciągnięcie ręki, choć nigdzie żaden znak nie sugerował, że obok jest granica.

W najwyższym punkcie posiadłości stał piętrowy dom z cegły. Fagan, który był wdowcem, mieszkał tam z dwoma synami. Obaj byli weteranami IRA, a potem członkami IRA Prawdziwej, odrzucającej kompromis Wielkopiątkowych Porozumień. Na terenie farmy stała również wielka szopa z zardzewiałego aluminium, a w głębi druga budowla, w której podczas wojny Fagan ukrywał broń i materiały wybuchowe.

To właśnie tam w zimie 1989 roku znacznie młodszy Christopher Keller został poddany brutalnemu śledztwu przez Eamona Quinna. Teraz miejsce, w którym przetrzymywano Kellera, zajmowały Madeline i Katerina. Quinn zostawił im żywność i wodę, a także koce na zimne grudniowe popołudnie, po czym zamknął drzwi na dwie ciężkie kłódki i wraz z Billym Conwayem ruszył gruntową ścieżką do głównego budynku. Conway szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, wciskając ręce w kieszenie płaszcza.

Wyglądał na wykończonego. Jak zresztą zawsze.

- Ile mamy czasu? - zapytał.
- Gdybym zgadywał - odparł Quinn - powiedziałbym, że już tu jest. Z Allonem.

- I oczywiście mnie szukają.
- Miejmy nadzieję.
- A jeśli Keller zechce się ze mną zobaczyć? Co wtedy?
- Graj na dwa fronty, Billy. W końcu robiłeś tak zawsze. Wmów im, że tracą czas, szukając mnie na północy. Powiedz, że podobno jestem w Republice.
- A jeśli mi nie uwierzy?
- Czemu miałby ci nie wierzyć, Billy? - Quinn położył mu rękę na ramieniu i się uśmiechnął. - Przecież byłeś jego najlepszym agentem.

*Ardoyne, Belfast Zachodni*

Keller zaparkował na wprost domu i szybko przemknął ścieżką prowadzącą do drzwi. Otworzyły się, gdy ich dotknął, a wtedy ruszył w stronę dobiegających z kuchni głosów. Gdy tam wszedł, ujrzał Gabriela i Maggie Donahue siedzących przy stole nad kubkami herbaty. Leżał na nim również stos starych rachunków, kilka sztuk męskiej garderoby, zestaw przyborów toaletowych, fotografia i glock 17, półautomat.

Pistolet znajdował się nieco poza zasięgiem rąk Maggie. Siedziała sztywno, obejmując się jedną ręką wpół, jakby w geście obrony, a w drugiej dłoni trzymała zapalonego papierosa. Keller spostrzegł, że kilka minut wcześniej płakała. Teraz jednak jej surowe rysy zastygły w charakterystyczną dla Belfastu maskę rezerwy i nieufności. Natomiast Gabriel patrzył na nią pozbawionym wyrazu wzrokiem spowiednika, tyle że z bronią i w skórzanej kurtce. Przez kilka sekund zdawał się nieświadomy obecności Kellera, lecz w końcu podniósł wzrok i się uśmiechnął.

- Pan Merchant! - zawołał serdecznie. - Miło, że pan wpadł. Chciałbym przedstawić moją nową znajomą, Maggie Donahue. Właśnie opowiadała mi, jak Billy Conway zmusił ją do przechowania tych rzeczy w jej domu. - Urwał, po czym dodał: - Maggie pomoże nam znaleźć Eamona Quinna.



*Crossmaglen, hrabstwo Armagh*

Budowla z zardzewiałego metalu pośrodku farmy Fagana miała szerokość sześciu i długość dwunastu metrów. Jedną jej część zajmowały bele siana, zaś drugą sprzęt rolniczy i zbieranina porzeczonych narzędzi. Całą konstrukcję zaprojektowano dokładnie wedle wskazówek Jimmy'ego Fagana i zmontowano w jego fabryce w Newry. Drzwi wejściowe były niezwykle ciężkie, a w podniesionej podłodze zamontowano ukrytą klapę strzegącą dostępu do jednego z największych składów broni i materiałów wybuchowych w Irlandii Północnej.

Madeline Hart nie miała o tym pojęcia. Wiedziała tylko, że nie jest sama. Czula zapach stęchłego tytoniu i taniego hotelowego szamponu. W końcu czyjaś ręka ściągnęła jej kaptur i delikatnie zdjęła z ust taśmę izolacyjną. Wciąż jednak nie wiedziała, gdzie się znajduje, gdyż otaczała ją absolutna ciemność. Przez chwilę siedziała w milczeniu, oparta plecami o belę siana, wyciągając przed siebie nogi. Wreszcie zapytała:

- Kto tu jest?

Błysnęła zapalniczka, oświetlając twarz.

- To ty... - wyszeptała Madeline.

Płomień zgasł, znów zapadła ciemność. Wtedy głos odezwał się po rosyjsku.

- Wybacz - odparła - ale nie rozumiem.

- Powiedziałam, że pewnie chce ci się pić.

- Strasznie - przyznała.

Rozległ się trzask otwieranej butelki z wodą mineralną. Madeline

przyłgnęła do otworu i łapczywie piła.

- Dzięk...

Urwała w pół słowa. Nie chciała okazywać oprawcy bezradnej wdzięczności więźnia. Wtem zdała sobie sprawę, że Katerina też jest więźniem.

- Pozwól mi jeszcze raz przyjrzeć się twojej twarzy.

Zapalniczka rozbłysła ponownie.

- Nie widzę cię wyraźnie.

Katerina przysunęła płomień bliżej.

- Jak wyglądam? - zapytała.

- Dokładnie tak, jak wyglądałaś w Lizbonie.

- Skąd wiesz o Lizbonie?

- Mój znajomy obserwował cię z przeciwnej strony ulicy. Zrobił zdjęcie.

- Allon?

Nie odpowiedziała.

- Szkoda, że w ogóle go poznałaś. Żyłabyś jak księżniczka w Petersburgu, a tak znalazłaś się tutaj.

- To znaczy gdzie?

- Nawet ja nie jestem pewna. - Katerina wyjęła z pudełka papierosa i podała go Madeline. - Zapalisz?

- Boże broń.

- Zawsze byłaś grzeczną dziewczynką, co?

Przytknęła koniec papierosa do ognia i patrzyła, jak płomień gaśnie.

- Proszę, zachowaj go - szepnęła Madeline. - Tak długo byłam w ciemności.

Katerina podtrzymała płomień.

- Przejdź się teraz wkoło - poprosiła Madeline. - Chciałabym zobaczyć, gdzie jesteście.

Z zapalniczką w podniesionej dłoni Katerina okrążyła pomieszczenie i zatrzymała się przed drzwiami.

- Spróbuj otworzyć.

- Nie da się tego zrobić od środka.

- Spróbuj.

Katerina napała na drzwi, ale nawet nie drgnęły.

- Jeszcze jakieś genialne pomysły?

- Mogłybyśmy podpalić siano.

- Jasne. - Katerina pokiwała głową - Żeby spokojnie pozwolił nam tu spłonąć.

- Kto?

- Eamon Quinn.
- Ten Irlandczyk?

Przytaknęła.

- Co on chce zrobić?

- Najpierw zabić Gabriela Allona i Christophera Kellera, a potem zażąda od moskiewskiej Centrali dwudziestu milionów dolarów za uwolnienie mnie.

- I zapłacą?

- Być może. - Zamilkła, po czym dodała: - Zwłaszcza jeśli umowa obejmie również ciebie.

Płomień zapalniczki zgasł, gdy usiadła.

- Jak mam się do ciebie zwracać? - spytała.

- Oczywiście Madeline.

- To nie jest twoje prawdziwe imię.

- Nie mam żadnego innego.

- Owszem, masz. W obozie mówiliśmy do ciebie Natalia. Nie pamiętasz?

- Natalia?

- Tak - potwierdziła Katerina. - Mała Natalia, córka generała KGB, taka śliczna. I ten angielski akcent, którego cię wyuczyli. Byłaś jak laleczka. - Przez chwilę milczała. - Uwielbiałam cię. Oprócz ciebie nikogo tam nie miałam.

- Więc czemu mnie porwałeś?

- Właściwie to miałam cię zabić. Razem z Quinnem.

- I dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Quinn zmienił plan.

- W przeciwnym razie byś mnie zabiła?

- Nie chciałam - odparła po chwili - ale tak. Myślę, że bym to zrobiła.

- Dlaczego?

- Lepiej żebym to była ja niż ktoś inny. Poza tym - dodała - zdradziłaś swój kraj. Przeszłaś na stronę wroga.

- To nie jest mój kraj. Nic mnie z nim nie wiąże.

- A ten kraj, Natalio? Co cię z nim wiąże?

- Mam na imię Madeline. - Na chwilę zamilkła. - Co mnie czeka, jeśli wrócę do Rosji?

- Myślę, że poświęcą kilka miesięcy, żeby wycisnąć z twojego mózgu absolutnie wszystko, co wiesz.

- A potem?

- *Wyższaja miera.*

- Najwyższy wymiar kary?

- Myślałam, że nie znasz rosyjskiego.
  - Przyjaciel nauczył mnie tego wyrażenia.
  - Gdzie on teraz jest?
  - Znajdzie mnie.
  - A wtedy Quinn zabije i jego. - Katerina ponownie zapaliła płomyk. - Jesteś głodna?
  - Jak wilk.
  - Chyba zostawili nam zapiekankę z mięsem.
  - Uwielbiam zapiekanki.
  - Ależ ty jesteś angielska! - Katerina zdjęła opakowanie i ostrożnie włożyła zapiekankę w skrupowane dłonie Madeline.
  - Byłoby mi łatwiej, gdybyś ściągnęła tę taśmę.
- Katerina w zamyśleniu paliła papierosa.
- Ile zapamiętałaś? - spytała w końcu.
  - Z obozu?
  - Tak.
  - Nic - odparła Madeline. - I wszystko.
  - Nie mam żadnych zdjęć z dzieciństwa.
  - Ani ja.
  - Pamiętasz, jak wyglądałam?
  - Byłaś piękna. - Madeline się uśmiechnęła. - Chciałam być taka jak ty.
  - To zabawne - zamyśliła się Katerina - bo ja chciałam być taka jak ty.
  - Byłam irytującym dzieciakiem.
  - Zawsze zachowywałaś się przykładowie, Natalio. A ja wręcz przeciwnie.
- Zamilkła.
- Madeline podniosła rękę i związanymi dłońmi próbowała utrzymać zapiekankę.
- Nie możesz zdjąć mi tej taśmy? - spytała tonem prośby.
  - Chciałabym, ale nie mogę.
  - Dlaczego?
  - Bo jesteś grzeczną dziewczynką. - Rozgniotła papierosa na podłodze. - I będziesz mi tylko przeszkadzać.

## *Union Street, Belfast*

Gdy Billy Conway wszedł do pubu Tommy'ego O'Boyle'a przy Union Street, minęło już południe. Rory Gallagher, weteran IRA, stał za barem, polerując kufle.

- Chciałem już wysłać po ciebie ekipę ratunkową.
  - Miałem długą noc - odparł Billy - Dłuższą, niż się spodziewałem.
  - Problemy?
  - Komplikacje.
  - Obawiam się, że będzie ich więcej.
  - O czym ty mówisz?
- Gallagher zerknął w stronę schodów.
- Masz gościa.

Keller siedział z nogami opartymi na biurku Billy'ego Conwaya, gdy drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. W przejściu nieruchomo stanął Conway. Wyglądał jak ktoś, kto zobaczył ducha. I w pewnym sensie tak jest, pomyślał Keller.

- Cześć, Billy. Miło cię znów widzieć.
- Myślałem...
- Że nie żyję?

Conway milczał. Keller opuścił nogi i wstał.

- Chodźmy się przejść, Billy. Musimy pogadać.

Powrót Christophera Kellera do Irlandii Północnej zainicjował jedno z największych spotkań członków Brygady Południowego Armagh z IRA Tymczasowej od czasu Porozumienia Wielkopiątkowego. Dwunastu weteranów zebrało się wokół Eamona Quinna i Jimmy'ego Fagana w kuchni farmy w Crossmaglen. Ośmiu z obecnych odbyło długie wyroki w słynnych blokach H więzienia Maze i odzyskało wolność na mocy traktatu pokojowego. Czterej inni działali z Quinnem w IRA Prawdziwej, w tym Frank Maguire, którego brat Seamus zginął z rąk Kellera w Crossmaglen w 1989 roku.

Jak zwykle podczas takich spotkań powietrze było gęste od dymu. Pośrodku stołu leżała wyblakła i wystrzępiona na brzegach mapa Instytutu Kartografii obejmująca region południowego Armagh. Ta sama, z której korzystał Fagan, planując zasadzkę w Warrenpoint. Jego ówczesne oznaczenia i notatki były wciąż widoczne. Obok mapy leżał telefon komórkowy, który o dwunastej piętnaście zawibrował. Nadeszła wiadomość od Rory'ego Gallaghery. Quinn się uśmiechnął. Keller i Allon wkrótce ruszą w drogę.

Keller i Billy faktycznie wyszli się przejść, ale dotarli tylko do York Lane. Na jednym krańcu tej spokojnej uliczki bez hurtowni i restauracji stał kościół, a na drugim rozciągał się rząd przemysłowych budynków z czerwonej cegły. Gabriel parkował poza zasięgiem kamer. Keller wepchnął Conwaya na fotel pasażera z przodu, a sam wsunął się na tył. Gabriel, nie odwracając głowy, zapalił silnik.

- Gdzie jest Eamon Quinn? - spytał Billy'ego.
- Nie widziałem Eamona Quinna od dwudziestu pięciu lat.
- Zła odpowiedź.

Gabriel wymierzył cios szybki jak błyskawica, łamiąc Billy'emu nos.

Potem wrzucił bieg i zjechał z krawężnika.

Ford escort, z którego korzystali Gabriel i Keller, został wyposażony w nawigację satelitarną, o czym Amanda Wallace jakoś im nie wspomniała. Dzięki temu MI5 mogło przez cały ranek śledzić ich ruchy, gdy przemieszczali się z Aldergrove do bezpiecznego mieszkania, a potem na Stratford Gardens i York Lane. Służby monitorowały ponadto samochód za pomocą sieci CCTV w Belfaście.

Kamera przy Frederick Street dokładnie zarejestrowała obraz mężczyzny siedzącego w fotelu pasażera. Najwyraźniej miał silny

krwotok z nosa. Technicy z MI5 powiększyli zdjęcie i przenieśli obraz na jeden z ekranów w centrum operacyjnym Thames House. Jednocześnie Graham Seymour widział go w Vauxhall Cross.

- Poznajesz tego człowieka? - zapytała Amanda.
- Minęło wiele czasu - rzekł z namysłem - ale sądzę, że to Billy

Conway

- Ten Billy Conway?
- We własnej osobie.
- Był jednym z moich, prawda?
- Nie. - Seymour pokręcił głową. - Był mój. Keller pomagał nam go prowadzić.

- To dlaczego jest zakrwawiony?
- Może nigdy naprawdę nie należał do nas, Amando. Może przez cały czas był człowiekiem Quinna.

Patrzył, jak samochód skręca w autostradę M2 i kieruje się na północ. To jest właśnie niezwykle w tym fachu, myślał, odprowadzając go wzrokiem. Nasze błędy zawsze wracają, by wziąć na nas odwet. A raz zaciągnięte długi trzeba w końcu spłacić.

*Creggan Forest, hrabstwo Antrim*

Nie zadali mu więcej pytań. On też ich nie zadawał. Przez całą drogę na północ do Larne krew obficie płynęła mu z nosa, lecz gdy znaleźli się w Glenarm, zdołała już zakrzepnąć w ciemną skorupę. Keller skierował Gabriela w głąb łądy przez Carnlough Road, a potem dalej na północ. Posuwali się Killycarn, po czym skręcili w zwirową dróżkę pozbawioną nazwy.

Jechali nią tak długo, aż w końcu zniknęły im z oczu ostatnie zabudowania, a na wprost wyrosła ściana lasu Creggan. Wówczas Keller polecił, by Gabriel stanął i zgasił silnik. Spojrzał na Conwaya.

- Pamiętasz to miejsce, Billy? Bywaliśmy tu dawniej, kiedy miałeś mi coś ważnego do powiedzenia. Przyjeżdżaliśmy starą granadą i wypijaliśmy kilka piw, nasłuchując strzałów od strony Creggan Lodge. Tak, Billy?

W jego głosie zabrzmiał nagle akcent Belfastu Zachodniego - Falls Road z lekką domieszką Ballymurphy. Billy Conway milczał. Patrzył w dal spojrzeniem martwego człowieka.

- Zawsze troszczyliśmy się o ciebie, prawda, Billy? I płaciliśmy nieźle. Chroniliśmy cię. Niepotrzebnie. Przecież pracowałeś dla IRA, dla Eamona Quinna. Jesteś zdrajcą, Billy. Parszywym wszawym zdrajcą. - Keller przyłożył mu do karku lufę glocka. - Chyba nie zaprzeczysz?

- To było dawno temu.

- Nie tak dawno. - Keller pokręcił głową. - Tak przynajmniej twierdziłeś w Belfaście, w dniu, kiedy odnowiliśmy naszą przyjaźń. Wtedy, kiedy powiedziałeś mi o Maggie Donahue, kiedy mnie



wystawiłeś. - Mocno wcisnął mu łufę w czaszkę. - Nie zaprzeczysz chyba, co?

Conway chwilę siedział w milczeniu.

- Nie powinieneś być tu przyjeżdżać - odezwał się w końcu.

- Quinn nie dał nam wyboru. To on mnie tu sprowadził, ale to dzięki tobie znalazłem rzeczy podrzucone na jego polecenie: forszę, przedarty bilet tramwajowy i fotografię z Lizbony. A także żonę i córkę. Maggie Donahue nie chciała się w to mieszać. Już i tak ciężko jej bez męża w tym gównianym Ardoynie. Ale zmusiłeś ją do tego. Groziłeś, że zabijesz ją i jej córkę. Posłuchała, bo wie, co spotyka opornych w Belfaście Zachodnim. - Teraz przycisnął mu łufę do policzka. - Zaprzecz temu, Billy.

- Czego chcesz?

- Chcę, żebyś przysiągł, że nigdy się nie zbliżysz do niej ani jej dziecka.

- Przysięgam.

- Mądrze, Billy. No to wylaż z wozu.

Conway siedział bez ruchu.

- Wylaż, mówię! - Keller mocno przycisnął pistoletem jego złamany nos.

Gdy Conway pchnął drzwi i z trudem się wygramolił, Keller ruszył za nim.

- A teraz idź wprost przed siebie. I po drodze mi powiedz, gdzie jest Eamon Quinn.

- Nie mam pojęcia.

- Masz, Billy, masz. Ty wszystko wiesz.

Popychał go w głąb ścieżki, stąpając za nim krok w krok. Nad drzewami lasu rozległ się nagle strzał myśliwskiej dwulufówki.

Conway zastygł, ale Keller pchnął go łufą, zmuszając do marszu.

- Jak Quinn wydostał się z Anglii?

- Delaneyowie.

- Jack i Connor?

- Uhm.

- Ale nie był sam, prawda, Billy?

- Miał dwie kobiety.

- Gdzie ich wysadzili?

- Shore Road, blisko zamku.

- Byłeś tam?

- Zawiozłem ich.

- Jakim samochodem?

- Peugeotem.

- Kradzionym, pożyczonym czy wynajętym?
- Kradzionym. Z fałszywymi tablicami.
- No tak. Ulubiona metoda Quinna.

Dwa kolejne odgłosy strzałów rozległy się bliżej. Para bażantów zerwała się z pola. Mądre ptaki, pomyślał Keller.

- Gdzie on jest, Billy? Gdzie jest Quinn?
- W południowym Armagh - padła po chwili odpowiedź.
- Gdzie?
- Crossmaglen.
- Na farmie Fagana?

Conway skinął głową.

- Tam, gdzie zawieźliśmy tamtej nocy ciebie. Quinn mówi, że chce cię ukrzyżować za twoje grzechy.

- My? - W głosie Kellera brzmiało zaskoczenie.

Zapadła cisza.

- Ty też tam byłeś, Billy?

- Przez jakiś czas - przyznał. - Te dwie kobiety są w tym samym miejscu, w którym Quinn przywiązał cię do krzesła.

- Jesteś pewien?
- Sam je zaprowadziłem.

Gdy dotarli na skraj lasu, potknął się i stanął.

- Obróć się, Billy - polecił Keller. - Mam jeszcze jedno pytanie.

Conway długo stał bez ruchu, a potem wolno obrócił się do niego twarzą.

- Co chcesz wiedzieć?

- Tylko jedno, Billy. Chcę wiedzieć, kto zdradził Quinnowi, że kocham dziewczynę z Ballymurphy?

- Nie wiem, kto to zrobił.
- Na pewno wiesz, Billy. Ty wszystko wiesz.

Conway milczał.

- Kto? - Keller wycelował mu pistolet w twarz. - Chcę wiedzieć.

Mów.

Conway podniósł twarz ku szaremu niebu i wyszeptał:

- Ja.

Gniew zasnuł Kellerowi oczy mgłą, nogi się pod nim ugięły. Gdyby nie ciężar ściskanej w ręku broni, straciłby równowagę. Nie pamiętał, kiedy nacisnął spust. Poczul tylko kontrolowany odrzut kolby i na chwilę oślepił go różowy opar. Ukląkł obok Billy'ego Conwaya i trwał tak do chwili, gdy ten skonał. Potem wstał i ruszył z powrotem do samochodu.

*Randalstown, hrabstwo Antrim*

Służbowa komórka Kellera zawibrowała na przedmieściach Randalstown. Wyciągnął ją z kieszeni i zmarszczył brwi, patrząc na ekran.

- Graham Seymour.
- Czego on chce?
- Pyta, dlaczego Conwaya nie ma w samochodzie.
- Śledzą nas.
- Najwyraźniej.
- Co mu powiesz?
- Nie wiem. To grząski grunt. - Keller podniósł aparat do oczu. -

Myślisz, że w tym jest nadajnik?

- Możliwe.
- Może powinienem wyrzucić go przez okno?
- MI6 potrąci ci z wypłaty. A poza tym - dodał Gabriel - w bandyckim kraju może być przydatny.

Keller położył telefon pośrodku konsoli.

- Jak tam jest?
- W bandyckim kraju?
- W Crossmaglen.
- O takich miejscach piszą pieśni. - Keller zapatrzył się w okno, nim zaczął mówić dalej. - Południowy Armagh w czasie wojny podlegał kontroli Tymczasowej IRA i faktycznie stanowiło państwo przez nią rządzone, a Crossmaglen było w nim świętym miastem. Jeruzolimą - dodał, patrząc na Gabriela. - IRA nigdy nie musiała tam budować struktury komórkowej. Działała jak batalion, jak armia - ciągnął. - W ciągu dnia ochotnicy orali pola, a nocą zabijali brytyj-

skich żołnierzy. Przed rozpoczęciem każdego patrolu ostrzegano nas, że pod każdym krzewem kolcolistu i każdą stertą kamieni może leżeć bomba lub czaić się snajper. Południowy Armagh był strzelnicą. A my celem.

- Mów dalej.

- Nazywaliśmy Crossmaglen XMG - ciągnął. - Na głównym placu miejskim stała wieża strażnicza Golf Five Zero. Za każdym razem, wchodząc tam, ryzykowaliśmy życie. Pozbawione okien koszary miały kuloodporne ściany jak łódź podwodna. Kiedy tamtej nocy uciekłem z farmy Jimmy'ego Fagana, nie próbowałem nawet dotrzeć do strażnicy. Wiedziałem, że nie uszedłbym z życiem. Ruszyłem na północ do Newtownhamilton. Nazywaliśmy je NTT. - Uśmiechnął się - Żartowaliśmy, że to znaczy: Nie ma tu terrorystów.

- Pamiętasz farmę Fagana?

- Nigdy jej nie zapomnę - odparł. - Leży przy drodze Castleblayney. Część posiadłości ciągnie się wzdłuż granicy. W czasie wojny był to główny szlak przemytu między Brygadą Południowego Armagh a jednostkami IRA w Republice.

- A ta szopa?

- Stoi na skraju dużego pastwiska, otoczona murem i strzeżona przez psy. Jeśli policja zbliży się do farmy, Fagan i Quinn będą o tym wiedzieć.

- Myślisz, że Madeline tam jest?

Keller nie odpowiedział.

- A jeśli Conway znów kłamał? Albo Quinn przeniósł ją gdzie indziej?

- Nie przeniósł.

- Skąd ta pewność?

- Bo znam jego zwyczaje. Pozostaje pytanie - spojrzał na Gabriela - czy powiemy naszym przyjaciółom z Vauxhall Cross i Thames House to, co wiemy.

- Może już powiedzieliśmy. - Gabriel spojrzał na telefon MI6.

Przejechali pod zestawem kamer CCTV monitorujących ruch na M22. Keller wyjął z paczki papierosa i nie zapalając, kręcił go w palcach.

- Nie ma szansy, żebyśmy mogli niezauważeni postawić stopę w południowym Armagh.

- A więc musimy się wśliznąć tylnymi drzwiami.

- Nie widzimy w ciemnościach i nie mamy tłumików.

- Ani radia.

- Ile masz amunicji?

- Jeden pełny magazynek i jeden zapasowy.
- A ja o nabój mniej - rzekł Keller.
- Szkoda.

Telefon MI6 ponownie zawibrował.

- Czego on chce? - zniecierpliwiał się Gabriel.
- Pyta, gdzie jedziemy.
- Myślę, że jednak nas nie słyszą.
- Co mam mu powiedzieć?
- To twój szef, nie mój.

Keller odpisał i położył aparat z powrotem na konsoli.

- Co odpowiedziałeś?
- Że jesteśmy na tropie potencjalnie ważnej informacji.
- Będzie z ciebie dobry funkcjonariusz MI6, Christopher.
- Funkcjonariusz MI6 nie włóczy się bez obstawy po południowym Armagh. - Urwał, by zaraz dodać: - Podobnie jak przyszły szef izraelskiego wywiadu, no i ojciec bliźniaków.

Autostrada zwiężała się w dwupasmową szosę. Było w pół do trzeciej po południu. Za półtorej godziny zachodziło słońce. Keller palił papierosa i patrzył, jak Gabriel opuszcza szybę, by przerzedzić dym.

- Wiesz co - powiedział - nigdy by się to wszystko nie wydarzyło, gdybyś wtedy, w Rzymie, splawił Grahama Seymoura. Pieściłbyś się teraz z Caravagiem, a ja piłbym wino na moim tarasie na Korsyce.

- Masz jeszcze inne złote myśli, Christopher?
- Tylko pytanie.
- A jakie?
- Kto to jest Tariq al-Hourani?

W londyńskich centrach operacyjnych Thames House i Vauxhall Cross migał jednakowy obraz wideo. Niebieskie światelko posuwało się przez Ulster na zachód szosą A6. Gdy minęło Castledawson i skręciło na południe w stronę Cookstown, Seymour wysłał do Kellera trzeciego esemesa. Tym razem nie otrzymał odpowiedzi, o czym niechętnie zawiadomił Amandę Wallace po drugiej stronie rzeki.

- Jak myślisz, dokąd oni jadą? - spytała.
- Jeśli miałbym zgadywać, to tam, gdzie wszystko się zaczęło.
- Do bandyckiego kraju?
- A konkretnie, na farmę Faganów.
- Nie mogą tam wjechać sami.
- Obawiam się, że tak naprawdę niewiele możemy zrobić, żeby

ich zatrzymać.

- To włącz chociaż podsłuch w aparacie Kellera, żebyśmy słyszeli, co mówią.

Seymour przywołał wzrokiem jednego z techników i wydał stosowne polecenie. Chwilę później usłyszał głos Gabriela. Wyjaśniał, jak Eamon Quinn w libijskim obozie terrorystycznym poznał człowieka, który nazywał się Tariq al-Hourani. No tak, pomyślał Seymour, teraz już ich nie zatrzymamy.

*Crossmaglen, Południowy Armagh*

Zatrzymali się w Cookstown tylko po to, by kupić mapę, puszkę czarnej pasty do butów i dwa ostre noże kuchenne, po czym ruszyli w zachodzącym słońcu do Omagh. Gdy kierowali się na południe, padał lekki deszcz, tak że Keller nie mógł wyłączyć wycieraczek przez całą drogę do Castleblayney leżącego po irlandzkiej stronie. Tuż za miastem rozciągało się Lough Muckno. Jechali wijącą się wstęgą drogi wzdłuż południowego brzegu jeziora ku dolinie upstrzonej małymi zabudowaniami farm. Każdy z domów mógł się okazać pułapką, po każdej stronie granicy. Byli w bandyckim kraju.

W końcu Keller skręcił w gęste zarośla tarniny rosnącej przy brzegu rzeki Clarebane, zgasił światła i silnik. Telefon MI6 leżał pośrodku konsoli, sygnalizując nieodebrane wiadomości z Vauxhall Cross. Gabriel mu go podał.

- Może wypadaloby jednak poinformować Grahama, gdzie jesteśmy.

- Coś mi mówi, że i tak już wie.

Gdy połączył się z Londynem, Seymour natychmiast odebrał telefon..

- Najwyższy czas - warknął.

- Widzisz, gdzie jesteśmy?

- Według moich szacunków niecały kilometr od granicy

- Moglibyśmy liczyć na niewielkie wsparcie ogniowe?

- W przygotowaniu.

- Nie powiedziałem, czego potrzebujemy.

- Owszem, powiedziałeś. I jeszcze jedno - rzucił Seymour -

domagam się rachunku za noże. A także za mapę i pastę do butów.

O drugiej po południu Eamon Quinn nabrał pewności, że Billy Conway wpadł w poważne kłopoty. O czwartej uznał, że trafił do brytyjskiego aresztu lub, co bardziej prawdopodobne, leży gdzieś na odludziu z kulą w głowie. I na pewno nie zginął lekką śmiercią. Wcześniej zmuszono go, by ujawnił dwie informacje - dokładne miejsce pobytu Madeline Hart i prawdę o jego udziale w śmierci Elizabeth Conlin przed dwudziestu pięciu laty. Quinn nie miał wątpliwości, jak teraz zareaguje jego stary wróg. Keller był w SAS, nim został zawodowym zabójcą. Na pewno wróci na farmę Jimmy'ego Fagana. A on będzie tam na niego czekał.

O wpół do piątej, gdy słońce chyliło się nad wzgórzami, rozstawił dwunastu mężczyzn na dwustu akrach farmy Faganów. Wszyscy byli weteranami legendarnej Brygady Południowego Armagh. Wszyscy byli wytrawnymi snajperami, którzy przelali wiele brytyjskiej krwi. I wszyscy pragnęli zabić Kellera równie mocno, jak pragnął tego Quinn. Jimmy Fagan rozmieścił dodatkowo ośmiu innych mężczyzn w różnych miejscach południowego Armagh w charakterze zwiadowców. Jeden z nich, Francis McShane, siedział za kierownicą samochodu zaparkowanego przed kwaterą policji w Crossmaglen.

Quinn i Fagan zajęli stanowisko w kuchni domu na farmie, paląc i czekając. Makarow z tłumikiem przykręconym do lufy, własność Quinna, spoczywał na stole. Obok leżała komórka, a przy niej wyblakła stara mapa, która obejmowała obszar dwustu mil kwadratowych, ongiś najbardziej niebezpiecznych na świecie. Quinn przesunął po niej wzrokiem od wschodu na zachód. Jonesborough, Forkhill, Silverbridge, Crossmaglen... Miejsca chwały. Miejsca śmierci. Dziś miał dopisać kolejny rozdział tej legendy.

Spojrzał na zegarek, ten sam, który otrzymał w nadmorskim obozie od człowieka, który nazywał się Tariq al-Hourani. Była 19.15. Zdjął zegarek z nadgarstka i przeczytał wygrawerowaną z tyłu dedykację.

„Nigdy więcej awarii zegarów”.

Po wysmarowaniu twarzy czarną pastą Gabriel i Keller ruszyli wzdłuż brzegu rzeki Clarebane. Keller prowadził, Gabriel podążał za nim. Chmury zasnuły księżyc i gwiazdy, a szmer deszczu tłumił ich kroki. Szybki i bezszelestny Keller zdawał się płynąć nad ziemią.



Gabriel, tajny żołnierz ulicy, robił wszystko, by naśladować jego ruchy. Keller trzymał broń oburącz na wysokości wzroku, a Gabriel stapał za nim z lufą obniżoną i skierowaną nieco w prawo.

Pięć minut po opuszczeniu samochodu Keller wskazał lufą glocka ziemię. Oznaczało to, że dotarli do granicy Ulsteru. Obrócił się na północ i ruszył dalej przez liczne pastwiska oddzielone od siebie żywopłotami z gęstej tarniny. Linia granicy przebiegała kilka metrów na prawo od nich. Ongiś stałyby tu wieże obserwacyjne obsadzone przez Straże Grenadierów i Huzarów, teraz jednak na horyzoncie majaczyły tylko zbożowe silosy i szopy. Keller, człowiek ocalały z najbardziej brudnej walki w południowym Armagh, lecz nieodwracalnie naznaczony piętnem krwi, poruszał się bardzo wolno. Planował każdy krok, tak jakby spod jego stóp miały wybuchnąć miny, a za każdym żywopłotem czaili się mordercy.

Po przejściu około kilometra w tak uciążliwy sposób poprowadził Gabriela kamienistą ścieżką między dwoma stawami. Przed nimi wyrastała grupa drzew, a dalej, w Irlandii Północnej, rozciągały się ziemie Jimmy'ego Fagana. Keller zaczął się czołgać od drzewa do drzewa. Wtem zastygł. Jakies dziesięć metrów przed nim stał w ciemności mężczyzna z kałasznikowem. Karabin był wyposażony w nakręcany na lufę tłumik z włókna węglowego. Groźna broń dla groźnego drapieżcy.

Ostrożnie wyjął służbową komórkę i wysłał do Vauxhall Cross wcześniej przygotowaną wiadomość. Potem wyjął z kieszeni nóż i czekał.

Ponieważ była to sprawa wewnętrzna, Graham Seymour pozwolił Amandzie Wallace wykonać ten telefon. Odebrano go w bazie PSNI o 19.27 i w ciągu minuty kilka jednostek, migając światłami, wjechało na Newry Street. Przez następne trzy minuty telefon Jimmy'ego Fagana bezustannie sygnalizował nadchodzące od zwiadowców mel-dunki.

- Ile jednostek? - spytał Quinn.
  - Co najmniej sześć, włączając taktyczne.
  - Gdzie się kierują?
  - W dół Dundalk Road.
  - Zły kierunek - stwierdził Quinn.
  - Powiedziałbym, odwrotny.
- Telefon Fagana zawibrował kolejny raz.
- Co tam?

- Skręcają na prawo w Foxfield.
- Wciąż w złą stronę.
- Jak myślisz, co to znaczy?
- To znaczy, że twoi chłopcy mają się przygotować.
- Dlaczego?

Quinn się uśmiechnął.

- Bo oni już tu są.

O 19.31 mężczyzna stojący dziesięć metrów od Kellera zdjął dłoń z karabinu i sięgnął do kieszeni po komórkę. Błysnął ekran i Keller zobaczył twarz. Człowiek, który miał wkrótce umrzeć, był w tym samym wieku co on, miał podobny wzrost i budowę. Mógł być farmerem, kierowcą albo imać się dorywczych zajęć. W swym wcześniejszym życiu był jego wrogiem. I nadal nic się nie zmieniło.

Jak wszyscy weterani Brygady Południowego Armagh człowiek Fagana znał każdy centymetr tej przesiąkniętej krwią ziemi: każdy rów, każdy ciernisty gąszcz i każdą dziurę, w której kryła się broń lub bomba pułapka. A ponadto znakomicie rozróżniał odgłosy ludzkie i zwierzęce. W pewnej chwili podniósł wzrok znad komórki. Za późno. Zdążył tylko zobaczyć, jak Keller atakuje z nożem w jednej, a pistoletem w drugiej ręce. Obalił go na ziemię, wbił nóż w gardło i trzymał dopóty, dopóki telefon i AK-47 nie wypadły z martwych rąk. Potem chwycił karabin, a Gabriel podniósł komórkę.

Milcząc, ruszyli przez pole w stronę szopy z zardzewiałego aluminium o wymiarach sześć na dwanaście metrów. Tam, gdzie Keller miał umrzeć dawno temu.

- Wszyscy się zgłosili? - zapytał Quinn.
- Wszyscy oprócz Brendana Magilla.
- Gdzie stał?
- Na zachodnim krańcu, przy granicy.
- Łącz się jeszcze raz.

Jimmy Fagan wysłał do Magilla krótki esemes. Upłynęło dziewięćdziesiąt sekund bez odpowiedzi.

- Chyba już wiemy, gdzie są - mruknął Quinn.
- Co teraz?
- Zabij przynętę. A potem przyprowadź Kellera i Allona. Żywych. Rozumiesz?

Fagan wystukał esemesa i wcisnął „Wyślij”. Quinn z makarowem

w ręce wyszedł na zewnątrz, by popatrzeć na fajerwerki.

Niecałe trzydzieści metrów od miejsca, w którym zginął Brendan Magill, z północy na południe ciągnął się kamienny mur. Gabriel skrył się za nim, gdy seria 7.62 x 39mm przecięła powietrze w niewielkiej odległości od jego prawego ucha. Keller padł na ziemię tuż obok. Grad pocisków uderzał w mur, krzesząc iskry i sypiąc kawałkami kamieni. Po chwili ogień ucichł, toteż nie potrafili dokładnie określić jego źródła.

Gabriel wysunął głowę znad muru, wypatrując błysku lufy, ale kolejna seria zmusiła go do padnięcia na ziemię. Keller tymczasem zaczął czołgać się pod murem w kierunku północnym.

Gabriel ruszył za nim, lecz zatrzymał się, gdy Keller otworzył nagle ogień z kałasznikowa. Odległy wrzask potwierdził, że trafił w cel, ale zaraz odpowiedział im ostrzał z różnych stron.

Obaj przyłgnęli do ziemi, Gabriel z glockiem w jednej ręce i komórką Magilla w drugiej. Kilka sekund później uświadomił sobie, że aparat wibruje, sygnalizując wiadomość. Najwyraźniej wysłał ją Eamon Quinn. Brzmiała: „Zabij dziewczynę”.

*Crossmaglen, południowy Armagh*

Wśród sterty połamanych i rozbitych sprzętów w szopie Jimmy'ego Fagana Katerina znalazła sierp. Zardzewiały i pokryty zaschniętym błotem, wyglądał jak obiekt muzealny. Być może był to ostatni sierp w całej Irlandii, północnej i południowej. Mocno ścisnęła go w dłoni, nasłuchując ciężkich kroków biegnących ścieżką mężczyzn. Jest dwóch, pomyślała. Może trzech. Ustawiała się przy przesuwanych drzwiach szopy. Madeline w kapturze wciśniętym na oczy i ze skrępowanymi rękami opierała się bezwładnie o bele siana po przeciwnej stronie pomieszczenia. To na niej powinien się skupić wzrok tych, którzy wejdą.

Zasuwa puściła i drzwi zaczęły się rozsuwać. W otworze pojawiła się lufa karabinu. Katerina rozpoznała kształt - kałasznikow z tłumikiem przykręconym do lufy. Dobrze go znała. To właśnie z niego strzeliła w obozie po raz pierwszy w życiu. Wielki AK-47! Wyzwoliciel uciemionych. Lufa skierowana była do góry pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Katerina nie miała wyboru. Musiała czekać, aż się obniży, celując w Madeline. Dopiero wtedy uniosła sierp i zamachnęła się z wszystkich sił, jakie pozostały w jej ciele.

Niecałe dwieście metrów dalej Gabriel, skulony za murem na zachodnim krańcu farmy, pokazywał esemesa Kellerowi. Ten błyskawicznie wysunął głowę i ujrzał w drzwiach szopy błysk wystrzałów. Czterokrotny. Pomyślał, że to więcej niż trzeba, by unicestwić życie dwóch istot. Kolejny ostrzał z AK-47 zmusił go do

padnięcia na ziemię. Z oszalałym wzrokiem chwycił Gabriela za przód kurtki i krzyknął:

- Zostań tu! - po czym przetoczył się przez mur i zniknął z widoku.

Gabriel przez kilka sekund leżał nieruchomo pod gradem pocisków spadających na ich pozycję. Nagle zerwał się i ruszył biegiem przez ciemne pastwisko. Biegł znów przez zaśnieżony wiedeński plac w stronę samochodu. Biegł w stronę śmierci.

Cios, który Katerina wymierzyła w szyję mężczyzny z kałasznikowem, niemal ściął mu głowę. Zanim jednak wyrwała mu karabin z rąk, zdołał jeszcze nacisnąć spust, trafiając w belę siana centymetry od głowy Madeline. Katerina odepchnęła ciało konającego i dwukrotnie strzeliła w pierś drugiego z napastników. Czwartym strzałem dobiła wijącego się u jej stóp osobnika z częściowo odrąbaną głową. W słowniku moskiewskiej Centrali nazywano to strzałem kontrolnym. Był to tak naprawdę również akt miłosierdzia.

Gdy wszystko umilkło, Madeline zerwała wełniany kaptur, choć wciąż miała związane ręce. Katerina przecięła taśmę, umożliwiając jej ruchy. Tymczasem na zewnątrz rozpętała się bitwa. Z optymalnej pozycji w centrum pofałdowanego terenu rozchodziły się wyraźnymi liniami białe smugi pocisków. Dwie sylwetki przedzierały się przez pastwiska pod gęstym ostrzałem z kilku stron, a na ganku odległego domu stał nieruchomo mężczyzna.

Obserwował całe widowisko, jakby zorganizowano je dla jego prywatnej rozrywki. Katerina zgadywała, że dwaj mężczyźni zbliżający się od zachodu to Gabriel Allon i Christopher Keller, a człowiekiem stojącym na ganku jest Quinn.

Siłą postawiła Madeline na nogi, po czym przykłęka na jedno kolano i wystrzeliła cztery pociski w jednego z ludzi Quinna. Smugi dymu eksplodujące z jego stanowiska natychmiast zniknęły. Cztery kolejne strzały wyeliminowały drugiego członka drużyny, a ostatni, dobrze wymierzony, zlikwidował trzeciego. Obojętna poza Quinna uległa zmianie. Katerina kilkakrotnie strzeliła w jego stronę, lecz wycofał się w głąb domu. Potem odwróciła się do Madeline, ale tej nie było.

Potykaçąc się, Madeline brnęła w dół zbocza w stronę Allona i Kellera. Półprzytomna, niezdolna utrzymać równowagi, wyglądała jak

szmaciana lalka, która nagle ożyła. Katerina wrzeszczała, by padła na ziemię, lecz bez skutku. Strach i groza położenia uwięziły Madeline w żelaznych szponach. Widząc to, Katerina obróciła się, by spojrzeć w stronę Quinna. I wtedy dosięgła ją kula. Precyzyjnie wymierzony strzał przebił na wskroś jej mostek. Nie czuła uderzenia ani bólu. Osunęła się na kolana z bezwładnie zwisającymi rękami i twarzą zwróconą ku czarnemu niebu. Gdy upadła na wilgotną ziemię południowego Armagh, odniosła wrażenie, że tonie w morzu krwi. Jakaś ręka próbowała wyciągnąć ją na powierzchnię, lecz w końcu się odsunęła. Katerina była martwa.

Gdy Madeline padła w ramiona Gabriela, ogień już ustał. Keller porzucił karabin i uzbrojony tylko w glocka ruszył biegiem przez pole w stronę domu Fagana. Ślady kul upstrzyły tylną ścianę budynku, a wiatr szarpał zasłoną zwisającą w otwartych drzwiach. Keller przycisnął policzek do muru, nasłuchując odgłosów z wnętrza, po czym, obracając się wokół własnej osi, wpadł do środka z bronią w wyciągniętej ręce. Miał już strzelić do Jimmy'ego Fagana, lecz zatrzymał się, widząc martwy wyraz jego oczu i czysty obrys rany wlotowej pośrodku czoła. Szybko przeszukał dom, lecz nie znalazł nikogo. Quinn po raz kolejny umknął z pola bitwy. No cóż, pomyślał Keller, umrze innego dnia.

## **Część czwarta**

# **DOM**

*Południowy Armagh - Londyn*

To była noc, o jakiej piszą pieśni. Ośmiu poległych na zielonych wzgórzach południowego Armagh - sześciu zabitych strzałem, dwóch nożem. Ich imiona zdobyły honorową listę legendarnej bojówki IRA: Maguire, Magill, Callaghan, O'Donnell, Ryan, Kelly, Collins, Fagan... Ośmiu poległych na zielonych wzgórzach południowego Armagh - sześciu zabitych strzałem, dwóch nożem. To była noc, o jakiej piszą pieśni.

Ale w czasie, który nastąpił bezpośrednio po tych wydarzeniach, nie śpiewano ballad. Zadawano natomiast pytania. Wśród nich, na przykład, oczekiwano wyjaśnienia zagadkowego telefonu na policję. Kto go wykonał i dlaczego? Mimo nacisków prasy nawet komisarz policji nie potrafił ujawnić zapisu, który potwierdzał czas zgłoszenia i tożsamość informatora. A co do przyczyn rozlewu krwi w Crossmaglen, mógł tylko spekulować.

Za najbardziej prawdopodobny powód uznał długotrwały konflikt między rywalizującymi z sobą frakcjami ruchu republikańskiego, choć nie wykluczał porachunków na tle nielegalnego handlu narkotykami. Sugerował nawet, że może istnieć związek między masakrą w Crossmaglen a niewyjaśnionym zaginięciem Liama Walsha, dilerka narkotyków jawnie powiązanego z IRA Prawdziwą. I choć komisarz nic na ten temat nie wiedział, miał tym razem całkowitą i niepodważalną słusność.

Jego teorie dotyczące przyczyn masakry zostały wprawdzie przyjęte przez szeroką opinię, lecz nie przez członków klanowej społeczności południowego Armagh. W barach, gdzie razem pili, i w



ciemnych wnętrzach konfesjonatów, gdzie wyznawali grzechy, wszystko było wiadome. Śmierć ich towarzyszy i sąsiadów nie miała nic wspólnego z wewnętrznymi konfliktami ani z narkotykami. To było dzieło Quinna.

Wiedzieli jeszcze o wielu innych sprawach. Takich, o których komisarz nie wspomniał prasie słowem. Wiedzieli, że owej nocy były tam dwie kobiety, a także weteran SAS, który nazywał się Christopher Keller. Jedna z kobiet zginęła od strzału w serce oddanego z odległości niemal stu metrów, a dokonać tego mógł jedynie Quinn. Quinn jednak zniknął bez śladu. Zamierzali go znaleźć i poczęstować kulą, na którą dobrze zasłużył. Tą samą kulą, której niesłusznie oszczędzili mu po Omagh. A potem mieli znaleźć tego Kellera z SAS i jego też zabić.

Trzymali to w sekrecie, jak większość wspólnych planów, i krzątali się wokół swych codziennych spraw. Dopisali jedynie osiem nazwisk na pomniku IRA na Cross Square i wykopali osiem grobów na cmentarzu Świętego Patryka. Podczas mszy pogrzebowej ksiądz mówił o zmartwychwstaniu, ale potem, w ciemnych zakątkach baru Emerald, mówiono tylko o zemście. Ośmiu poległych na zielonych wzgórzach południowego Armagh - sześciu zabitych strzałem, dwóch nożem. To była sprawka Quinna. I Quinn za to zapłacił.

Tego samego dnia w Londynie dyrektor generalny Tajnych Służb Jej Królewskiej Mości Graham Seymour poinformował, że w odludnym zakątku zachodniej Kornwalii zamordowano czterech funkcjonariuszy MI6. Jakby tego było mało, pracownik wydziału kadr tegoż MI6 popełnił samobójstwo, wyskakując z najwyższego piętra Vauxhall Cross. Seymour uchylił się od odpowiedzi na pytanie, czy te wydarzenia mają z sobą związek. Prasa uznała jednak, że wskazuje na to łączne przekazanie obu informacji. Był to jeden z najczarniejszych dni w dumnej historii służb, a towarzyszący mu rozgłos przyćmił inne odkrycia znad Morza Irlandzkiego.

Brytyjska prasa ledwo odnotowała, że na skraju lasu w hrabstwie Antrim znaleziono ciało Billy'ego Conwaya, republikanina z Belfastu, i że trzy dni później turysta natknął się na granicy hrabstwa Mayo na ciało Liama Walsh, już w stanie rozkładu. Z ciał obu ofiar wydobyto pociski kalibru 9mm, lecz analiza balistyczna wykazała, że pochodziły z odmiennej broni. Irlandzka Garda Síochána i policja Irlandii Północnej prowadziły w tych sprawach dwa odrębne śledztwa. Nidy nie wykryto istniejącego między nimi związku.

Niemiecka policja również dokonała kłopotliwych odkryć, znalazła bowiem kolejne ciało, a w nim kolejny pocisk kalibru 9mm. Dena-

tem był mężczyzna, który po identyfikacji okazał się rosyjskim oficerem wywiadu, Aleksiejem Rożanowem. Pozostawało zagadką, kto pocisk ów wystrzelił. Przypuszczalnie był to ktoś powiązany z grupą operacyjną, która zastrzeliła rosyjskiego kierowcę i ochroniarza w Hamburgu. Wśród bardziej szokujących aspektów tego odkrycia należy wymienić fakt, że Rożanowa znaleziono z wepchniętym w usta rosyjskim paszportem. Najwyraźniej było to ostrzeżenie. I nie ulegało wątpliwości, że skutecznie doręczono.

Niemiecki kontrwywiad BfV\* odnotował wyraźny wzrost rosyjskiej aktywności agenturalnej, a jego brytyjski odpowiednik MI5 zauważył podobną zmianę rosyjskiego profilu w Londynie. Kreml nie ukrywał oburzenia. Rosyjski prezydent zapewnił, że morderców Aleksieja Rożanowa osiągnie najwyższa możliwa kara. Znawcy rosyjskiego wywiadu wiedzieli, co to znaczy. Należało zakładać, że wkrótce ktoś odnajdzie kolejne martwe ciało.

\* BfV (Bundesamt für Verfassungsschutz) - kontrwywiad Republiki Federalnej Niemiec (przyj. red.).

Czy jednak istniał związek między wydarzeniami w Niemczech, Wielkiej Brytanii i trzydziestu dwóch hrabstwach Irlandii i Ulsteru? Ukryty głęboko sekret, wokół którego wszyscy krążyli po orbicie wytyczonej rutynowo? Kilka niszowych serwisów wiadomości wyrażało takie sugestie, a niebawem do podobnego wniosku doszło również kilka poważnych organizacji. Niemiecki tygodnik „Der Spiegel”, autorytet w dziennikarstwie śledczym, wiązał zabójstwo Rożanowa i jego ochroniarzy z izraelskim wywiadem, ale kancelaria premiera Izraela w bezprecedensowej wypowiedzi na temat tajnych służb kategorycznie temu zaprzeczyła. Wkrótce potem „Irish Times” zasugerował brytyjski udział w porwaniu i morderstwie Liama Walsh, natomiast irlandzkie radio i telewizja RTÉ próbowały dociekać jego roli w zamachu bombowym w Omagh w 1998 roku. Najgłośniejszym echem odbił się jednak artykuł opublikowany na prawach wyłączności w „Daily Mail”. Opierał się na pogłoskach, że pracownik MI6, który wyskoczył z najwyższego piętra budynku, był w rzeczywistości rosyjskim szpiegiem.

Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych jednogłośnie zaprzeczyło tym rewelacjom, chociaż dwa dni później ich wiarygodność wzrosła, gdy premier Jonathan Lancaster ogłosił drakoński pakiet sankcji ekonomicznych i politycznych wymierzonych w Rosję oraz klikę byłych funkcjonariuszy KGB, którzy przejęli kontrolę nad Kremlem. Wedle oficjalnej deklaracji powodem tych sankcji był „schemat rosyjskich zachowań na ziemi brytyjskiej i w innych kra-

jach”. Wśród sankcji wymieniano również zamrożenie zlokalizowanych w Londynie aktywów majątkowych kilku prokremlowskich oligarchów oraz obejmujący ich zakaz wjazdu do Wielkiej Brytanii. W odpowiedzi rosyjski prezydent demonstracyjnie ogłosił sankcje odwetowe. Ta wiadomość spowodowała gwałtowny spadek rosyjskich akcji, a cena rubla w stosunku do głównych walut zachodnich spadła do najniższego notowanego poziomu.

Dlaczego jednak brytyjski premier działał z taką determinacją? I dlaczego właśnie teraz? Kręgi opiniotwórcze uznały jego wyjaśnienia za niewystarczające. Mówiono, że bez wątplenia chodzi tu o coś więcej niż brzydkie zachowania Rosjan. W końcu Rosjanie zachowują się nagannie od wielu lat.

Tak więc reporterzy dociekali, publicyści opiniowali, a telewizyjni analitycy spekulowali i snuli teorie. Niektóre prawdopodobne, inne nie. Zaledwie kilku z nich zdołało nieco uchylić rąbka prawdy, ale absolutnie nikt nie dostrzegł cienkiej, częściowo zatartej linii łączącej pewne zabójstwo nad zamarzniętym rosyjskim jeziorem z morderstwem brytyjskiej księżnej i rozlewem krwi na wzgórzach południowego Armagh. Nikt też nie powiązał tej na pozór niespójnej serii wydarzeń z osobą legendarnego oficera wywiadu izraelskiego, który zginął w zamachu bombowym przy Brompton Road.

Ale on, oczywiście, nie zginął. W gruncie rzeczy przy odrobinie szczęścia brytyjscy reporterzy mogliby go przelotnie ujrzeć w Londynie w ciągu pełnych napięcia czterdziestu ośmiu godzin, które nastąpiły po strzelaninie w Crossmaglen. Poruszał się szybko i miał ściśle wyliczony czas, gdyż w związku z nagłymi sprawami osobistymi wyjeżdżał do domu. Wyjaśnił kilka istotnych kwestii w Vauxhall Cross i ocieplił stosunki z Thames House na przeciwnym brzegu rzeki. Spotkał się na roboczej kolacji z pracownikami londyńskiej komórki Biura, a późnym rankiem następnego dnia zjawił się niezapowiedziany w galerii sztuki przy St. James's, by wyznać swemu staremu zaufanemu przyjacielowi, że wciąż jest wśród żywych. Stary przyjaciel powitał go z radością, lecz po chwili wpadł w furję, że został oszukany. Pod ciężarem wyrzutów sumienia Gabriel przyznał, że postąpił okrutnie.

Z galerii przy St. James's pojechał na wieś, do Hertfordshire. Przed wyjazdem pragnął jeszcze odwiedzić wiktoriańską rezydencję z czerwonej cegły, ongiś pełniącą funkcję ośrodka szkoleniowego dla świeżo rekrutowanych pracowników MI6. Teraz jedyną mieszkanką

wielkiego budynku była Madeline Hart. Gabriel zabrał ją na spacer po osnutym mgłą terenie posiadłości, a w ślad za nimi ruszyła grupa ochroniarzy. Było ich czterech - tylu, ilu zginęło w Kornwalii z rąk Quinna i Kateriny.

- Czy kiedyś tam wrócisz?
- Do Kornwalii?

Madeline wolno skinęła głową.

- Nie - odparł. - Nie sądzę.
- Tak mi przykro. - Podniosła na niego smutny wzrok. - To ja wszystko zniszczyłam. Gdybyś mnie zostawił w Petersburgu, nigdy by do tego nie doszło.

- Jeśli chcesz kogoś winić - odparł Gabriel - obwiń rosyjskiego prezydenta. To on wysłał twoją koleżankę, żeby cię zabiła.

- Gdzie jest jej ciało?
- Graham Seymour zawiadomił londyńską rezydenturę SWR, że gotów jest je wydać.

- I co?
- Wygląda na to, że nie są zainteresowani. Twierdzą, że nie wiedzą, kto to jest.

- Gdzie ją pogrzebią?
- W bezimiennym grobie.
- Typowy rosyjski koniec - stwierdziła posepnie.
- Lepiej że to ona niż ty.
- Uratowała mi życie. - Spojrzała na niego i dodała: - Tobie zresztą też.

Zostawił ją w południe i ruszył do Highgate, by spłacić dług zaciągnięty u jednej z najwybitniejszych londyńskich dziennikarek. Dochodziła piąta, gdy skończyli spotkanie. Odlatywał do domu o dziesiątej trzydzieści wieczorem. Pospieszenie ruszył do użyczonego mu przez ambasadę samochodu i wsunął się na siedzenie z tyłu. Miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Jeszcze jedno koniecznie należało naprawić.

*81 Victoria Road, South Kensington*

To był solidny mały dom z kutą żelazną bramą i eleganckimi schodami prowadzącymi do białych drzwi. W małym ogródku z frontu kwitły kwiaty w doniczkach, a w oknie salonu paliło się światło. W wąskim prześwicie między lekko rozsuniętymi zasłonami Gabriel dostrzegł mężczyznę w wysokim staromodnym fotelu. Doktor

Robert Keller siedział wyprostowany z wielką płachtą gazety. Gabriel nie umiał odgadnąć jej tytułu, gdyż deszcz zalewał okna samochodu, a wewnątrz było zasnuwane dymem z papierosów. Keller palił bez przerwy, odkąd wsiadł na rogu ulicy w Holborn, gdzie chwilowo zamieszkał. Teraz wpatrywał się w dom rodziców, jakby to był obiekt ścisłego nadzoru. Gabriel uświadomił sobie nagle, że nigdy dotąd nie widział go w takim stanie.

- Jest stary - odezwał się w końcu Keller. - Starszy niż sobie wyobrażałem.

- Minęło wiele czasu.

- A więc nic się nie stanie, jeśli posiedzimy tu jeszcze z minutę.

- Ile zechcesz.

- O której odlatujesz?

- Nieważne - odparł Gabriel, dyskretnie zerkając na zegarek.

- Widziałem - rzucił Keller.

W oknie po drugiej stronie ulicy starsza kobieta stawiała filiżankę i talerzyk obok łokcia mężczyzny, który czytał gazetę. Christopher odwrócił głowę. Ze wstydu czy z gniewu? Gabriel nie potrafił zgadnąć.

- Co teraz robi? - zapytał Keller.

- Wygląda przez okno.

- Widzi nas?

- Nie sądzę.

- Odeszła?

- Odeszła.

Keller znów podniósł wzrok.

- Jaką on pije herbatę? - Gabriel wskazał okno.

- To specjalna mieszanka. Kupuje ją w sklepie przy New Bond Street.

- Może powinieneś się do niego przyłączyć?

- Za moment. - Zgasił papierosa i natychmiast zapalił następnego.

- Musisz?

- W tej chwili - odparł Keller - absolutnie muszę.

Gabriel opuścił nieco szybę, by wywietrzyć wnętrze. Nocny deszcz smagnał go po policzku.

- Co chcesz im powiedzieć?

- Docenię wszelkie twoje sugestie.

- Mógłbyś zacząć od prawdy.

- Są starzy - odrzekł Keller. - Prawda może ich zabić.

- Więc dozuj ją porcjami.

- Jak lekarstwo. - Pokiwał głową, nie odrywając wzroku od domu. - Chciał, żeby został lekarzem. Wiedziałeś o tym?

- Chyba kiedyś coś mi wspomniałeś.

- Możesz sobie wyobrazić mnie jako lekarza?

- Nie. - Gabriel pokręcił głową. - Nie mogę.

- Nie musiałeś mówić tego takim tonem.

Chwilę słuchali deszczu bębniącego o dach.

- A jeśli nie zechcą mnie przyjąć? - spytał Keller po namyśle. - Jeśli mnie wyrzucą?

- Tego się obawiasz?

- Tak.

- To są twoi rodzice, Christopher.

- Widać, że nie jesteś Anglikiem. - Keller przetarł kawałek zamglonej szyby i skrzywił się, patrząc na deszcz. - Jestem mokry od chwili, kiedy wróciłem do tego zakazanego kraju.

- Na Korsyce też pada.

- Nie tak.

- Zdecydowałeś już, gdzie chcesz mieszkać?

- Gdzieś blisko nich - odparł. - Niestety będą nadal musieli udawać, że nie żyją. To część mojej umowy z MI6.

- Kiedy zaczynasz?

- Jutro.

- Jakie jest twoje pierwsze zadanie?

- Znaleźć Quinna. - Zerknął na Gabriela. - Docenię każdą pomoc ze strony twoich służb. Niestety muszę się stosować do reguł MI6.

- To fatalnie.

Matka Kellera znów pojawiła się w oknie.

- Czego ona wypatruje? - spytał.

- Może niczego. - Gabriel spuścił wzrok.

- Myślisz, że będzie dumna?

- Z czego?

- Z tego, że pracuję dla MI6.

- Wiem, że będzie.

Keller sięgnął do klamki, lecz się zatrzymał.

- Byłem wcześniej w wielu niebezpiecznych sytuacjach... - Głos mu się załamał. - Mogę jeszcze chwilę posiedzieć?

- Ile chcesz.

- O której masz samolot?

- Zatrzymam go, jeśli będzie trzeba.

Keller się uśmiechnął.

- Będzie mi brakować naszej wspólnej pracy.

- A kto mówi, że na tym koniec?
  - Wkrótce zostaniesz szefem, a szefowie nie zadają się z takim plebsem jak ja. - Położył dłoń na klamce i spojrział w okno domu. - Znam tę minę - dodał.
  - Jaką minę?
  - Minę mojej matki. Zawsze tak na mnie patrzyła, kiedy się spóźniałem.
  - Jesteś już spóźniony, Christopher.
- Keller gwałtownie się obrócił.
- Co ty zrobiłeś?
  - Idź. - Gabriel podał mu rękę. - Dość długo kazałeś im czekać.

To okrutne.

Keller wyskoczył z samochodu i przebiegł przez mokrą ulicę. Chwilę szamotał się z ogrodową furtką, a potem w kilku susach pokonał schody, gdy otworzyły się frontowe drzwi. Jego rodzice stali w holu, podtrzymując się wzajemnie i nie wierząc własnym oczom. Podniósł palec do ust i zamknął ich w swych potężnych ramionach, zanim jeszcze zdążył zamknąć drzwi. Gabriel zobaczył go po raz ostatni, gdy przesunął się przed oknem salonu. Potem cień się rozpułynał i Keller zniknął.

*Ulica Narkiss, Jerozolima*

Tego samego wieczoru umowa o zawieszeniu broni między Izraelem i Hamasem została zerwana. W Strefie Gazy znów rozgorzała wojna. Gdy samolot Gabriela zbliżał się do Tel Awiwu, flary i smugi pocisków rozświetlały południowy horyzont. Jedna z rakiet Hamasu pojawiła się niebezpiecznie blisko lotniska Ben-Guriona, ale system antyrakietowy Żelazna Kopuła natychmiast zareagował. Została zestrzelona.

Na terminalu wszystko wyglądało normalnie, tylko spanikowana grupa turystów chrześcijańskich tłoczyła się chaotycznie przy ekranie telewizora. Nikt nie zauważył zmarłego i nieodżałowanego następcy szefa wywiadu izraelskiego, gdy spokojnie przechodził przez terminal z podręczną torbą na ramieniu. Ominął długą kolejkę do kontroli paszportowej i zniknął za drzwiami przeznaczonymi dla terenowych funkcjonariuszy wywiadu powracających z zagranicznych misji.

Czterech wyznaczonych przez Biuro agentów ochrony popijało kawę w poczekalni po przeciwnej stronie holu. Przeprowadzili go jasno oświetlonym korytarzem do drzwi, za którymi w szarości przedświtów stały dwa amerykańskie SUV-y z zapalonymi silnikami. Gabriel wsiadł na tylne siedzenie jednego z nich. Huk opancerzonych drzwi, gdy je zamykano, niemal go oślepił.

Na siedzeniu, dzięki uprzejmości Uziego Navota, znalazł wewnętrzny biuletyn informacyjny. Gdy kawalkada skręciła w autostradę nr 1 i wjechała przez Bramę Doliny w górski wąwóz oddzielający nadbrzeżne równiny od Jerozolimy, otworzył informator. Przebiegając wzrokiem kolejne strony, odnosił wrażenie, że widzi



katalog horrorów świata ogarniętego obłędem. Arabska Wiosna przemieniła się w Arabską Katastrofę. Islamscy radykałowie kontrolowali teraz terytorium rozciągające się od Afganistanu do Nigerii, co stanowiło osiągnięcie, o jakim bin Laden nie odważyłby się marzyć. Mogłoby się to wydać zabawne, gdyby nie było tak groźne. A zarazem tak łatwe do przewidzenia.

Amerykański prezydent przyczynił się do upadku starego porządku, nie proponując żadnej realnej alternatywy. Był to akt pozbawiony rozważań i precedensu we współczesnej sztuce rządzenia. Ponadto z jakiegoś powodu wybrał ten właśnie moment w czasie, rzucając Izrael na pożarcie wilkom. Uzi miał szczęście, myślał Gabriel, zamykając broszurę. Zdołał jeszcze ręcznymi zabiegami zapobiec powodzi. Teraz to nie wystarczy. Jemu przypada zadanie budowy arki. Powódź nadchodzi i nic już nie może jej powstrzymać.

Gdy dotarli na obrzeża Jerozolimy, gwiazdy bladły, a niebo nad Zachodnim Brzegiem z wolna się rozjaśniało. Poranny ruch już pełził ulicą Jaffa, ale Narkiss trwała w uśpieniu pod nadzorem wyznaczonych przez Biuro funkcjonariuszy ochrony. Eli Lavon nie wyolbrzymił ich liczby. Na obu krańcach ulicy ustawiono posterunki, podobnie jak przed budynkiem numer 16 - niewielkim apartamentowcem z elewacją krytą piaskowcem.

Zbliżając się do wejścia, Gabriel zdał sobie sprawę, że nie ma kluczy. Okazało się to jednak bez znaczenia, gdyż Chiara nie zamknęła drzwi. Wszedł i postawił torbę w holu na podłodze, widząc jednak nieskazitelny porządek w salonie, podniósł ją i ruszył dalej korytarzem.

Drzwi do jednego z pokoi były lekko uchylone. Pchnął je szerzej i zajrzał do środka. Kiedyś był to jego gabinet. Teraz stały tu dwie kołyski, jedna z pościelą różową, druga z niebieską. Po dywanie maszerowały słonie i żyrafy, a na ścianach fruwały puszyste chmurki. Poczul gwałtowne ukłucie winy. Pod jego nieobecność Chiara wszystko to zrobiła sama. Gdy przesuwiał ręką po powierzchni stolika do przewijania niemowląt, napłynęły wspomnienia. Był wieczór 18 kwietnia 1988 roku. Wrócił do domu z Tunisu po likwidacji Abu Dżihada. Dani miał wysoką gorączkę. Przez całą noc kołysał w ramionach rozpalone dziecko, a obrazy ognia i śmierci nieustannie stały mu przed oczami. Trzy lata później to dziecko nie żyło.

„Tak, to musiało mieć związek z człowiekiem o imieniu Tariq...”

Zamknął drzwi i wszedł do sypialni. Jego naturalnej wielkości portret, który namalowała Leah po zakończeniu operacji Gniew Boży, wisiał na przeciwległej ścianie. Pod nim spała Chiara. Zostawił torbę

w garderobie, zdjął buty i ubranie, a na koniec wsunął się do łóżka obok niej. Leżała nieruchomo, najwyraźniej nieświadoma jego obecności. Wtem nieoczekiwanie zapytała:

- Podoba ci się, kochanie?

- Pokój dzieci?

- Tak.

- Jest piękny, Chiaro. Żałuję tylko, że nie pozwoliłaś mi namalować chmur.

- Chciałam - odparła. - Ale bałam się, że to może być prawda. Tak bardzo się bałam.

- Co?

Nie odpowiedziała. Gabriel zamknął oczy i po raz pierwszy od trzech dni zasnął.

Kiedy w końcu się ocknął, było późne popołudnie, po pościeli przesuwali się długie wąskie cienie. Opuścił stopy na podłogę i powłókł się do kuchni wypić kawę. Chiara oglądała w telewizji wojnę. Izraelska bomba spadła właśnie na palestyńską szkołę, w której przebywały wyłącznie kobiety i dzieci. Tak przynajmniej twierdził Hamas. Najwyraźniej nic się nie zmieniło.

- Musimy na to patrzeć?

Ściszyła dźwięk. Miała na sobie luźne jedwabne spodnie, złote sandały i ciężową bluzkę, która miękko spływała po pełnych piersiach i wydatnym brzuchu. Ale jej twarz się nie zmieniła. Była nawet piękniejsza, niż zapamiętał. Nagle ogarnął go żal, że przez cały miesiąc jej nie widział.

- Kawa jest w termosie.

Napełnił filiżankę i spytał Chiary, jak się czuje.

- Jakbym zaraz miała się rozsypać.

- Tak myślisz?

- Doktor mówi, że lada chwila.

- Żadnych komplikacji?

- Mam lekki niedobór płynu owodniowego i jedno z dzieci jest mniejsze niż drugie.

- Które?

- Dziewczynka. Chłopiec w normie. - Patrzyła na niego przez chwilę. - Wiesz, kochanie, musimy w końcu wybrać im imiona.

- Wiem.

- Lepiej zrobmy to, zanim się urodzą.

- Też tak myślę.

- Mosze to ładne imię.
- Tak.
- Ale zawsze podobał mi się Jakow.
- Mnie też. - Gabriel się zamyślił. - To dobry oficer. Ale pewien Irańczyk wolałby już go nie widzieć.

- Reza Nazari?

Gabriel spojrzął znad filiżanki z kawą.

- Skąd wiesz?
- Pod twoją nieobecność dostawałam regularne sprawozdania. Jestem na bieżąco.

- Od kogo?

- A jak myślisz? - Uśmiechnęła się. - À propos, przychodzą dziś na kolację.

- Koniecznie? Ledwie wszedłem do domu.

- No to powiedz mu, że jesteś nieludzko zmęczony. Na pewno zrozumie.

- Łatwiej skłonić Hamas do wstrzymania ognia - rzekł zrezygnowanym tonem.

O zachodzie wziął prysznic, ubrał się i ruszył ze swą obstawą na targ Mahane Jehuda. Raz po raz przystając, wybierał na straganach prowianty na kolację. Chiara dała mu listę, którą zmiął i wsunął do kieszeni płaszcza, po czym zapomniał wyjąć. Dokonywał więc teraz wyboru, kierując się instynktem i folgując własnym zachciankom. Kupił orzechy, suszone owoce i humus, pastę z bakłazana, pieczywo, izraelską sałatę i ser feta, a na koniec gotowy ryż i mięso. Uzupełnił to wszystko kilkoma butelkami wina z Galilei i Wzgórz Golan. Parę osób odwróciło się, gdy przechodził, lecz poza tym jego obecność w tłumie kupujących nie zwróciła niczyjej uwagi.

Gdy w asyście ochrony wrócił na ulicę Narkiss, limuzyna marki Peugeot stała już na krawężniku. Po wejściu na górę ujrzał w salonie Chiare w towarzystwie Gilah Szamron. Siedziały na kanapie pośród licznych toreb z ubraniami i innymi rzeczami. Szamron zdążył już wyjść na taras, by zapalić. Gabriel ułożył na talerzach sałaty i przekąski, aranżując bufet na kuchennym blacie. Potem wstawił ryż z mięsem do gorącego piekarnika i napełnił swym ulubionym izraelskim sauvignon blanc dwa kieliszki, z którymi ruszył na taras.

Zapadł już mrok i wzbijał się zimny wiatr. Zapach tureckiego tytoniu Szamrona mieszał się z intensywnym aromatem eukaliptusów rosnących w ogrodzie przed domem. Pomyślał, że ta woń dziwnie go uspokaja. Podał Szamronowi kieliszek z winem i usiadł obok.

- Przyszli szefowie Biura - zaczął tamten z lekkim wyrzutem -

nie szwendają się po Mahane Jehuda.

- Szwendają się, kiedy ich żony robią się wielkie jak zeppelin.
- Na twoim miejscu nie mówiłbym tego na głos. - Szamron uśmiechnął się, wznosząc kieliszek. - Witaj w domu, synu.

Gabriel w milczeniu wypił wino. Patrzył w niebo na południowej stronie, wyczekując błysku rakiety i reakcji systemu Żelaznej Kopuły. Witaj w domu...

- Piłem dziś rano kawę z premierem - zaczął Szamron. - Przesyła ci pozdrowienia. Chciałby również wiedzieć, kiedy zamierzasz złożyć przysięgę.

- Nie wie, że nie żyję?
- Zapomniał.
- Chciałbym spędzić trochę czasu z moimi dziećmi, Ari.
- Ile?
- Zakładając, że będą zdrowe - rzekł po chwili - myślę, że trzy miesiące.

- Trzy miesiące bez szefa to długo.
- Nie będziemy bez szefa. Jest przecież Uzi.

Szamron zgniół papierosa.

- Naprawdę zamierzasz go zatrzymać?
- Nawet siłą, jeśli okaże się to konieczne.
- Jak będziemy się do niego zwracać?
- Na przykład Uzi. To bardzo przyzwoite imię.

Spojrzał w dół na młodych ochroniarzy patrolujących spokojną ulicę. Nigdy już nie wyjdzie bez nich z domu. Podobnie jak jego żona i dzieci. Szamron chciał zapalić kolejnego papierosa, ale się powstrzymał.

- Nie sędzę, żeby premier był zachwycony twoim trzymiesięcznym urlopem ojcowskim. W gruncie rzeczy właśnie się zastanawia, czy nie zechciałbyś się podjąć pewnej misji dyplomatycznej w jego imieniu.

- Gdzie?
- W Waszyngtonie - odparł. - Nasze relacje z Ameryką można by nieco ocieplić. A ty zawsze dobrze sobie radziłeś z Amerykanami. Nawet prezydent wyraźnie darzy cię sympatią.

- Nie posuwałbym się tak daleko.
- Pojedziesz?
- Niektóre obrazy nie nadają się już do renowacji, Ari. Tak jak niektóre kontakty.
- Amerykanie będą ci potrzebni, kiedy zostaniesz szefem.
- Zawsze mówiłeś, że bym trzymał się od nich z daleka.

- Świat się zmienia, synu.
- To prawda - przytaknął. - Prezydent Stanów Zjednoczonych pisze listy miłosne do ajatollaha... - Obojętnie wzruszył ramionami, ale nic więcej nie powiedział.
- Prezydenci Stanów przychodzą i odchodzą, ale szpiedzy zostają.
- Podobnie jak Persowie - zauważył Gabriel.
- Ale Reza Nazari nie będzie nam już sprzedawał swoich kłamstw. A tak, na marginesie - dodał Szamron - to nigdy nie miałem o nim dobrego zdania.
- Dlaczego nic nie powiedziałaś?
- Owszem, mówiłem. - Szamron zapalił w końcu kolejnego papierosa. - Wrócił już do Teheranu, jeśli nie wiesz, i niech lepiej tam zostanie. W przeciwnym razie Rosjanie go rozwalą. - Uśmiechnął się.
- Twoja operacja zasiała ziarno niezgody między dwoma z naszych adwersarzy.
- Niech wzrośnie w wielkie drzewo.
- Kiedy wybuchnie kolejna rewelacja?
- Jej artykuł zamieszczą w niedzielnym wydaniu.
- Oczywiście Rosjanie zaprzeczą.
- Nikt im już nie uwierzy - odrzekł Gabriel. - I zastanowią się dwa razy, zanim mnie zaatakują.
- Nie doceniasz ich.
- Przeciwnie.

Zapadła cisza. Gabriel nasłuchiwał szumu wiatru w eukaliptusach i dźwięku ciepłego głosu Chiary, który dobiegał z sąsiedniego pokoju. Miał wrażenie, że Armagh wydarzyło się w jakimś innym życiu. Nawet Quinn nie budził jego emocji. Ten Quinn, który sprawił, że ognista kula mknęła z prędkością trzystu metrów na sekundę. I który w libijskim obozie uczył Palestyńczyka, Tariqa al-Houraniego, jak budować bomby.

- Tak to sobie wyobrażałeś? - spytał cicho Szamron.
- Powrót do domu? - Gabriel podniósł wzrok w niebo i patrząc na południe, czekał na ognisty błysk. - Owszem - odparł po chwili. - Właśnie tak.

*Ulica Narkiss, Jerozolima*

Przygotował się do narodzin dzieci jak do większości znaczących wydarzeń w swoim życiu. Uznał to za ważną operację. Zaplanował drogę ewakuacji i opracował plan awaryjny, zapewniając jeszcze dodatkowe wsparcie. Był to wzorzec ekonomii i synchronizacji z nielicznymi elementami zmiennymi, wyłączywszy oczywiście główną gwiazdę spektaklu. Szamron starannie przeanalizował jego plan, podobnie jak Uzi Navot i reszta zespołu. Wszyscy bez wyjątku orzekli, że Gabriel stworzył arcydzieło.

Trudno jednak powiedzieć, by poza tym miał wiele zajęć. Po raz pierwszy od lat nie pracował i nie zamierzał podejmować żadnych zadań. Biuro trwało w oczekiwaniu na jego powrót, w pracach konserwatorskich nastąpiła przerwa. Jego jedynym zadaniem stała się teraz opieka nad Chiarą. Kolacja z małżeństwem Szamronów była ostatnim z jej spotkań towarzyskich. Przyjmowanie gości zbyt ją męczyło, podobnie jak nawet krótkie rozmowy telefoniczne. Gabriel krążył wokół niej jak usłużny kelner, nieustannie gotów napełnić pustą szklankę lub odesłać do kuchni danie, które nie spełniało jej oczekiwań. Zachowywał się wzorowo i niezmiennie uprzedzał wszelkie jej pragnienia, zarówno fizyczne, jak i duchowe. Nawet ona sama zaczęła patrzeć podejrzliwie na tę chodzącą doskonałość.

W związku z wiekiem i wcześniejszymi nieudanymi próbami poczęcia jej ciąża była obarczona wysokim ryzykiem. Lekarz prowadzący co kilka dni wyznaczał jej wizyty w celu wykonania badań ultrasonograficznych. Pod nieobecność Gabriela jeździła do Centrum Medycznego Hadassa w asyście ochrony, a czasami towarzyszyła jej

również Gilah Szamron.

Tym razem przybyła tu z mężem, w kawalkadzie aut i z urzędową pompą. W gabinecie Gabriel stał przy niej zaborczo, gdy lekarz przesuwał głowicę aparatu po jej nasmarowanym żelem brzuchu. We wczesnym okresie ciąży obraz USG wyraźnie ujawniał zarysy dwojga dzieci. Teraz trudno było je rozróżnić, choć chwilami aparat szokująco wyraźnie pokazywał twarz lub rączkę. Serce Gabriela zaczynało wtedy uderzać w takim tempie, jakby stał w obliczu działań operacyjnych. Te widmowe rozwodnione kształty przypominały zdjęcia rentgenowskie, które odsłaniają pierwotną postać obrazu. Natomiast zanikający płyn owodniowy skupiał się w wyspy jednolitej czerni.

- Kiedy nastąpi rozwiązanie? - spytał z powagą człowieka, który większość rozmów prowadzi w konspiracyjnych lokalach przez bezpieczne telefony.

- Za trzy dni - odparł lekarz. - Najwyżej cztery.

- Nie wcześniej?

- Istnieje pewna szansa - rzekł lekarz - że poród zacznie się dziać w drodze do domu. Ale to mało prawdopodobne. Płyn zaniknie długo przedtem.

- I co wtedy?

- Najbezpieczniej będzie wykonać cesarskie cięcie.

Lekarz wyczuł jego niepokój.

- Nie ma żadnych powodów do obaw - zapewnił. A potem dodał z uśmiechem: - Cieszę się, że pan przeżył. Potrzebujemy pana. I dzieci też pana potrzebują.

Wizyty w szpitalu były jedyną przerwą w długich, monottonnych godzinach oczekiwania. Chiara pozwoliła mu nawet spakować jej walizkę do szpitala, co wypełniło całe pięć minut. Potem krążył po domu w poszukiwaniu innych zajęć. W pewnej chwili zajrzał do pokoju dzieci. Z podbródkiem opartym na dłoni i przechyloną w bok głową długo przypatrywał się chmurkom namalowanym przez żonę.

- Czy nie będziesz mi miała za złe - spytał nieco później - jeśli je nieco przemaluję?

- Nie podobają ci się?

- Są śliczne - odparł może zbyt szybko.

- Ale?

- Wyglądają trochę dziecinnie.

- Bo są dla dzieci.

- Nie o to mi chodziło.

Zgodziła się niechętnie, i to pod warunkiem, że użyje farb

bezpiecznych dla dzieci i wykona pracę w ciągu doby. Ruszył więc szybko do najbliższego sklepu z farbami, ciągnąc za sobą ochronę, i niebawem wrócił z niezbędnymi artykułami. Kilkoma pociągnięciami wałka, którego nigdy dotąd nie używał, zamalował obrazki Chiary na kolor bladobłękitny.

Farba była zbyt mokra, by tego wieczoru kontynuować pracę, toteż nazajutrz wstał wczesnym rankiem i fachowo udekorował ścianę ławicą żaróżowionych tycjanowskich obłoków. Na koniec domalował małego aniołka, chłopczyka, który zerkał w dół znad krawędzi najwyższej z chmur. Motyw ten zaczerpnął z obrazu „Madonna z dzieciątkiem i świętymi” pędzla Veronesego. Drżącą ręką, ze łzami w oczach, dał aniołkowi twarzyczkę swego syna. Taką, jaką widział w noc jego śmierci. Potem złożył podpis i wpisał datę. Rzecz była gotowa.

Nieco później tego samego dnia londyński „Sunday Telegraph” opublikował na prawach wyłączności artykuł ujawniający powiązania Rosji i rosyjskiego wywiadu z morderstwem księżnej, zamachem bombowym na Brompton Road, morderstwem czterech funkcjonariuszy MI6 w zachodniej Kornwalii oraz krwawą łaźnią w północnoirlandzkim Crossmaglen. Operacje te, jak informowała gazeta, przeprowadzono w ramach odwetu za cofnięcie uzyskanej przez Rosję koncesji na niezwykle intratne odwierty ropy na Morzu Północnym. Drugą z przyczyn stanowiło uprowadzenie Madeline Hart, rosyjskiej śpiącej agentki, a przez krótki czas kochanki premiera Lancastera. Wszystkie działania podjęto na polecenie prezydenta Rosji, zaś nadzorował je Aleksiej Rożanow, funkcjonariusz SWR, którego ciało znaleziono niedawno w Niemczech. Głównym wykonawcą rosyjskiego planu był Eamon Quinn, winny zamachu w Omagh, obecnie płatny zabójca na międzynarodową skalę. Quinn zniknął i był obiektem poszukiwań o globalnym zasięgu.

Artykuł wywołał natychmiastową gwałtowną reakcję. Premier Lancaster określił działania Kremla mianem barbarzyństwa, a sprawa odbiła się echem po drugiej stronie Atlantyku, w Waszyngtonie, gdzie na obu skrzydłach politycznej nawy domagano się wykluczenia Rosji z forum polityczno-gospodarczego G8 oraz innych gospodarczych klubów Zachodu. Rzecznik Kremla w Moskwie nazwał artykuł z „Sunday Telegraph” przejawem antyrosyjskiej propagandy i wezwał jego autorkę, Samanthę Cooke, do ujawnienia informatora.

Ona jednak w serii wywiadów telewizyjnych stanowczo odmó-



wiła. Lepiej zorientowani dopatrywali się źródła informacji wśród służb wywiadu Izraela. W końcu celem rosyjskiej operacji była likwidacja ich legendarnego bohatera.

Nikt jednak z rządzących kół Izraela nie chciał skomentować artykułu w „Sunday Telegraph” - ani kancelaria premiera, ani Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a już na pewno nie Bulwar Króla Saula, gdzie urywały się telefony, których nikt nie odbierał. Komentarza doczekała się wszakże krótka wiadomość w jednym z izraelskich plotkarskich serwisów internetowych. Wedle anonimowego doniesienia legendarny agent izraelskiego wywiadu, który zginął w zamachu bombowym na Brompton Road, był ostatnio widziany na targu Mahane Yehuda i całkiem nieźle wyglądał. W odpowiedzi niezidentyfikowany pracownik nieokreślonego ministerstwa określił informację mianem bzdury.

Jednakże sąsiedzi Gabriela z ulicy Narkiss mogliby powiedzieć zupełnie co innego, gdyby nie chronili go jak oka w głowie. Podobnie jak pracownicy szpitala Hadassa i dwaj rabini, którzy tego samego popołudnia widzieli go na cmentarzu na Górze Oliwnej, gdy kładł kamień na jakimś grobie. Nie próbowali zaczynać z nim rozmowy, bo pogrążony był w smutku. Opuścił cmentarz o zmierzchu i ruszył przez całą Jerozolimę do szpitala na Wzgórzu Herzla. Przebywała tam kobieta, której powinien wyznać, że wciąż należy do świata żywych, nawet jeśli miała o tym zapomnieć z chwilą, gdy ją opuści.

*Wzgórze Herzla, Jerozolima*

Gdy opuszczał Górę Oliwną, na rozdarte miasto na wzgórzach zaczął padać drobny śnieg. Niebawem zasypał wąski, kręty podjazd do Szpitala Psychiatrycznego na Wzgórzu Herzla i pobielił gałęzie pinii w ogrodzonym murem ogrodzie. Wewnątrz budynku kliniki Leah obojętnie patrzyła na świat przez okna sali rekreacyjnej. Gdy wszedł, siedziała w fotelu. Miała siwe, krótko obcięte przez szpitalnego fryzjera włosy i powykęcane ręce pokryte białymi bliznami. Jej lekarz wyglądał jak rabin ze swą okrągłą twarzą i czarodziejską wielobarwną brodą. Na widok Gabriela poprosił pacjentów, by opuścili pokój. Nie wydawał się zbyt zdziwiony, że Allon żyje. Opiekował się Leah od ponad dziesięciu lat i wiedział o legendarnym agencie rzeczy, o których nie słyszał nikt inny.

- Powinieneś być mnie uprzedzić, że to tylko blef - rzekł na powitanie. - Moglibyśmy ją jakoś ochronić. Chyba się spodziewałeś, że twoja śmierć głęboko nią wstrząśnie.

- Nie było czasu.

- Na pewno miałeś dobry powód. - Lekarz spojrział na niego z wyrzutem.

- Miałem. - Gabriel odczekał kilka sekund, by złagodzić ostry ton rozmowy. - Nigdy nie wiem, co do niej dociera.

- Więcej, niż przypuszczasz. Mieliśmy kilka naprawdę trudnych dni.

- A teraz?

- Jest lepiej, ale musisz traktować ją bardzo delikatnie. - Uścisnął mu dłoń. - Zostań tyle, ile będziesz chciał. Jestem w gabinecie, gdybyś

czegoś potrzebował.

Gdy zniknął, Gabriel cicho przeszedł po posadzce z płyt piaskowca na drugi koniec pokoju. Przy fotelu, w którym siedziała Leah, ustawiono krzesło. Wciąż patrzyła na śnieg. Ale gdzie była? W jakim mieście? W Jerozolimie? A może cofnęła się w czasie? Cierpiała na szczególnie ostrą kombinację stresu pourazowego i depresji psychotycznej. W jej niespójnej pamięci czas był kategorią względną. Gabriel nigdy nie wiedział, jaką Leah zobaczy. Niezwykle uzdolnioną malarsko dziewczynę, w której się zakochał, studiując na Akademii Sztuk Pięknych Bezalel w Jerozolimie, czy dojrzałą kobietę, matkę ślicznego chłopca, który uparł się, by towarzyszyć ojcu w służbowej podróży do Wiednia?

Przez kilka minut szeroko otwartymi oczami obserwowała śnieg. Może nie była świadoma jego obecności, a może karała go za to, że pozwolił jej wierzyć w swoją śmierć. W końcu jednak odwróciła głowę i przesunęła po nim spojrzeniem, jakby szukała zgubionego przedmiotu w zatłoczonej szafie swej pamięci.

- Gabriel?
- Tak, Leah.
- To naprawdę ty, kochany? Czy mam halucynacje?
- Tak, to ja.
- Gdzie jesteśmy?
- W Jerozolimie.

Obróciła głowę i spojrzała na śnieg.

- Śliczny, prawda?

- Tak, Leah.

- Śnieg oczyszcza Wiedeń z jego grzechów. Pada na Wiedeń, kiedy pociski padają na Tel Awiw. - Spojrzała na niego. - Co noc je słyszę.

- Co?
- Pociski.
- Jesteś tu bezpieczna, Leah.
- Chcę porozmawiać z moją matką. Chcę usłyszeć jej głos.
- Zadzwońmy do niej.
- I dopilnuj, żeby Dani był przypięty do fotela. Ulice są teraz bardzo śliskie.

- W porządku, Leah.

Spojrzała na jego ręce i spostrzegła smugi farby. Przywróciło ją to do teraźniejszości.

- Pracujesz? - zapytała.
- Trochę.

- Coś ważnego?

Przełknął ślinę, nim w końcu powiedział:

- Pokój dziecinny, Leah.

- Dla twoich dzieci?

Skinął głową.

- Już się urodziły?

- Wkrótce.

- Chłopiec i dziewczynka?

- Tak, Leah.

- Jak chcesz nazwać dziewczynkę?

- Będzie miała na imię Irene.

- To imię twojej matki.

- Owszem.

- Ona nie żyje?

- Od dawna.

- A chłopiec? Jakie imię dasz chłopcu?

Zawahał się, a potem odpowiedział:

- Będzie miał na imię Raphael.

- Archanioł uzdrowiciel. - Uśmiechnęła się i spytała: - Jesteś uzdrowiony, Gabrielu?

- Nie całkiem.

- Ani ja.

Po chwili spojrzała na ekran telewizora i na jej twarzy pojawiło się zdziwienie. Wziął ją za rękę. Blizny sprawiały, że była zimna i twarda jak szorstkie płótno. Pragnął móc jej przywrócić dawną miękkość, ale nie było to możliwe. Leah należała do świata, którego nie mógł stworzyć od nowa.

- Jesteś martwy? - zapytała nagle.

- Nie, Leah. Jestem tu z tobą.

- W telewizji powiedzieli, że zabili cię w Londynie.

- Musieliśmy tak zrobić.

- Dlaczego?

- Nieważne.

- Zawsze tak mówisz, kochany.

- Naprawdę?

- Tylko kiedy jest ważne. - Objęła go spojrzeniem. - Gdzie byłeś?

- Szukałem człowieka, który pomógł Tariqowi zbudować tę bombę.

- Znalazłeś go?

- Prawie.

Uspokajająco ścisnęła mu rękę.

- To było dawno temu, Gabrieli. I nic już tego nie zmieni. Wciąż będę taka, jaka jestem. A ty będziesz mężem innej żony.

Nie mógł znieść jej oskarżycielskiego spojrzenia. Odwrócił głowę i patrzył na śnieg. Kilka sekund później zrobiła to samo.

- Pozwolisz mi zobaczyć dzieci?

- Gdy tylko będę mógł.

- I musisz na nie uważać. Zwłaszcza na chłopca.

- Oczywiście.

Jej oczy nagle się rozszerzyły.

- Chcę usłyszeć głos mojej matki.

- Ja też.

- Pamiętaj, żeby dobrze przypiąć Daniego do fotela.

- Tak - przytaknął. - Ulice są śliskie.

W drodze powrotnej na ulicę Narkiss otrzymał esemes od Chiary, która prosiła o wiadomość, kiedy wróci. Nie próbował nawet odpowiadać, bo był tuż za rogiem. Dopadł do wejścia domu, zostawiając wymowny ślad męskich stóp na nieskazitelnej warstwie śniegu, i wbiegł po schodach do mieszkania. Wchodząc, dostrzegł, że walizka, którą tak starannie pakował, stoi w holu. Chiara siedziała na kanapie w płaszczu i cicho podśpiewywała, przeglądając strony jakiegoś ilustrowanego magazynu.

- Czemu nie wezwałaś mnie wcześniej? - spytał zdyszany.

- Myślałam, że to będzie miła niespodzianka.

- Nie znoszę niespodzianek.

- Wiem. - Uśmiechnęła się promiennie.

- Co się stało?

- Po południu nie czułam się dobrze, więc zadzwoniłam do doktora. Uważa, że nadszedł czas.

- Kiedy?

- Dziś wieczór, skarbie. Jedziemy do szpitala.

Gabriel zastygł w bezruchu jak figura z brązu.

- W tym momencie powinienes pomóc mi wstać - podpowiedziała Chiara.

- Ach tak, oczywiście...

- I nie zapomnij moich rzeczy.

- Zaraz... czego?

- Walizki, kotku. Będę jej w szpitalu potrzebować.

- No tak... w szpitalu.

Pomógł jej zejść po schodach i pokonać ścieżkę do samochodu,

cały czas wyrzucając sobie, że w swym planie nie uwzględnił śniegu. Gdy usiedli na tylnym siedzeniu SUV-a, oparła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy. Wchłaniał w nozdrza upajający zapach wanilii i patrzył na wirujący za oknem śnieg. Nigdy nie widział nic równie pięknego.

*Buenos Aires*

Nie o to chodzi, że tej wiosny nie mieli nic lepszego do roboty. W końcu nawet najbardziej tępy obserwator z wrodzoną martwicą mózgu - jak określał to Graham Seymour w chwilach głębokiego zniechęcenia - zdawał sobie sprawę, że świat niebezpiecznie wymyka się spod kontroli. Wobec ograniczonych środków finansowych powierzył to zadanie tylko jednemu oficerowi. Zresztą nie liczba miała tu znaczenie, bo ten jeden wystarczył. Seymour wręczył mu walizkę wypchaną gotówką i dał całkowicie wolną rękę. Walizka pochodziła ze sklepu na Jermyn Street, a pieniądze były amerykańskie, gdyż w podziemiach szpiegowskiego świata jedynie dolary stanowiły walutę rezerwową.

Podróżował pod wieloma nazwiskami, lecz nigdy pod własnym. W gruncie rzeczy w tym okresie życia i kariery nie miał żadnego. Jego rodzice, z którymi niedawno się pojednał, zwracali się do niego imieniem nadanym mu w dniu urodzin. W pracy występował wyłącznie jako czterocłonowy szyfr numeryczny, a jego mieszkanie w Chelsea oficjalnie należało do firmy, która nie istniała. Zresztą odwiedził je tylko raz.

Jego misja wiodła do wielu niebezpiecznych miejsc. Nie miało to jednak znaczenia, bo sam był człowiekiem niebezpiecznym. Spędził kilka dni w Dublinie w groźnym tyglu buntu i narkotyków. Zajrzał do Lizbony na wypadek, gdyby się okazało, że związki tropionego z tym miastem nie są tylko pozorne. Zwiedziony złośliwą pogłoską dotarł do pewnej zapadłej miejsciny na Białorusi, a z kolei przechwycony przez służby e-mail zawiódł go do Stambułu. Tam natknął się na kogoś, kto

twierdził, że obiekt ukrywa się w Syrii, na terytorium kontrolowanym przez Państwo Islamskie.

Z niechętnym błogosławieństwem Londynu pieszo przekroczył granicę i w arabskim stroju dotarł do domu, w którym rzekomo poszukiwany miał przebywać. Nie było tam nikogo. Znalazł tylko kawałki kabla i notebook z kilkoma schematami bomb. Zabrał notebook i wrócił do Turcji. Na swej drodze widział sceny okrucieństwa, których długo nie mógł zapomnieć.

Późny luty zastał go w Mexico City, gdzie dzięki łapówce uzyskał trop, który zaprowadził go do Panamy. Spędził tydzień, obserwując puste mieszkanie w kondominium na Playa Farallón, po czym, wiedziony instynktem, poleciał do Rio.

Tam dotarł do chirurga plastycznego na usługach podejrzanej klienteli, który przyznał, że niedawno gruntownie zmienił aparycję pewnego osobnika. Pacjent podobno mówił, że mieszka w Bogocie, ale wizyta w tym kraju nie wniosła nic nowego oprócz wyrzekań wzburzonej kobiety, twierdzącej, że nosi jego dziecko. Kobieta sugerowała, by rozejrzał się po Buenos Aires, co też zrobił. I to właśnie tam w pewne chłodne kwietniowe popołudnie stary dług doczekał się spłaty.

Gotował w restauracji o nazwie Brasserie Petanque w południowej latynoskiej dzielnicy San Telmo. Mieszkał tuż za rogiem na drugim piętrze budynku jakby skopiowanym z bulwaru Saint-Germain. Po przeciwnej stronie w ulicznej kawiarence siedział Keller, popijając kawę. Miał kapelusz z rondem i ciemne okulary, a srebrzysty połysk włosów nadawał mu wygląd człowieka przedwcześnie posiwiąłego. Zdawał się czytać hiszpański magazyn literacki, co było dalekie od prawdy.

Zostawił na stoliku kilka pesos, przeszedł przez ulicę i wszedł do holu budynku. Pręgowany kot otarł mu się o stopy, gdy sprawdzał nazwisko na skrzynce pocztowej mieszkania 309. Po wejściu na górę stwierdził, że drzwi są zamknięte. Nie stanowiło to poważnego utrudnienia, gdyż za sumę pięciuset dolarów otrzymał zapasowy klucz od konserwatora bloku.

Wchodząc, wyjął broń, po czym zamknął drzwi. Mieszkanie było małe i skąpo umeblowane. Obok łóżka leżała sterta książek i krótkofalówka. Książki były grube, ciężkie i uczone, a radio rzadko dziś spotykane. Włączył je i cicho nastawił głos. Miles Davis śpiewał „My Funny Valentine”. Uśmiechnął się. Znalazł właściwe miejsce.



Po chwili zgasił radio i odsunął zasłonę z ostatniego okna, przez które Quinn widział świat. Z wytrwałością zawodowego obserwatora stał na swym posterunku przez resztę popołudnia. W końcu jakiś mężczyzna wszedł do kafejki i usiadł przy stoliku, który Keller zwolnił.

Pił miejscowe piwo i miał miejscowy ubiór, lecz było oczywiste, że nie jest rodowitym Argentyńczykiem. Keller podniósł do oczu miniaturową lunetę i długo przyglądał się jego twarzy. Brazylijczyk wykonał dobrą robotę. Mężczyzna siedzący na dole był nierozpoznawalny. Zdradził go dopiero sposób, w jaki ujął nóż, gdy zabrał się do steku, który postawił przed nim właściciel lokalu. Był wprawdzie mistrzem techniki, ale zawsze najlepiej operował nożem.

Keller stał przy framudze okna, przyciskając do oczu miniaturowy teleskop. Czekał, patrząc, jak Quinn konsumuje swój ostatni posiłek. Gdy skończył, zapłacił właścicielowi, wstał i ruszył na drugą stronę ulicy. Keller wsunął teleskop do kieszeni i stanął przy wejściu z bronią w wyciągniętej ręce. Chwilę później usłyszał kroki na schodach, a potem zgrzyt klucza wsuwanego w zamek. Quinn nie zobaczył jego twarzy i nie zdążył poczuć uderzenia dwóch pocisków - za Elizabeth Conlin i Daniego Allona - które położyły kres jego życiu.

Tylko tego jednego Keller naprawdę żałował.